

MICHAŁ PIĘDZIEWICZ

DAKOTA



MICHAŁ PIEDZIEWICZ
DAKOTA



CZĘŚĆ

1.

ROZDZIAŁ 1

NA ROZGRZEWKĘ

W jej życie wbiegł. Aż chciało się pytać po latach: czy nie mógł wybrać innej klatki schodowej? Lub zrobić tego dwie minuty później? Czy nie byłaby wtedy szczęśliwsza? Lub inaczej: mniej nieszczęśliwa? A jednak wbiegł, czym poruszył klocki domina.

Później opowiadał: że natknął się na tamtych, gdy szedł od wylotu ulicy Kopernika w stronę przystanku kolejki Wzgórze Nowotki, a oni wypadli z tunelu biegnącego pod torami i zaraz zaczęli się rozglądać, kogo by tu dorwać i sponiewierać, a wzrok w tej kwestii mieli wyczulony, wiódł ich niezawodny instynkt, byli jak pershingi – mówił – precyzyjnie nakierowane na cel. I wnet doskoczyli do jakiegoś chłopaka i zaczęli go bić i kopać, wykonując wokół leżącego taniec wściekłych małp. Ot, dzień jak co dzień, kolejki, niczym żyły spinające Trójmiasto w jeden pulsujący życiem organizm, podjeżdżały na perony jedna za drugą, aż tu nagle z mroków dziejów wyłonił się taki oto zastęp Hunów. Wrzeszczała oczywiście przypadkowa kobiecina, wcale nie niemy świadek historii, ale większość przechodniów starała się zejść hordzie z oczu. On sam zaczął biec, zanim jeszcze zawyli. Bo refleks w tym mieście – podkreślał – warto mieć, a prócz refleksu szybkie nogi.

Lecz nie wołali przeciągle swego *nothing, nothing, nothing* – kontynuował, upiwszy łyk herbaty, popisując się przy tym znajomością Herberta – bo nie byli to wcale Longobardowie (o czym pomyślał, jak twierdził, już biegnąc, bo i tak potrafi działać rozum, że nawet w chwili największych emocji, trwogi, gdy aż chciałoby się wołać: nie trać czasu, umykaj, skup się na tym, by nie dać się

dogonić, on, rozum, pozwala sobie na dygresyjne wycieczki), nie byli to więc Longobardowie, ale zwyczajni łysogłowi, krzyżący swe dużo mniej znaczące, choć równie dzikie, plemienne: Le-chia-Gdańsk! Le-chia-Gdańsk! Tak, bo to kibice z Gdańska byli i właśnie robili „wjazd” – jak mówił – do Gdyni, na wzór zagonu tatarskiej hordy, wbijając się wojowniczym klinem w obce terytorium, z tym że nie po to, by brać jeńców, i nie po to, by do siodeł przytraczać łupy; nie, tu celem był czysto rozrywkowy terror, wzięcie skalpów, zakarbowanie ofiar w pamięci napęczniałego adrenalina, niczym komary krwią, stada.

Ona się wtedy dziwiła: ale jak to tak, przecież twierdzisz, że na mecze nie chodzisz, dlaczego zatem ruszyli za tobą? Nie chodzę, odpowiadał, albo chodzę rzadko, jednak zdarzają się takie sytuacje, gdy wystarczy wymiana rzuconych z daleka spojrzeń, błysk, impuls przesywający powietrze i wtedy nie ma się nad czym zastanawiać, lepiej brać nogi za pas. Kto się kręci po Trójmieście, a ma kilkanaście lat, ten takie rzeczy rozumie, nie trzeba mu niczego tłumaczyć.

Przeskoczył wtedy – opowiadał dalej – ponad zagonem róż, a potem pobiegł przez zieloną, oblaną z każdej strony jezorami jezdni wyspę trawnika, zaś wycie ścigało go, ale i dopingowało do wysiłku, ulicę przefrunął przy wtórze klaksonów i zaraz przecinał skwer, kierując się w stronę Bema. Mijając prezydium, czuł się już zmęczony, na wysokości hali Startu mocno zapiekły go uda. Potknął się i obejrzał: by go dorwać, tamtym wciąż brakowało kilkudziesięciu kroków, niemniej nie rezygnowali. Doprawdy, bardzo byli wytrwali.

Niestety, potknięcie się miało swoje skutki: oto ratując się przed upadkiem, źle stanął na nierównościach chodnika, wykrzywił kostkę, a ta zaraz dała o sobie znać – mocnym, przesywającym nogę aż po pachwinę bólem. Wtedy na dobre się przestraszył i z mniejszą naraz nadzieją spojrzął przed siebie. Ale wciąż biegł.

Aśka wczesne, gorące czerwcowe popołudnie przed pójściem na trening spędzała u babki, co Łucja wykorzystała, by jeszcze raz, który to już,

przypomnieć wnuczce o posprzątaniu piwnicy.

– Od lat nie mogę się doprosić – gderała – a nazbierało się słoï, słoików, butelek po sokach i syropach, starych szmat, obrazów, a wszystko pod coraz grubszą warstwą kurzu, tak dłużej być nie może – wzdychała – ale też nie ma się tym kto zająć, bo kto? – bezradnie rozkładała ręce, wskazując dodatkowo na chlapiącego chłódnik męża. – Już nie wiadomo, gdzie szukać pudła z pamiątkami – marszczyła wreszcie brwi, przyglądając się Aśce z większą na moment uwagą – a to są bardzo ważne rodzinne pamiątki – podkreślała – twojej matki nie interesują – kiwała głową – choć powinny, chciałabym, Joasiu, żeby zainteresowały ciebie!

Podreptała do niewielkiego przedpokoju, sięgnęła po zawieszony na gwoźdźniku pęk kluczy i wróciwszy, położyła je na stole, tuż obok portfela Aśki, jakby chcąc tym w zasadzie niepotrzebnym w tej chwili gestem pokazać dziewczynie, jakie to proste: wystarczy wziąć klucze i zabrać się do dzieła.

– Dobrze, babuniu, oczywiście – odpowiedziała ta, wyjmując najpierw sportowy komplet z przepastnej torby, a za chwilę upychając go we wnętrzu z powrotem. – Ale przecież nie dziś – uśmiechnęła się, niejako przepraszając.

– Zatem kiedy? – Łucja ani myślała dać się zbyć.

– Och, babciu, są wakacje...

– Skoro wakacje i do szkoły nie chodzisz, to masz czas. Jak nie teraz, to kiedy?

– No tak, zrobię to, obiecuję.

– Zawsze mówisz tak samo.

– Obiecuję – powtórzyła Aśka i cmoknęła babkę w policzek.

Pasowały do siebie – uważał Konstanty, przyglądając się obu. Łucja w kwiecie swych osiemdziesięciu lat wciąż energiczna, uparta, a bywało, że i złośliwa, oraz Aśka – tak samo niedająca sobie wejść na głowę, niepozwalająca nikomu sobą dyrygować.

– Mówi dziewczyna, że robi, to robi – skomentował.

– Jesz? Smakuje? To dokończ, nie rozlewaj!

Ba, łatwo mówić! Jakże miał nie rozlewać, gdy łyżka drżała w dłoni przy każdym powolnym ruchu w stronę już rozchylnych łapczywie ust? Mimo że bardzo się starał.

Aśka zaśmiała się:

– Jak ja tobie, dziadek, współczuję, ciągle musztra, nieustanna musztra! Pewnie i w wojsku łatwiej ci było...

– Źle nie ma – burknęła na to Łucja, zamachnąwszy się przy tym ścierką na wnuczkę, ale ta zdążyła się uchylić.

– Źle nie ma, zresztą widziały gały, co brały, nie tak mówię, dziadku?

Postarzał się bardziej i znacznie prędzej niż o kilka lat młodsza żona. Łucja, owszem, ostatnimi czasy zmaląła, twarz jej zdrobniała i pokryła się gęstą siecią zmarszczek. Lecz mimo to trzymała się dzielnie, prosta jak struna, śmigająca po schodach, ciesząca się świetną pamięcią. On zaś z każdym dziesiątkiem lat nie tylko garbił się coraz mocniej, ale już całkiem wyłysiał, rysy miał ostre, drapieżne, a dłonie nie dość, że kościste, to jeszcze trzęsące się. Chodził niewiele, tyle co po ciasnym mieszkaniu, a większość czasu spędzał przy stole; siedzieć jako tako mógł, ale i wtedy narzekał: na biodro – co się ponoć wzięło jeszcze z kampanii wrześniowej (dziwne, odpowiadała na to Łucja, że tak późno sobie przypomniał, wcześniej przez lata nie narzekał) – oraz na kręgosłup nadwyreżony w stalinowskim więzieniu; wtedy zresztą także go bito: po głowie, po uszach – więc i słyszał z wiekiem coraz gorzej. „Starość – wzruszała na to wszystko ramionami Łucja – stary jest, to i po co o wojnie mówić? Bez wojny inaczej by było?”

O tym, że Konstanty nie jest jej rodzonym dziadkiem, Aśka rzecz jasna wiedziała, choć zapamiętała też doskonale swe zdziwienie z czasu, gdy mając ledwie kilka lat, dowiedziała się o tamtym – Krzysztofie, pierwszym mężu babki,

a jednocześnie przyjacielu Kota z dawnych, najdawniejszych czasów, gdy ci dwaj spotkali się w rodzącej się Gdyni. „Masz dwóch dziadków – tłumaczono jej wtedy – czy to nie lepiej?” A jednak: bała się tego drugiego, znanego tylko z cmentarza, pochowanego pod ciężką, szarą płytą, a odwiedzanego w chłodne i wietrzne jesienne dni. Za to dziadka Kota miała szczęście i czas pokochać.

– Idź, bo się spóźnisz – powiedziała tymczasem Łucja. – Wiecznie się spóźniasz, roztrzepana jak matka. Inna rzecz: na co ci to bieganie, sama powiedz, Joasiu, na co?

– Wszystkie trzy żeście takie same – ponownie nie wytrzymał Konstanty – wszystkie trzy, wiem, co mówię!

Lecz czy Łucja odpowiedziała mu, i w jaki sposób, tego już Aśka nie usłyszała. Trzasnęła drzwiami i tyle ją widzieli.

– Oho, przeciąg – spojrzała w stronę okna Łucja. – Zamknę – podreptała. – Żebyś się nie przeziębł.

Aśka w dół schodów zbiegała lekko, zastanawiając się jednakowoż nad uwagą babki. Bo rzeczywiście, czy nie pora dać sobie z biegami spokój?

I wtedy, już w progu klatki schodowej, zderzyła się z nim, wpadł na nią, odskoczyła, on również. Dyszał ciężko i słał się na nogach, a wzrok miał przy tym przerażonego, tropionego zajadłe zwierza, którym w istocie był.

– Gonią mnie – wycharczał i rzucił się ku piwnicy, by po chwili bezskutecznie szarpać za klamkę. W jednej chwili przypomniała sobie o zabranym przez przypadek, z rozpędu, z roztargnienia kluczu i zaraz wyciągnęła go, i o nic nie pytając – a przecież byłoby o co! – otworzyła zbiegowi drogę dalszej ucieczki. Kiedy już znikł w ciemności, ledwie zdążyła z powrotem przekręcić klucz i odsunąć się dwa kroki, kiedy do klatki schodowej wpadli tamci. Na jej widok dwóch stanęło, dwaj kolejni pobiegli w górę schodów.

– Widziałas go? Widziałas?

– Widziałam...

– Gdzie jest?

– Pewnie już u siebie – wzruszyła ramionami. – Co wam zrobił?

Ani myśleli odpowiadać. Pokrzyczeli, powściekali się, a na koniec pośmiali szyderczo, te, lala, but ci się rozpierała, usłyszała, i był to zapewne komplement; aż wreszcie odeszli, kopiąc w drzwi, a potem bezsilnie w mur kamienicy, a każdy z nich, dosłownie każdy, nerwowo podrygiwał, szarpiąc na przemian to jednym, to drugim ramieniem. Zastanowiło ją to, ów dziwny tik, nieznana jednostka chorobowa. W pierwszej chwili przestraszyła się ich, owszem, nie mogła powiedzieć, że nie, więc na bluzgi nie odpowiedziała – gdy jednak stała przed nimi, to dumna i wyprostowana.

Oddalali się, złorzecząc, nabuzowani, gotowi szukać kolejnych ofiar i jeszcze większej dawki adrenaliny, bo liczyli rzecz jasna na kontratak, na to, że ich wściekła wyprawa spotka się z ripostą miejscowych, po to wszak do wrogiego miasta przyjechali, ot, chłopięce zabawy, bitwy, gonitwy, skoro Arka Gdynia kurwa świnia, to Lechia Gdańsk kurwa szajs, ma się rozumieć.

W piwnicy, za załamaniem korytarza, oparł się o zimną ścianę i długo nie potrafił uspokoić oddechu. Nasłuchiwał. Po długiej chwili, a jemu ciągnęła się w nieskończoność, skrzypnęły drzwi. Poszukała ręką włącznika, jednak światło nie zapaliło się. Zawołała:

– Jesteś?!

Z początku nie odpowiedział.

– Jesteś?! – powtórzyła. – Tamci odeszli, nie bój się.

To go, owszem, zabołało – bo bał się, nie było sensu zaprzeczać, jednak gdy ma się kilkanaście lat, niedobrze takie rzeczy słyszeć z ust dziewczyny. Zresztą znał ją, zrozumiał to, gdy tylko na siebie wpadli. Znał z widzenia – i nigdy by nie pomyślał, że pierwszy raz rozmawiać będą w takich okolicznościach.

Gdy wspinał się ku światłu, czekała w progu, a ciemny (ale i zgrabny, o rany, jeszcze jak!) zarys jej ciała oblewała rozrzedzona w półmroku klatki schodowej poświata.

– Dzięki – powiedział, gdy już ustąpiła mu z drogi i mógł stanąć u jej boku. Teraz on patrzył na nią nieco z góry. – Debile z Gdańska – próbował wyjaśnić, choć domyślał się, że jako dziewczyna może nie rozumieć, w czym rzecz. Rzeczywiście, nie zrozumiała.

– Zrobiłeś im coś? Jesteś im coś winien?

Na tak postawione pytanie mógł się tylko skrzywić. A jednak wyjaśniał przez chwilę zawilości trójmiejskiego życia. Przyglądała mu się z ciekawością, lekko wydymając wargi. Zmrużyła oczy, wcześniej nigdy nie widział ich z bliska. Były raczej jasne niż niebieskie, zobaczył w nich coś nieziemskiego. Lekko kręcone ciemnoblonde włosy przycięte miała ponad ramionami, z jednej strony zaczesane za ucho.

– Ty jesteś z Trójki – ni to zapytał, ni stwierdził, mając na myśli liceum, do którego chodziła.

– A ty?

– Ja... z Szóstki – zawahał się.

– Nie kojarzę.

No tak, cóż, mógł się tego spodziewać – że nie będzie kojarzyć.

– Dzięki za pomoc – energicznie pokiwał głową. – Wielkie dzięki – powtórzył, innych, lepszych słów nie potrafiąc niestety znaleźć.

Miał tego dnia na sobie bluzę, ciemnozieloną, z przypiętymi dumnie plakietkami z nazwami zespołów: New Model Army, Bauhaus, The Clash. Zauważył, że omiotła je wzrokiem.

– Spociałeś się – rzuciła jednak okrutnie.

Poczuł, że czerwienieje i zaraz czmychnął. To znaczy jeszcze raz podziękował i uciekł. Aż zrobiło jej się wstyd. Miły był przecież i miał ładne oczy. Nie jego

wina, że go gonili i że musiał uciekać.

I wtedy dobiegł ją głos, głos z wysokiego piętra, głos tej, której uwadze nic, co działo się na klatce schodowej, ujść nie mogło:

– Joasiu! Joasiu! Jesteś tam? Nie poszłaś na trening?

– Jestem, babciu, wracam! – odskrzyknęła, poprawiając wpijający się w ramię pasek torby. I zaraz ruszyła – lecz nie na słońce, a z powrotem w górę schodów.

– Nie poszłaś? – powtórzyła na jej widok Łucja, tym bardziej zdziwiona. – Bo właśnie usłyszałam...

– Wszystko babcia słyszy – pokiwała głową Aśka, porozumiewawczo mrugając do Kota. – Klucze do piwnicy przez omyłkę wzięłam, nie będę ich przecież nosić. No i jakiś chłopak akurat wbiegł.

– Chłopak? Gdzie? Do piwnicy? Do naszej?

– Nie naszej, tylko ogólnie. Gonili go – zakręciła się wokół blatu, sięgnęła po truskawkę – jeszcze z tych najlepszych, czerwcowych, nabitych mięszem jak arbuzy, kaszubskich.

– Kto go gonił? – nie odpuszczała Łucja.

– Bo ja wiem...

Ale nie dogonili? – zainteresował się Konstanty.

– Na klucz zamknęłam, a ich nie wpuściłam.

– Ha! – zawołał dumny.

– A jeśli to złodziej? Albo chuligan? – Łucja zmarszczyła brwi.

– E, zaraz złodziej. Zresztą ja go też chyba znam.

– Znasz? Też? Chyba? To jak się, proszę ciebie, nazywa?

Kot aż zaniósł się śmiechem i zaraz rozkaszał:

– Wszystko musi wiedzieć, wszystko!

Zaniepokojona Łucja nie słuchała go:

– Klucz lepiej schowam. Bo jak to tak wpuszczać? Tam nie każdemu wolno,

ja tylko tobie ufam. I od pół roku proszę...

– Tak, babuniu, ja wiem.

– Od pół roku!

– Ale teraz muszę iść. Już i tak jestem, cholera, spóźniona! – spojrzała na zegarek.

– Jeszcze mi tu przeklinaj!

– No to idę.

– Idź nareszcie!

Gdy znikła, spojrzeli po sobie.

– Wpuściła chłopaka, wyobraź sobie...

– Uratowała – przypomniał Konstanty. – Przed chuliganami – zaznaczył.

– Ot i biega, dziewczuszyko, a chłopaki za nią...

– A jak by miało być inaczej? Hoża z niej łania wyrosła, to i biegają!

– Żeby o nauce nie zapomniała! I o piwnicy.

– Ma czas, zdąży. Bo też uparłaś się na tę swoją piwnicę.

Łucja zamyśliła się. Sięgnęła po kawę, zimną, niewiele już zresztą zostało jej w szklance, której dno pokrywała gruba na dwa palce, gęsta maź fusów.

– A ty już lepiej połóż się, telewizor włącz, odpocznij – zwróciła się w końcu w stronę męża.

Teraz on zastanawiał się przez chwilę, nim wreszcie zaczął się podnosić.

– Taka to już starość – zamruczał. – Lepiej przez okno popatrzę.

– To i patrz!

– A ty?

– A ja się właśnie położę. Nie myśl, że tylko tobie źle na stare lata!

ROZDZIAŁ 2

LISTONOSZ DZWONI DWA RAZY

Na Gdynię widoku nie mieli, mieli za to balkon. Była w tym być może jakaś sprawiedliwość: że ci bez balkonów, o ile mieszkali na jednym z wyższych pięter, widzieli Kamienną Górę, obok niej skrawek bulwaru, a patrząc dalej – i jeszcze bardziej w prawo – moło Południowe, wejście do portu, zatokę i półwysep. Piękny widok! Ale za to nie mieli balkonów – powtórzmy – a raczej niewielkich balkoników, z których widok – z tej strony wysokich bloków – rozpościerał się na masywny, lecz mało efektowny garb Wzgórza Nowotki, na lasy ponad stadionem Arki, na czasem błyszczący z oddali, a niekiedy skryty za mgłą Gdańsk. Aśce to odwrócenie od Gdyni nigdy nie przeszkadzało, w czym by miało, wystarczyło zjechać windą, przejść czy wręcz przebiec kilkaset kroków, by znaleźć się nad brzegiem zatoki i widzieć nieodległe zabudowania akwarium czy Szkoły Morskiej. Nie przeszkadzało też Anusi, gdy przed kilkoma laty wprowadzali się do nowego mieszkania z Leszkiem i z dziećmi. Widok lasów oszołomił ją wtedy, zachwycił, tyle się wyczekali, tyle nagryźli, nadenerwowali – czy budynek w końcu oddany zostanie do użytku i w jakim finalnie stanie.

Do mieszkania wchodziło się przez mroczny, prędko ozdobiony afrykańskimi maskami korytarzyk, z niego na wprost szło do pokoiku dzieci lub, skręcając w prawo, do łazienki, do kuchni albo dużego pokoju – tego z balkonem. Kuchnia była niewielka (jak i wszystko, prawdę mówiąc, na tych czterdziestu kilku metrach), ślepa, za to z pokojem łączyło ją wybite w ścianie okno. Jak w barze mlecznym! – krzyknęła na widok takiego właśnie rozwiązania mała jeszcze Aśka. Rodzice, Anusia i Leszek śmiali się, rozbawiło ich to

porównanie, wszak o tego typu nowoczesności wcześniej mogli tylko marzyć. Swoją drogą dla dzieci było ono, nowe mieszkanie, czymś oczywistym i prędko zapomniały o wynajmowanych pokojach w Chyloni. A przecież tam uczyły się chodzić i mówić – więc czy nie tamte miejsca powinny były zapamiętać na wieki wieków, nie je czcić w swej prywatnej, najważniejszej historii?

Za to Łucja od razu zauważyła, jak głupio zostało to wszystko wybudowane. Bo niby dlaczego ci od strony Gdyni w ogóle nie mieli balkonów? Na wzgórze i Gdańsk – rozprawiała z przejęciem gdyńska patriotka – w normalnych czasach okna mogłaby mieć służba, zaś państwo koniecznie na Gdynię i port.

– Może to ze względu na wiatr? – próbował wyjaśniać Leszek, gdy Anusia tylko kiwała z politowaniem głową na zrzędlivość matki. – Bo pewnie od północy mocniej wieje i właśnie to wziął pod uwagę architekt, żeby ludziom z balkonów niczego nie zwiewało... Zresztą, o czym tu mówić, nie podoba się mamie?

Konstantemu na szczęście wszystko się podobało. Cmokał, pogwizdywał i spoglądał z uznaniem na Leszka.

– Jest winda – powtarzał, tak jest, winda spodobała mu się najbardziej.

– To co, wujek, oblejemy parapet? – zaproponował Leszek, sięgając po butelkę baltonowskiej, specjalnie na tę okazję przygotowanej whisky.

– Winda, owszem – zgodziła się tymczasem Łucja, na propozycję zięcia przymykając oko, a za to mając na uwadze ich, z Konstantym, codzienną katorgę drapania się po schodach kamienicy przy Bema. – Winda owszem, niczego sobie.

Wkrótce zresztą i w nią wstąpił inny duch – i być może stało się to pod wpływem owej „wiski”, jak mówiła, mieszanej z kupioną również za bony coca-colą – w każdym razie wspominać zaczęła lata spędzone w willi pani Ewy Miklaszewskiej (zameczonę w czasie wojny, świeć, Panie, nad jej duszą), a więc w owej willi na Kamiennej Górze, skąd – co powtarzała uparcie raz po raz tego

wieczoru – oglądać mogła jak na dłoni rodzący się port, a potem zawijające doń okręty i statki: wojenne, wycieczkowe, a wreszcie – co podkreślała z lubością – najpiękniejsze w świecie transatlantyki. – Tak że tego... – mówiła – piękny to był widok, na port... Tak że...



Molo Południowe i port zewnętrzny widziane z Kamiennej Góry.

– No, co też mama! – aż jej musiała w pewnej chwili przerwać zdumiona nagłym, nieskładnym rozgadaniem się matki Anusia. – Mamie nie wolno pić alkoholu, to niedobrze na mamy serce!

– A co to niby za alkohol? – zdziwiła się Łucja.

– Bo mama z coca-colą pije, to nie czuć!

– Fakt – znieścacka zgodził się uśmiechnięty od ucha do ucha Konstanty. – Fakt, że nie czuć!

– Leszek! – zawołała Anusia. – Leszek, zrób herbaty, kawy! Mamo, my przecież neskę mamy! Przestańcie już z tą whisky! – co mówiąc, schowała butelkę w szafce meblościanki.

No tak, ale to już całe osiem lat minęło od czasu, kiedy wprowadzali się na Chopina. I przecież nie o tym myślała teraz Aśka, przez chwilę mocując się z oporną materią okna. Wreszcie udało się jej wyciągnąć ramę skrzydła z trzeszczącej okiennicy, aż dziw, że zawsze musiało to kosztować tak wiele wysiłku; zresztą mniejsza o otwieranie, bo zamykać było jeszcze trudniej!

Poczuwszy chłodny powiew, wróciła do pakowania. Wakacje niedługo miały się kończyć, ją czekał jednak późny obóz – sportowy.

Bielizna, koszulki, dresy. Ale i dżinsy, i bluzka, jedna, druga, te kolorowe, ciekawsze. Wiadomo, treningi treningami, ale nie tylko poprawie formy służyć miał dwutygodniowy wyjazd.

Biegała od dwóch lat. Zaledwie od dwóch – kiwał ze smutkiem głową trener Czesław, ten, który wypatrzył ją na szkolnym boisku. Dziewczyna utalentowana – oceniał fachowym okiem kogoś, kto dziewczętom przyglądał się zawodowo – szkoda więc, że tak późno zaczęła.

Zatem biegła: kiedy się tylko dało, to po górzystych lasach ciągnących się od Redłowa po Witomino, jednak przede wszystkim w dusznej hali przy Olimpijskiej. Tam trenowali szykujący się do najważniejszych w świecie zawodów tyczkarze, na uboczu pchali, ile mogli, specjaliści od kuli, prócz tego zaś ścigać próbowali się biegacze – choć tylko ci od najkrótszych dystansów, bo tartan w hali klubu Bałtyk ograniczał się do jednej kilkudziesięciometrowej prostej.

Niestety, z czasem pan Czesław – a bardzo spodobał się Aśki rodzicom, taki rzeczowy, mówili, widać po nim, że to fachowiec starej daty; skoro zaś córka nie dała się zapisać na skrzypce do szkoły muzycznej przy Szenwalda ani nie spodobało się jej żeglarstwo, to niech chociaż biegi trenuje, byle nauczyła się przy okazji, jakie efekty przynieść może systematyczna praca, byle poznała wagę codziennych obowiązków – zatem z czasem pan Czesław coraz bardziej kręcił na jej wyniki nosem. Owszem, wygrywała próby wewnątrzklubowe, jednak na poważniejszych zawodach zdarzyło się, że to skreśliła nogę w trakcie rozgrzewki, a to z powodu innych dolegliwości pobiegła znacznie poniżej swych możliwości, dość że trener – takie miała poczucie – z niesprawiedliwie większą życzliwością przyglądać się zaczął jej konkurentkom, długonogim po szyje szesnastolatkom. Jeszcze buzowała w niej ambicja, jeszcze wierzyła, że zdoła przegonić je, niby

takie gazele, a przecież idiotki (wiedziała, co mówi, bo część poznała aż za dobrze na obozie zimowym w Krynicy). Ale z drugiej strony wahała się coraz bardziej, już to realnie oceniając swe szanse na bicie kolejnych rekordów, już to znajdując doskonałe wytłumaczenie dla porzucenia treningów – mianowicie maturę, do której miała już tylko dwa lata. No tak, poddać się z powodu matury nie wstyd, matura wszak ważniejsza – usprawiedliwiała się.

Dziś jednak pakowała się. Do połyskującej na zielono przepastnej torby Tigera, której przeróżne – bo i boczne, i te w klapie – kieszonki zapinało się na zamki błyskawiczne. Przywieziona przez ojca z Holandii torba z jednej strony napawała ją dumą, była przecież profesjonalna, z takimi na zawodach pojawiały się Czeszki albo Enerdówki; ale z drugiej czasem ciążyła – na przykład gdy do autokaru wsiadały koleżanki obciążone szaroburymi plecakami ze stelażem.

Nie, nie miała serca do tego wyjazdu, do dwóch tygodni w Cetniewie. Po co ją tam pan Czesław zabierał, skoro nie wierzył w jej talent? Nie, rzecz nie w tym, że miała coś lepszego do roboty, nie była z tych, które lubią się nudzić, marnotrawić czas. O ile jednak pierwsze obozy obiecywały wiele, to kolejne zdawały się znojnym marszem pod górę. Czy warto się tak poświęcać, skoro o wyjeździe na olimpiadę – ha, ha! – mowy być nie mogło?

Zamyśliła się, okno otworzyła najszerzej, jak mogła, oparła się łokciami o parapet. Ciemnie chmury płynęły znad zatoki w stronę lądu, lustro wody pociemniało, zmarszczyło się, tylko gdzieniegdzie, blisko Gdańska, skrząc się ostatnimi złotymi plamami. Kiedyś, gdy statek ojca, wracając po wielomiesięcznym rejsie, zawinąć miał nie do Gdyni, a do Gdańska, w ten właśnie sposób wypatrywali go: z okien lub z balkonu, i każdy nowy kształt na horyzoncie witając radosnym drżeniem i odprowadzając go wzrokiem, gdy powoli sunął w stronę portu. Potem brało się taksówkę, najlepiej umówioną zawczasu, zaprzyjaźnioną warszawę – inaczej na postoju czekać by można w nieskończoność – i jechało przez całe Trójmiasto w pobliże portowych bram.

Tam czekać trzeba było na ojca, ale i na przepustkę, a potem nadchodził, rozpoznawało się go z daleka, nie zmieniał się wcale, mimo że wracał, dajmy na to, z Patagonii, a więc tak, to był on, nie było wątpliwości, ta sama kochana, dawno niewidziana sylwetka, i biegło się ku niemu, a on rozpościerał szeroko ramiona i brał w nie dzieci, unosił w górę, całował i drapał ich policzki swoimi, szorstkimi. Potem zwiedzali kolejne statki: „Emilię Plater”, „Jagiellę” czy „Zawadzkiego”, biegali po nich z Markiem do utraty tchu, po mrocznych, niedoświetlonych korytarzach, po stromych stalowych schodach, przez ciężkie drzwi wychodzące na pokłady, gdzie liny, relingi, szalupy. Ojciec pozwalał im zajrzeć do tchnącej smarami i nieustannie dudniącej maszyny, prowadził do siebie, na pełną tajemniczych urządzeń radiostację, a wreszcie wiódł na mostek kapitański z jego kołem sterowym, ze stołami zasłanymi mapami i z ekranami radarów, w które zaglądało się, wkładając głowy w szerokie gumowe kołnierze. Wreszcie siadali w wąskich kajutach, zajadali się przywiezionymi z kolorowego rajy słodyczami, a zdarzało się też, że w oficerskiej mesie steward serwował im obiad. I niechby w wazie parowała zwykła pomidorowa, a na drugie w sosie moczyły się bitki – w tym magicznym miejscu wszystko smakowało inaczej, lepiej. I stał tam zawsze na stole błyszczący keczup Heinz i podawano eksportowe piwo Leżajsk lub Okocim, a dzieciom pachnącą upojnie i drapiącą gardła pepsi-colę.

Kiedy miała dziewięć lat, popłynęli nawet z mamą (ale bez Marka, który musiał zostać z babcią, całej rodziny władze nie zgodziły się wypuścić z kraju, bojąc się, że ta do socjalistycznej rzeczywistości nie wróci), popłynęli zatem w krótki rejs – przez porty Danii i Francji do Tunezji nad granatowym Morzem Śródziemnym. Zapamiętała deptak w Esbjergu – z rozświetlonymi witrynami sklepów, jakich nie mogła widzieć nigdy wcześniej w Gdyni – a we Francji kolorowe kombinezony portowych robotników; byli jak z klocków Lego, intensywnie pomarańczowi lub cytrynowi. Zapamiętała zresztą i cytryny rosnące

wprost na drzewach. Ale przede wszystkim delfiny, ach, delfiny, ścigające się z prądem przed siebie statkiem. Puszczano wtedy w telewizji kreskówkę o delfinie Umie, wiedziała zatem, w jaki sposób przywoływać jego srebrnych, lśniących braci. Przykładało się mianowicie dłonie do ust i wołało przeciągle, długo, możliwie jak najdłużej: uuuuuu! Ważne, by głos umiejętnie wibrował – wtedy delfiny pojawiały się natychmiast. Niekiedy jeden, samotny i może przez tę swoją samotność tak dostojny w regularnych, długich skokach wzdłuż burt. A innym razem całe stada, brykające niczym przedszkolaki wypuszczone wczesną wiosną do ogrodu, były ich dziesiątki, szalejących, radośnie dzikich, prujących fale na wyścigi.

I tak mijały lata – przeplatane bólem pożegnań, długimi okresami tęsknoty, a wreszcie radością powrotów. Lecz od pewnego czasu ojciec nie przypluwał już, a przylatywał. Stało się to z łaski pańskiej, miała gest władza, która pobierając przy tym prowizję, wypuszczać zaczęła marynarzy na dolarowe kontrakty pod banderą cypryjską, grecką czy panamską. Nie wszystkich, bo żeby dostać zgodę, trzeba było mieć staż albo należeć do partii, lub do związków zawodowych. Niekoniecznie się udzielać, ale służyć, przynależeć. Przygięciem karku zasługując na przywilej.

Jego pierwszy kontrakt skończył się źle, armator okazał się oszustem, ojciec zarobił mniej, niż powinien, a jeszcze musiał opłacić sobie powrót. Za drugim z kolei razem, wracając, wiózł do Polski pieniądze dla rodzin niemal całej załogi. Było tego kilka tysięcy dolarów, majątek, miał je przyklejone do ciała, leciał przez Kair i Ateny, w Atenach spędził noc, bał się, że skończy się to źle, że dostanie w łeb albo że uspią go i okradną.

I wreszcie przedostatni jego powrót – ten w wigilię, przed kilkoma miesiącami, gdy leciał z Bejrutu via Frankfurt, a oni nie oczekiwali go, owszem, na stole jaśniał porcelanową białą talerz dla niespodziewanego gościa, stawiany oczywiście z myślą o nim, o ojcu, ale też stawiany, bądźmy szczerzy,

symbolicznie, w ramach czułego gestu, tymczasem, proszę, jak raz zdarzyło się, że nakrycie przydało się, ależ byli zdziwieni i wzruszeni, i jak to możliwe, że się nie wygadał, że nie zadzwonił choćby z warszawskiego lotniska albo już z dworca w Gdyni – by nie zaczynali bez niego. A zdążył niemal idealnie: zjawiając się wprawdzie po barszczu i uszkach, ale jeszcze przed rybą.

Znów straszne rzeczy mówił: oto bowiem, gdy stali na redzie w Libanie, a podwodny rurociąg tłoczył do ładowni ropę, nagle morze zaczęło się palić. Działo się to tuż przez zmierzchem, więc żarzyło się już wcześniej od blasku zachodzącego słońca, jednak teraz na jego powierzchni zafalowały najprawdziwsze, mimo połączenia z wodą, płomienie. Doszło do przecieku, cóż z tego, że kilkadziesiąt metrów od burty okrętu, skoro w każdej sekundzie groził wybuch o niewyobrażalnej skali. Do opuszczonych na wodę łodzi ratunkowych schodzili pospiesznie, jednak bez paniki, zaś do brzegu płynęli dość wolno, nie było powodu się spieszyć – eksplozja, gdyby do niej doszło, zniosłaby z powierzchni nie tylko maleńkie łupinki szalup, ale i wielką część rozłożonego na wzgórzach miasta.

Tego typu opowieści słuchało się w Gdyni z dobrze znaną, a jednak na zawsze trudną do okiełznania trwogą, kto bowiem nie znał choćby jednego, który pływał na owładniętą wojną Zatokę Perską? Albo kto nie pamiętał tragedii „Kudowy Zdrój”, która zatonała na Balearach, a był to styczeń osiemdziesiątego trzeciego i uratowało się tylko ośmiu z blisko trzydziestoosobowej załogi? Lub gdy w lutym dwa lata później, tym razem na Morzu Północnym, zatonał „Busko-Zdrój” i zginęły dwadzieścia cztery osoby, a uratował się jedynie radiooficer?

O tych wypadkach szeroko rozpisywała się prasa. Aśkę do dziś przejmowało drżenie na wspomnienie artykułów, w których kotłowała się lodowata kipiela, a bezradni marynarze nie potrafili utrzymać zgrabiętymi rękoma ostrych jak sople lodu linek szalup ratunkowych. Więc tonęli, znikali w otchłani, a ona trzęsła się, mówiąc, że czytać o tym, mamuś, nie mogę, a jednocześnie nie potrafiła oderwać

wzroku od tekstu.

Wzdrygnęła się i teraz, czy to na straszne wspomnienie, czy też dlatego, że przeszedł ją chłód. Pakować się trzeba, pakować! Rozejrzała się. Dzieli z Markiem niewielki pokój, zbyt mały dla nich obojga już od dawna, a co dopiero teraz – gdy ona, Aśka, miała siedemnaście lat, a Marek czternaście? Gnieździli się w nim, wąskiej kiszce, spali na piętrowym łóżku, biurko mieli wspólne, a prócz niego dwa słupki wysokiej po sam sufit meblościanki. I tyle, na więcej miejsca w pokoju nie było, szafę dzielić musieli z rodzicami.

No i właśnie dlatego ojciec postanowił wybudować dom. Dom albo chociaż pół bliźniaka, i odtąd szukał okazji, działki, nawet o Gdańsku z Anusią myśleli. Marek, kiedy o tym usłyszał, powiedział, że w życiu tak daleko się nie wyprowadzi, a i ona się nieco stropiła – bo jak to? Dojeżdżać? Przecież matura... Na razie, na szczęście, kończyło się na szukaniu, jak dziś, gdy ojciec wsiadł z matką do fiata i pojechali Bóg wie gdzie.

Nagle zadudniło! Aż podskoczyła, aż ukłuło ją w piersi zatrwożone serce, gdy zadrżały ściany. I zaraz do owego huk dołączyły uderzenia perkusji, a po nich jazgot snującej nerwową melodię gitary.

– Myśli własnych nie słyszę! – wrzasnęła, potykając się o stojącą na podłodze torbę i gnając do dużego pokoju. Te dźwięki znała dobrze, sama wszak podsunęła małolatowi kasetę. Tylko dlaczego znów słuchał jej na cały regulator?

– Nie mówiłam?! – po chwili już stała nad nim, szarpiąc chłopaka za ramię. Stała, a on leżał, paniątko, z zamkniętymi oczyma i wyrazem błogości na twarzy! Tak jest, położył się, meloman, kryształły tłukły się na półkach, w kuchni w szafkach rozdzwoniły się gary, a on miał nadzieję w skupieniu delectować się muzyką!

Wykrzywił twarz i spojrzał z wściekłością, gdy rzuciła się z kolei ku odtwarzaczowi.

– No co? – zapytał, gdy przykręciła potencjometr.

– Co, co? Zwariowałeś? Oszalałeś? – szukała słów i aż się zapowietrzyła. On tymczasem uśmiechał się ironicznie, z pobłażaniem, chcąc ją tym uśmieszkiem jeszcze bardziej zdenerwować.

Ding-dong! – tak pięknie zapowiadającą się awanturę przerwał znieścacka dzwonek.

– No i masz – sąsiedzi!

– Myślałem, że cię nie ma.

– Ty się teraz nie martw mną, tylko idź, otwórz, tłumacz się. Ja nie pójdę.

Zadzwoń jeszcze raz. Marek ani myślał się ruszyć.

– Dobra, okej... – wysyczała. – Powiem, że mam brata niedorozwoja.

Zaśmiała się.

– Jasne, tak właśnie powiesz.

Z mieszkania wyszła w jeszcze jeden, tym razem wspólny dla kilku sąsiadów ciemny korytarzyk. Stał za szklanymi, przysłoniętymi firanką drzwiami, stał bokiem, po torbie rozpoznała, że to listonosz, lecz chyba jakiś nowy, inny, nie ten, co zwykle, na razie nie widziała dobrze jego twarzy.

Gdy przekręcała zamek, usłyszał ją lub zauważył kątem oka, obrócił się. Przez chwilę przyglądali się sobie, on zaniemówił, ona zaś usiłowała przypomnieć sobie, skąd go zna.

– Ach, to ty – rzuciła wreszcie. – Człowiek o stu twarzach.

– To u was ten koncert? – odparł, a tym razem rezon wrócił mu na szczęście prędzej niż przed kilkoma tygodniami. – The Cure – bezbłędnie rozpoznał wciąż dochodzącą muzykę – ostatnia płyta.

Wzruszyła ramionami.

– Fajnie, podoba mi się – skomentował, brodą przytrzymując na piersi klapę torby i czegoś w niej, przepastnej, szukając.

– To brat – wyjaśniła. – Niedorozwinięty – dodała prędko, wielce przy tym

z siebie zadowolona.

Znalazł list, podpisała, nie odchodził. Przez chwilę trwali w bezruchu.

– Więc tu... mieszkasz.

– A ty... Biegasz po godzinach, bo tak w ogóle to jesteś listonoszem?

– Tylko w tym miesiącu – skrzywił się. – Na napiwkach od emerytów można ponoć dobrze zarobić.

– Od emerytów?

– Kiedy będę roznosić pieniądze.

– Ach tak. W takim razie powodzenia.

– Może się jeszcze zobaczymy?

– Niestety – już cofnęła się, skryła za szklanymi drzwiami, choć jeszcze ich nie domknęła – Niestety tak się składa, że wyjeżdżam.

– A to pech – westchnął, obracając się ku schodom. – Mimo wszystko do zobaczenia!

– Kto to był? – zawołał Marek, kiedy wróciła do mieszkania.

– Policja cię szuka, obyczajowa.

– Weź, przestań, powiedz.

– Listonosz.

– Ten pijak?

– Nie, jakiś nowy – spojrzała w okno. Właśnie szedł w stronę kolejnego bloku.

– Ty, Aśka, a o ciebie babka pytała. Czy pamiętasz, co miałaś zapamiętać?

– Masz ci los – skrzywiła się. Babka będzie gderać!

ROZDZIAŁ 3

WAGARY

Tego dnia zamiast ruszyć wprost do szkoły najpierw skręciła w stronę stadionu, a potem, już minąwszy korty, zbiegła w dół krętymi kamiennymi schodami, by za chwilę zatrzymać się przy chropowatym, betonowym falochronie. Morze zamarło w bezruchu, w niewielkiej zatoce ograniczonej ramieniem falochronu kołysały się leniwie łabędzie, gdzieś w oddali skrzeczały niewidoczne mewy. Gdańsk wyblakł zupełnie, a i kontury o wiele bliższej Gdyni rozmywały się w szarości. Trwała za to (bo jak inaczej powiedzieć – zastanowiła się – skoro już w słowie „siąpiła” zaznacza się niewielki, ale mimo wszystko ruch), trwała zatem zrazu nieodczuwalna i dopiero po dłuższej chwili nużąca, lepka mżawka.

Na wagary nie zwykła chodzić, ale tym razem spodziewać się mogła, że biologiczki nie będzie (tak jak nie było jej od początku tygodnia, o czym wiedziała od koleżanek z równoległych klas), a wuef postanowiła sobie odpuścić. Z dwóch powodów: po pierwsze, tak głupio w tym semestrze umiejscowiono go w planie, że wypadnął przed matematyką, a tej nie dość, że zwykle się bała, to dodatkowo dziś intuicyjnie spodziewała się wezwania do tablicy. Zatem kto wie – zastanawiała się – czy i matmy sobie nie darować? Po drugie, wuefu w szkole serdecznie nie znosiła, ona, przyzwyczajona do treningów, do rozsądnie odmierzanego wysiłku; ten szkolny oznaczał tymczasem nudę koszykówki lub siatkówki w towarzystwie po części zblazowanych, a po części zupełnie nieutalentowanych koleżanek.

Poza tym... Poza tym nie czuła się najlepiej i nie chodziło bynajmniej

o żadnego rodzaju dolegliwości – źle było jej z innego, wcale nie fizycznego powodu. Co tu kryć, na obóz lepiej było nie jechać! Nie jechać, nie dać się zwieść okolicznościom, nie zacząć sobie roić Bóg wie czego, gdy tymczasem... Ech, szkoda słów!

Zamyślona, z pochyloną głową, szła wzdłuż Kamiennej Góry, przechodniów, porannych wrześnieowych spacerowiczów nie mijala wielu, i świetnie, bardzo dobrze, otaczająca ją chłodna pustka w doskonały sposób współgrała ze stanem jej duszy. Nieliczne statki utkwily na redzie, od portu niósł się smród – pewnie znów przeładowywano mączkę rybną.

Tuż za akademikiem Wyższej Szkoły Morskiej – w niektórych oknach paliły się ciepłe światła, więc może to pod ich wpływem pozazdrościła studentom ich beztroskiego, jak sobie wyobrażała, życia – zatem tuż za akademikiem, mijając po prawej Muzeum Marynarki, wspięła się schodami na Górę i potem snuła się – Sienkiewicza, Kasprowicza, Mickiewicza, by wreszcie stanąć u boku Panoramy i zapatrzeć się w siną, dosłownie, dal.

Nie dalej jak kilka tygodni temu, na obchodzonych z pompą osiemdziesiątych urodzinach babki, wiele mówiło się o mieście. Swoją drogą, huczna to była impreza! Oni byli, znaczy Anusia z dziećmi, na chwilę pojawił się zakonnik Franciszek, brat matki, była i Elżunia, sąsiadka, był Władek, syn Kota, i jeszcze kilka innych osób. Na stole stanęła sałatka jarzynowa, obok śledzie i ryba po grecku, a później bigos i smażone kielbaski (które niemal wszystkie, bezwstydnie i ku utrapieniu matki, pożarł Marek), była wódeczka, ciasta i likiery. I były śpiewy: „Panno Walerciu, powiedz mi” – intonował Konstany, a zaraz dzielnie towarzyszył mu Władek, śpiewano „Góralu, czy ci nie żal...”, krzyczano – bo inaczej nie da się tego określić – „Dżidzi amoroso”. Aśce wstyd było uczestniczyć w tym wszystkim, więc wierciła się na krześle, dostawała napadów gorąca albo, co rusz przepraszając, znikala w łazience – przecież w kamienicy mieszkała jej klasowa koleżanka!

Na szczęście prócz śpiewów rozmawiano. I między innymi o tym, jak to Gdynia zbrzydła, jak poszarzała, jak zmieniła się na niekorzyść nawet w porównaniu do samej siebie choćby sprzed dwóch dekad.



Bulwar nadmorski jesienią.

– Mama tak mówi – dziwiła się Anusia – a przecież dobrze pamiętam, jak i wtedy mama narzekała: że to nie to, co przed wojną. Nic się mamie nie podobało!

Oj, prawda, nawojowały się w tamtych czasach ze sobą, nawojowały.

– Córuś – odpowiadała tymczasem Łucja. – Córuś, bo też i rację miałam! Jakie to było miasto przed wojną – mimo zaufanego grona Łucja ściszyła głos – to aż myśleć strach. Kto to widział, kto pamięta, ten swoje wie, no, powiedz, Kostek! Proszę ja ciebie: ludzie uśmiechnięci, piękne suknie, piękne garnitury, wybacz, Władek – nachyliła się ku pasierbowi – ale też o wiele piękniejsze garnitury wtedy panowie nosili, nie obraż się, ty masz ładny, ale... A mundury?!

– Bo też i mama nie pamięta, że nie tylko tak było, nie tylko mundury i spacer...

– No, patrzcie ją, ja nie pamiętam? A Konstanty to gdzie mieszkał, jak nie na Budapeszcie, a Krzysztof – czy nie w chińskiej dzielnicy? Bo i było biednie, tylko że ludzie lepsi... Niech słucha młodzież, Joasia, Mareczek, jak było. Ale i później, nie powiem, chociaż krawężniki już nierówne, trawniki nieścianane,

a tylko na czyny społeczne zwoływali, bo robić nie było niby komu, to jednak dawało się żyć, w miarę to to było zadbane, aż tak bardzo nie bolały oczy. Za to dzisiaj? Jacy jesteśmy, jak wyglądamy? Przez pół roku w burych płaszczach, zgniłozielonych kurtkach, patrzeć na to nie mogę...

– Innych mama nie kupi.

– To i mówię: nędza coraz większa, nic dziwnego, że i miasto ponure, bo kto ma się nim zająć, interesować, o nie dbać, gdy najprostsze rzeczy, dostanie spodni czy czegoś do chleba, tak wiele kosztuje wysiłku, zabiegania!

– Reforma, cholera jasna! – tym razem wtrącił się Władek. – Ciągłe o niej pieprzą, planują, obradują, a efektów nie widać.

– Tylko w szkole nie powtarzajcie – o napomnieniu dzieci przypominała sobie Anusia. Wiadomo, strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– A co to, nie wiedzą, jak jest, nie widzą? – ostrożność córki zdenerwowała Łucję.

– A mama to się coraz bardziej polityką zajmuje, mamę to denerwuje, a mama powinna na serce uważać!

– A żebyś wiedziała, że chciałabym innych czasów dożyć. I coś mi mówi, że dożyję, że długo to wszystko nie potrwa...

– I za to się napijmy! – Kieliszek jako pierwszy wznosił w górę Władek. Ale też nikt się nie ościagał. – Za flotę radziecką, do dna! – dodawał Kot i przechylali w tył głowy.

– Dobrze, żeś ty się, córuś, z partii wypisała.

– Niech już mama o tym nie wspomina!

– Ja tak tylko... Bo to i lżej będzie umierać.

Aśka tej innej, ponoć bardziej kolorowej Gdyni nie potrafiła sobie wyobrazić. Miała wręcz wrażenie, że dzieciństwo przeżyła barwne, radosne. Weźmy Tomcio Palucha na Władysława IV, wielki sklep z zabawkami, z lalkami, z grami i z piłkami. Albo karmelowe lody w kiosku cukierni Mariola

przy alei Czołgistów. Albo basen – zanim ponownie go zamknięto, wszak napełniany był wodą morską, a tej od pewnej chwili strach było się bać. Lub plażę – bo i na nią się swego czasu chodziło, do momentu, gdy, jak potem mówiono, coś się z ruskiego okrętu atomowego wylało – jak z Czarnobyli – i wytruło wyrzucane na brzeg ryby.

A że kolejki przed sklepami? A że niczego w nich nie dało się dostać? Cóż, dziecku trudno było pojąć, że mogło być inaczej. Dopiero gdy ojciec wracał z morza i przywoził a to zgrabne adidas, a to bluzeczki, o słodyczach czy o płatkach Corn Flakes firmy Kellogg's nie wspominając, dopiero wtedy można się było zastanawiać: że widocznie nie wszędzie utrzymują się tak długo i uporczywie braki w zaopatrzeniu. Zresztą Aśka i w rejsie była – w Danii jak z klocków, we Francji, gdzie zawsze świeci słońce. A jednak zapomniała o nich, krainach za siódmym morzem, zapomniała, bo lepiej było nie pamiętać, nie męczyć się wspomnieniem, gdy wokół, na przykład na osiedlu, na którym zamieszkali, trwał wiecznie księżycowy krajobraz pola po bitwie, jaką była budowa, bitwie tak okrutnej, że nie ostał się żaden niedobitek, by choć spróbować uporządkować zorany przez gąsienice teren, a wokół gliniaste błota, resztki desek, kałuże.

Historię swych narodzin znała, oj, znała, powtarzano ją jej aż nazbyt często: gdy oto doszło w Gdyni do czarnego czwartku, gdy bestialsko strzelano do ludzi, gdy tak wielu niewinnych zginęło, a jej się właśnie zachciało opuścić matczyny brzuch i w związku z czym pędzili – babka z Kotem i Anusią właśnie – pędzili wbrew maszerującemu Świętojańską tłumowi, a potem wpadli do szpitala i nie było w nim dla nich miejsca – wśród tylu rannych – a jednak wszystko dobrze się skończyło i tylko dziadek Kot wysiłku i emocji omal nie przyplącił zawałem.

Czasów Solidarności nie pamiętała dobrze. Bo też cóż mogła ona znaczyć dla dziesięciolatki? Sam tylko nagle wszechobecny napis utkwiał jej w pamięci –

nowy, nietypowy, jakby krwią pisany, jakby nią tętniący.

Za to trzynastego grudnia już o świcie wpadła do ich mieszkania siostra ojca z Gdańska, mieli właśnie razem jechać na wieś po zaopatrzenie, po mięso – skoro nie było go w sklepach – tyle że rozgorączkowana ciotka mówiła, że wojna, i mówiła to ze strachem, któremu trudno było nie wierzyć. A jednak w pierwszej chwili nie zrozumieli: jak to możliwe, że wojna, kiedy wokół cisza i nie słychać znanego z dziesiątków filmów, również tych dla dzieci, grzmotu dział, nie słychać wycia nadlatujących samolotów? Ciotka upierała się: że czołgi na ulicach. O tym, że nie było tego dnia *Teleranka*, Aśka nie wiedziała, jakoś nikt o wczesnej porze nie włączył telewizora, za to słuchali radia: najpierw ponurego Jaruzelskiego, a potem, zagłuszanej jazgotem, Wolnej Europy.

Potęę władzy na własne oczy zobaczyła później, kiedy nie wiedzieć dlaczego znalazły się z matką bladym świtem przy alei Zwycięstwa i nagle, zniecka, potoczyły się po asfalcie z łoskotem gąsienice i zaczęły nadjeżdżać opancerzone wozy, a było ich mnóstwo. Anusia stała jak skamieniała z palcami córki w swoich palcach i wpatrywała się w mijające ich stalowe cielska z osłupieniem, ale i przestachem. Wkrótce potem oddała czerwoną legitymację, wymagało to pewnej odwagi, nie mniejszej wcale niż wtedy, kiedy się wbrew matce do partii zapisywała, a jednak się uparła i być może właśnie przez to Leszek po latach na zgodę na pierwszy zagraniczny kontrakt czekać musiał dłużej od innych.

No, ale może dość już wspomnień. Czy Aśka tej jesieni nie miała większych, bo prywatnych zmartwień?

Odwróciła się od morza, westchnęła. I zaraz ruszyła w dół uliczki. Stojąc u zbiegu Siemiradzkiego i I Armii zerknęła na zegarek. Wuef już trwał, lecz wystarczyło przejść kolejnych kilkadziesiąt metrów, by znaleźć się niemal pod samą szkołą i zdążyć na tę nieszczęsną matematykę. A jednak nie, pokręciła

głową i mniejsza o potencjalną dwóję. Daruję sobie – zdecydowała, mijając budynek automobilklubu, tę nietypową dla Gdyni, drewnianą, góralską chatę.

W powietrzu czuć było jesień. Mimo że liście – zadarła w górę głowę – trzymały się mocno. A więc może to melancholia? – przypomniało jej się ładne słowo, którego znaczenie na dobre – i niekoniecznie tego chcąc – poznała całkiem niedawno. Tak jest, poznała, przeżyła. Bo obóz, bo Jacek.

No właśnie, Jacek. Kiedy grał w piłkę, z łatwością mijał każdego z rywali i z finezją strzelał wszystkie gole. Bezwzględny, silny, przebojowy. Z kolei gdy w mieszanych damsko-męskich zespołach grali w siatkówkę – a Aśce zdarzyło się być z nim po jednej stronie boiska – popisywał się już tylko gracją i nigdy nie wykorzystywał przewagi fizycznej, by okrutnie zbijać piłkę na drugą stronę siatki, gdzie również grały dziewczęta, ale za to wystawiał ją, choćby Aśce, z tak czułą dokładnością, że aż ręce składały się do oklasków. No i kiedy ćwiczenia prowadził: nagle wszystko stawało się jasne, ciało na płótkach układało się swobodnie, stawy zginały się w idealnym rytmie, słowem, chciało się trenować. Gdyż Jacek był trenerem.

Wysoki, choć bez koszykarskiej przesady, umięśniony, blondyn, włosy z tyłu głowy zaczesywał na jaskółkę. Na dyskotekach także wiódł prym, choć nie tańczył wtedy oczywiście z uczestniczkami, te mogły tylko podziwiać z zazdrością, jak w rytm *I wanna dance with somebody* Whitney Houston wywijał fizjoterapeutkami. Miał dwadzieścia cztery lata – dowiedziały się, Aśka z koleżankami – i nie mógł wyczynowo uprawiać sportu. Pytany dlaczego, natychmiast zmieniał temat – widać, że to była jego wielka tajemnica. Czego potrzeba więcej, by się zakochać?

Poczuła się tam, w Cetniewie, jak naiwny podłotek, małolata. Opór budziło w niej to, że kochały się w nim wszystkie dziewczyny, a ona poszła za nimi jak owca w stadzie. I to kiedy! Mianowicie wtedy, gdy tym bardziej wypadałoby się w jakiś sposób wyróżniać, potwierdzić swą niepowtarzalność, dać tamtemu

szansę – by ową wyjątkowość dostrzegł, docenił, by go zaczęła intrygować i przyciągać. O, nieszczęsny paradoksie: kochając, stapiała się z tłumem. Lecz gdyby nie kochała, byłoby jej wszystko jedno – czy on się nią zachwyca, czy też nie...

Inna sprawa, że jałowe to rozważania i zdecydowanie poniewczasie. Bo jak się można było nie zakochać, kiedy na swej drodze spotkało się takie bóstwo?

W cztery oczy, w miarę intymnie, rozmawiała z nim dopiero ostatniego wieczoru, gdy ogniska już dogasał blask i mieli się nazajutrz rozjechać – ona do Gdyni, on do Gdańska Oruni. Niby to nic, żadna odległość, prawdziwych kochanków niech dzieli i ocean, a ich miłość przetrwa. Jak jednak znaleźć pretekst dla spotkania w przyszłości? Jakim cudem sprawić – zastanawiała się, wbijając wzrok w żar – by znajomość nie urwała się tragicznie już za kilkanaście godzin?

Mówili o muzyce, prawdziwej muzyce, bo tak się akurat złożyło w tę noc, gdy w rozgwieżdżone niebo ulatywały piosenki o bieszczadzkich połoninach („z tobą można pójść na wrzosowisko i zapomnieć wszystko...”). On lubił zespoły Genesis, King Crimson, Emerson, Lake & Palmer. Niewiele na ich temat potrafiła powiedzieć. Wspomniała za to o The Smiths i o The Cure. Oraz o Cocteau Twins. Dużo znasz – uznał. Pęczniała z dumy.

I tyle, tyle tego dobrego, ognisko nie wiadomo kiedy stało się garstką popiołu, Jacek ziewał, ona drżała, chodźmy spać, powiedział, ale nie była to wcale erotyczna propozycja; anioł pojawił się w jej życiu i znikł, nic po nim nie zostało prócz ulotnego wspomnienia i tej tylko informacji, że Jacek we wrześniu zdawać ma ostatnie zaległe egzaminy. Gdy wypytywała przez telefon uczelnianą sekretarkę, głos jej drżał, ale dopięła swego, dowiedziała się szczegółów: mianowicie gdzie i kiedy odbywać się mają owe egzaminy. Kluczowego dnia wybrała się na gdańską Żabiankę – ostrożna i czujna – by zakręcić się wokół budynków AWF. Dwadzieścia minut wytrzymała – tego napięcia, skłębienia

przeciwstawnych oczekiwań: gdy z jednej strony marzyła o tym, by ujrzeć ukochanego, ale z drugiej... Co stałoby się, gdyby nagle stanęli twarzą w twarz, jak wytłumaczyłaby swoją obecność w tych okolicznościach? Czy nie uznałby, i słusznie, gdyby zdradził ją nieostrożny gest lub słowo, że posunęła się o krok za daleko? Że mu się po prostu narzuca? A skoro tak, czy sam nie zechciałby prędko posunąć się krok dalej, wręcz za daleko?

Prócz na szczęście niezbyt częstych chwil rozpacz przed lustrem, kiedy własny nos wydawał się jej zbyt długi, a usta zbyt wąskie, albo kości policzkowe zanadto zaznaczone (o ile nie odwrotnie!), prócz takich zatem chwil czuła się ładna. Może zresztą sama nie doszłaby do takiego wniosku, wszak skromność skarbem dziewczęcia... Ale widziała to w ich oczach: oczach tak wielu chłopaków, w oczach mężczyzn, wystarczyło wsiąść do trolejbusu, przejechać kilka przystanków kolejką, by czuć na sobie ich spojrzenia, czasem nieśmiało, rzucane ukradkiem, lecz częściej natarczywie, obłeśnie nachalne. Spojrzenia małolotów, studentów, ale i starych dziadów, stoczniovców w przepoconych koszulach, a wreszcie mężów niby to twarzami zwróconych ku żonom i z nimi rozmawiających, lecz ponad ramionami swych ślubnych taksujących młodą figurę od stóp, od odsłoniętych latem nóg, po piersi delikatnie zaznaczone pod zwiewną koszulką, po szyję i po odrzucane nerwowym gestem znad policzków i czoła włosy.

A więc tak, nie ma czemu zaprzeczać, czuła się ładna. Tymczasem jeszcze w szkole podstawowej kolegowala się z pewną Agnieszką. Ta była wprost piękna i prędko zdała sobie z tego sprawę. Chłopaków zmieniała jak rękawiczki, lubiła z nimi chodzić, lubiła, kiedy oni wokół niej chodzili, gdy o nią zabiegali, delectowała się ich zachwytem, ceniła śmiałość, odwagę, ale i jej samej owych cech nie brakowało – zwłaszcza by strącać nieszczęsnych w otchłań odrzucenia. Niestety, z czasem coraz bardziej okazywało się, że jej uroda miała charakter przedziwnego fatum: zamiast dawać szczęście, prowokowała, była albowiem

światłem, do którego jak ćmy zlatywały się coraz bardziej bezczelne, a przy tym zblazowane osobniki. Problem w tym, że dla nich nie była już kimś wyjątkowym, oni podobnie pięknych panien znali dziesiątki, była jedynie ich kolejnym potencjalnym celem, łupem do pożarcia, do przetrawienia, a wreszcie zapomnienia. Kiedy spotkały się na ulicy ostatniej wiosny, Aśka nie od razu Agnieszkę rozpoznała: w ciuchach z Peweksu, w stylu jak z teledysków, choć raczej krajowych, wyglądała niczym dziewczyna chłopaków z Azyl P albo Lady Pank. Po prostu *Mała Maggie*, natapirowana, obwieszona srebrem i plastikiem, zgodnie z modą z początków dekady, śliczna jak landrynka Sandra z MTV. „Nigdy nie będę twoją Marią Magdaleną”... Do powiedzenia miały sobie niewiele, tamta zresztą była w towarzystwie, prędko się rozeszły. Więc może to wcale niedobrze cieszyć się urodą? Zaś gdy już zdarzy się dopust boży, czy nie lepiej zachować ostrożność?

Idąc Bema w stronę krzyża upamiętniającego poległych w siedemdziesiątym, po raz ostatni skręcić mogła w stronę szkoły. Bo i stąd miałyby blisko. A jednak kroczyła wciąż przed siebie, wzdłuż skweru, schodami, aż znalazła się w cieniu klasztoru Franciszkanów. I może stąd owe rozmyślenia o urodzie prowadzącej na zatracenie? Uśmiechnęła się na tę myśl. Miała, owszem, czas, gdy zdawało się jej, iż tylko słodycz Pana Jezusa, bliskość pokornej Maryi winny się stać jedynym sensem jej życia. Sporo czasu spędzała wtedy w kaplicach, na różańcach, na roratach, na śpiewach z gitarą. Lecz tak jak zniecka przyszło, tak i prędko minęło jej to duchowe uniesienie, na co niejaki wpływ miała matka: opowiadając córce niby to w tajemnicy swe perypetie z dawnych lat, gdy zakochała się w przyszłym, jak się okazało, zakonniku. Historia ta, niby błaha, jakich wiele, mocno dziewczynę poruszyła, a wtedy sama zaczęła dostrzegać, że i w jej duszpasterskim gronie miast o wzniosłej miłości do Boga częściej mówi się o tej zwykłej, ziemskiej, i to w dodatku w dość prostacki, szczeniacki sposób. Pragnęła tego, co idealne, a dostawała kiepskie dowcipy w ramach końskich

zalotów przyszczatych ministrantów – nic dziwnego, że wkrótce przestała pojawiać się w parafialnych salkach, a niedługo potem również na nabożeństwach. Zaś bez praktyk i idealizm niedługo szlag trafił, zresztą treningi sportowe oraz związane z nimi wyzwania i emocje prędko okazały się mieć o wiele bardziej pociągającą moc.

Tymczasem, patrzcie, oto już Szóstka, szóste liceum, trzykondygnacyjny kryty spadzistym dachem gmach. Pomyślała o listonoszu, nie mogła nie pomyśleć. Zresztą, zastanowiła się, może wcale nie przypadkiem nogi zaniósł ją aż tutaj, może nieświadomie chciała go spotkać?

Oto bowiem do Aśki przychodzić zaczęły listy. Pierwszy jeszcze wtedy, gdy była na obozie. Potem drugi. Na ładnym papierze, skropione delikatnie męską wodą. W pierwszym znalazło się jedno jedyne krótkie zdanie (i jak się później okazało, od początku do końca nieprawdziwe): „Nie znałem i nie poznałem nigdy imienia jedynej ziemskiej miłości mojego życia”. Na drugi składał się z kolei przepisany niemal słowo w słowo opis przygotowań niejakiego Tomka do spotkania z Adelą. Naiwne to dosyć było, choć zarazem zabawne, pachniało Niziurskim, i słusznie. Lecz co powiedzieć, jak zareagować na tak infantylną, a z drugiej strony konkretną, miłosną korespondencję?

Anusia, choć z początku nieco nabijała się z córki, a właściwie z jej tajemniczego absztyfikanta, to jednak jako pierwsza potraktowała sprawę poważnie i zaraz wszczęła śledztwo, rychło zauważając, że owszem, na listy zostały naklejone znaczki, jednak po pieczętkach, datownikach na kopertach, nie było ani śladu. Tak jakby szły przez pocztę, trafiając ostatecznie do skrzynki, a jednocześnie urząd omijały. Jak to możliwe?

Dla Aśki zagadka nie okazała się trudna, więc gdy matka gotowa była wybrać się na pocztę, by stanowczo domagać się wyjaśnień – niby oburzona, ale przede wszystkim ciekawa tożsamości romantycznego adoratora córki – ta zatrzymała ją.

– Ja się domyślam, mamó, wiem, kto to może być...

– Tak? – ucieszyła się Anusia. – W takim razie powiedz, umieram z ciekawości!

Opowiedziała, pośmiały się.

– Wariat – uznała na koniec dziewczyna.

– A jednak bardzo mu na tobie zależy – pokiwała głową Anusia.

I byłoby się zapewne nad czym zastanawiać, gdyby nie Jacek! Jacek, Jacek, Jacek, bo teraz już myślała o nim nieustannie.

A jednak, stojąc niemal w jej progu, z zaciekawieniem przyglądała się konkurencyjnej szkole. Wciąż ktoś z niej wychodził, inni znikali we wnętrzu. Niestety, cud się nie zdarzył, listonosz nie wykorzystał szansy i nie wybiegł w pogoni za adresatką swych pism. Na pobliskim skrzyżowaniu Kopernika z Dzierżyńskiego zawahała się, aż wreszcie uznała, że dość się już nawędrowała i że najlepiej w końcu pójść do domu. Przeziębłam się, powie, chora jestem, chcę się położyć do łóżka. Bo też i tak się czuła – zmarznięta, przemoczona.

I wtedy właśnie pojawił się on, niech rozkołyszą się dzwony, pojawił jak na spóźnione zawołanie, szedł od strony baraków ZUS-u, z dala dostrzegła jego rozkołysaną sylwetkę zwieńczoną bujną fryzurą, wielką falą, którą odrzucał zawadiacko. Szedł prędko, stawiał długie kroki, a u kolan dyndał mu skajowy pokrowiec. Pokrowiec na gitarę – nie trzeba było kończyć Akademii Muzycznej w Gdańsku, by ów kształt rozpoznać.

„Boże, pomyśli, że specjalnie tu przyszedłam – przeraziła się. – Przychodnia! – rzuciła okiem w stronę pobliskiego budynku. – Tak, przychodnia, powiem, że idę do...”

Dość długo jej nie zauważył i dopiero, gdy podszedł bliżej, najpierw zwolnił, zawahał się, aż wreszcie przystanął niepewnie.

– O, proszę, pan szybkobiegacz jest dodatkowo gitarzystą! – postanowiła przejąć inicjatywę, narzucić temat oraz klimat rozmowy i zyskać tym samym

przewagę. – Gitarzystą, a także niestrudzonym propagatorem czytelnictwa...

Nie wierzył: oto miał ją przed sobą, z twarzą okrytą kapturem wyglądała, co tu kryć, jak Matka Boska z obrazka, uśmiechnięta, ba, uśmiechnięta przyjaźnie!

Zaczęli rozmawiać, jakby znali się od dawna: o jego zespole – bo miał, jak się okazało, zespół – i próbach, o klasach, do których chodzą (on był w czwartej, maturalnej), i o wspólnych znajomych.

– Dziwne, że nie spotkałam cię na żadnej imprezie – wypuściła sondę i czekała, w jaki sposób zareaguje.

– Wiesz, chodzę własnymi ścieżkami – odparł w sposób naturalny, bez zająknięcia, ze swobodną pewnością siebie. Ładne miał oczy, nie pierwszy raz zwróciła na nie uwagę.

– A ty? – zapytał. – Co tutaj robisz? Wasza słynna buda spłonęła?

Doceniła złośliwość, ale nad odpowiedzią zastanowiła się.

– Nie miałam dzisiaj ochoty na szkołę – postanowiła nie zmyślać, nie kłamać.

– Szłam, tu i tam, aż przyniosło mnie w tę stronę. („I niech sobie myśli, co chce” – uznała).

– Chcesz, zostawię w budzie sprzęt i chętnie do ciebie dołączę. Odprowadzę cię do domu, jeżeli zmarzłaś...

Przyjrzała mu się uważnie.

– Tak po prostu: zostawisz gitarę i pójdziesz ze mną? To wy lekcji nie macie? Dodatkowe wakacje dostaliście, żeby nabrać sił i dopiero wtedy z nami konkurować?

– Zostawię i pójdę – udał, że nie słyszy ostatniego zdania. Albo może uznał, że nie warto tracić czasu na przekomarżanie.

– To chodź – przechyliła głowę.

– Tylko nie zgub się – mrugnął. – Będę za minutę.

I rzeczywiście był, a ona czekała. Poszli w górę Syrokomli. Mógłbym tak

chodzić całe życie – opowiadał później i nie wiedziała, czy aby jak zwykle nie cytuje jakiejś książki.

ROZDZIAŁ 4

ZNALEZISKA

– Co oni tam robią? – Łucja nareszcie zatrzymała się w swym wahadłowym marszu pomiędzy oknami w kuchni i w pokoju. Ale to wcale nie widok z nich, zwłaszcza że oba wychodziły na tę samą stronę, na senne o wczesnej sobotniej porze podwórko, a więc to nie widok z nich wprowadził ją w tak wielkie zaniepokojenie. – Co oni tam robią, Konstanty? – powtórzyła, marszcząc brwi.

– A co mają robić? Kazałaś, to sprzątają – odparł, lecz i uśmiechnął się przy tym, jakoś tak po łobuzersku, chłopięcemu, tym bardziej zwiększając podejrzliwość Łucji.

– Ja kazałam? Chłopakowi? A ty się nie śmiejesz, Konstanty, widziałby cię kto! Nie martwisz się?

Teraz dopiero Kot zaśmiał się w głos.

– Siedemnaście lat skończy wkrótce dziewczyna...

– No wiesz! Jak możesz! To dziecko jeszcze! Co ja matce powiem?

Podreptała ku drzwiom, przystanąła. Otworzyła je. Z głębi klatki schodowej nie słyhać było nic, ani słowa, żadnego szmeru, choćby trzaśnięcia drzwiami.

– Zejść?

– I co powiesz?

– To może kompotu zaniosę?

– Wypiłem.

– To herbaty?

– Dałabyś spokój, Łucuś. – Tym razem przerwał jej stanowczo, tonem

nieznoszącym sprzeciwu, a rzadko na taką odwagę sobie pozwalał i było to jak krótka przerwa w zgrzybiałej starości, jak echo dawnych czasów, gdy był władczy i pewny siebie. – Daj spokój, co może się stać, buzi sobie dadzą, ot co, do niczego więcej nie dojdzie, Joasia rozsądna jest, dobrze ją znasz...

– Aha, rozsądna – pokiwała głową Łucja. – Widziałby ją kto... rozsądna!

A było to tak, że jeszcze wczoraj odwiedziła ją wnuczka, zarumieniona jakaś, i powiedziała, że z samego rana przyjdzie, niech jej tylko Łucja wszystko wytłumaczy: co, gdzie i jak, co do śmietnika wynieść, a czym się szczególnie zainteresować, co zostawić na półkach starego kredensu, a co ewentualnie przynieść na górę.

Już się to Łucji wtedy nie spodobało, nagła taka gorliwość, nagłe zdecydowanie, gdy wcześniej przez miesiące nie można się było doprosić. Wszystko jednak wytłumaczyła, o zeszytach z naciskiem przypominając.

Dziś dziewczyna rzeczywiście pojawiła się z samego rana, pokręciła się, zakręciła, wreszcie:

– Idę – mówi. – Tomek czeka.

Hola, zaraz, jaki Tomek?

– No, Tomek... Kolega. Pomoże. To ten – wygadała się nieopatrznie dziewczyna – który wtedy latem do naszej piwnicy wbiegł...

No i stąd się właśnie wzięło to wielkie Łucji zamyślenie, to zamartwianie się. Raz, owszem, o naturę owego wspólnego porządkowania piwnicy, o więc o to, czy aby tylko o sprzątanie będzie tam chodzić (bo mało to dziś młodzież ogląda golizny? Łucja przez lata całe pracowała w kinie, a potem w centrali dystrybucji filmów, więc swoje wiedziała: o postępującym tryumfie nagości, teraz takie rzeczy nawet w telewizji pokazują, weźmy choćby takiego, tfu, tfu, ubeka Borewicza!). Słowa Kostka uspokoiły ją jednak w tej kwestii, sama zresztą chciała Joasi ufać. Rzecz była wszakże w czymś jeszcze: w samej mianowicie piwnicy, w skarbach tam zgromadzonych, w zeszytach. Te pragnęła pokazać

wyłącznie wnuczce, zbyt tajemnicze i poufne były to sprawy, chłopakowi, przybłędzie, nic do tego!

– Może do matki zatelefonować? – spojrzała jeszcze na Konstantego.

Z telefonami to osobna sprawa, cała długa historia. Najpierw, jeszcze kilka lat temu, Leszek dla nich załatwił, dla siebie i Anusi, w mieszkaniu przy Chopina. Łatwo nie było, wiadomo, linii za mało, centrali za mało, zdobycie numeru i podpięcie go graniczyło z cudem, trzeba było mieć doświadczenia, łapówki umieć i wiedzieć komu dać, a na sam koniec to nawet popijawę dla spragnionych instalatorów wyprawić. Później Anusia uparła się, by i Łucja miała w domu owo чудо – jak przed wojną zresztą, co wtedy było łatwiejsze – a więc żeby i z Łucją można się było w każdej chwili skontaktować – w ich wieku, matki i Kota, wszystkiego można się spodziewać. Więc znów powtórzyć się musiał korowód upokarzających starań i zabiegów – na szczęście i w tym wypadku się udało.

– Zatelefonować? – powtórzyła.

– A to nie miało ich nie być? – przypomniał Konstanty, mając na myśli Anusię i Leszka. – Nie mówiła Joasia, że pojechać mieli tej swojej działki szukać?

Prawda. Mimo to podniosła słuchawkę, wykręciła numer. Na próżno, po drugiej stronie nikt nie kwapił się odebrać.

– Pewnie i Marka ze sobą wzięli – skomentowała zawiedziona.

– Niech diabli tę ich działkę wezmą – zamruczała po chwili. Bo, owszem, wiadomo, gnieździli się z dziećmiakami w dwóch pokojach, niełatwo im się żyło. Z jakiegoś jednak powodu Łucji ich wizja budowy domu nie podobała się, przeczuwała, że może nie być z tego niczego dobrego.

Po prawdzie to bała się, że kiedy dom zbudują – na szczęście, ho, ho, do tego jeszcze daleko! – że kiedy zbudują, a los niespodziewanie sprawi, że uda się odzyskać kamienicę, to nie będzie komu w owej rodowej kamienicy zamieszkać. Tak, właśnie tego się bała.

Mówił Konstanty: jak to odzyskać? W jaki sposób? Jeszcze w to wierzysz?

Wierzyć, rzecz jasna, było trudno. Przez lata całe zatem nie wierzyła, wierzyć przestała, zmusiła się do tego. Aż tu Wałęsa się pojawił, a z nim Solidarność – wtedy znów nabrała nadziei, mimo że o zwrotach kamienic wśród sierpniowych postulatów nie wspomniano. A jednak – przekonywała samą siebie i każdego, kto tylko zgodził się słuchać – gdyby zwyciężyć miała sprawiedliwość, gdyby znów szanować miano ludzi, to przecież muszą zwracać, co zagrabione, muszą!

Krótko to trwało, Wałęsę zamknęli, Solidarność wredny Jaruzelski zduśił. Ale jednak: może kiedyś?

– Zejść? – powtórzyła tymczasem. Korciło ją. Potrzebowała jednak przyzwolenia męża.

– Zejdiesz, ja wiem, że zejdziesz – aż sapnął ze złości, bezradny wobec jej uporu. – A oni dopiero co zaczęli, nie denerwuj się, Łucuś, zaufaj!

A więc nie zeszła, jeszcze nie, radio włączyła, tam trwał właśnie Gdański Koncert Życzeń. „Kochanej babci w podzięcie za opiekę i życzliwość wobec naszej miłości najlepsze życzenia stu lat zdrowia i niezmiennie szampańskiego humoru składają Joanna i Tomasz z dziećmi...” – od razu wyobraziła sobie anielskie w swej słodyczy słowa spikera; a może i rzeczywiście je usłyszała?

Oni tymczasem ciężko pracowali. Po tamtym pierwszym spacerze aż na szczyt Wzgórza, potem na Płytę Redłowską i w dół – na Polankę – a wreszcie pod blok Aśki, gdzie wciąż rozgadani nie potrafili się rozstać, zdążyli się spotkać jeszcze raz – znów, by pochodzić – potem zaś w kinie (po latach nie potrafiła sobie przypomnieć, jaki film wtedy wyświetlano, ale nie o film przecież szło). I tak się złożyło, że nie wiedzieć czemu, wśród wielu błahych tematów, jakie w trakcie swych długich, przedłużanych w nieskończoność spotkań poruszali, wspomniała o babce i jej piwnicy. Pomoc zaoferował ochoczo, już to z nawyku wykształconego w latach, gdy jeździł na obozy harcerskie, a już z wdzięczności za długie pocałunki, przez które nie wciągnął się w intrygę produkcji na ekranie. Zaraz, zaraz, mimo wszystko, jak się to nazywało? *Między ustami a brzegiem*

pucharu?

Tego ranka nie mógł liczyć na wiele. Pocałowali się raz, krótko, powiedzieć można, że jakby mimochodem, niczym zżyta ze sobą para, ot, w niewiele dającym przyjemności, a tylko potwierdzającym zażyłość powitaniu. Poza tym Aśka do sprawy podeszła konkretnie. I dobrze: bo wnet i Łucja zobaczyć mogła z okna Tomka, gdy biegał, obciążony, do stojących w podwórzu pojemników na śmieci.

Bo na przykład słoje Łucja kazała wyrzucić, odliczyć pięćdziesiąt, reszty się pozbyć, gdyż nie potrzebowała ich również Elżunia, sąsiadka. Podobnie jak starych butelek, jeszcze tych z krachlą. Ależ się tego nzbierało przez lata.

– Sprzedać – sugerował Konstanty. – A gdzie będziesz chodził, takich już nie skupują – upierała się. – Wyrzucić!

– Sporo tego – westchnął Tomek, wróciwszy po kolejnym kursie. – Aż ludzie patrzą z okien, bo straszny huk od tego sprzątania – ocierał spocone czoło.

– Od drugiej babci przywoziliśmy owoce, ogórki, pomidory, a babka Łucja przetwarzała je – wyjaśniła Aśka.

Faktycznie tak było, przynajmniej do czasu, gdy tamtej babce ogród zabrano, o czym zadecydowała lokalna władza, remizę miano w miejsce ogrodu wybudować, więc ów ogród zaorano, zarósł wkrótce chwastami, a tymczasem o budowie zapomniano, temat upadł.

– Tak to właśnie jest – narzekał ojciec – takie ma oblicze socjalistyczna gospodarka, socjalistyczne planowanie, taki to właśnie burdel na kółkach.

Dla Aśki wyprawy tam, na obrzeża niewielkiego poniemieckiego miasteczka, były wyprawami do ogrodu zaiste czarodziejskiego, były podróżami do krainy Ani z Avonlea, do świata dzieci z Bullerbyn. Gdzie wszystko mogło się zdarzyć w letniej, prześwietlonej popołudniowym słońcem aurze, gdzie miały miejsce najprostsze w świecie cuda i radości. W ogrodzie rosły kwaśne porzeczki, nabity sokiem agrest, ale też truskawki, maliny, poziomki. Były też szorstkie w dotyku

ogórki, pachnące, gdy potarło się ich liście, pomidory, rosły skrywające się pod ziemią kruche marcheweczki i wybujały koper. Nad wszystkim królowała zaś wielka, rozłożysta grusza. A obok była mleczarnia, a blisko niewielka piekarnia – tam kupowało się masło i śnieżnobiały ser, stamtąd przynosiło się ciepłe jeszcze bułeczki i rozsmarowywało na nich usmażony poprzedniego roku dżem. „Potem już nic nigdy nie smakowało tak samo” – miała pomyśleć wiele lat później.

Przekopawszy się przez górę szkła, dotarli tymczasem do kartonów: z butami z zamierzchłych czasów, z przeżartymi przez mole czapami i kołnierzami, z nie wiadomo jakiego pochodzenia futrami, z dziurawymi swetrami.

– Znów wynoszą – zauważyła za chwilę, obserwując widowisko z wysokości, Łucja. – O, moje buty, kozaki, na święcenia Franciszka kupione...

– Nie żałujesz chyba? – zawczasu sprzeciwił się Kot. – Od razu trzeba było barachło na śmietnik wynieść, a żeśmy z jakiegoś powodu do piwnicy znosili. Ty taka byłaś, upierałaś się – zaznaczył.

– Mogły się przydać – odparła. – Toż w nich jeszcze do szpitala biegłam, kiedy się Joasia rodziła.

– Ha, ha – zaśmiał się tubalnie – i oto dziewczyna lumpy wyrzuca, a nie wie, że w rękach trzyma relikwie! Ha, ha!

– Głupio nie gadaj. Wyrzucać zawsze żal – skwitowała.

Aśka, gdy dostrzegła babkę w oknie, pomachała jej i zaraz przy pomocy gestów zapytała, wskazując to na stary, trzymany w ręku płaszcz, to na śmietnik z klapą otwartą niby paszcza nienazartego zwierza, czy i ten skarb rzucić bestii na pożarcie. Łucja aż okno otworzyła, niby nie rozumiejąc intencji wnuczki:

– Co?!

– Wyrzucamy? – upewniła się dziewczyna.

– Przecież mówiłam – krzyknęła babka donośnym głosem, zerkając przy tym na bok, na Konstantego i chcąc mu udowodnić, że żadnych rozterek nie ma i nie miała. – Przecież mówiłam: wyrzucać! – powtórzyła, ponownie wychylając się

w stronę Joasi.

– Ja ciebie, Łucuś, rozumiem – Konstanty zdusił w popielniczce papierosa. – My jeszcze wojenni jesteśmy ludzie...

Kiedy wrócili do piwnicy i chwilę rozglądali się, za co teraz się chwycić, Tomek objął Aśkę, przyciągnął delikatnie, patrzyli sobie z bliska prosto w oczy. Pocałował ją, jednak znów krótko, bo wywinęła się z uśmiechem.

Wreszcie, już przy stojącym w głębi mrocznego pomieszczenia kredensie, dokopali się do ciężkiego, z trudem dającego się przesunąć pudła.

– Patrz, bagnet! – Tomek zajrzał pierwszy. – Poniemiecki, hitlerowski.

Zdziwiła się, powolnym ruchem przejęła chłodny, żelazny przedmiot. Czyżby o takie pamiątki chodziło babce? Bo niby o co? Albumy ze starymi zdjęciami Łucja trzymała u siebie na górze za szkłem połyskującego lakierem kredensu. Tak samo jak koperty z pożółkłymi, postrzępionymi na krawędziach dokumentami i jak listy z dawnych lat: od swoich jeszcze rodziców albo od Franciszka, z zakonu.

– O, obraz – powiedział Tomek, wyciągając z kolei zza pudeł zakurzoną reprodukcję w ciężkiej ramie. Przetarł fragment łokciem, zobaczył mnicha śpiącego z rozanieloną miną u podnóża wielkiej beczki. Aśka ledwo spojrzała, zaintrygowana raczej zawartością pudła.

Wyjęła pierwszy zeszyt: gruby, nabrzmiały. Zaczęła kartkować – kolejne strony kleiły się do siebie, więc rozdzielała je delikatnie, uważając, by żadnej nie rozerwać.

Nie był to zwyczajny zeszyt, zwyczajnie zapisany. Ba, wcale w zasadzie nie został zapisany, był za to wyklejony – strona po stronie – listami skreślonymi drobnym maczkiem na delikatnej papeterii.

– „Krzysztof, najdroższy – w półmroku odczytywała kolejne, powtarzające się nagłówki. – *Nasza córka przystała do komunistów...* – zatrzymała wzrok w innym miejscu. – I tak zostałyśmy, Krzysztof, same z Anusią, teraz już

wiesz”...

– Co to? – zainteresował się Tomek.

– Zapiski. Babki – zastanowiła się. – Jej listy, ale nie wiem, do kogo, wygląda na to, że do jej pierwszego męża. Czyli do mojego prawdziwego dziadka – wyjaśniła. – Ale kiedy to pisała? – przyjrzała się datom, od których zaczynał się każdy z listów. – W roku siedemdziesiątym – stwierdziła wreszcie.

– Czyli wtedy, kiedy ty się urodziłaś – nachylił się, położył palce na karku dziewczyny, pocałował ją w ucho.

– Wcześniej. Kilka miesięcy wcześniej. Dziwne. Bo dziadek już wtedy nie żył od trzydziestu lat...

Odłożyła pierwszy z zeszytów, sięgnęła głębiej. Po grubą księgę – jak się okazało – z rachunkami sklepu, który – pamiętała piąte przez dziesiąte – babka prowadzić miała niedługo po wojnie. Przekartkowała ją naprędce. Kolejny zeszyt znów bardziej ją zainteresował – a w nim korespondencja z władzami, jak można się było domyślać, w sprawie śmierci – przeszedł ją dreszcz – drugiego z synów Łucji, czyli wujka Antoniego. Jego ponoć zabito – tak twierdziła Łucja, choć oficjalna wersja mówiła o samobójstwie – w latach pięćdziesiątych. I ten jednak kajet Aśka odłożyła, zaraz biorąc w ręce następny. Ów był już zapisany, pismem z początku każdego wyraźnie zaznaczonego rozdziału okrągłym i dającym się odczytać bez trudu, a wkrótce, po pierwszych spokojnych liniach, coraz bardziej pochylonym, jakby rozedrganym, nerwowym, pośpiesznym, jakby to myśl – zgadywała – narzucała zbyt wielkie tempo niepotrafiącej nadążyć dłoni.

Tym razem wyglądało to na pamiętnik, rodzaj wspomnień, opowieść babki o jej pierwszych, najdawniejszych latach w Gdyni.

– „Przyjechałam do tego miasta – czytała z przejęciem – pewnego letniego dnia w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym”... A w innym miejscu: – „Uroczyste otwarcie poczty nastąpiło siódmego czerwca roku tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego”... I jeszcze gdzie indziej: – „W kwietniu tego roku

Krzysztof, mąż mój, nabył w salonie przy Starowiejskiej samochód marki Fiat”.

O, to było bardzo ciekawe!

– Spójrz – podała zeszyt Tomkowi. Ledwie zdążył wyciągnąć rękę...

Bo światło najpierw zgasło na krótką chwilę, a potem znów się zapaliło. Obrócili głowy w stronę wejścia.

– Jesteście tam aby? Nie zaschło wam aby od kurzu w gardłach? – usłyszeli z oddali.

Kiedy stanęła w progu, mrużąc oczy, Tomek zerwał się, wyprostował, a Łucja przyjrzała mu się wnikliwie. Jego pośpiech raczej się jej nie spodobał, wydał się podejrzany.

– Jesteśmy, babciu – zaśmiała się Aśka. – Myślałaś, że ktoś nas porwał?

Łucja sapiała.

– A bo tak cicho... I nie widać was z okna. No – rozejrzała się wreszcie po pomieszczeniu – ładnie wam poszło!

– To właśnie mój kolega, babciu.

Tomek uklonił się i przedstawił.

– Wilczyńska – odparła sucho, jednakowoż łaskawie podając mu dłoń. Którą pokornie ucałował.

– Co tam masz? – z kolei drapieźnie zwróciła się ku wnuczce. – Znalazłaś – raczej stwierdziła, niż zapytała. – No to schowaj, karton zamknij, przynieście go – zerknęła na Tomka – na górę.

– To bardzo ciekawe, babciu – zapewniła ją Aśka.

– Ja wiem, że ciekawe. Dlatego chciałam, żeby ktoś to wreszcie przeczytał – podkreśliła przedostatnie słowo.

– Przeczytam – gorliwie skinęła głową dziewczyna.

– Dość gadania, dokończę sama kiedy indziej, teraz już sobie poradzę – jeszcze raz omiotła spojrzeniem pomieszczenie. – Dziękuję panu – kiwnęła

głową. – A teraz na górę – odsunęła się, by przepuścić: najpierw jego, który z trudem dźwignął pudło, potem Aśkę. – A i to tu? – zdziwiła się jeszcze, nogą trącając pozostawiony na betonie bagnet. Po namyśle schyliła się po niego i delikatnie odłożyła go na półkę kredensu. – I obraz znaleźliście... – zauważyła. – To jeszcze Kostek w Sopocie zrabował! – ostatnie zdanie, a może wspomnienie, nie wiedzieć czemu szczerze ją rozbawiło.

ROZDZIAŁ 5

O MIŁOŚCI ORAZ INNYCH NAMIĘTNOŚCIACH

Gdy nadeszły święta, a wraz z nimi wielki dylemat Aśki, Anusia pozwoliła sobie na żart:

– To może i za mąż wkrótce się wybierasz?

Córka w odpowiedzi tylko fuknęła niezrozumiale, obróciła się na pięcie i wróciła do swojego pokoju. Chciała dobrze, mianowicie ustalić z rodzicielką kolejność wigilijnych wizyt – a więc czy najpierw to ona, Aśka, pojechać ma na kolację do Tomka, a dopiero potem wraz z ukochanym przyjechać do mamy i brata, czy też odwrotnie – najpierw spędzić kilka chwil na Chopina, a później wybrać się na odległe, dzikie, błotniste wzgórza Karwin? Czy to tak wielkie wymagania: porozmawiać, ustalić harmonogram, który pasował będzie wszystkim?

– Asiu – tłumaczyła jej za chwilę matka, głosem łagodnym i cierpliwym – Asiu, chodźcie ze sobą ledwie kilka tygodni... To nawet nie wypada, żeby tak od razu urządzać wspólne świętowanie.

– Tak? Nie wypada? A może tobie nie pasuje, żeby Tomek przyszedł do nas?

Niestety, stanęło na tym, że ów piękny wieczór spędzą osobno. Tylko myślami, o nieszczęsny losie, będąc w tych wyjątkowych chwilach ze sobą.

Wcześniej kino, kawiarnia i spacer, tak wyglądały ich dni, przy czym kawiarni w tym wszystkim było najmniej. Więc raczej Warszawa, Goplana, Atlantic, albo Polonia lub Bałtyk w Sopocie. Gdy Tomek za każdym razem

wyrywał się, by płacić, Anusia uczuliła córkę, by z chłopaka nie zdzierła, rycerskość, wiadomo, piękna rzecz, ale też młodzieniec jeszcze nie zarabiał. *Obcego – decydujące starcie* tej jesieni wyświetlano, *Dawno temu w Ameryce* i *Gliniarza z Beverly Hills*, a wszystko ledwie w kilka, kilkanaście miesięcy po światowych premierach. Aśce *Misja* podobała się najbardziej, Tomek też wielce sobie cenił aktorstwo Roberta De Niro.

Poznała jego rodziców, a jakże, mrukliwego ojca – jakby nosił w sobie nie wiedzieć jak wielki, odbierający mowę ciężar – oraz serdeczną, stale uśmiechniętą panią matkę (tak tytułował ją Tomek). Również Anusia poznała potencjalnego zięcia, spodobał się jej, ułożony – uznała. Od tej pory zdarzało się, że uczyli się wspólnie w mieszkaniu na Chopina. Tomek orłem z matematyki, fizyki czy chemii – z którymi borykała się Aśka – nie był, ale miał przewagę roku, przerobiony materiał, więc jakoś dawał radę. Wtedy przekomarzali się, wbijali na przemian szpileczki w rozdęte balony prestiżu swych szkół. I tylko Marek nie wytrzymał presji owych lekcji i burcząc, rzucając gniewne spojrzenia, wychodził z pokoju, bo już lepiej z matką było mu siedzieć niż z nimi, szczebioczącymi słodko, *Teleexpress* wolał zatem, chcąc nie chcąc, obejrzeć, albo mecz, jeżeli się akurat zdarzył, lub coś na drugim programie – który właśnie przed siedemnastą zaczynał zwykle nadawanie.

– Co robią? – pytała Anusia. – Nie całują się?

– Całują – wściekał się tym bardziej, zły odtąd i na matkę, która w ten sposób prowokowała go, chciała zawstydzić, tak mu się przynajmniej wydawało.

– Oj, biedny jesteś, synku – mówiła zaraz Anusia, ciężko wzdychając. – Kąta dla siebie nie masz, ojciec wróci, to wreszcie się zdecydujemy, dłużej czekać nie można, trzeba zamienić mieszkanie na większe, albo i faktycznie zdecydować się na budowę.

– Cicho tam, nie sądzisz? – zaczynała znów po chwili. – Zajrzyj – mówiła – wymyśl jakiś pretekst.

Więc znów wzruszał ramionami i zgrzytał zębami.

W weekendy zdarzało się, że Tomek zasiedziało się, wtedy *Listy* słuchali, już z Markiem. Klócili się: o Sztywny Pal Azji, o Stinga, o U7. I każde broniło swego: Marek zamykał się w wieży samotności, Aśka udawała kruchą i wrażliwą, a Tomek wyobrażał sobie, że jest tam, z chłopakami, na dachu amerykańskiego budynku, w mieście, gdzie ulice nie mają nazw. Poza tym jednak mówił, że z U7 już koniec, że to komercja, że się skończyli na *War*. Wolał zespoły z wytwórni 4AD, nieodżałowany Bauhaus, Clan of Xymox, Xmal Deutschland czy Cocteau Twins. Niestety Aśkę od słuchania poleconych jej przez ukochanego w szczerym zapale audycji Tomasza Beksińskiego co najwyżej bolała głowa – nie dusza – i to był pierwszy raz, gdy odkryli ze zdziwieniem, że jednak się czymś różnią, że nie są dwiema połówkami przesłodzonej pomarańczy.

Poza tym nieco ją zawiódł, bo nastawiała się na bal... a może jednak bardziej jej zaimponował – tym, że postawił na swoim. Otóż odmówił pójścia na studniówkę (a jego najlepszy kumpel, z tym że w innej szkole, tak samo). Rodzice i nauczyciele stawali na głowie, by go przekonać, a on: nie, powiedziałem, studniówka to Babilon, nie mam ochoty na tego typu mieszczchańską ceremonię i mam do tego prawo...

– Nie będziesz żałował? – pytała Aśka.

– Nie będę – miał dla niej zawsze tę samą, twardą odpowiedź. – A ty? – chciał wiedzieć.

– A na moją studniówkę przyjdiesz? Jeżeli poproszę?

– Zastanowię się.

Poznała też w końcu chłopaków, na ich próbę poszła trochę z ciekawości, wyczuwając wcześniej z lekką zadrą, że zespół to w sercu Tomka jedyna dla niej konkurencja. Bo poza tym zakochany był po uszy, wzrokiem wodził za nią tęsknie, szeptał czule, odgadywał zachcianki i rozpoznawał humory, nieustannie przy tym wychwalając wrażliwość, delikatność i mądrość wybranki swego serca.

A czy się rzeczywiście całowali? Jasne, że tak, ale też Aśka wciąż jeszcze potrafiła studzić gorączkę rąk chłopaka i nie pozwalała mu na zbyt wiele. Dość, by zdążył poczuć, jak rzeczywiście jest delikatna i ciepło pachnąca, ale nie na tyle, żeby się w owych miodach rozsmakował.

Zespół, w swej krótkiej, ledwie kilkumiesięcznej historii, zdążył już wiele przejść. Gdy zaczynali w pewnym garażu na Grabówku, tak też bezpretensjonalnie się nazwali: Garaż. Stamtąd ich jednak przegoniono, okoliczni mieszkańcy innego wyjścia niż okazanie swego stanowczego gniewu nie znaleźli, ba, faktycznie groził im szal, groziła apopleksja, groziło popełnienie zbrodni w afekcie – tak bardzo nie potrafili zrozumieć, wczuć się w uprawianą przez młodzieńców sztukę. Zwłaszcza w ciepłe dni, gdy wszystkie okna koniecznie chcieli mieć pootwierane, zwłaszcza w soboty lub niedziele, gdy upierali się, by mieć święty spokój. A tu łomot, a tu jazgot, a co gorsza, co rusz przerywany, niechby chociaż łobuzy zagrały jeden jedyny raz jakąś piosenkę – ale piosenkę! – w całości, do końca! Nie, nic z tego, wręcz przeciwnie, grać – grać? dobre sobie! – potrafili wciąż jeden i ten sam fragment, zresztą czegoś, co wcale nie zapowiadało się, dajmy na to, na *Love me tender* Presleya czy choćby *Takie ładne oczy* Czerwonych Gitar, a więc jeden i ten sam fragment bez końca, tak jest, dosłownie bez końca, bo ciągle im się nie udawało i coś kazało im przerywać. Zwariować można było!

Na jakiś czas przenieśli się do szkoły, do dawnej podstawówki jednego z nich – na Obłuzu. Krótko to trwało, bo zbuntował się woźny – albowiem od natłoku trudnych dźwięków groził mu jakoby alkoholizm. Czyż już ten krótki opis – śmiał się Tomek, opowiadając – nie nadaje się do ksiąg historii męczeństwa młodych ludzi w Polsce?

Aż wreszcie trafili do Orłowa, do willi babki jednego z nich, o tyle jednak już doświadczeni, że mimo głuchoty staruszki przed rozpoczęciem prób starannie wyścielili piwniczne ściany wytłaczankami po jajkach i zdobytymi gdzieś

wielkimi płatami gąbek. Wtedy nazywali się już Poppycock in Action, bardzo im się ta nazwa spodobała, wszak pozwalała myśleć o podbiciu wymagających rynków zachodnich.

Było ich, a żadna to nowość w historii rock'n'rolla, czterech. Tomek, w tym gronie zwany Dżojsem, w owym archetypicznym układzie pełnił rolę erudyty, intelektualisty – liznął Vonneguta, Gombrowicza (a nawet Witkacego i Schulza), Márqueza i Sartre'a, ba, zmagął się właśnie z Joyce'em. Gdy kłócili się, targał nim gniew, który dusił jednakowoż w sobie, marszcząc czoło i próbując perswazją wymuszać proponowane przez siebie rozwiązania. Grał na gitarze, cóż to jednak był za instrument: owszem, lepszy niż dostępne w państwowych sklepach muzycznych defile, ale też zaledwie wystrugana w pewnym garażu w Oliwie przez lutnika amatora marna podróbka fendera stratocastera.

Na zwisającym mu u kolan basie grał z kolei długi jak tyczka Maciek („Korba”), z nim Dżojs porozumiewał się najlepiej, w nim miał sojusznika – a przy tym Korba wściec się potrafił, gdy coś nie szło, jak należy, czyli kiedy wypracowaną przez liderów linię programową kapeli zagłuszyć próbowali pozostali dwaj.

A więc Paweł („Bestia”) – nierzucający się w oczy, małomówny, jakby wiecznie wkurzony. Albo skupiony – bo wyczekujący swej szansy na możliwie jak najdłuższą i jak najbardziej zakreconą solówkę. I właśnie dlatego musieli go temperować: człowieku, nie jesteśmy Van Halen, mówili, nie jesteśmy Iron Maiden, nie gramy też bluesa! Przyglądał im się wtedy spod opuszczonego nisko czoła, ciężko było zgadnąć, co myśli. Dobra, jedziemy dalej, mruczał na koniec, a po próbie zawsze pierwszy chciał wiedzieć, kiedy wreszcie zdecydują się zagrać jakiś koncert, gdzieś pokazać, bo też na co czekać? No nie, rozkładali ręce, z czym do ludzi, człowieku, musimy mieć dopracowany materiał, to jest Trójmiasto, człowieku, tu gra Apteka i Pancerne Rowery – przypominali.

Wreszcie Piotr („Syrop”), korpulentny wesolek, który walić chciał w bębny

zgodnie z tym, co mu w duszy grało: skocznie, radośnie, wręcz tanecznie, umpa, umpa, jak The Smiths w *Panic* albo jak New Order. Aż łapali się za głowy!

Cóż, kompletnie do siebie nie pasowali, po prostu się lubili, byli kolegami. Korba i Bestia sąsiadowali w czasach podstawówki, potem jeden uczył się z Syropem, którego Dżojs poznał z kolei przez rodziców. I najpierw w piłkę razem grali, potem przeszło to na muzykę. Tak się zwykle buduje świat, tak się rodzi mikrokosmos. A jeden był z Karwin, drugi, hen, z Pogorza, trzeci z Rumi Janowa, a czwarty z sopockiego Kamiennego Potoku.

Askę ich próby męczyły, co tu kryć. Po wielu miesiącach potrafili co prawda zagrać kilka numerów, ale dla niej było za głośno, stanowczo za głośno. Piwnica była wprawdzie duża, długa i szeroka na kilka metrów, ale też nisko sklepiona. Syrop ciszej grać nie mógł, bo gdy bardzo się starał, to od razu gubił rytm, zresztą jak grać na perkusji cicho, przecież nie jazz im chodził po głowach! Wobec tego to reszta podkręcać musiała potencjometry przedpotopowych wzmacniaczy. Przede wszystkim słyszalny musiał być bas, pulsujący, narzucający ton, jak na ich wymarzone, chłodne, nowofalowe granie przystało. Wtedy włączał się Dżojs, a niedługo po nim Bestia – i zawsze, po prostu zawsze, tak ustawiał głośność swojego instrumentu, że z kolei innych nie było słychać wcale, więc i oni zwiększali moc, aż wreszcie powstawała z tego ogromna, charkocząca – teraz już także z powodu złej jakości głośników – ściana dźwięku. Śpiewać próbował Tomek, lecz na nic były jego starania – wyłowić słów z jazgotu nie dawało się w ogóle.

Trzeci raz na próbę trafiła wtedy, gdy ostrzeżona przez koleżankę z klubu zdecydowała się uciec z domu. Bo na Chopina zdecydował się wybrać trener, pan Czesław, zawiedziony tym, że w nowym roku nie wróciła na treningi. Po obozie, po kilku ledwie zajęciach z Jackiem (zapomniała o nim? och, oczywiście, lecz jak wiele ją to kosztowało!), znacznie poprawiła technikę pokonywania płotków, co niemal od razu przełożyło się na wyniki. Śmigła jak gazela,

w klubie już żadna z dziewczyn nie potrafiła dotrzymać jej kroku. A jednak zrezygnowała. I wtedy zaczęły się korowody, pertraktacje, istna odprawa posłów greckich, czyli koleżanek z sekcji, które wysyłane przez trenera nakłonić miały Aśkę, by wróciła do reżimu. A i sam trener telefonował, a jej z trudem przychodziło tłumaczenie swej decyzji, miała świadomość, jak bardzo go zawiodła. Ale też treningów miała po prostu dosyć. Niestety, stary wyga nie odpuścił, więc gdy dowiedziała się, że osobiście się wybiera, by porozmawiać – z nią, a przede wszystkim z Anusią – uciekła.

Kłócili się. Jak zwykle. Bo coś nie wychodziło, coś przeszkadzało. Aż Dzojs się w środku zagotował, Korba zaczął gardłować, a Bestia mruczeć gniewnie pod nosem. I tylko Syrop z głupia frant zaproponował coś zupełnie nowego, skocznego. Ręce im opadły.

Zatem od nowa, jeszcze raz. Grają, w miarę im to idzie, lecz oto Syrop przerywa, Dzojs się zżyma, Korba wścieka i tak dalej...

Więc jeszcze raz... I znów to samo!

– Nie damy rady – uznał w końcu Korba.

– Kiedy śpiewasz, gorzej grasz – spojrzał na Dzojsa – taka jest prawda.

– I co teraz?

– Nie wiem – Korba przełożył pasek ponad głową, odłożył instrument. – Nie wiem.

– Trzeba kogoś znaleźć – milczeli dość długo, zanim odezwał się Dzojs. – Innego wyjścia nie ma.

– Znam chłopaka – wyrwał się od razu Syrop. – W teatrze muzycznym miał epizod. Podobno jest niezły.

– W teatrze? – zaśmiali się, kręcąc z niedowierzaniem głowami.

Aśce zrobiło się Syropa żal.

– Ej, chłopaki, nie przesadzajcie! Dajcie sobie szansę. Co wam szkodzi?

- A on, ten chłopak – zastanowił się Dzojs – w ogóle by chciał? Z nami?
- Trzeba by pogadać.
- Pogadasz?
- Tak.

Korba wyszedł zapalić, Bestia za nim. Z zewnątrz powiało chłodem. Nie trwało długo, nim wrócili.

- Słuchaj, Aśka – odezwał się Korba. – A ty byś nie chciała zaśpiewać?
- Ja? – zdziwiła się, roześmiała.
- Dlaczego nie? Skoro już tu jesteś.
- To jest pomysł, Aś! – podchwycił temat Tomek. Że też wcześniej nie przyszło mu to do głowy!

– Ja się spalę ze wstydu – jęknęła.

Obiecali nie patrzeć, odwrócić się.

– Spróbujesz?

Odetchnęła głęboko, zamyśliła się.

– No dobra... Może ten wolny? Ale nie będziecie się śmiać?

Tomek raz-dwa wygrzebał z plecaka podniszczony zeszyt i znalazł stronę z tekstem. Stała przy stojaku.

Zaczął Syrop, na brzmącym sucho werblu, jakby reszta miała zaraz maszerować, a on nie siedział za kompletem bębnow, ale szedł na ich przedzie – dziarski tamburmajor. Drugi zagrał Korba, struny atakując plastikową kostką, agresywnie, rytmicznie. Dołączył Dzojs – jego gitara brzmiała miękko jak falujące zboże, jak szemrzący strumień. A wtedy i Bestia przeciągnął kostką po strunach, powoli, z każdej wydobywając ostry, wyraźny dźwięk. Nawet nieźle to brzmiało, tak jakby czekając na jej wejście do gry, złagodnieli, jakby bardziej się przyłożyli, jakby wreszcie spróbowali być zespołem. Zwlekała. Zwlekała, aż powtórzą frazę kilka razy, tego zdążyła się już nauczyć.

– A kiedy już nie będzie nic – zaczęła – a kiedy wstanie błądy świt – w drugą linię włożyła nieco więcej mocy, by na koniec zniżyć głos – czy wtedy przyjdiesz do mnie ty – nabrała tchu – czy wtedy przyjdiesz do mnie – i tu, inaczej, niż kiedy śpiewał Tomek, zrobiła niewielką pauzę, a kończąc wers – ty – ledwo musnęła, lekko, ulotnie, delikatnie, na co z kolei mocniej odpowiedział Korba i na co zaraz zareagował Dzojs. Syrop, choć skupiony na wybijaniu rytmu, kiwnął przyjaźnie głową. Korba odwrócił się tanecznym krokiem, widać było, że muzyka go niesie. Obrócił się też Tomek, i w jego oczach dostrzegła szczęście. Śpiewała drugą zwrotkę, potem refren, przy okazji którego zmienili tonację na wyższą. Teraz nastąpić miała równo przez wszystkich zaznaczona pauza, a tuż po niej wrócić mieli do gry, ale odtąd już głośniejszej i z wyraźniej zaznaczoną partią Bestii.

No i właśnie – pauza wybrzmiała tak, jak powinna była wybrzmieć (bo cisza bywa często piękniejsza od tego, co przed nią i po niej), ale gdy zaczęli od nowa, gitara Bestii ryknęła, aż zatrzęsły się wzmacniacze, aż zawyły głośno i wysoko, dźwięki się bowiem sprzęgnęły, było to jak zgrzyt elektrycznej piły, albo jakby ogromny blok styropianu otarł się o równie wielką szybę. W jedną sekundę czar przysł, Aśka nakryła dłońmi uszy.

– Kurwa mać! – wściekł się Korba i przestał grać. Bestia posłusznie przykręcił potencjometr.

– Dalej, dalej! – próbował ratować sytuację Dzojs, wciąż wygrywając swoje akordy. Więc i Korba podjął swą melodię – ale wtedy ucichła perkusja.

– Ej, co jest?! Syrop! – Dzojs bliski był łez.

– Pałeczka – chłopak uniósł w górę drewniany kikut. – Złamałem.

– No i co? Nie masz zapasowych?

– To już druga dzisiaj – przypomniał Syrop. – Kolejnej nie mam... Dziesięć kupiłem w zeszłym miesiącu, więcej nie dawali, teraz ich już nie ma, wykupione. Zresztą nie mam pieniędzy.

Złamali się. Bo ile jeszcze tych cierpień?!

Chrząknęła. Dopiero teraz sobie o niej przypomnieli.

– No i jak?

– Świetnie – nie miał wątpliwości Korba.

– Perfekcyjnie! – wykrzyknął Tomek.

– Przesadzacie – zaczęła się krygować.

Gdy nazajutrz zmierzali już w stronę Kolejarza, Tomka wciąż niosły skrzydła. Trochę co prawda narzekał, że nie idzie z nimi Syrop (bo wyjechać musiał z rodzicami), nie idzie Bestia – którego Nowa Scena nie interesowała – ale poza tym wciąż wracał do wydarzeń poprzedniego dnia, a Aśkę gotów był nieść na rękach.

Festiwal Nowa Scena organizował Waldemar Rudziecki, szef Młodzieżowego Centrum Kultury. Latem impreza odbywała się w Sopocie, zimą właśnie w gdyńskim Domu Kultury Kolejarz. Prasa nie anonsowała jej ani słowem, ale ludzie swoje wiedzieli. W okolicy nie brakowało amatorów mocnego uderzenia: piesze patrole z kołyszającymi się u nóg pałami i milicyjne gaziki zauważyć dawało się na wielu pobliskich ulicach, a zwłaszcza na placu przed dworcem. W pobliżu dworcowej poczty przyczały się z kolei olbrzymie, uzbrojone w armatki wodne stary.

– Latem – Tomek spoważniał na ich widok – w Warszawie skinheadzi rozbili najpierw Róbrege, a kilka dni później Poza Kontrolą – opowiedział.

– Rozbili? – zapytała.

– Wpadli z kijami i metalowymi rurami, zwłaszcza na Róbrege źle się to dla niektórych skończyło.

– I myślisz, że to dlatego tyle tu milicji?

– Nie wiem – odparł. – Bo niby dlaczego? Inna rzecz, że ludzie mówią, że łyse pały służą komuchom, że to prowadzeni przez esbecję prowokatorzy.

Zaniepokoiła się, co bezbłędnie wychwyił.

– Nie martw się, Aś, bez przesady! Chodźmy, zobaczysz, będzie świetnie!

Już wcześniej zdążył ją podszkolić, opowiadając chaotycznie i jakby w obcym języku a to o Szeleście Spadających Papierków, a to o Po Prostu i ich liderze Szczepanie, o Tatarcie i Grupie Poetyckiej Zlali Mi Się Do Środka, o Paulusie i Brzósce, o Dzieciach Kapitana Klossa, o Rockas Delight i Bieliźnie. Oraz o Pancernych Rowerach – tę kapelę cenił najwyżej. O koncertach i wygłupach, manifestach i happeningach, o rozprawianych chałupniczo kasetach i trudnych do zdobycia, wydawanych pokątnie zeszytach z tekstami i relacjami z występów. I brzmiało to wszystko, jakby mówił o czymś poważnym, o potężnym i poważnym ruchu artystycznym, jakby o Paryżu z czasów, gdy spotkali się w nim Picasso i Hemingway, albo wręcz o renesansowym dworze któregoś z włoskich książąt. Tymczasem ona o owych wybitnych ludziach kultury, o prekursorach nowych nurtów, awangardzie awangardy, jako żywo wcześniej nie słyszała!

Wreszcie wszystkie te nazwy i związane z nimi znaczenia pomieszały jej się w głowie i nie wiedziała już, czy Totart to zespół, a Szczepan gitarzysta, czy Kodym recytuje, a Brzóska komponuje, a co najgorsze, nie wiedziała też koniec końców, czego się po dzisiejszym wieczorze spodziewać.

– Zagra Apteka – przypominał – zadebiutują dziewczyny z Oczi Cziorne (a wcześniej z Bóm Wakacje w Rzymie), będą, ciekawostka, Igry z Leningradu, z Warszawy Gardenia, a z Torunia Kobranocka.

Świetnie, uznała, choć w zasadzie było jej wszystko jedno.

Wreszcie dotarli do Kolejarza i najpierw utknęli w zatorze u jego drzwi, a potem zanurzyli się w mrocznej, zadymionej, ale i rozwibrowanej od natłoku dźwięków przestrzeni. Rozglądała się, robiąc wielkie oczy. Podobnych dziwaków, owszem, spotykało się nawet w szkole, lecz nigdy tylu naraz. Gdy bowiem pościągali czapki, poodwijali długie, po wielokroć wokół szyj zawinięte

szale, gdy zrzucili bure kurtki i ciężkie szynele, nagle zrobiło się barwnie, pstrokato, drapieźnie. Spodnie niektórzy nosili czerwone lub agresywnie żółte, a inni w pionowe biało-niebieskie pasy. Koszulki mieli często domowej produkcji, z własnej inwencji obrazkami i napisami. Panny prezentowały do tego agresywne makijaże i tapirowane fryzury. Wśród chłopaków znalazło się kilku prawdziwych, jak ci z *Teleexpressu*, punkowców – ze sterczącymi sztywno grzebieniami zlepionych cukrem włosów.

Kiedyś, na szczęście dawno temu, Aśka bała się zbrojeńca-wampira. Ten krążyć miał ponoć po gdyńskich ulicach, tak ludzie mówili... i zawsze znalazł się ktoś, kto znał kogoś, kto miał trudną przyjemność znać kuzynkę wampirzej ofiary. Później bała się pershingów, wojny atomowej, krótkiej i ostatecznej, a mającej nadejść nieodwołalnie. Naprawdę tak było, wydawało się, że ta wojna wybuchnąć musi lada dzień. Ale i ten strach minął. Za to teraz obawiała się AIDS, strasznie się obawiała – nie swoich naczyń, strzykawek i publicznych toalet; co z tego, że na ulotkach w przychodniach upierano się, że wirus HIV nie przenosi się w ten sposób. Ludzie swoje wiedzieli.

Weszła do łazienki i poczuła się nieswojo: oto trwały tam, w gęstej zupie papierosowego dymu, przebieranki, malowanki, trwały ostatnie przygotowania do pokazania się w wymagającym towarzystwie. W swej dżinsowej kurteczce, takiej też spódniczce do kolan, w czarnych pończochach i zwykłych kozakach poczuła się jak przybysz z obcej planety, jak niewłaściwy w tym miejscu intruz z krainy grzecznej normalności, jak przedwojenna pensjonarka. Jeszcze jej tylko brakowało na ramionach marynarskiego, szkolnego kołnierza.

– Koleżanka z oazy? – buchnęła jej dymem prosto w twarz dziewczyna, z którą mijaly się w drzwiach do kabiny. Inne zaśmiały się. – Niech panienka wybaczy, lecz robiąc psi-psi, pozwoliłam sobie zapalić papieroska. Zgaduję, że się w szkole na takie coś nie pozwala...

– Gdzieś ty mnie przyprowadził?! – wykrzyczała Tomkowi do ucha, odnajdując go na sali.

– Nie podoba ci się? – przeląkł się.

– Może być! – wrzasnęła. – Jednak mogłam się lepiej przygotować. Spójrz na mnie – nikt tak tutaj nie wygląda!

Fakt, nie dało się ukryć, podobnych jej nie znalazłoby się wiele. Tomek łatwiej się gubił w tłumie, bo jak większość chłopaków miał na sobie powyciągany i w kilku miejscach dziurawy ciemny sweter, do tego czarne spodnie i zmierzwione włosy.

– Nic na siłę! – odkrzyknął, dotykając ustami jej ucha. – Nie musisz udawać kogoś, kim nie jesteś. Zresztą mnie się... – końca zdania nie usłyszała, mogła się go tylko domyślać.

Grało się: reggae, ska, mnóstwo punkowego łomotu i nieco zaskakującego w tym towarzystwie bluesa na dodatek. Pojawił się Korba, a z nim ekipa z Chyloni. Śmiali się, żartowali, zerkając zrazu nieufnie, a później z coraz większym zainteresowaniem na Aşkę. Troszkę wypili, więc przypominali jej koguty w niestrudzonej rywalizacji o to, który krzyknie głośniej albo który dowcipniej spuentuje toczącą się rozmowę. Podeszły też panny, a wtedy zmieniły się tematy i dotyczyły zaczęły tego, kto kogo widział ostatnio, i z kim, a kogo już dawno nie. Oraz gdzie i kiedy odbędzie się następna impreza, kolejny koncert, tak, właśnie to było teraz najważniejsze, a trwający jeszcze wieczór zupełnie przestawał mieć znaczenie i umawiać się trzeba było na przyszłość.

– Nie jesteś zmęczona? – zatroszczył się w pewnej chwili. Zaprzeczyła, by sprawić mu przyjemność.

– Ale wiesz, że wrócić muszę przed północą? – przypomniała.

– Tak jest, wrócimy, mamy jeszcze trochę czasu.

A potem pojawili się tamci. Od razu zauważeni, bo też lubili rzucać się w oczy. Wchodzili na salę pojedynczo, rozglądali się leniwie i równie leniwie szli

przez salę – jeden, drugi, trzeci – spoglądając wyzywająco i raz po raz, niby przypadkiem, trącając ramionami stojących. Wygoleni, w czarnych lub zielonych kurtkach, w wysokich butach wiązanych białymi sznurowadłami.

– Skinheadzi – wyjaśnił.

– Przecież wiem – obruszyła się.

– Dymu szukają – przyglądał się im spod czoła. – Patrz, tylko czekają...

Na razie krążyli jak rekiny w płytkiej zatoce, kręcąc koła, wciąż pozostając w ruchu.

– Jest ich dwunastu – przyniósł wiadomość Korba. – Inni zostali na zewnątrz. Niebezpieczna załoga z Gdańska, z Moreny i z Zaspy.

– Znasz ich?

– Kumpel do elektryka jeździ, to zna.

Bo tak to właśnie wyglądało: nocni łowcy, dzicy i spragnieni wrażeń wojownicy na co dzień albo chodzili do tych samych szkół, albo mijali się na przystankach kolejki. Bardzo często dobrze się znali – ale i toczyli bezkompromisowe wojny.

Atmosfera zgęstniała. Gdy ktoś otworzył okna, by wywietrzyć papierosowy dym, powiało dodatkowym chłodem. Luty był ciepły tego roku, temperatury w ciągu dnia utrzymywały się powyżej zera, ale teraz, nocą, można już było zmarznąć.

Spojrzała na zegarek, skromny, elektroniczny na wąskim paseczku. Uśmiechnęła się, bo dziś, w takich, a nie innych okolicznościach, wydał jej się dziecinny. Zresztą jak cała ona samej sobie.

Dostrzegł jej gest, kiwnął porozumiewawczo głową. Jeszcze żegnali się z chłopakami, ustalali jakieś ważne sprawy. Poczekala, wreszcie dobrnęli do szatni. Za chwilę wyszli w bezgwiezdną noc.

Skierowali się w prawo, aby przesmykiem pomiędzy główną z miejskich hal a rybną dojść na przystanek. Już z oddali dostrzegli, że trolejbus im zwiął.

A jednocześnie w okolicy przystanku ktoś biegł, inni gonili go, nie trzeba było się przypatrywać, żeby domyślić się, kto uciekał, a kto gonił, uciekał mianowicie jakiś szarak, a goniły go poronione bękarty wujaszka Adolfa, pieprzeni gdańscy bojówkarze.

– Zawracamy – zdecydował Tomek i tak też uczynili, prędko kryjąc się za bryłą masywnego budynku. Zastanawiał się gorączkowo: co zrobią, a właściwie co on zrobi, jeżeli tamci dostrzegli go z Aśką i zamiast gonić swą pierwotną ofiarę postanowią zmienić kierunek pościgu? Odetchnął dopiero po dłuższej chwili. Szli teraz prędko Jana z Kolna, po czym skręcili w drugą przecznicę, czyli we Władysława IV, a potem w Starowiejską. I znów z żalem i z oddali odprowadzić musieli wzrokiem kolejny z trolejbusów, który im tej nocy uciekł. Doszedłszy do placu Kaszubskiego, zdecydowali się maszerować dalej. Świętojańską hulał o tej porze jedynie wiatr, szli niczym przez pustynię, przez postapokaliptyczne, obumarłe miasto. Latarnie świeciły bladym światłem, witryny sklepów zapadały się w półmroku, czasem przejechała taksówka, poza tym nie dało się spostrzec żywej duszy. Kroczyli prędko, trzymając się za dłonie, w krótkich, rwanych zdaniach komentowali wydarzenia wieczoru. Z restauracji Polonia wytoczył się pijak i zaczepił ich. Aśka przystanęła, by zrozumieć, o co mu chodzi, lecz nie dało się z jego bełkotu nic wyłowić. Znów ruszyli przed siebie.

Na Chopina dotarli zmęczeni, zaczerwienieni na twarzach. W ciepłe klatki schodowej żegnali się czule, a umizgom owym przeszkodził dziadyga z niewydarzonym kundlem. Potem światło znów zgasło, a oni nie mogli się rozstać. Weszła do windy, on za nią, na wysokościach żegnanie się trwało już krótko. Aśka uważała, by nie dać się na niczym przyłapać przez czuwającą być może matkę.

– Poradzisz sobie? – zapytała.

– Jasne – odparł buńczucznie. – Powinienem mieć nocny.

Jeszcze zdążyła poprosić, by uważał na siebie i żeby koniecznie rano zadzwonił. Co solennie przyrzekł.

Gdy dochodził do przystanku kolejki na Wzgórzu, i było to jak refren, jak przypomnienie zdarzeń sprzed wielu miesięcy, usłyszał, jak wołają go z daleka. Było ich sześciu i nie poprzestali na wołaniu, ale z miejsca ruszyli z kopyta. Nie zastanawiał się, nie było nad czym, sam więc wystartował – aleją Zwycięstwa w stronę Orłowa. Poły jego płaszcza, czarne skrzydła kruk, powiewały i prędko odniósł zwycięstwo, bo tamci dość szybko, być może zmęczeni długim wieczorem, zaprzestali pogoni. Dopiero w Redłowie, już za garażami ZKM, raczył się przytoczyć autobus. Zanim wszedł, zlustrował czujnie wnętrze. Uspokojony wskoczył na stopnie ikarusa i opadł na chłodną dermę. Zamyślił się. Piękny to był dzień, piękna zima, piękny czas. Nie sposób było sądzić inaczej.

ROZDZIAŁ 6

TRAGEDIA

Że też jej nie tknęło! Ale nie, zupełnie nic – gdy usłyszała po feriach, że w szkole pojawił się nowy nauczyciel, tylko wzruszyła ramionami.

W tym semestrze wuef przypadał jej klasie po chemii, a żeby dojść z gabinetu, w którym wiekowy chemik uparcie nakazywał uczniom zakładanie białych, laboratoryjnych fartuchów, choć nigdy, przez lata nie przeprowadził innego doświadczenia prócz tego na żywych organizmach, a polegającego na gniewnym ich musztrowaniu, a więc żeby przejść z klasy chemicznej do szatni przy sali gimnastycznej, przebyć trzeba było długą, kilkudziesięciometrową trasę szkolnym korytarzem. Mijało się wtedy trzy kolejne klatki schodowe, prowadzące do sal na piętrze, toalety i rzędy przypisanych uczniom szafek. W tych też, pamiętających z pewnością średniowiecze szafkach, z wyrobionymi, wiszącymi na zawiasach drzwiczkami i z psującymi się nieustannie zamkami, trzeba było zostawić chemiczne emblematy niezrozumiałej udręki – czyli owe wykrochmalone na początku roku, a z czasem coraz bardziej pomięte fartuchy – w zamian zabierając w dalszą wędrówkę strój gimnastyczny i buty.

A przecież to wcale nie był koniec estetycznych mąk: dziewczęta miały bowiem ponadto obowiązek nosić na co dzień ciemnoniebieskie mundurki z rozłożystymi marynarskimi kołnierzami. Dziewczęta i tylko dziewczęta – ku swej udręce, a wbrew pragnieniu, by się wyróżniać i podobać. III liceum nosiło imię Marynarki Wojennej, a swego czasu wizytował je nawet goszczący w Polsce francuski marszałek de Gaulle. To zobowiązywało, dbano więc o prestiż szkoły, a mundurki uznawano za element, który owego prestiżu, na wzór przedwojenny,

szkole w oczywisty sposób dodaje. Swoją drogą uczył się tu również Edward Stachura, ale że niedługo to trwało, a w dodatku poeta uczęszczał do poprzedniej jeszcze siedziby szkoły na Grabówku, więc się go nie wspominało, się nim nie chwaliło, się o nim ostatecznie starało zapomnieć. Może i dobrze, bo cóż to za wzór, zwłaszcza dla panienek, wariat, w psychiatryku się leczył, niech w Bieszczadach o nim pamiętają i niech się tam nim inspirują.

O tym wszystkim można było pomyśleć, idąc korytarzem. O tym i wielu innych jeszcze sprawach, taki był długi.

Szatnie przy sali gimnastycznej nie mogły sprawiać wrażenia luksusowych nawet na najmniej wyrobionych użytkownikach czy użytkowniczkach. Aśka przebierała się zatem prędko i nie zastanawiając się wcale nad tym, kogo to wkrótce ujrzy, kto będzie owym nowym nauczycielem.

I wtedy... spadło to na nią jak grom z jasnego nieba. A właściwie spadł – z nieba, słodki i przyprawiający o drżenie – Jacek! Tak, ten sam i niemal taki sam, w tym samym czerwonym dresie Adidasa i w białym obuwiu sportowym.

Piorun poraził ją w wąskim i ciemnym korytarzu łączącym szatnie z salą gimnastyczną, tam się minęli, zamarła, a on bynajmniej nie zwrócił na nią uwagi.

– Dzień dobry – szepnęła, jeszcze na wpół zdumiona, a już szczęśliwa, więc w jej głosie, kiedy znów ją mijał, wybrzmiała zdradzająca cię poufałości zaczepka. Jednak i tym razem ów boski Apollo przeszedł mimo niej właściwie bez słowa, bo jego z kolei dzień dobry wybrzmiało całkowicie bezosobowo, bezpłciowo, tego typu pozdrowień wymieniał każdego dnia setki, nie na to liczyła, tego typu potraktowaniem nie mogła się zadowolić.

Tymczasem on już zaraz zaczynać chciał zajęcia i troszkę był, widać było, zdenerwowany, stremowany. Stały w karnym szeregu. Przedstawił się, życzenie wyraził, by dobrze im się wspólnie pracowało, potem ankietę naprędce zaproponował dotyczącą tego, co to niby szanowne panie lubią najbardziej na wuefie robić, w co grać i tak dalej. Patrzyła w niego jak w obrazek, wciąż nie

wierzyła oczom i tylko jedno nie dawało jej spokoju: że nie rozpoznał jej, nie zapamiętał... I co ci po twojej urodzie, Aśka, no co?! Otóż nic, puchu marny, prochem jesteś i w proch się obrócisz!

W ciągu kolejnych kilkudziesięciu minut zdążyły odbić kilka piłek (więcej czasu zajęło naprężanie sflaczałej siatki niż samo to granie) i dopiero na koniec, kiedy już schodziły do szatni po dzwonku, wyłowił ją wzrokiem i mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Kogo ja widzę, z początku nie poznałem – mówił lekko i wesoło, od razu inaczej się poczuła, każde jego słowo było dla niej jak miód – ale odtąd będziemy się widywać częściej.

Masz ci los, jak na złość się rozchorowała! Gorączka, gardło, oskrzela. Uparła się oczywiście, że pójdzie do szkoły mimo to, inaczej być nie mogło. Niestety matka się nie zgodziła. Słabo, naprawdę słabo, zrobiło jej się wtedy, kiedy zatelefonował zatroskany Tomek – a wcześniej o kontakcie, ale i w ogóle o nim zapomniawsza niedoszła narzeczona. Och, ledwo znajdowała siły, by szeptać do chłodnej słuchawki bolesne namiastki miłosnych zaklęć. Bo tak naprawdę dopiero wtedy ją dopadło: że Tomek. A przecież Jacek. Nie, zaraz, odwrotnie: że Jacek, a przecież ten nieszczęsny Tomek...

Chorowała prędko, intensywnie, niecierpliwie – aż dziwiła się Anusia (i aż się Marek nie zdążył zarazić, na co z całego serca liczył). Bała się, że kiedy wróci do szkoły po tygodniu czy dwóch, wszystkie inne dziewczyny będą już w nowym nauczycielu pozakochiwane, a on nie wiadomo, jak się w tym wszystkim odnajdzie. Bo co, jeżeli straci głowę, jeżeli da się uwieść czy to drapieżnej Magdzie W., tej z czwartej klasy, czy pięknookiej Natalii, czy też Adrianie, powszechnie uważanej za kandydatkę na miss?

Gdy już wróciła, ani myślała korzystać ze zwolnienia z gimnastyki. Jeżeli bowiem miała jakąś przewagę nad potencjalnymi konkurentkami, to przecież właśnie jako sportsmenka.

Złożyło się tymczasem tak, że sprawdzian właśnie przypadał, wyznaczony nieuchronnie dyrektywą kuratorium, sprawdzian ze skoku przez kozła. O jeny, jęknęły dziewczyny, jedna przez drugą niezgranym chórem. Na co to komu, po co, już nas i tak szkoła męczy, dręczy, chwili wytchnienia nie ma, komu jeszcze do szczęścia potrzebny ów skok?

A jednak: kozioł, narzędzie tortur, stanął w centralnym punkcie wielkiej sali, przed nim przyczała się sprężynująca odskocznia, za nim zaś zaległy materace. Nastąpiła rozgrzewka, biegi i skłony, przysiady, podrygi, wymachiwanie ramionami, dla wielu mogłoby to trwać w nieskończoność, do samego dzwonka, nieziemski Jacek w końcu gwizdnął i zaczęło się skakanie. Skakali i faceci, i babki, szło im różnie, dla jednych była to bułka z masłem, dla innych... Nieważne, każdy orze, jak może, dość że udało się uniknąć poważnych kontuzji. Aż wreszcie na sam koniec na rozbiegu stanęła Aśka.

Już w tym momencie pokazała klasę: gdy jedną nogę ugięła w kolanie, a drugą cofnęła daleko za siebie i pochyłona, szeroko rozłożyła ramiona, a wzrokiem celowała już to w odległy o kilkanaście kroków cel, a już to zerkąła na Jacka, wyczekując sygnału do rozpoczęcia próby. Gwizdnął, a właściwie świsnął, bo jakieś zafałszowane wyszło owo gwizdnięcie, jakby mu się gwizdek źle w ustach ułożył lub jakby się zaślinił, przytknął. I może właśnie dlatego Aśka niby ruszyła, tak, właściwie to ruszyła, ale też od razu przystanęła, zdezorientowana. A jednak to był właściwy sygnał, innego miało nie być, choć wypadł tak słabo, nieudanie, zatem nie było na co czekać, znów ruszyła, zdążyła złapać właściwy rytm, nieco spóźniony, ale oto już dobiegała do odskoczni, oto wskoczyła na nią obiema nogami, deski naprężyły się i natychmiast zareagowały, pomagając sportsmence wybić się w górę.

Cóż, coś się jej pomyliło, coś pokiełbało, w ostatniej chwili, w krytycznym ułamku sekundy mózg wysłał sprzeczne sygnały. Wiedziała, przecież wiedziała, że nad kozłem ma właściwie przelecieć, ma tylko na moment dotknąć go rękoma,

musnąć go w końcowej fazie lotu, by w ten sposób zaznaczyć dwutaktowy rytm ćwiczenia; a nogi ma mieć przy tym rozłożone, ma nimi minąć lśniący skórą kadłub, lewą nogą z lewej strony, prawą z prawej. Wszystko to doskonale wiedziała, lecz...

Nie wiadomo, dlaczego już po odbiciu złączyła kolana i podciągnęła je w górę – niczym narciarz zjazdowy w czasie swego skoku. Niestety odbiła się przy tym zbyt słabo, za słaby wzięła przecież, wstrzymany na starcie, rozbieg, więc choć już prawie udało się jej przeskoczyć nagle wysoką i długą przeszkodę, to jednak w ostatniej fazie zahaczyła o nią stopami i wtedy jej płynny dotąd lot złamał się nagle, lecz nieuchronnie i zaraz runęła głową w dół, postrzelona śrutem gołębica – bo tak też wyglądała w swym białym, gimnastycznym stroju – na szczęście jeszcze zdążyła, ratując się rozpaczliwie, wyciągnąć przed siebie ręce, i tylko dlatego nie spadła twarzą na materace, a przeturlała się przez nie niezgrabnie i wylądowała już – albo aż – na twardym parkiecie za nimi.

– Ła! – jęknęło znudzone dotąd towarzystwo. Oszołomiona chciała natychmiast zerwać się i powtórzyć nieszczęsną próbę. Jacek zdążył podbiec, gdy gramoliła się niezdarnie.

– Nic ci się nie stało? – zawołał.

Pokręciła głową, a w oczach miała łzy. Łzy upokorzenia, nie bólu. Kiedy się zachwiała, podtrzymał ją mocno ręką.

– Kurcze, nie spodziewałem się czegoś takiego po tobie – powiedział ni to z troską, ni z wyrzutem. – Przecież trenujesz!

– Już nie – wyszeptała.

– Już nie?

– Teraz śpiewam – wyznała w nagłym przypiływie niezrozumiałej nawet dla niej samej dumy. – Śpiewam w zespole. Nowofalowym.

ROZDZIAŁ 7

KWIATEK DO KOŻUCHA

Odkąd wyznała, tak jest, wyznała, bo taki to miało, intymny wbrew nieszczęsnym okolicznościom, charakter, a zatem odkąd wyznała, że śpiewa w zespole, nie miała już odwrotu. Tymczasem i babka Bestii się zbiesiła, a właściwie to ponoć jej koty, które pod wpływem mrocznej muzyki zupełnie osowiały, dość że Poppycok in Action szukać musieli nowej sali prób. Znaleźli ją szczęśliwie w kinie Zacisze w Redzie. Spotykać się tam mogli przedpołudniami, zatem siłą rzeczy w grę wchodziła jedynie sobota (bo w niedzielę w kinie wyświetlano stworzone z myślą o dzieciach poranki). A jednak byli zadowoleni, zaś szczęście było podwójne: tak cudownie wywalczona przestrzeń do grania znajdowała się przecież w kinie na niewielkiej scenie za ekranem. Wystarczyło go zdjąć, by nagle, jak w bajce, znaleźć się na prawdziwej estradzie i mieć przed sobą salę pełną kinowych foteli – jak U2 w *Pride*. W nich, tych fotelach, co prawda jeszcze nikt nie siedział, ale też w takich okolicznościach łatwo było sobie wyobrazić porwaną entuzjazmem widownię.

Niestety, Syrop wykazał się przy okazji nadspodziewaną gorliwością. Oto bowiem na pierwszą próbę w nowym miejscu zaprosił owego kolegę, o którym zdążył opowiedzieć wcześniej. Dzojs się wściekł (i zdusił tę wściekłość w sobie), uznał bowiem działanie Syropa za zamach na tak nieoczekiwanie wywalczoną, ale jednak, zdawać się mogło, od razu ugruntowaną pozycję Aśki w zespole. Ona również poczuła się dodatkowo stremowana. Wszelkim niesnaskom i niepokojom udało się na szczęście zapobiec Korbie:

– Spróbujemy, zobaczymy, ostatecznie możemy mieć duet wokalistów. Zdarzało się w historii, że taki układ doskonale się sprawdzał.

Aśka tymczasem szamotała się. Tak przynajmniej zdarzyło się jej o własnym stanie ducha pomyśleć i nawet polubiła owo określenie, ów opis: niczego innego jak właśnie szamotania. Prócz tego zaś cierpiała szczerze, targana wątpliwościami i wyrzutami sumienia. O Jacku starała się nie myśleć, a widząc go, z konieczności dostrzegać chciała wyłącznie wady mężczyzny: jego kulfoniasty, nie dało się ukryć, nos, dość skrzekliwy głos, pomięty, a czasem i poplamiony dres. Ba, im dłużej się nauczycielowi przypatrywała, tym wyraźniej to wszystko dostrzegała. Wpatrywała się więc i wpatrywała, i to aż za często, a kiedy spotykały się ich spojrzenia, wtedy peszyła się, zresztą oboje, miała wrażenie, się peszyli, błyskawicznie odwracali spojrzenia. Dziwny był, coraz mniej atrakcyjny, nie dawało się tego ukryć. Ale i zerkał, bez dwóch zdań, gdy zerkała i ona. Cóż więc mogła sobie myśleć, albo też jakim cudem myśleć przestać?

Z Tomkiem spotykała się wciąż, lecz rzadziej, on zresztą wziął się do pracy, wreszcie serio myśląc o nadchodzących wielkimi krokami egzaminach. Po maturze startować miał na historię, bo przecież nie na prawo, mówił, tam się nie dostanę, tam trzeba mieć koneksje, zresztą cóż to za prawo, ubeckie, komusze.

– Tak, pójdę na historię – powtarzał uparcie, szczerze, zdawało się, zaciekawiony czasami odległymi, a zwłaszcza piętnastym lub dla odmiany siedemnastym stuleciem. – To wtedy Polska okrzepła i urosła, a później rozsypała się jak domek z kart – tłumaczył.

Z ich grona tylko Bestia był młodszy, miał jeszcze czas, by się zastanawiać, za to Syrop zdawać miał na ekonomię, a Korba oczywiście na politechnikę.

– Inżynier może robić swoje – perorował – inżynierowi nie złamią sumienia.

I zerkał przy tym na Bestię, a Bestia marszczył brwi, zamykał się w sobie i mamrotał coś niezrozumiale, wiadomo, jego stary był dyrektorem, a więc należał do partii, Bestia w ten sposób nasiąkał, uważali, pokorną zgodą na system

i zdarzało mu się powtarzać propagandowe zaklęcia: że trzeba pracować, budować, a nie jątrzyć, i że to Solidarność odpowiada za puste sklepy i klęskę gospodarki.

– Człowieku! – napadali wtedy na niego. – Człowieku!

Kiedy nie chciała się z nim spotykać, Tomek tłumaczył to troską dziewczyny o przyszłość swego kiedyś być może męża. Doskonale rozumiał, że zależy jej na tym, by pomyślnie przebrnąć przez wszelkie egzaminy. Domyślał się, że i ona tęskni – ale proszę, jakoś dawała radę, więc i on musiał! Inna sprawa, że dziwnie zamysłona, albo raczej roztargniona, w każdym razie smutna i przejęta wydawała mu się również wtedy, kiedy mimo wszystko się spotykali. Ale i to potrafił sobie wytłumaczyć.

„Tak, to pewne – dumiał – oto Aś przeżywała swą nową rolę wokalistki. Wciągnęła ją ta perspektywa, otworzyła na nieznany wcześniej duchowy wymiar. I bardzo dobrze, bo oto pojawiły się w jej życiu doznania, które tym bardziej muszą połączyć ich oboje, pomóc stworzyć harmonię dusz. Prawda?”

– Solistki – śmiała się w odpowiedzi Aś – polubiłam rolę solistki, a nie wokalistki, wiesz, Tom, mój tato używa tylko tego słowa. Solista, solistka, rozumiesz?

– Dobrze, możesz być i solistką – zgadzał się ochoczo, nareszcie oddychając z ulgą, bo dawno nie słyszał, żeby się Aś śmiała. Choć tak jakby nerwowo.

No i masz ci los, nici z solistki, bo co to za solistka, gdy śpiewać ma w duecie? Diabli nadali tego nowego!

Ustalili też, że miała pisać teksty. Decyzja w tej sprawie zapadła w czasie jednego ze spotkań w mieszkaniu Tomka, stłoczyli się wtedy na kilku metrach kwadratowych pokoju z widokiem na opadającą w dół skarpe i szeroką ulicę prowadzącą do Chwaszczyzna. Tu kończyła się Gdynia, zaraz opasywała ją swym mocnym ramieniem obwodnica Trójmiasta.

Najpierw żartowali, potem o sprzęcie mówili, tego zawsze było mało,

owszem, Bestia miał peaveya, ale reszta musiała się obejść produktami polskiej albo i ruskiej myśli technicznej. Niedawno wybrali się do Pucka – Dżojs z Syropem – skąd przywieźć mieli potężny wzmacniacz lampowy, i owszem, przywieźli, tyle że już na miejscu, wkrótce po próbnym podłączeniu go do prądu, z trupa poszedł dym, po nim swąd i wraz z nim w powietrze uleciało kilka składkowych tysięcy. Ale się nakłęli na sprzedawcę, dziada, to był grajek, jak mówił, z Batorego i z promów, tam niby grał, stamtąd miał ów wzmacniacz, a teraz im go wcisnął, naiwnym łebkom.

– Trzeba tam wrócić – denerwował się Korba – gościa wziąć za fraki, obić go, a przynajmniej postraszyć! No niby tak, lecz jak?

– Pogadam z kumplami, arkowcami! – Korba nie dawał za wygraną. – A może wystarczy przewinać transformatory? – zastanawiał się Dżojs. – Nie, nie wystarczy! Człowieku! Wiesz, ile to będzie kosztować? Pięć razy tyle, co ten grat! – Korba wiedział, co mówi, bo w całym składzie to on był liderem w kwestii posługiwania się lutownicą, cyną i kalafonią, on jeden potrafił zapanować nad metrami kabli o nadwyreżonych wiecznie końcówkach, nad przetwornikami w gitarach i nad efektami – tymi, co to dodawały dźwiękom echa, pogłosu czy charakterystycznego rockowego brzmienia. Dla szarpidrutów takie efekty to być albo nie być.

No i fakt, coś trzeba było z tym fantem zrobić, jeżeli facet, stary wyga, cwaniak, okazał się oszustem, to należało wyegzekwować zwrot pieniędzy. Umówili się, że jeszcze raz do niego pojedą, tym razem z buńczucznym Korbą na doczepkę, że upomną się o swoje, nie dadzą okpić.

– Najgorsze, że dziad powie – smętnie wieszczył Dżojs – iż sprzęt działał, kiedy go nam dawał...

– A działał? – denerwował się Korba.

Dżojs spojrzał na Syropa.

– Podłączyliśmy, lampy się świeciły, dziad mówił, że akurat nie ma gitary...

Tak właściwie to nie wypróbowaliśmy.

– Co za jełopy, gamonie! – rwał włosy z głowy Korba.

I znów było tak, że Bestia jej właściwie nie zauważał, Korba nie słuchał i tylko Syrop uśmiechał się przyjaźnie.

– Aś – powiedział w pewnym momencie Dzojs, chcąc przy okazji zmienić temat – to znaczy Asia – poprawił się prędko – będzie też pisać teksty.

– Dobra, niech pisze – machnął ręką dragal.

– Pisz – mrugnął okiem Syrop.

– Nie wiem, czy dam radę – próbowała się jeszcze krygować.

– Ważne, żeby walić w system jak w bęben – tego Korba był pewien. – Hej, czy nie wiecie, nie macie władzy na świecie – zanucił.

– Ale chyba po angielsku? – zdziwił się Syrop.

– No, ja to bym właśnie wołała po a... – zaczęła.

– Jak to po angielsku? – uniósł brwi Korba.

Spojrzała na Tomka. Skinął nieznacznie głową, by dała spokój, bo jakoś to będzie.

I tak to właśnie z nimi było.

– Swoją drogą – odezwał się jeszcze Syrop – jeżeli wszyscy mamy ksywki, to i Aśka mieć powinna.

– No i?

Kiedy z niespodziewanym nawet jak na niego zapałem przedstawił swą propozycję, Aśka zarumieniła się.

– Przecież ja wcale nie wyglądam na Indiankę!

Wtedy Syrop także się zaczerwienił, a Dzojs z trudem ukrył zażenowanie. Jednak Korba z Bestią pomysłowi przyklasnęli – ku ponownemu zawstydzeniu Aśki. Choć w głębi duszy poczuła mimo wszystko dumę. Może by nawet włosy zafarbować na kruczoczarne? – zastanowiła się.

Pewnego wieczoru przysiadła nad kartką. Próżny trud, nic nie przychodziło jej do głowy, właściwie tylko Jacek, wciąż krążący, niczym odległy satelita, zimne, nieprzyciągające ciało niebieskie. A prócz niego Tomek: oto oszukiwała go przecież, nie była wobec niego szczerą, nie mogąc i nie potrafiąc przyznać, że wbrew swej woli nie jest mu wierna – przynajmniej w myślach.

– Okrutny – wokół takiego oto słowa zaczęła krążyć, swe okrucieństwo, swą zdradę rzutując na adresata przyszłej piosenki. Okrutny, ranisz... „Cruel... You are so cruel”...

A Marek puszczał wtedy na okrągło Marillion, „so here I am once more in this playground of the broken hearts”... Ach, jakże tego nie znosiła! „Yet another emotional suicide”...

– Wyłącz to! – wrzasnęła. O dziwo, posłuchał, to znaczy magnetofonu nie wyłączył, ale naciągnął na skołunioną głowę szeroki pałąk słuchawek. I czy jej się wydawało, czy też w jego oczach dostrzegła łzy?

Tekst nie powstał ani tamtego, ani żadnego kolejnego wieczoru.

– Na początku będziesz śpiewać jak Elizabeth Fraser. Albo Lisa Gerrard – uznał Tomek, gdy maluchem jego rodziców jechali do Redy na pierwszą po tak długiej przerwie próbę. – Będziesz po prostu frazować i może uda ci się stworzyć własny język, język emocji, nieprzetłumaczalny na żaden inny, ale przecież zrozumiały dla tego, kto zechce.

– Uważaj – poprosiła, gdy hamowała przed nimi wielka ciężarówka, a on za bardzo się rozgorączkował.

Nowy już studiował – anglistykę. Wysoki, barczysty, jego ramiona oblewały fale skręconych w śródziemnomorskim typie włosów. Oczy miał ciemne, rysy wyraziste, mówił głośno i równie głośno się śmiał. Słowa często wspierał gestami, a kiedy chciał być jeszcze bardziej przekonujący, kładł rękę na ramieniu rozmówcy czy rozmówczynie. O tym wszystkim przekonała się oczywiście później, ale już tego pierwszego dnia, zanim przywitał się z chłopakami, zwrócił

się ku niej, lekko przechylając głowę, mrużąc oczy i wyciągając dłonie.

– Witaj – zamruczał – bardzo chciałem cię wreszcie poznać. Mam nadzieję, że dobrze nam się będzie współpracowało.

Sprzęt z kantorka wyciągali na scenę z namaszczeniem, nie mówiąc wiele. W pewnej chwili wydali jej się wręcz ministrantami przygotowującymi mszę, skupionymi, poważnie traktującymi te wszystkie swoje dzwonki, ampułki i księgi. Czuli treść? Być może. Ona odczuwała ją na pewno. I tylko nowy wciąż zagadywał, o wszystko wypytywał i na wszystkim się znając.

Zajęczały gitary, zadudnił bas, odpowiedziały mu bębny. Jeszcze tylko Bestia grzebał przy pokrętach, aż wreszcie i on był gotowy.

Niczego nie musieli ustalać, wiadomo było, od czego zaczną. Wystarczyło zatem, by Dżojs skinął głową, a Syrop zaczął swój marsz na werblu. Zaraz roztańczył się Korba i zafalowały akordy. Czekala przy statywie, najpierw chwyciła go obiema rękami w połowie wysokości, ale wkrótce podciągnęła dłonie, składając je na mikrofonie. Zakołysała też biodrami, a w niebieskich dżinsach i czarnym golfie musiała się podobać, czuła to. I wtedy Dżojs zgubił rytm, aż spojrzeli na niego zaskoczeni. Krótkim gestem pokazał, by nie przerywali, po czym dołączył i znów przepłynąć musiało kilka taktów, jeszcze raz zbudować się nastrój, tak by wezbrały rzeki dostojnej, melancholijnej melodii.

Zaczęła spokojnie, intymnie, mruzczała z wyczuciem, przy drugim wersie dając z siebie więcej, ale nie zapominając też o tym, by zakończyć go nisko, z dobrze wygranym bólem. I niby wszystko było jak wtedy, za pierwszym razem, ale też już kilka tygodni minęło od tamtej udanej próby, więc poczuła niespodziewanie, że brak jej owych skrzydeł, które niosły ją przy debiucie.

Nowy przysiadł na rozkładanym krzeselku, swój mikrofon trzymał w dłoniach, no trudno, nie mieli drugiego stojaka, i zmarszczywszy czoło, przyglądał się najpierw chłopakom, a potem już tylko jej. Bardzo mu się spodobała. Jej jasna twarz otoczona przez ciemne włosy i dyskretne srebrne

kolczyki.

Nie pomylili się, nic im nie przeszkodziło, popłynęli przez zwrotki i refreny, dali się unieść w górę nastrojowej solówce Bestii – zabrzmiał, doprawdy, jak Gilmour z Floydów – a wreszcie wyciszali się stopniowo w przeciągającym się, coraz wolniejszym i coraz smutniejszym finale.

Kiedy skończyli, natychmiast zaklaskał energicznie.

– Świetnie – stwierdził. – To wasze? Masz talent, dziewczyno – zwrócił się ku Aśce.

– Tak sądzisz? – zarumieniła się.

– To co – Korba ani myślał tracić czasu na zbędne pogaduchy – teraz spróbujesz ty?

– Ja? Sam?

– A jak?

– Nie, no grajcie, koleżanka niech śpiewa. Ja dołączę. Już wiem, o co chodzi.

Zatem zagrali, a on dołączył w trakcie drugiej zwrotki. Aśka chciała wtedy przerwać, odsunęła się nawet od mikrofonu, ale dał znak, że nie, że nie powinna... – Stop – zażądał, gdy się zawahała. – Stop.

– Zaczynamy jeszcze raz – dyrygował już na całego. – Róbcie swoje, ja też zrobię swoje. Może drugi refren spróbuję sam – spojrzał na Aśkę – jeżeli pozwolisz?

Więc znów, od nowa, taki to już urok prób. Tak się wśród trudów wykuwa doskonałość.

Z początku tylko jej wtórował, tak jakby osnową wplatał się w wątek, który tkła. Lecz głos miał ciepły, a przy tym głęboki, miękki, ale silny, to już teraz dawało się słyszeć. Aż zadrżała jej krtań, aż pomyślała, że to ona musi się dostosować do niego, musi nauczyć się mu odpowiadać, musi czujnie wychwytywać nadawany piosence nowy kierunek i za żadne skarby nie popsuć całości swym zbyt jednostajnym, płaskim w sumie brzmieniem i artykulacją.

W refrenie dał już z siebie wszystko, gdy śpiewał o bólu, to potężnie, gdy o tęsknocie, to tak szerokiej, tak nieprzepastnej, że zdawać się mogło, iż zaraz runą mury Zacisza i otworzy się przestrzeń, ale nie, nie na zapyziałe miasteczko, lecz na jakieś niedające się objąć wzrokiem, niekończące się po horyzont, targane wichrem pustkowia. A oni grali, kiwając się rytmicznie i jakby płynąc przez ów przestwór. I tylko Aśka nie wiedziała, jak się w tym wszystkim odnaleźć.

Finału dograć im nie pozwolił. A szkoda, bo to finał był dla Dżojsa najważniejszy, dopiero w nim, choć sam nie miał w tej partii zbyt wiele do zagrania, Tomek oddawał się swojej piosence całkowicie, dopiero ów wieńczący dzieło transowy pochód akordów, owo powolne wyciszanie stanowiło – jego zdaniem – istotę kompozycji. Ale nie, nowy przerwał im kategorycznie, wchodząc z tupetem w środek kręgu, jaki bezwiednie stworzyli.

– No i co? – chciał wiedzieć. – Może być? – spojrzał na Aśkę.

– Jasne – wzruszyła ramionami. I aż się jej ten gest wydał zbyt oschły, ostentacyjny, niechętny, a nie chciała przecież – nie chciała, prawda? – by ktokolwiek pomyślał, że czuje się urażona, dotknięta swą nagle pomniejszoną rolą, swym bladym na tle konkurenta występem. – Bardzo dobrze – dodała zatem pospiesznie – przecież wiesz, musisz wiedzieć.

– Ale co, chłopaki? – zwrócił się do reszty. – Bo nic nie mówicie.

– Świetnie było – podsumował Korba. – Wreszcie mamy to, czego szukaliśmy.

Tego dnia spróbowali jeszcze kilku innych numerów. Nowy dokazywał, potrafił i krzyczeć opętańczo, i skandować nerwowo, ale potrafił też śpiewać – nawet gdy mogło się wydawać, że nie ma do czego. Kilka razy skrzywił się, słysząc toporne, surowe propozycje chłopaków, kilka razy zasugerował im: a to by zmienić sekwencję akordów albo by je inaczej zagrać – mniej agresywnie, w innym rytmie. Podpowiadał też Aśce, znajdował dla niej przestrzeń, aż w końcu w pewnym utworze udało im się stworzyć zgrany duet: gdy ona

wykrzykiwała drapieżną kwestię, a on parodiował ją, przedrzeźniał, zabrzmiało to nerwowo, kabaretowo, jak dialog szaleńców, nic, tylko lecieć z czymś takim na sceny w Jarocinie.

Korbie podobało się, Syrop też wreszcie poczuł, że robi się wesoło, a i Bestia, gdy nowy wręcz zachęcał go do solówek – ale nie takich zwykłych, kuźwa, nie jesteśmy Deep Purple, wyluzuj, niech to będzie szalone, niezwykle – no więc i Bestia się rozbrykał i już nie tylko łypał nerwowo spod czoła.

– Co sądzisz? – zapytała Tomka, kiedy podwoził ją pod dom. Bo on z kolei nie mówił tego dnia wiele, nawet teraz, gdy już zostali w aucie we dwoje.

– Muszę to wszystko przemyśleć – wydusił z siebie wreszcie.

– Nie podobało ci się? – zdziwiła się i zrobiło się jej przykro, bo chwilę wcześniej nuciła ową szaloną przekomarzaną, jaką z wcześniej dość jednostajnej i chyba nudnej piosenki wyczarowali pod dyktando nowego.

– Nie chcę grać dżezu, wiesz – wycedził przez zęby. – Jakbym chciał, to bym grał...

Tego dnia nie żegnali się długo, a on nie chciał wstąpić na górę.

– Trudno – powiedziała, w duszy czując ulgę.

ROZDZIAŁ 8

ZŁAMANE SERCE

Dziura w ziemi, którą rodzice mieli zamiar ich olśnić, jeszcze mocniej rodzeństwo przygnębiła. Już jadąc w stronę obwodnicy, milczeli ponuro – w kontraście do rozgadanej matki, bo ta nie zważając, a może właśnie zauważając, lecz chcąc zagadać ich marny nastrój, roztaczała wspaniałą wizję mieszkania na przedmieściach, na wspaniałym w przyszłości osiedlu. Gdzie będą mieli pokoje na rozległym poddaszu i wielką kuchnię oraz jadalnię, i nie jedną łazienkę klitkę, słuchasz Asiu, lecz dwie, a może nawet trzy.

– Trzy to nie – śmiał się na to ojciec – trzy to jednak za dużo!

– Dobrze, w takim razie na dole, przy garażu i kotłowni, urządzimy pralnię. A poza tym będziemy mieli ogród – znów zwróciła się w stronę tylnych foteli – posiejemy trawę, jakieś krzaki, porzeczkę. Miło będzie latem wyjść i napić się kawy.

A teraz stali nad owym osypującym się wykopem, stali jak nad grobem, od dłuższej chwili w milczeniu.

– Nie przesadzajcie! – roześmiał się ojciec, niby lekko, beztrosko, a przecież nerwowo, co doskonale wyczuli. Bardzo był zawiedziony ich niezrozumiałą reakcją.

Przyszła już wiosna, pola zazieleniły się, całkiem blisko szumił las, a jeszcze bliżej, w dzikich chaszczach, kotłowały się ptaki. Ale szumiała też obwodnica, bo to tuż za nią było, na prawdziwym końcu świata.

Wokół, gdzie nie spojrzeć, straszły wilgotne po deszczach bryły betonu. Na

innych prowizorycznych uliczkach kilka domów zdążyło się już co prawda wspiąć na drugie piętra, część z nich wieńczyły nawet belkowania przyszłych dachów. Ale nie tu, na skraju osiedla, gdzie zamarły jedynie w bezruchu chropowate płaszczyzny wylewek po podpiwniczeniach. Nie licząc oczywiście owego dołu, ich dołu, na samym końcu długiego szeregu. Oni, by przytulić się w przyszłości do sąsiada, zaczynać musieli od zera.

– Nie przesadzajcie – wtórowała tymczasem mężowi Anusia – ludzie z Karwin dojeżdżają, a to tylko kawałek bliżej. Zresztą jeździć będą autobusy, a może z czasem i trolejbusy, kiedyś i mnie Chylonia czy Obłuże wydawały się daleko, a przecież ludzie tam jakoś żyją!

No właśnie: jakoś – myśleli oboje, Aśka i Marek, przeczuwając swój marny los, wyobrażając sobie zimy, gdy iść trzeba będzie w śnieżycy na przystanek, a potem tłuc się wiele minut w nagrzanym do zaduchu, albo wręcz przeciwnie, wychłodzonym autobusie-kostnicy, by jakoś dotrzeć do owych ludzi, do miasta.

– Na dobre zaczniemy w przyszłym roku – tłumaczył ojciec, który to już raz – bo nie ma sensu sztukować, etapami budować, zarobię, to ruszymy ostro, z kopyta, w jeden sezon postawi się mury, a potem dom wykończymy. Za dwa lata, no, może trzy, zamieszkamy...

Jak wiele to Leszka kosztowało, nikt nie wiedział lepiej od Anusi. W dawnych czasach handel nie szedł mu zbyt dobrze, do tego trzeba było mieć tupet, a nie mieć zahamowań, nie czuć nie tyle strachu, gdy wynosiło się na przykład kupione w Antwerpii džinsy – para po parze, na własnym tyłku, codziennie, tak, by nie rzucić się w oczy celnikom – nie tyle zatem strachu, co wstydu przed owym strachem, wstydu ponizenia, gdy na jednej parze kupionej za kilka dolarów zarobić można było w Polsce marne drugie tyle. Sprzedawało się to nie tylko właścicielom stoisk w gdyńskiej hali, ale, gdy rynek Wybrzeża za bardzo się nasycił, również w Toruniu, Bydgoszczy czy Poznaniu. Zresztą nie

tylko w Polsce handlowano, nie tylko z polskimi urzędnikami trwała wojna w ciuciubabkę, bo z wszystkimi innymi też: w Afryce, gdzie upłynniało się kremy Nivea, w Ameryce, gdzie szedł sowiecki kawior, wszędzie, po prostu wszędzie, gdzie tylko wyczuło się popyt na cokolwiek.

Za marnych parę dolarów zysku... Tylko jaką one miały wartość! Poza tym ziarnko do ziarnka, nie od razu Kraków zbudowano, a właśnie z owych dolarów, tak wiele w kraju-raju socjalistycznej szczęśliwości wartych, tak tu nad Wisłą bałwochwalczo czczonych, wyrastać zaczęły w Gdyni całe wspaniałe osiedla: nylonowe – gdy najlepiej schodziły pończochy – zegarkowe, dzinsowe i inne. Kto potrafił się zakręcić, ten nie musiał długo wegetować w byle bloku z kruszącą się wielkiej płyty. No chyba, że w blokach nad morzem, choćby przy Chopina, na to Leszkowi starczyło umiejętności, kiedy młodszy był, nerwy miał silniejsze i więcej determinacji, bo rodziły się dzieci. Pożyczył wtedy i od brata, jakoś dał radę, krezus, powie ktoś, na czterdziestu paru metrach.

Teraz na szczęście zarabiał już w walucie, cóż to było, kilka stówek, poniżających, gdy je porównywać z pensjami marynarzy zachodnich. A jednak: w końcu dawało się żyć, odetchnąć, marzyć. I tylko jednego żałował: że go tak późno spod kurateli państwa pod panamskie czy cypryjskie bandery wypuszczono.

Kiedy u wylotu błotnistej, choć niby wyłożonej betonowymi płytami uliczki zawarczał silnik samochodu, spojrzął na żonę. – To oni – powiedział, mając na myśli przyszłych sąsiadów, tych, do których mieli się wkrótce dobudować. Facet był grubawy, czerwony na twarzy, jego małżonka wysoka i zasuszona.

– Przejdę się – burknął Marek.

– Pójdę z tobą – prędko doskoczyła Aśka. Skrzywił się, bo do niczego mu nie była potrzebna.

Chłopak zmienił się w ciągu ostatnich kilku miesięcy, pierwsza zauważyła, że

coś z nim nie tak. Dojrzał, lecz nic dziwnego – przy takim nieszczęściu!

Jeszcze rok temu, kiedy ojciec przywiózł pachnący, zafoliowany dwupłytowy album, mogli się spierać: gdy ona od samego początku wołała nostalgiczne „If only tonight we could sleep (in a bed made of flowers)”, on szalał za radosnym, bez mała dyskotekowym *Why Can't I Be You*. Wsiąkł później w tę muzykę, co rusz zdobywał u starszych kolegów i przegrywał opisywane później ręcznie kasety z wcześniejszymi płytami zespołu. Aż tu nagle słuchać zaczął wyłącznie *Pornografii* („nie ma znaczenia, że wszyscy umrzemy”...), ewentualnie sarkastycznego i w jakiś sposób zatruwającego *Shake Dog, Shake*. Gdy zaś wracał do owej *Kiss Me, Kiss Me, Kiss Me*, to już tylko dla jej początku: pełnego furii *The Kiss*.

Kilka lat wcześniej jeszcze wspólnie wysyłali w swym mniemaniu nader grzeczne, ale i konkretne listy: „Dear sirs, I very interested in you Production”. Do Coca-coli na przykład, do Forda albo do Talbota (czy ktoś w ogóle widział te auta, czy mógł je znać? Nieważne, grunt że na szkolnej giełdzie pojawił się adres ze wzorem listu), do Lego. „My hobby is propects and laebls. Best Reagans”... Pełno było w tych listach podobnych literówek, ich liczba rosła lawinowo wraz z każdym kolejnym przepisaniem. Z kolei w adresach zawsze zastanawiało owo tajemnicze P.O. Box (czy to nazwisko, czy stanowisko?). Najważniejsze, że trafiały tam, gdzie miały trafiać, a potem nadchodziły odpowiedzi. Inny świat. Grube, pachnące koperty, a w nich naklejki i prospekty, czasem wielkie plakaty albo garść kolorowych długopisów.

Później Marek już sam pisywał do klubów piłkarskich, do Juventusu albo Bayernu, to zresztą zbiegło się u niego z prowadzeniem zeszytów, w których komentował mecze i zapisywał ich wyniki. Pod niebiosa przy tym wychwalając Diego Maradonę i zbierając jego niewyraźne, ziarniste fotografie wycinane ze „Sportowca” – jakże różne od zdjęć z niemieckich magazynów sportowych, które ojciec pewnego razu wspinałomyślnie przywiózł z Hamburga.

A teraz pisał do The Cure, zaś oni przysyłali mu pachnący farbą drukarską newsletter. Kazał wtedy siostrze tłumaczyć artykuły i wywiad, oraz recenzje i zapowiedzi koncertów – których nigdy nie mieli zobaczyć.

Pewnego dnia zastała go, gdy słuchał *Boys Don't Cry* i płakał. Płakał, teraz nie mogła już mieć wątpliwości, na pewno ocierał łzy, choć za moment wrzeszczał, że to przez katar! Zaraz zerwał się, uciekł, wybiegł z domu i wrócił bardzo późno.

Wkrótce wyszło szydło z worka.

Dawno temu, w zamierzonych czasach, których znać nie mogli, Gdynia ponoć przyciągała. Ale od pewnego czasu raczej się z niej wyjeżdżało, uciekało, zresztą jak i z całego kraju. Ilu nie wróciło z tych, których stan wojenny zastał w obcych portach? Ilu schodziło z pokładów już później? W Hamburgu, Rotterdamie, Londynie. Schodziło ze statków handlowych, z promów, z „Batorego”. Z kilkoma banknotami w kieszeni, czasem z adresem rodziny lub lata całe niewidzianego znajomego, i ten adres był ich jedyną polisą ubezpieczeniową na pierwsze dni wygnania. Wygnania, tak jest, wygnania, ponieważ okupionej porzuceniem rodziny, lecz wszędzie dobrze, gdzie was nie ma, komuchy, wszędzie dobrze, choć od domu daleko, byle od was z dala, od upodlonego przez was kraju, człowiek chce żyć, zwłaszcza ten, który wie, bo zobaczył, jak żyć można, bez – zdawało się – trudu, bez nerwów, a za to z nadzieją, że powoli i cierpliwie uda się do czegoś w życiu dojść – i wtedy się ściągnie rodzinę – bez konieczności płaszczenia się, bez strachu przed skundleniem, po prostu, zwyczajnie. W ten sposób uciekało się przed systemem, ale też przed ludźmi, bo co ten z nimi robił, to właśnie było najgorsze.

Ileż się znało, chodząc do szkoły, koleżanek i kolegów, których ojcowie – ale zdarzało się też, że to matki skazywały się na rozłąkę z mężami i dziećmi – a więc których rodzice ślali im w geście rozpaczliwego zadośćuczynienia piórniki czy zeszyty z Kanady, Stanów albo Australii.

Więc to może dlatego pewnego wieczoru, gdy ojciec dodzwonił się do rodziny za pośrednictwem Gdynia Radio, Aśce wydawało się, że matka prosi go, by nie zostawał? Bo też czego innego mogły dotyczyć słowa: nie rób nam tego, Leszek, nie rób, my tego nie zniesiemy... Marek spał, oddychał rytmicznie, a jej zrobiło się gorąco, przeszył ją strach i nie znajdując przed owym lękiem innej ucieczki, uciekła się do modlitwy: gorliwej jak nigdy wcześniej i może już nigdy później. Tej nocy śniły się jej delfiny, ale i krew, morze zabarwione krwią, przebudzona z trudem łapała powietrze i aż do świtu wierciła się w łóżku, przewracając z boku na bok.

Gdy Marek dał się już wypchnąć do szkoły, zapytała Anusię:

– Mamo, czy tato do nas wróci?

Matka zdrętwiała, zrobiła wielkie oczy.

– Asiu, co ci przyszło do głowy?

– Ja bym nie chciała, żeby został za granicą.

– Ależ skąd, kochanie, nie ma o tym mowy!

– Wydawało mi się, że o tym wczoraj rozmawialiście.

– Przyśniło ci się, słoneczko – Anusia objęła córkę, ucałowała ją w czoło. –

Musiał ci się przyśnić!

Więc może i tak właśnie było? Może się przyśniło?

Lecz stąd się właśnie wzięła owa tragedia Marka: do swojego ojca, do Kanady, dołączyć miała jego wielka miłość. Rok wcześniej do Niemiec wyjechał najlepszy kolega. A teraz ona? Madzia?

O niczym rzecz jasna w domu nie powiedział, ale matka dowiedziała się na szkolnej wywiadówce. A wcześniej, gdy szedł do dziewczyny na urodziny, to koszule kazał sobie wyprasować, fular zawiązał pod szyją i ojca wodą się skropił. I pieklił się jeszcze, że nie ma marynarki. (Koniec końców, poszedł wtedy w swetrze – i czuł się jak znajda, dziecko wojny). A wkrótce ich Aśka na ulicy

zobaczyła, stali, trzymali się za rączki, a potem on ją, małolat drugą małolatę, przytulił. Opowiedziała o tym w domu, a jakże, miały z mamą ubaw, dobrze, że nie słyszał.

Teraz szedł, kopiąc kamienie i resztki po szalunkowych deskach, a te z chlupotem wpadały w coraz dalsze kałuże. Szczeniak, jeszcze dwa lata temu zakochany w boskim – jak pisał w zeszycie – Maradonie.

– Ja się tu na pewno nie przeprowadzę – odwrócił się w stronę siostry. – Psy dupami szczekają, ptaki zawracają – dodał hardo.

– Opowiadasz, przyzwyczajamy się. Zresztą co zrobisz?

Milczał. A ona domyślała się: że do Ameryki ucieknie, że pewnie o tym marzy – by ruszyć śladem ukochanej.

Współczuła mu, naprawdę.

– Nie ta, to inna – palnęła jednak zniecka, bo przyszedł jej do głowy boski Jacek, również piłkarz.

– O czym ty mówisz? – wściekł się, zaperzył, siostrze debilce udało się dotknąć go do żywego.

– Przepraszam – jęknęła poniewczasie. – Przepraszam – usiłowała objąć go, przytulić, ale się wywinął.

– To wszystko jest bez sensu – zawołał. – Świat jest bez sensu, nie ma w nim żadnej logiki!

Ot, filozof, domorosły egzystencjalista. A cóż on mógł, dziecko, o tym świecie wiedzieć?

ROZDZIAŁ 9

UCZCIWA DECYZJA

Siedzieli w Cyganerii przy 3 Maja. Gęsty dym falował pod sufitem, w drugiej części sali, tam gdzie witryna zaokrąglą się w charakterystycznym dla Gdyni stylu, samotny gość zdążył już się upić kolejnymi szklaneczkami półsłodkiego czerwonego wina, zaczął więc bełkotać i pokrzykiwać. Kelnerka najpierw perswadowała łagodnie, by zachowywał się ciszej, a gdy wracały fale jego pobudzenia, fuknęła wreszcie na niego, zgromiła wzrokiem i słowem, więc się obraził i uniósł honorem. Wstawał długo i niezgrabnie, aż targnięty podmuchem dla innych niewyczuwalnego wicheru, potoczył się ku wyjściu, szarpnął drzwiami i wypłynął na ruchliwą ulicę. Jego pogromczyni odprowadzała go czujnie wzrokiem, a gdy pozbyła się problemu, uśmiechnęła się szeroko, uśmiechem tym obdarowała pozostałych gości kawiarni i – no! – podsumowała wizytę słabowitego awanturnika. Jutro przywita go ponownie, wielu tu takich wracało, ona sama zaś, już nie młódka, była weteranką, sprawdzoną i doświadczoną w tego typu bojach.

Aśka wcześniej nie bywała w Cyganerii, odstręczały ją rybackie sieci i archaiczne obrazy w szerokich i wysokich oknach, dusznością napawały oglądane z ulicy zakurzone abażury lampek wiszących na ścianach. Przechodząc, miała zawsze wrażenie, że atmosfera we wnętrzu musi być ciężka, przytłaczająca, że jeśli to lokal artystów, jak obiecywała nazwa, to artyści owi lata twórczej werwy mieli już za sobą, zasuszeni, zmumifikowani, tylko trącić jednego z drugim, a rozpadną się w pył, tak jak to się działo ze starożytnymi mumiami na filmach o Indianie Jonesie.

A jednak właśnie tu pozwoliła się zaprosić. Zrazu zaskoczona niepomierne, teraz speszona i podejrzliwa.

– Denerwujesz się? – zapytał przyjaźnie.

Skąd to pytanie? Dopiero usłyszawszy je, poczuła zdenerwowanie. Czy coś z nią było nie tak, czy to rzucało się w oczy? Odruchowo poprawiła włosy. W żadnej kawiarni nie czuła się beztrosko, ale też nijak nie dało się tego porównać do pierwszego razu, kiedy w towarzystwie bardziej obytych koleżanek w ogóle nie potrafiła się w wielkim świecie zachować, maleńka wobec władczych kelnerów Sagi przy Władysława IV i przerażona nieznanymi rytuałami.

– Dlaczego pytasz? – chrząknęła.

– No, maturą – wyjaśnił – maturą chłopaków. Czy nią się denerwujesz?

– Ach! – odetchnęła. – Pewnie, że tak, wszyscy się martwimy.

Pokiwał głową, sięgnął po papierosa. Bo on, widać było, w miejscu takim jak to czuł się doskonale. Każdym gestem niejako zagarniał przestrzeń, anektował ją, brał w posiadanie. Panie Macieju – mówiła do niego kelnerka, szanowna pani Irenko – odpowiadał familiarnie, choć nie, nie tylko familiarnie, bo też nieco protekcyjnie, to się ledwo dawało wyczuć, usłyszeć, kto w tych okolicznościach służy, a kto panuje. Zamawiał, nie patrząc w kartę, Aśce polecił sernik, wina nie chciała. Rozlał kawę, bo czemu nie, lecz nie dlatego, iż był zagubioną w kawiarni niezdarą, zaczerwienioną po uszy fajtlapą, a przeciwnie – uszko filiżanki chwycił niedbale, nie patrząc wcale na naczynie, a za to na dziewczyny przy stoliku w rogu sali. Pałac, wydmuchiwał w górę chmury dymu, te tańczyły przeświecone słonecznymi promieniami przenikającymi do mrocznego wnętrza. Student, panie, poważna sprawa, już nie nastolatek. Inna sprawa, że jakoś tak mało zdaje się studiował, bo więcej o klubach mówił, o kawiarniach, o Złotym Ulu w Sopocie czy o bibach w akademikach. Zaś ostatnio o strajku, studenckim strajku. Do powiedzenia miał na jego temat wiele, choć trudno było stwierdzić: czy sam brał w nim udział, czy tylko się przyglądał?

– Zobacz! – wyjął z teczki pomazaną czarnym tuszem kartę.

– Kochani! – czytała z trudem. – Dziękujemy Wam w imieniu strajkujących pracowników Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Bez was byłoby nam o wiele trudniej. Mianujemy Was Mistrzami świata w konkurencji przełamywania kordonów. Na pohybel smerfom!!!”

– Spójrz, kto podpisał – wskazał, gdy zbyt prędko podniosła wzrok.

– Wałęsa?

– A jak, autentycznie. To dla chłopaków, którzy utrzymywali łączność pomiędzy stoczną a miastem. Na pohybel smerfom! – powtórzył głośno i równie donośnie, teatralnie się zaśmiał. Aż wszyscy na sali spojrzeli w jego stronę.

– To dla ciebie? – zapytała. – Dla ciebie ten dyplom?

– Nie, dla kolegi. – Już z powrotem chował relikwię. – A maturami się nie martw, chłopaki sobie poradzą. Zwłaszcza Tomek – podkreślił i spojrzął Aśce w oczy. Wytrzymała owo spojrzenie, to Maciek pierwszy odwrócił wzrok w stronę okna.

Prawda, Tomek musiał dać radę, kto jak nie on? Co prawda po pisemnym polskim dwa tygodnie temu zmroził wszystkich, którzy dobrze mu życzyli, bo mając do wyboru temat: „Moje fascynacje literackie, próba rekomendacji wybranych utworów do kanonu lektur”, wybrał, zdawałoby się, dużo bardziej karkołomne „Echa i obrazy powstania styczniowego w znanych utworach literackich”. Ale jak to? – dziwiła się polonistka; czemu? – załamywała ręce matka; byłeś pewien? – ufnie pytała Aśka. Orzeszkowa, *Gloria Victis*, Żeromski, kruki i wrony – odpowiadał bez cienia niepewności – ale przede wszystkim Wokulski. To, jak na niego wpłynęło powstanie... No i zdał, zresztą na bardzo dobrze, tak samo jak historię. Ustnych bardziej się bał.

Ale przecież nie w tym rzecz, przygryzła wargę, co Maciej zauważył, lecz czego dyskretnie nie skomentował. Nie w tym rzecz, nie egzaminy chłopaka nie pozwalały jej spać.

Otóż postanowiła zerwać z Tomkiem, niestety, trudna rada, wymagała tego uczciwość, przyzwoitość, inaczej nie można się było zachować. Dobry był i czuły, delikatny, nie raz się o tym przekonała, wrażliwy, mądry, przystojny, kochany. Ale gdy dotykały się ich z Tomkiem wargi – z jego strony wciąż łapczywe, rozpalone – gdy dotykały języki – jego wciąż, mimo doświadczeń, zaskakująco sztywny i nieporadny – gdy jego ręce dotykały jej piersi, gdy opuszki palców tańczyły wokół sutków, gdy jego dłoń wędrowała po udach, gorących, tak rozgrzanych, że czuła to, iż gorąc ten ją spala, otóż przy każdej tego typu okazji o tamtym nie chciała, lecz myślała, o nauczycielu, nieokrzesanym niechlujem i brzydaku, w gruncie rzeczy byle kim, kimś doskonale przezroczystym, pozbawionym właściwości. A jednak to jego ręce sobie wyobrażała, jego usta i jego język. Dłużej tak być nie mogło.

Tomek powinien zrozumieć... Zresztą: czy wzięli ślub, czy sobie przysięgali? Owszem, wiele sobie zdążyli obiecać, przy czym Tomek więcej, bo taki miał charakter, prędko mu do głowy przychodziły słowa, kiedy czując niezmierną wdzięczność za łaski, jakimi go obdarowywała, inaczej nie potrafił się odwdzięczać niż właśnie słowami, gorącymi zaklęciami, zresztą wierzył w nie: że zawsze, że na wieki.

A jednak ślubu nie wzięli, a nie przypadkiem w trakcie ceremonii przysięga się przed Bogiem, może nawet wcale nie trzeba w niego wierzyć, grunt, by działo się to w kościele, w miejscu, które uczy pokory i uświadamia, że za złamanie przysięg grozi kara, tak jest, wiekuista.

Ślubu nie brali, a parą byli długo, kiedy to zleciało, ponad osiem miesięcy, w tym czasie niejedno może się zdarzyć, ho, ho, hi, hi, a właściwie jedno, wiadomo, w czym rzecz; ale to rzeczywiście długo, nawet matka zaczęła myśleć, a za nią babka i Kot: że coś z tego będzie, że to na poważnie. Więc może i za długo? Bo może to największy w życiu błąd poznać kogoś wcześniej, zakochać się raz a niby dobrze, w pierwszej czy pierwszym lepszym, i w efekcie

zrezygnować z możliwości, jakie daje świat, z miódów, które podsuwa, i zrezygnować przy tym z uroków klęsk, kolejnych klęsk, gorzkich porażek, depresji i katastrof?

Zresztą: może i chciałyby zostać z Tomkiem, tak, na pewno by chciała, gdyby nie nauczyciel! Co mogła zrobić: wyznać Tomkowi, że bardzo jej przyjemnie, że płonie... tylko że nie o nim, płonąć, myśli?

– Nie ma cię tu – przerwał jej zamyślenie Maciek, nachylając się przy tym przez stolik. – Halo, Księżyc, czy Księżyc mnie słyszy? Tu Ziemia, tu się rozmawia, a nie lewituje!

– Przepraszam – bąknęła. – Rzeczywiście nie słuchałam – przyznała szczerze.

Wybaczył, mrugnął okiem, dostali drugą kawę. Przyglądała się chwilę temu, jak po części zanurzona w naparze kostka cukru nasiąka glazurowanym na moment brązem.

Po łyku czy dwóch wróciła jej koncentracja, sam zapach kawy musiał to sprawić, napić się nie zdążyła. Nie spała poprzedniej nocy, w tym sęk.

Mówili teraz o zespole. Na życzenie Dżojsa – wszak przyznała mu się, z kim i gdzie jest umówiona – wybadać miała nowego, rozpoznać jego intencje, dowiedzieć się, na ile poważnie traktuje Poppycock in Action, a wreszcie jaki ma stosunek do liderów kapeli – Dżojsa i Korby – jak ocenia ich propozycje, czy nie ma zamiaru zanadto ingerować w wyznaczany przez nich kierunek artystyczny.

Prób od marca nie mieli wielu, szkoła, egzaminy, wiadomo, proza życia, a potem jeszcze te strajki. Ale też na każdej nowy śpiewał coraz lepiej i coraz częściej się wtrącał, coraz większych domagał się zmian, aż Dżojsa zaczęło to poważnie niepokoić. Czy aby nie brzmią już przypadkiem jak jakiś Simply Minds albo Talking Heads, jak Republika czy inny Bemibek? Bo on chciał być wierny i iść – swoją, z dawna wybraną, mroczną i lodowatą drogą.

Maciej mówił o zespole z zaangażowaniem, mówił o koncercie, jaki chciałby zorganizować już wkrótce z okazji bibki na wydziale. A jednak nie bardzo

chciało się uwierzyć, że ma ochotę traktować całe to przedsięwzięcie poważnie. Gdy przypomniała, że chłopaki sugerowali Jarocin – tylko się uśmiechnął. Gdy wspomniała o zrzutce na nowy wzmacniacz – rozłożył ręce.

– Może później – skomentował – po wakacjach. Gdy zarobię i wrócę, chętnie się dołożę.

– Wyjeżdżasz? – zdziwiła się. Zostało wszak ustalone, że lipiec, już po egzaminach, wszyscy potraktować mają poważnie, poświęcić się kapeli, wóz albo przewóz, albo uda się wypracować odpowiedniej jakości materiał, albo porzucić trzeba będzie mrzonki.

– No tak, tak – odparł niby w roztargnieniu, znów zaciągając się papierosem, a potem uważnie strzepując popiół do kryształowej popielnicy. – Wyjeżdżam, nie mówiłem jeszcze nikomu, bo nie miałem potwierdzenia, tobie najpierw chciałem powiedzieć – tu zrobił wymowną pauzę i znów spojrzął Aśce w oczy – tobie chciałem powiedzieć, może weźmiesz moją stronę, co, może mnie jakoś wytłumaczysz? Muszę jechać, robotę mam obcykaną we Francji, na polach. Taka kasa – machnął ręką ponad czołem – tylko głupi by się po nią nie schylił. A wiesz, jak jest... Ciężko! Studia to nie przelewki.

Raczej nie kłamał, uznała, zapewne faktycznie potrzebował pieniędzy. Lecz znaczyło to jedno: z zespołu nici, Tomek się załamał.

O zerwaniu nie miała mu kiedy powiedzieć. Dosłownie nie miała. Bo kiedy, skoro ta przeklęta matura?

Na nieszczęście tuż przed egzaminami ogarnęła go jeszcze jedna gorączka. Zaczęło się w chwili, gdy do trójmiejskich szkół dotarły informacje o zorganizowanym przez nielegalne wedle systemu młodzieżowe grupy topienia marzanny. To było pierwszego dnia wiosny, odbyć się miało po partyzancku, a jednak kilku odważnym chłopakom udało się wrzucić z sopockiej plaży do morza kukłę Jaruzela. Udało się, dało radę zorganizować, ale nie dało uniknąć

szpicli, komuna o wszystkim zawczasu się dowiedziała, swoją drogą, jaką trzeba być świnią, by w wieku kilkunastu lat donosić na kolegów? Więc kukła, owszem, utonęła, ale wtedy do akcji wkroczyli zomowcy, w ruch poszły pały, byli pobici, doszło do zatrzymań.

W maju stanęła stocznia. Nie ona pierwsza, zaczęło się od innych zakładów, w całym kraju, jednak odkąd dołączyli stocznioowcy z Gdańska, wiadomo było, że to nie przelewki. Do głosu doszło nowe, młode pokolenie, zmęczone apatią ostatnich lat, zgnębione degrengoladą niewydolnego, mimo mniej lub bardziej autentycznych prób ratowania go, systemu. 5 maja doszły do Trójmiasta wieści o brutalnej pacyfikacji strajku w krakowskiej Nowej Hucie. Federacja Młodzieży Walczącej, największa młodzieżowa organizacja, zarządziła w trójmiejskich szkołach *przerwę milczenia*.

Lecz Korbie było tego mało, Tomkowi podobnie.

– Gdańsk się ruszył – gorączkowali się – a my co? Cicho jak mysz pod miotłą? Nasza chata z kraja?

FMW wydała też oświadczenie: „Nieudolna polityka władz prowadzi Polskę do ogólnej nędzy i bezprawia. Widząc to, robotnicy po raz kolejny postanowili zaprotestować. Rozpoczął się strajk, liczba strajkujących stale rośnie. Fale protestu ogarniają coraz szersze kręgi społeczeństwa. My, młodzi, nie możemy pozostać obojętni wobec tych wydarzeń. Studenci już strajkują, w ostateczności przyjdzie kolej i na nas – musimy być do tego przygotowani. W dniu dzisiejszym wzywamy wszystkich uczniów i młodzież pracującą do podejmowania niezależnych akcji wyrażających naszą solidarność ze strajkującymi. Niech każdy z nas weźmie chociażby pędzel do ręki i niech wszystkie mury naszych szkół, domów będą wyraźnym znakiem łączności ze strajkującymi i głosem oporu młodego pokolenia. Apelujemy także o przyłączenie się do wszystkich form protestu organizowanych przez Federację bądź inne niezależne grupy i organizacje”.

Niedługo później odezwała się i gdańska Topolówka: „Od kilkunastu dni przez Polskę przechodzą fale protestów robotniczych i studenckich. Żądania robotników nie dotyczą tylko sfery ekonomicznej. Ich głównym celem jest reaktywowanie zdelegalizowanego w 1981 r. NSZZ «Solidarność». Komunistyczny reżim, bojąc się pluralizmu w jakiegokolwiek postaci, zdecydowany jest na użycie przemocy, pałek i gazów przeciwko strajkującym. Tym bardziej nasza postawa jest jednoznaczna. Popieramy całym sercem gdańskich stoczniovców, krakowskich hutników i wszystkich tych, którzy zdecydowali się przeciwstawić systemowi, którego jedynym mocnym fundamentem jest SB i ZOMO. Uczniowie Topolówki! Wzywamy wszystkich sympatyzujących ze strajkującymi do udzielenia im swojego poparcia. Niech każdy uczeń w miarę swoich możliwości stara się im pomóc. Ważna jest każda inicjatywa niosąca pomoc strajkującym. «Solidarność» żyje!”

A jednak: zdawać się mogło, że Gdynię dzielą od Gdańska nie kilometry, a lata świetlne, z Gdyni sytuacji się kibicowało, przyglądało się jej, ale z dystansu. Aśce przypomniało się, jak kiedyś, kilka lat wcześniej, na mszy u Franciszkanów pojawić się miał Wałęsa. Tę wieść przekazywano sobie z ust do ust, wnet obiegnęła pobliskie dzielnice, wieczorem kościół wypełnił się, narastać zaczęło oczekiwanie, że coś się wydarzy, coś stanie, że Wałęsa przemówi, że po prostu będzie, prawdziwy, realny. Lecz nie przyjechał, modlono się więc za Ojczyznę w nagłym osamotnieniu, w skupieniu i szeptem. A potem ludzie rozeszli się, a ona pomyślała, że zawiedzeni są nie dlatego, iż nie porwał ich do boju, ale po prostu, że się nie pokazał, on, budzący ciekawość bohater, który z obowiązku walki zwalniał ich.

Pojechali razem z Korbą raz czy drugi pod stocznię. Aśkę Tomek też namawiał, dopiero po chwili reflektując się, że może to być niebezpieczne. Ale sami mimo wszystko się wybrali – aż pani matka Tomka zatelefonowała do Aśki, by najpierw wypytywać ją, co z nim, gdzie się podział, następnie załamywać

ręce, bo mogło się to przecież fatalnie skończyć – i to kiedy? na niespełna tydzień przed polskim! – a wreszcie błagając dziewczynę, aby w jakiś sposób zawróciła niewczesnego bohatera z fatalnie obranej drogi.

Młodzi pełnili przy strajku role kurierów i przez mniej lub bardziej dosłowne dziury w stoczniowych płotach szmuglowali listy i żywność, odzież i śpiwory, które dla strajkujących zbierano w Świętej Brygidzie, a wreszcie materiały poligraficzne. Ale nie każdy, rzecz jasna, mógł dostąpić konspiracyjnego zaszczytu, były to zadania dla sprawdzonych, nigdy nie za wiele ostrożności, gra toczyła się o wysoką stawkę, bo jeśli strajk nie miał przynieść wyzwolenia świata od Łaby po Wołgę, a nawet zwłaszcza wtedy, gdyby zakończył się porażką, spodziewać się trzeba było szykan, represji albo i czegoś jeszcze gorszego.

Mogli się zatem tylko przyglądać: ukwieconym bramom i zebranych pod nimi tłumom. Lub też dachom budynków wzdłuż kolejowych torów, na których to dachach dumni stoczniowcy wpierw smarowali wielkimi literami budzące entuzjazm hasła, a potem wykładali się obok nich, niczym na pikniku, świadomi swej atrakcyjności bohaterowie.

Reżimowe gazety lamentowały: „Polska nie może sobie pozwolić na luksus strajkowania... Ekonomia ma swoje prawa. Potrzeba realizmu!”. Albo: „nie rezygnujemy z metod reform i porozumienia, to nie jest w interesie kraju!”. Załamywano też ręce, roztrzásając, czyim to interesom służą nieświadomi, naiwni stoczniowcy. „Przede wszystkim agresywne i histeryczne podgrzewanie atmosfery, następnie zaś instrumentalne wykorzystywanie naszych problemów wewnętrznych na szerszą skalę sprzyja zakłóceniu klimatu odprężeniowego, jaki od pewnego czasu zaczyna coraz śmieiej nadawać ton stosunkom międzynarodowym. Dlatego trzeba głośno powiedzieć: organizatorom nie chodzi wcale o reformę gospodarczą, o rozwiązywanie problemów płacowych i socjalnych ludzi pracy. Chodzi o to, by zablokować procesy rozwoju demokracji, swobód obywatelskich, odnowy i przebudowy. W istocie to właśnie

ten kierunek rozwoju niepokoi siły reakcji”.

Nic nowego: jak świat światem, oderwana od rzeczywistości, przekonana o tym, iż mandat swój posiada na mocy wyroku historii, a przez to nieomylna w swym pojęciu władza produkuje tego typu komunikaty. Tak było, jest i będzie. Nawet Aśka, niekoniecznie wychowana na strajkowym styropianie, a i Wolnej Europy słuchająca od przypadku do przypadku, gdy akurat przyłapała na tym ojca, babkę lub Kota, wiedziała, w jaki sposób kwitować tego typu odezwy. Mianowicie wzruszeniem ramion i kibicowaniem stoczniovcóm – by trwali.

Prócz straszenia wiadomo jakimi siłami, które leją wodę na młyn wiadomo jakich sił, by wzbudzić wiadomo jakie reakcje i wiadomo w jakim dalekosiężnym celu (uchwytnym bezbłędnie dla lotnych niczym myśl Breżniewa reżimowych dziennikarzy), więc oprócz tego typu tekstów „Dziennik” polecał jeszcze w tych dniach filmowe *Konfrontacje* (wyświetlać miano między innymi: *Pluton*, *Brzuch architekta* oraz *Imię róży*), rekomendował wydaną przez Polskie Nagrania płytę *Nothing Like the Sun* Stinga, a wreszcie zachęcał do wybrania się na weekendowe mecze. Na przykład Bałtyku Gdynia.

Niestety grała również Lechia Gdańsk i akurat w tym wypadku ludzie dość chętnie posłuchali, korzystając – do czego tak szczerze zachęcali dziennikarze – z uroków słonecznego popołudnia. „Stocznia my z wami, my za was kciuki trzymamy” – od pierwszego gwizdka dopingowano piłkarzy. „Pozdrowienia dla podziemia!” – skandowano dodatkowo. W przerwie do gry włączyli się zomowcy, wkraczając na najbardziej zagorzałe sektory, więc „gestapo, gestapo” – odpowiedziano im z innych. Po meczu rozróby przeniosły się o rzut kamieniem od stoczni, mianowicie w okolice przystanku kolejki Gdańsk Politechnika.

Tomek z Korbą znaleźli się tam przypadkiem, wcześniej próbując zajrzeć na uczelnię i wnet rozdzieliły ich fale przelewającego się tłumu. Ludzie biegali wzdłuż torów, ganiały ich oddziały przebranych za szturmowców z *Gwiezdnych wojen* zomowców, wściekle szarże urządziły polewaczki.

Ostatkiem sił dobiegł aż do Zaspy. Dopiero tam wsiadł w kolejkę, kurtkę miał mokrą, ludzie, a większość z nich nie miała świadomości, co działo się w mieście jeszcze przed momentem, przypatrywali mu się podejrzliwie. W pierwszej chwili chciał się chwalić, chciał i ich poderwać – jednak opanował się.

Znów uciekał, po raz trzeci w ciągu ostatnich miesięcy pogonić go zdążyli kibole, skinheadzi, a wreszcie zomowcy (o, paradoksie, kibice przy tej okazji przeszli na jasną stronę mocy). Już w Redłowie, gdzie wysiadał, udało mu się znaleźć czynną budkę telefoniczną, a że miał przy sobie żeton, to zadzwonił do Aśki.

– Aś, działo się. Komuna upadnie, mówię ci – zakomunikował z miejsca.

Jej, niestety, trudno było w to uwierzyć.

– Matka cię zabije – wołała przejść do konkretnego.

– Ech, dam radę. Mam jeszcze tydzień!

– Jaki tydzień? Kilka dni.

– Aśka – ani myślał pozwolić jej dokończyć – słuchaj, co się działo... Tysiące się ruszyły, żebyś to widziała... – opowiadał z przejęciem i snułby swą heroiczną opowieść znacznie dłużej, ale kolejnego żetonu już nie miał i tak urwała się rozmowa. Więc nie zdążył powiedzieć, słuchaj, Aś, że tym razem biegał dla niej, dla nich, by żyli w lepszym kraju.

No i jak tu z takim zerwać: bohaterem, bojownikiem? A przecież postanowiła – i to nieodwołalnie.

– Wszystko jasne, ja cię nudzę – znów, który to już raz, wyrwał ją z zamyślenia Maciek. Tym razem autentycznie zmęczony jej milczeniem, roztargnieniem.

– Ależ nie – zawołała prędko. – Ja... Ja po prostu...

– Masz problemy? Powiedz.

Później nie potrafiła zrozumieć, dlaczego się na to zdecydowała. A jednak zaczęła mówić, chaotycznie i o wszystkim naraz. O tym, że rzuciła treningi i jak wiele to ją kosztowało, bo zawiódła zaufanie trenera. O tym, że wybrać już powinna kierunek studiów, a na żaden nie może się zdecydować, bo nie czuje pasji, powołania, nie potrafi wyobrazić sobie siebie w przyszłości. Wreszcie o tym, że niezbyt dobrze znajduje się w zespole, że marnie jej wychodzi to całe śpiewanie, zwłaszcza w porównaniu z nim, nowym. Próbował oponować, zapewnić, że jest inaczej. Lecz w gruncie rzeczy nie o tym miała chęć mówić.

– Poza tym z Tomkiem mi się nie układa – wyrzuciła z siebie wreszcie słowa, które ją samą zaskoczyły, dotąd w tak bezpośredni sposób tego nie nazywała: że się nie układa.

– Tak? – zdziwił się, zainteresował, skwapliwie podchwycił wątek. – Nie układa? Sądziłem, że wprost przeciwnie!

Zamilkła. Minę miała zboląłą, rozczuliło go to.

– Odejdiesz od niego? – zapytał bez ogródek.

Jasne, wiadomo było, że odejdzie, że tak się to musi skończyć. Tyle że chyba nie nowemu – zreflektowała się – powinna była powiedzieć o tym najpierw. Więc zawahała się.

– Bez ciebie nie będzie tak samo – powiedział powoli, mając, domyślała się, na myśli kapekę.

– A jednak – odparła stanowczo, patrząc mu w oczy.

I wtedy podniósł rękę leżącą dotąd na blacie stolika obok jej dłoni i przez chwilę przestraszyła się, że chce ją przenieść, położyć na jej palcach. Dostrzegł ten jej strach, odchylił się na krześle, przeczesał włosy.

– Jak uważasz – rzekł. – To poczciwe chłopaki, niemniej...

Nie dokończył, nie dowiedziała się zatem, co kryło się za owym „ale”. I jeszcze ukuły ją, zaboląły ze względu na protekcyjalny ton te wcześniejsze dwa słowa: „poczciwe chłopaki...”. Choć z drugiej strony, zastanowiła się, że

pocziwe, to prawda.

– Pójdę już – zebrała się w sobie, wyprostowała. – Pójdę – powtórzyła, gdy on tylko się jej przyglądał.

– Ach tak, oczywiście – ocknął się, wstał, poczekał, aż i ona wstanie.

– Zapłacę – spojrzała w stronę kelnerki.

– Daj spokój – uśmiechnął się. – Innym razem.

„Innym razem? – myślała, wychodząc. – Jak to innym razem?”

„Piękna jest – uznał z kolei on. – Dziecko jeszcze, ale będą z niej ludzie”.



Basen Prezydenta – morski salon miasta.

ROZDZIAŁ 10

ROZSTANIA

Odprawiający egzekwie zakonnik mówił głosem tak cichym, że szumiące przy chyłońskim cmentarzu drzewa niemal zagłuszały jego słowa. Pochylali się zatem ku niemu coraz bardziej skupieni: Władek Kotkowski z dziećmi, siostry Władka oraz ich rodziny, kuzyni, kuzynki, dalsi krewni. Ale też Łucja, Anusia i Leszek, Aśka i Marek. Aśka płakała.

Żegnali matuzalema, najstarszego spośród siebie, urodzonego wszak na samym początku wieku. Tylko Łucja pamiętać mogła tamte czasy, czasy dzieciństwa jeszcze przed wybuchem I wojny. Ale gdzie Rzym, a gdzie Krym, bo choć przyszli na świat oboje w granicach tego samego imperium, to spotkali się dopiero dwadzieścia lat później, ona wychowana pod Warszawą, on zaś w Odessie. Potem przeżył wojnę, przeżył – i tym razem słowo to traktować trzeba z całą grozą, jaką było podszyte – a więc przeżył rewolucję, bezwzględne w swym okrucieństwie parcie bolszewików do władzy, przeżył wybuch odrodzonej Polski i jej rozkwit w Gdyni, a potem wrześnieowy upadek, o tak, tego ostatniego również doświadczył na własnej skórze, walcząc w redłowskich i witomińskich lasach, przeżył okupację i bombardowania miasta przez lotnictwo aliantów, przetrwał wykarmione wyszarpaną z ledwo ubitego zwierzęcia koniną dni wyczekiwania na tak zwane wyzwolenie i dla odmiany niemal nie przeżył tragicznej śmierci syna. Potem solidnie dostał w kość, gdy uwierzył, że i w Polsce Ludowej da się żyć, lecz krótki był ów czas entuzjazmu i nadziei, bo dostał w kość, jako się rzekło, zapłacił za niepopelnione winy i omal nie został nawozem, co użyźniać miał rozkwit komunizmu na ziemiach na zachód od

Moskwy. Wtedy umarła Hanka, a on zamieszkał u Łucji – długo by opowiadać, choć ktoś powinien to zrobić – wreszcie oświadczył się jej i zwyciężył w przedziwnym wyścigu, kolejnej zabawie z historią w ciuciubabkę, pokonując wpierw jednego, a potem drugiego konkurenta i tak został ojczymem dla Anusi i przybranym dziadkiem dla Aśki i Marka.

O tym właśnie myśleli, nie myśleć nie mogli, niektórzy z nich sami już życiem zmęczeni, doświadczeni i wiele pamiętający. Zwłaszcza w oczach najmłodszych, choćby Aśki, choćby Marka, czuli się starzy. Przeglądali się zatem w owych oczach i zdarzało im się przeczuć w chwilach nagłego zdziwienia, że wydawać się im muszą zmurszałymi pomnikami przeszłości, przydrożnymi kamieniami, liczącymi tysiące lat, i przez to być może wartymi czułości, a jednak lekceważonymi przez dopiero rozkwitające życie. Oni, czyli Władek urodzony jeszcze w latach dwudziestych, jego młodsze o kilka lat siostry, a już wdowy, wreszcie Leszek i Anusia, którzy na świat także zdążyli się wedrzeć jeszcze przed wojną.

Stali zatem, przyglądali się sobie, cieszyli się nawzajem swoją obecnością, a wcześniej niejako gratulowali jej sobie: „Dobrze się trzymasz, Władek”, „Ty również świetnie wyglądasz, Franciszku...”.

Bo to Franciszek był owym odprawiającym modły zakonnikiem, syn Łucji, starszy brat Anusi, dziś posiwiał już, choć rzeczywiście dziarsko się trzymający.

– Jezu, ty obmyłeś naszego brata wodą chrztu i w sakramencie bierzmowania obdarzyłeś go Duchem Świętym – recytował teraz, a Łucja próbowała sobie przypomnieć, kiedy to widziała męża po raz ostatni w kościele. Nie licząc oczywiście ich własnego ślubu. A więc nie, na pewno nie w Jastarni, gdzie lubili się pokazywać z pięknie prezentującą się Hanką państwo Kotkowscy, właściciele pensjonatu Majami. Zatem później: przy okazji jakiejś uroczystości, zapewne chrzcin. A może nawet i po wojnie? Może jeszcze przed aresztowaniem? Lecz później już nie, na pewno – w każdym razie nie potrafiła sobie tego

przypomnieć.

Sama wypląkała już łzy, które miała wypląkać. Tak jest, kilka spłynęło po jej pomarszczonych policzkach, ale wcześniej – gdy tylko została sama ze sobą – i zdarzyło się jej wpatrywać przez wieczność w ową głuchą ciemność, w niewidoczną pustkę, w milczącą otchłań, w piekło utraty; wpatrywać się tak samo jak przed laty, gdy już dotarło do niej z opóźnieniem, co stało się z Krzysztofem, i gdy zrozumiała – wiele lat później – co z Antonim, drugim synem, największym utrapieniem, ale i być może największą miłością jej życia. Prócz tego jednak, prócz tych chwil słabości, w których mierzyć się spróbowała z pozbawioną serca nieskończonością, prócz tych zatem momentów znalazła w sobie siłę – a może wystarczające zapasy surowej obojętności, jaką wypielegnować potrafi tylko starość – a więc znalazła moc, by zacisnąć usta i aby na mięśnie twarzy nałożyć gipsową maskę: tak by ani drgnęły w obliczu napływających kondolencji. Zatem nie płakała, już nie, nie rozpaczała. Płakała za to Aśka, niemal spazmów dostała, z coraz bardziej z boleści wykrzywioną twarzą. Czyżby aż tak dziadka kochała?

Kilka miesięcy wcześniej Konstanty przestał słyszeć. To znaczy: najpierw wydawało się, że zaniemówił, że z nieznanego powodu – jednak nie zdradził go – odeszła mu ochota na komunikowanie się ze światem. To czujna, o tak, zawsze czujna Łucja rozwikłała zagadkę.

– Nie mówi, bo nie słyszy – obwieściła córce z wyrażającą tryumf miną domorosłego Sherlocka. – Nie mówi, bo nie słyszy, gdy cokolwiek powie, spodziewać się musi odpowiedzi, a wtedy i on powinien ponownie się odezwać, ale jak, na jaki temat, skoro nie dosłyszał... Koło się zamyka, nie mówi – kiwała ze smutkiem głową i powtarzała w kółko – nie mówi, bo nie słyszy. Oj, Krzyż Pański... I jak to teraz będzie?

Z kolei zimą złamał nogę. Nieszczęsny, bo dał się namówić, by pojechać do lekarza, no proszę, był to pomysł od razu, jak widać, poroniony, samospełniająca

się przepowiednia. Miał jedynie zejść po schodach, a potem doczłapać do auta Leszka, i to nie sam, lecz w troskliwej, wyczulonej na wszelkie niebezpieczeństwo asyście Anusi, ot, kilka kroków. Zaczął dziarsko, gdy zszedł dwa piętra, zmęczył się co prawda i zeźlił, a jednak starał się tego nie okazywać, by nie robić Anusi przykrości. Za to na chodniku poślizgnął się, cóż z tego, że go próbowała przytrzymać, tylko wydawał się lekki, więc pociągnął ku ziemi i ją, a Leszek nie zdążył doskoczyć. Złamał nogę w udzie.

Ach, jak wielkie wyrzuty sumienia ogarnęły wtedy Anusię, co Łucja jeszcze potęgowała myślą, mową i uczynkiem (a mianowicie niekończącymi się seriami głębokich westchnień i znaczących spojrzeń), choć wcześniej to ona nalegała na wykonanie prześwietlenia męzowskich płuc.

– Nic mi nie jest – dudnił w odpowiedzi głuchym kaszlem Konstanty – inna rzecz, że w moich latach muszą coś znaleźć.

Nie miał racji: mimo wieku zdrów był jak ryba, co okazało się przy okazji wszelakich, kompleksowych badań, wykonanych niejako przy okazji, gdy już leżał na ortopedii. Zdrów jak ryba, płuca nic, nerki nic, serce nic, wszystko w jak najlepszym stanie, aż ciągnęły do jego łóżka pielgrzymki odzianych w białe kitle lekarzy z wszystkich oddziałów szpitala.

Tylko że palił! Palił nawet w szpitalnym łóżku, awantury o to miał, zresztą nie tylko on, bo i Anusia, choć zarzekała się, że to nie ona dostarcza starcowi papierosy. Palił też w domu, okno uchylał, stawał w nim i palił.

– Nie uchylaj – denerwowała się Łucja – jak już musisz, to ćmij, ale okna nie otwieraj, przeciąg się robi w tym mieszkaniu nie wiadomo od czego, zamknij!

No i stało się to, co się musiało stać: przeziębił się, i to akurat w największe upały, żar lał się z nieba, powietrze, zdawało się, stoi, a on się przeziębził. Kaszlał od zawsze, więc to nic. Ale też oddech zaczął mieć przyspieszony i skarżył się na ból. A że robił to tak jakoś cicho, żałośnie, jak dziecko, Łucji dwa razy nie trzeba było powtarzać, by zrozumiała, że to nie przelewki. Rozpoznano zapalenie płuc,

wrócił do szpitala. Prędko się to potoczyło.

Przed pogrzebem spierali się, Władek z siostrami, gdzie ojca pochować. Bo swoją żonę Władek pochował właśnie w Chyloni, na owym cichym wzgórzu, z którego, gdyby przeredzić gęstą kurtynę drzew, niczym z amfiteatru przypatrywać by się można zapleczu portu, a prócz tego sporej części miasta. Tam też i matkę chciał ściągnąć, o czym wcześniej nie poinformował sióstr, one oburzyły się, kłął je zresztą w oczy grobowcem, który kazał wymurować, widzicie go, wielkiego pana marynarza, cóż one przy nim, siostry z prowincji, w dodatku ubogie wdowy, co mu mogły zrobić? Otóż mogły: postawić się, zaprzeczyć, przekląć, a co z nami będzie – pytać dramatycznie, choć obiecał, że i dla nich miejsce się znajdzie...

Łucji te spory nie interesowały, ona spocząć miała przy Krzysztofie, stara miłość nie rdzewieje, drugi mąż musiał pogodzić się z faktem, iż w obliczu ostateczności nie dojdzie do przewrotu w hierarchii i to bynajmniej nie chronologia poznania mężów miała dla Łucji znaczenie. Inna rzecz, że byli przyjaciółmi, Krzysztof z Konstantym, więc powinni się dogadać – dywagowała jeszcze, ona, która w nieśmiertelność duszy być może i wierzyła – bo jak by inaczej? – choć w Boga już niekoniecznie.

Tymczasem Franciszek, a przyglądała mu się z czułą surowością, baczyła, by syn modlił się godnie, by się nie mylił i aby nie drżał mu głos, Franciszek zatem, gdy jako pierwszy rzucił na trumnę ciepłą garstkę piasku i gdy powiedział: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz, ale Pan cię wskrzesi w dniu ostatecznym; żyj w pokoju”, a więc, gdy to powiedział i gdy inni poszli jego śladem, schylając się pokornie ku ziemi, a potem ciskając ją drżącym ruchem w dół, Franciszek przymknął okładki modlitewnika i po chwili milczącego zastanowienia kontynuował:

– Moi drodzy, umiłowani. Żegnamy dziś ojca, dziadka i pradziadka, żegnamy człowieka wyjątkowego... Tego, który nas bronił i który za nas

walczył. Który nie tracił nadziei w najstraszliwszych dniach. Nie tracił nadziei i humoru... Który nas kochał – miłością, bywało, trudną, surową. I który błędził – bo któż z nas nie błędzi, który grzeszył, jak i my grzeszymy, niech dobry Pan Bóg będzie mu miłościwy, niech będzie sprawiedliwy, wierzymy, że gdy spojrzy i oceni życie naszego brata, więcej znajdzie powodów, by...

Otóż to, myśleli, otóż to. Wielokrotnie o tym w ciągu ostatnich kilku dni mówili. Że humoru Konstantemu nigdy nie brakowało, nie brakło też sił, by z życiem wojować. Śmiali się, gdy Łucja przypominała, jak to jeszcze w latach czterdziestych Konstanty produkować chciał coca-colę.

– Jaką on miał głowę do interesów – podkreślała, mówiąc również o przemyśle, którym parali się z Krzysztofem, by w ten sposób dojść do fortuny.

– O tym mama niekoniecznie musi opowiadać – chrząkał Leszek, wskazując na zasłuchane dzieci.

– A co to? Ty dzinsów na handel nie wynosiłeś? – protestowała Łucja. – Zresztą oni i więcej mieli na sumieniu...

– Kto? – ostro zareagował Anusia.

– Krzysztof – Łucja wzruszyła ramionami. – Krzysztof z Kostkiem¹.

– Jak to na sumieniu? Niech mama przestanie!

Askę słowa babki, tak niechętnie przyjmowane przez rodziców, tym bardziej zaciekały. Spoglądała na brata, czy jego również. Lecz nie, wcale, Marek przeżywał właśnie apogeum swojej wiekopomnej, a przez nikogo niezauważanej, tragedii – Madzia wyjechała, wyleciała, chciał jechać z nią do Warszawy, chciał towarzyszyć jej w drodze tak długo, jak tylko się dało.

– Nie ma mowy – ucięła matka. – Leśniewscy wyjeżdżają, żegna ich rodzina, jak to sobie wyobrażasz, że ty z nimi, wśród nich? Marku, opamiętaj się, świat się nie kończy, będziecie do siebie pisać, jeżeli wasza miłość jest prawdziwa, to na pewno przetrwa!

I musiał się chłopak uchwycić tej myśli, uchwycić wątlej nici nadziei, bo od

kilku dni był jakby nieobecny duchem, zamyślony, także dziś, na pogrzebie.

Aśka za to płakała, trzęsły się jej ramiona i taka była w niej żałość, taki ból, takie osamotnienie, że nijak nie mogła się powstrzymać. Aż wytręcało to z rytmu Franciszka i aż rwał mu się wątek. Ktoś objął ją, później nie pamiętała kto. Raczej nie był to ojciec, nie był Marek. Więc kto?

A modliła się także o Tomka, o jego egzaminy. Dopiero po nich miała mu powiedzieć... Zderzyć go z tym, co nieuchronne, innego wyjścia nie było. Zwłaszcza teraz!

Oto bowiem, gdy dotarło do niej, że za kilka dni definitywnie skończy się rok szkolny, zdecydowała się na najbardziej radykalny, najbardziej śmiały, desperacki krok.

Czekała na tamtego pod szkołą, niby to spacerując pomiędzy autami stojącymi na parkingu przy Partyzantów, a jednak wyczekując, aż pojawi się w szkolnej bramie i ruszy ku odległemu przystankowi kolejki.

I tak się stało, z tym że zaskoczył ją, bo zamiast skierować się w górę ulicy Dzierżyńskiego, właśnie w stronę parkingu, ruszył w dół, przez park. Spanikowała, przeraziła się, że oto ucieka jej szansa, a czy będzie umiała ponowić próbę nazajutrz, tego nie była pewna.

Zatem pobiegła, aż do utraty tchu, zwolniła dopiero, gdy już dogoniła go, gdy dzieliło ją od niego ledwie kilka kroków.

– Jacek! – zawołała, a słowo ugrzęzło jej w gardle, ledwie się przez nie przecisnęło, aż stanęła jej przed oczyma tamta chwila, kiedy gramoliła się z parkietu po fatalnie wykonanej próbie skoku.

Lecz nie było już odwrotu, bo choć zaskrzeczała niczym mewa, on usłyszał zawołanie i obrócił się. Po czym przyjrzał się uczennicy zdziwiony.

– Tak...

Z miejsca straciła rezon.

A przecież rozmawiali w trakcie mijającego półrocza o sporcie i muzyce, on

uprzejmie wypytywał o losy zespołu, ona obiecywała dołączyć do szkolnych reprezentacji: koszykarskiej i siatkarskiej.

– Co nowego? – chrząknął zatem, nie chcąc pamiętać, iż zawołała go po imieniu, z poufałością, na którą nie powinien pozwalać.

Kluczyła, bredziła o koszykówce, przestępując z nogi na nogę.

Zniecierpliwił się, bo może miał coś do załatwienia, a może na jakieś spotkanie się spieszył. O co mogło jej chodzić?

– Kocham cię – wypaliła wreszcie, chwilę wcześniej czując, że tonie, tonie w głębi jego chabrowego spojrzenia, ale i w kipieli coraz to pogarszającej się, niezręcznej sytuacji. Nie było zresztą na co czekać, zwlekać, niech się stanie, co ma się stać. – Kocham cię – powtórzyła z uporem, twardo. Znieruchomiał. Zbladł, a potem się zaczerwienił.

– Co ty mówisz, dziewczyno? – wyjąkał.

Jak to co mówi? Bardziej jednoznacznie wyrazić się nie mogła.

Rozejrzał się, jakby szukając wokół pomocy. Rękoma wykonał nieokreślony gest.

– Spieszę się, wybacz – rzucił wreszcie i natychmiast ruszył przed siebie, krokiem szybkim, zdecydowanym, nie oglądając się za siebie.

Została sama, niczym rażona piorunem. Nie tak wyobrażała sobie finał owej nieszczęsnej sceny.

¹ Opowieść o przyjaźni Krzysztofa z Kostkiem zawiera pierwsza części trylogii pt. *Dzoker*.

ROZDZIAŁ 11

ROZGRZESZENIE

Drzwi otworzyła bezszelestnie i równie cichutko wślizgnęła się do przedpokoju. Spodziewała się, że Łucja położyła się już, bo babka, zwłaszcza teraz, późną jesienią, gdy dni stały się krótkie, a przede wszystkim nieprzyjemne, kładła się aż do przesady wcześnie. Zgodnie z tym, do czego się przyzwyczała, wchodząc do kuchni, Aśka dostrzegła srebrną poświatę bijącą z pokoju przez niedomknięte drzwi i usłyszała głosy telewizyjnych rozmówców. No tak, staruszka jak zwykle zasypiała przy włączonym i niewyciszonym telewizorze.

Aż tu nagle:

– Dawaj, Lechu! – rozległ się podniecony głos Łucji – Dawaj! Brawo! Dołoż gnidzie!

– Nie śpisz, babciu? – rozbawiona i zaciekawiona wnuczka wsunęła głowę w szczelinę uchylonych drzwi.

Łucja, w koszuli nocnej i z okularami na twarzy, bynajmniej nie leżała, a siedziała na łóżku, siedziała z podkulonymi nogami, ale oprócz tego wyprostowana, wręcz wyprężona, i wznosiła w górę prawą rękę, której palce układały się w kształt litery „v”, znaku wiktorii, zwycięstwa. Zaskoczona nagłym pojawieniem się Aśki, obróciła głowę i uśmiechnęła się szeroko. Wydała się Aśce małą dziewczynką, podnieconą i rozradowaną z jakiegoś tajemniczego, a wszystko wskazywało na to, że telewizyjnego powodu. Nigdy się tak nie zachowywała, zazwyczaj komentowała jedynie ponuro kłamliwe wedle niej komunikaty *Dziennika* lub też leżąc w całkowitym bezruchu, co najwyżej

śledziła apatycznym, coraz bardziej sennym wzrokiem zmieniające się, migoczące w półmroku obrazki.

– Co oglądasz? – spojrzała w stronę ekranu Aśka i jeszcze zanim sama zdążyła się zorientować, odpowiedział jej entuzjastyczny okrzyk babki:

– Jak to co? – Łucja aż podskoczyła w wymiętej pościeli. – Wałęsa–Miodowicz, dziewczyno, dlaczego nie przysłaś wcześniej, dlaczego tak długo się szwendasz?!

Rzeczywiście: rozpostarci naprzeciw siebie w fotelach siedzieli Alfred Miodowicz, malowany przywódca oficjalnych, tolerowanych przez władzę niby to związków zawodowych, oraz Lech Wałęsa, wiadomo kto, osoba prywatna. Perorował akurat ten drugi, elegancki, z chabrowym krawatem pod szyją i ze znaczkami Matki Boskiej i Solidarności wpiętymi w klapę marynarki. Mówił właśnie – prędko wyłowiła Aśka – o swych złych doświadczeniach i o tym, że nie ma czasu, by wciąż wmawiać społeczeństwu, że coś się będzie robić. A robić trzeba – szukać rozwiązań na miarę epoki. Domagał się pluralizmu, domagał się miejsca w zakładach pracy dla drugiego związku pracowniczego, to go, słychać było, najbardziej interesowało, przy tym się upierał, od tego uzależniał ewentualne powodzenie zaproponowanego przez władze Okrągłego Stołu.

I mówił to wszystko Lechu spokojnie, ale i dobitnie zarazem, głosem pewnym, mówił swobodnie i zrozumiałym językiem, co się przecież w telewizji nie zdarzało. Aż przysiadła na skraju babcinej wersalki.

– Chyba dobrze wypada, prawda? – chciała jeszcze potwierdzenia dla swego pierwszego wrażenia.

– Cicho, teraz nie przeszkadzaj! – zgromiła ją Łucja, zasłuchana, z wypiekami na policzkach, z błyszczącymi oczyma. – A co, nie widzisz?

Bo po strajkach majowych, zakończonych – mimo towarzyszącego im wielkiego entuzjazmu i wbrew oczekiwaniom rozpalonych aż po granice realizmu najmłodszych stoczniovców, że oto uda im się, ot tak, obalić

znienawidzony system – a więc zakończonych bez jakiegokolwiek efektu, co dla wielu równało się porażce, otóż po strajkach majowych przyszyły sierpniowe. Znow zaczęło się na południu, stanęły kopalnie, dołączył Szczecin, port w Gdańsku, a wreszcie, choć dopiero po tygodniu przedłużającego się namysłu, także Stocznia. Więc znów: wiece, msze i dyskusje, tłumy pod bramami i unoszące się w powietrzu poddenerwowanie.

I choć ten zryw również zakończył się sam z siebie, wygasł, nie przyniósł komunikatu o zwycięstwie, pozornie nie zmienił nic, to jednak do władz dotarło wreszcie, choć z trudem, że Solidarności w trakcie długich lat po stanie wojennym nie udało się stłamsić, że Związek wciąż żyje, ba, odżył wręcz, karmiony nadziejami kolejnego pokolenia. Coś z buntowniczymi nastrojami trzeba było zrobić, nie dało się ich dłużej ignorować, a zdusić z kolei mogło być trudno, zwłaszcza wobec tego, co działo się za Bugiem. Tam przecież *pierestrojka*, cokolwiek miało to znaczyć, więc trudno było marzyć o wprowadzeniu kolejnego stanu wojennego, trudno by go bowiem było uzasadnić potencjalnym zagrożeniem ze strony ruskich czołgów. I tak oto rozpoczęły się rozmowy, jeszcze nieformalne, tak pojawiła się idea Okrągłego Stołu. Lecz miało to trwać, długie rozmowy miały opozycję zmiękczyć, wciągnąć ją, ubabrać, a nie przynieść nic.

Aż tu nagle w połowie listopada Miodowicz wyskoczył jak filip z konopi, proponując telewizyjne spotkanie z Wałęsą. I chyba komuś zabrakło refleksu, bo oto do spotkania doszło. Spotkania oczywiście na warunkach władz, pozbawiony wsparcia przywódca Solidarności miał się w studio skompromitować, miał wyjść na nieodpowiedzialnego narwańca, którego pomysły doprowadzą kraj do ostatecznej ruiny. Tyle się przynajmniej Aśka dowiedziała – od wujka Władka i kolegów w szkole.

– Weźmy się do roboty – mówił tymczasem Wałęsa, gestykulując z werwą – bo czas ucieka. Weźmy się do roboty, bo ludziom się żyje coraz gorzej. Jak się

żyje weteranom, którzy walczyli o ten kraj? To wstyd! Będę walczył – akcentował – bo Solidarność jest potrzebna Polsce. Solidarność w niedoli, solidarność w pracy. I jeśli pan w tym pomoże, Okrągły Stół będzie piękny. Ale nie ten, o którym mówi premier, że będzie wielki i pięknie nakryty. Na razie my tego nie widzimy...

– Słyszysz? – pokiwała głową Łucja, a w oczach miała nadzieję. – Słyszysz to? Da się mówić po ludzku i na temat.

Miodowicz wyglądał na przygaszonego.

– Ale czy pluralizm związkowy – pytał – jest jedynym rozwiązaniem naszych kłopotów? Szanse są olbrzymie: w naszym Sejmie, w wyborach do tego Sejmu, szanse są również w partii, w przemianach, które zachodzą w partii...

– A to ci glista! – zaśmiała się okrutnie Łucja, chwytając Aśkę za rękę. – A to ci robał oślizły i obły! Partią chce nas uzdrawiać, czterdzieści lat to słyszę!

– Cicho, babciu!

– To ty mnie uciszasz?

– Cicho!

– Ten system, stalinowski, końcówka, jest nie od utrzymania – odtąd już w milczeniu słuchały odpowiedzi Lecha, przy czym wnuczka objęła staruszkę, drżącą kruszynę. – Co nam proponują komputery? Wielowariantowość...

– Pan widzi, panie Wałęsa, że w tym kierunku idziemy, mimo braku pluralizmu.

– Wie pan, jak ja to nazwałem? Idziecie piechotą, a tu samochodami świat jedzie. Jak będziecie tak szli, to będziemy mieli efekty za dwieście, trzysta lat.

– Ale wsiądziemy do tego samochodu, wsiądziemy.

– Nie za naszych czasów, jeżeli takim tempem będziemy szli. Nie, proszę pana, możemy przyspieszyć, Polskę stać na przyspieszenie.

– O właśnie, o to chodzi, wspólnie...

– Ale jeśli pan będzie miał monopol, a ja nie będę miał prawa życia, no to wybacz pan, no to ja już nie uczestniczę, bo pan mi nie daje prawa. A ja panu daję.

– Ale możemy się zawsze porozumieć.

– Ale pan mi każe, żebym ja wstąpił na kolanach do pana. A ja nie chcę. Ja chcę być sobą. I tak samo mówią nasi ludzie: chcemy być sobą! Wywalczymy to, czy panu się podoba, czy nie!

I tak to trwało, jeszcze chwilę, Wałęsa rósł, jego oponent blakł, a one słuchały.

– Myślisz, Joasiu, że będzie coś z tego? – odezwała się wreszcie Łucja.

– Ale co, babciu? Co masz na myśli?

– Może i kamienicę odzyskamy?

– Kamienicę? Cha, cha, to może i takie czasy nadejdą, że mnie się buty uda kupić?!

– Wciąż nie znalazłaś?

– Nie znalazłam, babciu, ani jednego! – zaśmiała się Joasia, wstając wreszcie i wygładzając babciną kołdrę. – Nie znalazłam.

A szukała ich faktycznie od dawna, sukienkę na studniówkę już miała, lecz butów ciągle nie, wymarzyła je sobie, widziała oczyma wyobraźni. I niestety tylko tam.

Tej jesieni zbliżyły się do siebie. Ona, wnuczka, z babcią, po raz kolejny wdową, staruszką zamkniętą w swej wieży na trzecim piętrze pozbawionej windy kamienicy. Zbliżyły się, Joasia zaczęła nawet u babki pomieszkiwać, zrazu zostawać u niej na noc od przypadku do przypadku, a z czasem coraz częściej.

Tomek wyrok przyjął fatalnie, nic dziwnego. Usłyszał go, kiedy spotkali się pod kinem, cóż, nie wypadło to może najlepiej, ale inaczej nie potrafiła. On z kolei nie mógł pojąć tego, co usłyszał. Potem wydzwaniał, nie chciała podejść do telefonu, a gdy już wzięła do ręki słuchawkę, zaczęła się pełna długich pauz

niby-rozmowa, on pytał, łamiącym się głosem, ona odpowiadała półsłówkami: tak, nie, a jednak, musisz zrozumieć, tak, nie, jestem pewna. Kolejnych tego typu mąk znosić już nie chciała, poprosiła więc matkę, by ta kłamała, że córki nie ma w domu. Anusia zdziwiła się oczywiście i chciała wiedzieć, w czym rzecz, córka wyznała zatem i jej, że to koniec, że rozchodzą się z Tomkiem, że nici ze wspólnej przyszłości, ze ślubu, z dzieci, z wnuków. Ale dlaczego, dlaczego, chcieli wiedzieć oboje: i matka, i były chłopak, więc w końcu przyznała się obojgu i do tego, że kocha, niestety, innego. Tomek wtedy znów znieruchomiał, zaniemówił, a stało się to na tym skwerze, w tym samym parku, w którym Aśka tak nieszczęśliwie wyznała swą miłość Jackowi, i znów poczuła się fatalnie, strasznie było jej go, Tomka, żal, kto wie, gdyby nie odwrócił się na pięcie, nie odszedł bez słowa, to może i złamałaby się, rozszłochała, pozwoliła się przytulić i cała ta tragiczna afery poszłaby w zapomnienie.

Anusia również chciała wiedzieć: jeżeli nie Tomek, do którego przyzwyczała się, to kto? Na to już Aśka nie miała sił, nie miała odwagi, by powiedzieć o nauczycielu.

Pewnego sierpniowego popołudnia przykuł jej uwagę niespodziewany hałas za oknem. Dobrze znane akordy rozpoznała w mig, nie musiała podchodzić do okna, by zrozumieć w chwili trwogi, że to bez wątpienia Tomek kompromituje właśnie i siebie, i ją. A on rzeczywiście wystawił z samochodu gitarowy wzmacniacz i śpiewał oraz grał. Lecz nie była to miłosna serenada, absolutnie, raczej pieśń buntu i wściekłości, głos zemsty poety. Krzyczał zatem, darł się rozpaczliwie, chcąc wybić się ponad hałas czyniony przez gitarę i łatwo było sobie wyobrazić, że oto połowa osiedla wisi już na parapetach i najpierw przygląda się sięgającej miłosnego dna ofierze losu w dole, a potem, idąc po linii jej, ofiary, wzroku, celuje spojrzeniami w okna adresatki upiornej pieśni.

– No to się popisalaś – skwitował złośliwie Marek, a ona, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, zamknęła się w łazience. Grajkowi na szczęście nie na długo

starczyło zasilania, pieśń jak rozległa się tonem mocnym, gwałtownym, pełnym furii, tak przycichła wśród coraz słabszych jęków i zawodzeń, jakby taśmę magnetofonową wciągał zawodny mechanizm, albo jakby w adapterze popsuł się złośliwie napęd. I tyle było tego dobrego, kolejne wieczory zdecydowała się spędzić u babki.

Tego lata nie wyjeżdżała nigdzie, nie licząc jednodniowych wypadów nad morze. Z koleżankami – do Chałup lub do Jastrzębiej Góry. Tam opalały się i plotkowały. I właśnie tam usłyszała, że Jacek to *gay*, pedał.

– Nie wiedziałaś? Nie mów!

Dziwne to były słowa, je się, owszem, znało, czemu nie, choć kojarzyły się z przerysowanymi scenami w polskich filmach czy serialach, albo z pornografią tandetnych magazynów obyczajowo-kryminalnych, gdzie sąsiadowały nieuchronnie z topornym *konkubentem* lub wstrętnym *sutenerem*. Pojawiały się też w plotkach, choć raczej jako dyskredytujący epitet niż opis preferencji seksualnych. Jako epitet funkcjonowały też na podwórkach i szkolnych korytarzach. Aż tu nagle taka wiadomość.

– Nie wiedziałaś?

– Ale serio?

– Na sto procent.

– Skąd wiesz?

– Słyszałam.

Do szkoły wrócić musiała, cóż, inaczej się nie dało, chociaż na samą myśl o wrześniu nawet w chłodne sierpniowe wieczory oblewały ją poty, postanowiła zatem, że zrobi to tak, jak gdyby nigdy nic, udając, że nic się nie wydarzyło, że w ogóle nie było w kalendarzu tamtego fatalnego czerwcowego dnia. O występach w szkolnych reprezentacjach mowy być oczywiście nie mogło.

I jakoś to poszło, udało się. Choć jeszcze się mu przypatrywała, Jackowi, *gayowi*, chcąc doszukać się potwierdzenia dla plotek. Najdziwniejsze było

jednak to, że już nie czuła się zakochana, nic a nic, zdarzył się cud, cud niespodziewanej, choć zasłużonej po tylu mękach wolności.

Bywając u Łucji, szczerze, mimo że tak długo do tego dojrzewała, zainteresowała się owymi listami, zapiskami z przeszłości, które rok wcześniej za wyraźnym podpuszczeniem babki znalazła w jej piwnicy. A Łucja jakby na to zaciekawienie czekała, wystarczyło więc słowo, by żwawo zanurkowała w szafie i z uroczystą miną wystawiła na błyszczący politurą i przykryty koronkową serwetą blat stołu kartony pełne papierzyk.

Przeoglądanie zaczęły od listów z lat powojennych, pisanych przez babkę do dziadka Krzysztofa. To wystarczyło, by wzruszona wnuczka poczuła nową falę miłości do Łucji. Miłości już nie tak oczywistej, najprostszej, dziecięcej, ale dojrzałej i pełnej zrozumienia. Pomijając narzekania Łucji na ustrój, na zmieniającą się na gorsze Gdynię, tak wiele można było się z owych listów dowiedzieć! O wojennych losach babki, o gehennie jej wygnania z miasta z trójką dzieci u boku, o powrocie, o szczęśliwych pierwszych latach po wojnie, ale i o tragediach, które wkrótce nastąpiły: o aresztowaniu i wieloletnim uwięzieniu dziadka Konstantego, o śmierci jego żony. O dramacie wujka Antoniego, starszego brata matki, a potem o okrutnym dla Łucji życiowym wyborze wujka Franciszka. Dalej, już w nieco lżejszym tonie, o miłościach matki, ale i o tajemniczym, pierwszym, jeszcze przedwojennym absztyfikancie babki – panu Adamie – i o tym, jak ta dwójka, Łucja i Adam Grabski, spotkać się mieli w Gdyni w grudniu roku siedemdziesiątego. A wreszcie o dniu, a właściwie nocy, gdy ona sama, Aśka, zdecydowała się przyjść na świat, a odbyło się to w okolicznościach doprawdy dramatycznych.

Gdy o tym wszystkim wspólnie czytały, gdy rozmawiały godzinami, objęte ciepłym światłem zwisającej nad stołem lampy, Aśka nieraz gubiła się w natłoku faktów i emocji z nimi związanych, więc wreszcie sięgnęła po pocięty w bładą kratkę zeszyt w burych okładkach i w nim zaczęła porządkować wiadomości.

A więc przypisywać wydarzeniom daty i tworzyć wykresy, na których strzałkami łączyła postaci i decydujące o ich losach wątki.

Aż wreszcie ośmieliła się dodać własną kartę do zapisków Łucji i napisać (pod datą 17 grudnia 1970 r.):

„I wtedy się właśnie urodziłam. Na imię miałam mieć Jolanta, ale ktoś pomylił się w urzędzie i zapisano Joanna”. I dalej: o panu Grabskim, by dokończyć historię babki, o kłopotach dziadka Konstantego, a na koniec o tym, jak ojciec wrócił z morza i w szpitalu nie tylko córkę ujrzął po raz pierwszy w życiu, ale i teściową.

Łucji pomysł Joasi bardzo się spodobał, pięknie to opisałaś, uznała, tak właśnie było, jak napisałaś, tak było... Tamtej nocy, i wielokrotnie później, te kilka napisanych przez wnuczkę akapitów odczytywała z nieskrywanym wzruszeniem: „Wtedy babcia i dziadek mogli się pobrać, kochani, na ślubie wyglądali ponoć pięknie, mama mówi, że tak wspaniałej pary nigdy wcześniej ani później nie widziała”.

Jednak to nie o lata powojenne chodziło Łucji najbardziej, nie nimi przede wszystkim chciała wnuczkę zainteresować. Sama je przecież opisała, owych listów – w ciężkich dla siebie chwilach, a więc właściwie nie wiadomo jakim cudem – napisała grubo ponad dwadzieścia, wszystko w nich było, no, może za wiele złości, a za mało czułości, może za bardzo skupiała się na faktach, wierząc, że kto mądry, ten resztę, a więc stan ducha piszącej, łatwo sobie dopowie, a jednak mogła uznać, powtórzyć: że było w nich wszystko.

A przecież już po tamtym grudniu, kiedy narodziła się Joasia, po tym, gdy wyszła za Konstantego, a więc wtedy, gdy jej świat w końcu ostygł, przestał drżeć w posadach, kiedy nastaly lata względnego spokoju, otóż wtedy na dobre wracać zaczęła myślami do czasów przedwojennych, gdy jako młoda panienka uciekła z rodzinnego Wyszkowa do odległej, mitycznej już od chwili zarania Gdyni, do czasów, gdy w jej życiu pojawił się Krzysztof. A jak Krzysztof, to

i Konstancy. A jeszcze przed nimi Grabski...

Lecz nie miała już ochoty pisywać długich listów. Nie miała też siły, z ósmym krzyżykiem na karku; pióro co prawda potrafiła jeszcze utrzymać w ręku – tego by brakowało, żeby działa się inaczej! – jednak prędko, zbyt prędko pobolewać zaczynał ją kciuk i palce, zbyt szybko drętwiało ramię, a nade wszystko od razu też szczypały ją oczy.

Notatki czyniła zatem krótkie, każdy akapit zaczynając od w miarę pewnie postawionej daty rocznej, po niej, o ile pamięć – *nomen omen* – dopisywała, podając miesiąc lub porę roku, w której działy się opisywane zdarzenia. I dalej krótko: „zatrudniłam się”..., „spotkałam”..., „w dniu otwarcia urzędu”..., „na święta przyjechali”..., „zdecydował się oświadczyć”...

W efekcie jednak i tych notatek powstało mnóstwo, widziałby kto, dziwiła się Aśka, że z babci taki pisarz!

I znów: pochylały się nad nimi, ale w tym wypadku słowo *wspólnie* znaczyło już więcej, bo teraz Aśka pomocy Łucji potrzebowała nie tylko po to, by odczytywać niekiedy zlewające się, niewyraźne litery, ale nade wszystko, by pojąć sens kolejnych akapitów, by je łączyć w zrozumiałe ciągi, by ze słów odtworzyć historię.

A więc historię owej ucieczki z sennego miasteczka w nieznaną, ucieczki odważnej, ale i przepełnionej zrozumiałymi u młodej panienki lękami. Historię spotkania z Adamem Grabskim: ślicznym jak z obrazka, grzecznym i elokwentnym, zachwyconym, jak i Łucja, budującą się z rozmachem Gdynią. A zaraz potem spotkania z dziadkiem Krzysztofem – zrazu bezczelnym, zdawało się niebezpiecznym, drapieżnym z wyglądu. Nie przypadkiem na początku babka nazywała dziadka Zbójem.

Nie wiedzieć kiedy Aśkę wciągnął ów świat, zanurzała się w nim z wielką ochotą. Ale też Łucja starała się, wysilała pamięć, by lakoniczne notatki rozświetlić opowieściami o skrzącym się morzu, ubarwić wspomnieniami

kolorów sukienek i kapeluszy, wzbogacić o pogłos a to dźwięków dochodzących z przeżywającej swe najlepsze lata Świątogańskiej, a to tych dobywających się z ówczesnego cudu techniki – radia.

Chodząc później ulicami miasta, Aśka inaczej patrzyła na wille i kamienice, w których pomieszkiwali – najpierw osobno, a potem wspólnie – babcia i dziadek. Inaczej patrzyła na wielkie gmachy i na budynki urzędów – chlubę owego miasta. Wyobrażała sobie: kolejne samochody dziadka, wystrój sklepu, który prowadziła Łucja, wyobrażała sobie wujków: w krótkich spodenkach i z marynarskimi kołnierzami na koszulach, gdy w tłumie elegancko ubranych pań i panów – rzutkich przedsiębiorców, dostojnych urzędników, ale i oficerów różnych formacji wojsk – spacerowali w towarzystwie rodziców nowo wybudowanym moło Południowym.

Ale były też w opowieściach babki pewne momenty nieciągłości, tajemnice, wyczuwalna w głosie niepewność – zwłaszcza gdy przychodziło jej odpowiadać na dociekliwe pytania wnuczki.

Choćby te dotyczące pierwszych miesięcy Łucji w Gdyni. Przyjechała tu z Jadzią, poznaną w pociągu, z którą potem wspólnie szukały pierwszej pracy, wspólnie obiadały, a i wspólnie przez jakiś czas pomieszkiwały. Razem też znalazły się w kręgu towarzyskim niejakiego Jana Króla. Lecz wkrótce trop się urywał, o Jadzi nie było więcej mowy. Aśka koniecznie chciała wiedzieć: co się z nią stało? – lecz wtedy babka ucinała temat, że nieważne, mówiła, stało się, jak się stało, tamta wyjechała... Z kolei nazwisko Króla wracało: „Krzysztof pojechał do Króla do Bydgoszczy, Krzysztof pojechał do Króla do Warszawy” (do więzienia!), „dogadali się”. I po latach: „Król wrócił. Król przyszedł. Król stwierdził, jakoby Krzysztof szantażował go. Konstanty zaprzeczył”.

Ciągnęła więc babkę za język, zwłaszcza po tym, gdy Łucji wymsknęło się najpierw, że Krzysztof z Konstantym (bo teraz już obie mówiły o nich po imieniu) prowadzili z Królem interesy i właśnie w związku z nimi popłynęli

z przemycanym spirytusem aż do Stanów Zjednoczonych.

– Z przemycanym? – uniosła brew Aśka.

Łucja spieszyła się.

– Takie były czasy, że nie wszystko było legalne – niby to wyjaśniła, a jeszcze bardziej zaciemniła wizerunek obu swych mężów. A kiedy i tego Aśka się uczepliła, prosząc o wyjaśnienia, Łucja zacięła się, wymówiła zmęczeniem, późną porą, zaraz też oddalając się do łazienki, by wkrótce położyć się do łóżka.

Zaś innym razem wspomniała o niejakiem Witoldzie, jego imię również powtarzało się w notatkach, z tym że na koniec w zgoła niesamowitym wątku, gdy okazać się miało, że ów Witold celowo spowodował wypadek samochodowy, wypadek, który Krzysztof cudem przeżył, lecz właśnie w następstwie którego dostał apopleksji. A chwilę później dodała: „Witold skończył ze sobą w więzieniu. Sam – tak przynajmniej twierdzi Konstany”.

– Babciu! – ekscytowała się Aśka. – Przemyt, podejrzany wypadek, tajemnicze samobójstwo... Czy jest coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć? Czym oni się właściwie zajmowali?

– Joasiu – Łucja zmarszczyła czoło, jakby się nad czymś zastanawiając. – Joasiu, ja sama nie wiem, oni z Konstany nie o wszystkim mówili, mieli swoje sprawy, w tamtych czasach kobiety nie interesowały się męskimi przedsięwzięciami.

– I nigdy później, nawet wtedy, kiedy spisywałaś swoje notatki, nie zapytałaś o to Konstatego? – nie chciało się wierzyć Aśce.

– A wiesz, że zapytałam.

– I co? W jaki sposób odpowiedział?

– Powiedział, żebym nie martwiła się niepotrzebnie, nikt się o niczym nie dowie, co było, to było, a ci, co wiedzieli zbyt dużo, niczego już nie powiedzą, gdyż od dawna leżą w grobach.

Aśka zaśmiała się nerwowo:

- Co ty mówisz, babciu!
- Tak właśnie powiedział.
- I nie zmusiłaś go, by wyjaśnił, w czym rzecz?

– A co by mi z tego było, Joasiu, gdyby wyjaśnił? Mało miałam w życiu zmartwień? O, kręciło się sporo zakapiorów, zwłaszcza wokół Konstantego. A on jakby nad nimi panował, im przewodził. Takie czasy były. A teraz zadzwoń do matki – prosiła – chce wiedzieć, czy i dziś zostajesz na noc, no idź, zadzwoń, ja *Dziennik* włączę, jutro porozmawiamy.

Ale jutro było futro, zasypywana pytaniami Łucja milczała jak grób, albo mówiła, że nic więcej nie pamięta.

I tak to ze sobą rozmawiały, tak babka niby chciała dopuścić wnuczkę do swoich tajemnic, chciała za pośrednictwem swojej Joasi jeszcze raz przeżyć dawne, najszcześniejsze chwile, ale z drugiej strony im więcej owych tajemnic odsłaniała, tym bardziej zaczynała się pilnować – by nie odkryć się zupełnie, nie obnażyć, nie naruszyć w pamięci rodziny świętego wizerunku Krzysztofa.

Pewnego wieczoru, niedługo po tym, gdy usłyszała opowieść o oświadczeniach Adama Grabskiego i o tym, jak w tej trudnej dla babki chwili niespodziewanie z mroku 10 Lutego wyłonił się w swej autodorożce Krzysztof, który swym spokojem pomógł Łucji znieść moment tak ogromnego wstydu, a więc tego właśnie wieczoru to Aśka zaczęła opowiadać. O Tomku, ale i o nauczycielu. O tym, jak zawiodła pierwszego i jak ośmieszyła się przed drugim. I o tym, że to pierwsze zrobiła z uczciwości, bo przecież nie dało się, prawda? inaczej. Oraz o tym, że jej miłość do drugiego nie miała najmniejszych szans powodzenia; przy czym z początku wydawało się to tragiczne, okrutne, tak strasznie bolesne... Ale potem, gdy na jaw wyszło to, co wyszło („pederasta?” – zdumiała się Łucja, a potem uśmiechnęła się do jakichś swoich niewypowiedzianych myśli), a zatem okazało się to, co się okazało, wtedy owa wielka miłość wydała się Aśce śmieszna, naprawdę, to ja byłam śmieszna –

mówiła gorączkowo – żalosna, babciu, co za wstyd, co za upokorzenie!

A wszystko to opowiedziała, bo przecież musiała wiedzieć:

– Czy nie jestem wstrętna, babciu, okropna, przez to, co zrobiłam Tomkowi?

A może już zawsze gryźć mnie będą wyrzuty sumienia?

Stała wtedy za plecami siedzącej przy stole babki i najpierw położyła dłonie na jej ramionach, a potem pochyliła się, zgarbiła, wtuliła policzek w policzek Łucji.

– Jak sądzisz, babciu? Powiedz, bardzo źle zrobiłam?

Łucja nie mogła odpowiedzieć inaczej niż prędko i stanowczo. A wtedy Aśka westchnęła, ach, babciu, powiedziała, obyś miała rację.

Wieczorem, kiedy Łucja już się położyła, Aśka, umościwszy się na tapczanie w drugiej części pokoju, zapaliła lampkę i sięgnęła po raz kolejny po dawne listy babki, po czym zapytała:

– A ten pan Grabski, powiedz, babciu, to już nigdy się do ciebie nie odezwał?

– Nigdy – odparła Łucja, ziewając. – Już nigdy niczego więcej się o nim nie dowiedziałam.

ROZDZIAŁ 12

I JAKOŚ TO BĘDZIE...

Na studniówkę poszła z Maciejem. Kiedy zatelefonował jeszcze w sierpniu (ale skąd miał numer? chciała wierzyć, że z książki telefonicznej, a więc, że nie zdobył go od Tomka), tradycyjnie speszyło ją to, przestraszyło. A on po prostu chciał pogadać, opowiedział o swoim zarobkowym pobycie na normandzkiej prowincji i o tym, że z jego współpracy z zespołem w związku z tym nici, chłopaki obrazili się. Inna sprawa, że prędko sobie poradzili – kontynuował – bo śpiewa teraz z nimi dziewczyna (o, zdziwiła się Aśka, informacja ta nieco ją ukłuła). Na koniec zaproponował wspólny wypad na plażę do Dębek, jedziemy w kilka osób – tłumaczył – a wśród nich, wyobraź sobie, Iwona z twojej klasy. Będzie wesoło!

Owszem, potrafiła to sobie wyobrazić, ale jednak wymówiła się.

Kilka tygodni później spotkali się przypadkowo w autobusie, znów zamienili kilka słów, Aśka była tego dnia w wyjątkowo dobrym humorze, więc pewnie dlatego wkrótce znów zadzwonił, tym razem proponując wyjście do teatru – na *Jesus Christ Superstar* w reżyserii Gruzy. Jeszcze nie była na tym spektaklu, bo też wcale niełatwo było regularnie bywać w Teatrze Muzycznym, tym najbardziej elitarnym salonie miasta, więc zawahała się, co wyczuł. „Bilety mam od kumpla, szkoda, żeby się zmarnowały”. Zatem poszli i spędzili udany wieczór, Maciek zachowywał się nader szarmancko, a w teatrze zdawał się wszystkich znać. Więc spotkali się jeszcze raz czy drugi, aż wreszcie w Sylwestra, kiedy chłopak pojawił się na moment w ich mieszkaniu, by zapewnić rodziców, że córka wróci do domu z imprezy w doskonałym stanie i humorze, Anusia wypaliła zniecka:

– A może to pan poszedłby z Joasią na studniówkę? Bo ona nie ma z kim...

– Oj, mammo!

Maciek roześmiał się i w swoim stylu szeroko rozłożył ręce:

– Widzi pani, Joasia wcale się do tego nie pali.

Obraziła się wtedy na matkę, ale ostatecznie – i właściwie nie wiadomo, jak to się stało – w szkolnej auli zasiedli razem.

Uważała go wcześniej, zwłaszcza na początku, za takiego hop-do-przodu. Jak z piosenki Oddziału Zamkniętego: „Ja mam najszybszy wóz, najlepszy gust, wszyscy mnie przecież znacie, ja mam na imię Maciej”... Otóż to, nawet imię się zgadzało. Owszem, miał w sobie sporo niezaprzecznego uroku, ale też mnóstwo nadmiernej nieraz pewności siebie, irytującą nadgorliwość oraz nieubłaganą chęć imponowania.

Powiedziała mu o tym, a wtedy on się z kolei obraził, dobrze, że na krótko, że na dłużej zwyczajnie nie potrafił.

– Maciek – starała się wytłumaczyć – przecież nie powiedziałabym ci o tym pierwszym, dawnym wrażeniu, gdybym do dzisiaj tak uważała...

Cóż miał zrobić: wybaczył, zrozumiał, zapomniał.

Bał rozpoczynał się, wiadomo, od poloneza Ogińskiego, nie mogło być inaczej, trudno było sobie wyobrazić początek studniówki – jak kraj długi i szeroki – w takt innego poloneza. Maciek tańczył świetnie, to wyszło na jaw już na próbie generalnej, nic dziwnego, że ku zawstydzeniu Aśki trafili do pierwszej pary. Zaniepokoiła się przy okazji, że tak jak na niej wywarł niegdyś wrażenie bufona, tak samo wyrze je na innych – jej koleżankach i kolegach z klasy. A jednak wnet potrafił sobie zjednać ich sympatię, ba, świetnie się stało, że był razem z nią, bo dopiero teraz zauważyła, jak nudni potrafią być jej rówieśnicy: takie niby chojraki, tacy pewni siebie, wygadani, a gdy przyjrzeć się im bliżej, a zwłaszcza posłuchać, same prostaki, co to ani be, ani me, o meczach przede wszystkim potrafili mówić, o tych wszystkich nieszczęsnych zespołach oraz

o imprezach – tych, co były, i tych, co być miały, tak, właśnie one były najważniejsze, imprezy, niby niezapomniane, a nijak nie warte zapamiętania osiemnastki, piwo w knajpach i wódka na ławce na bulwarze.

Tej nocy również chcieli pić wódkę i zdawać się sobie musieli żołnierzami pijackiej armii krajowej, konspiratorami bardziej przebiegłymi niż Bujak z Frasyniukiem. Sięgali zatem po flaszki ukryte pod stołem niby to ukradkiem, a jednak tak niezgrabnie, że aż paraliżował Aśkę strach, iż oto zaraz zostaną zdemaskowani, a potem lali ową wódkę do szklanek z oranżadą, by wreszcie przechylać w tył głowy ruchami nazbyt energicznymi, jakby upajając się swą odwagą, ale i domniemanym, biesiadnym doświadczeniem. Maciek również się napił, a złowiwszy jej zaniepokojone spojrzenie, uspokoił: wszystko mam pod kontrolą, nie martw się.

Dużo tańczyli. George’a Michaela, INXS, Gun N’Roses. Rosyjskie *Biełyje rozy* starali się zbojkotować, ale nie wszystkim się udało, spora część dała się mimo wszystko porwać na parkiet. Szczególną euforię, ale to już wtedy, gdy zadziałała wódka, wzbudził zestaw przebojów sprzed lat, znali je jeszcze z podstawówki: *Never Never Comes* Classix Nouveaux, *Never Ending Story* Limahla, a nade wszystko *Forever Young* Alphaville.

– Zauważ – wykrzyczał w pewnej chwili wprost do ucha Aśki Maciek – *never* i *forever*. Nigdy i na zawsze. Gówniarskie zaklęcia. Nie znoszę tych słów!

– Ale dlaczego? – ona również zawołała. Odpowiedział, wykrzywiając ironicznie usta, ale z powodu hałasu nie dosłyszała ani słowa.

Maciek tańczył także z nauczycielkami. Koledzy Aśki tręcili się wtedy łokciami i robili głupie miny. Jednak nauczycielki wyglądały na zachwycone.

Późno już było, kiedy wyszli na zewnątrz odetchnąć. Aśka sięgnęła po papierosa.

– Ty palisz? – zdziwił się Maciek. Cóż, właściwie nie paliła, debiut zaliczając jeszcze w podstawówce, co jej starczyło na długi czas. A potem dopiero wtedy,

gdy częstował Korba. Wiosną kupiła w Peweksie swą pierwszą paczkę marlboro i w najtrudniejszym dla siebie czasie wypaliła kilka sztuk. Dzisiaj także miała ochotę.

Naraz z krzaków dobiegły ich głosy dogorywającego, charczącego zwierza. Ktoś zaśmiał się, kto inny wyjaśnił: rzygają. Tak też było. Interweniujący ochotniczo Maciek kazał poić nieszczęśników wodą i koniecznie nakarmić. Zaś gdy trzeba ich było cichaczem przeprowadzić do toalet lub do szatni – omijając szpiegujących nauczycieli – zagadywał wroga i odwracał jego uwagę żarcikami o Okrągłym Stole.

Na sam koniec znów tańczyli – tym razem *Wonderful Life* Blacka. A patrzyli sobie przy tym tak głęboko w oczy, że aż ich rozdzieliła, pogoniła, niby półżartem, anglistka.

CZĘŚĆ

2.

ROZDZIAŁ 1

MAŁA

Umówili się w Cyganerii. Za kilka godzin zrobi się w niej głośno i tłoczno, jak co wieczór, siedzący na rozchwianych krzesłach przy niskich stolikach goście będą się nieustannie trącać, będą się o siebie ocierać, będą zaglądać sobie wzajem do szklanek, a każda decyzja któregoś z nich o wyjściu do toalety wzbudzi całą falę poruszeń, gdy proste odsunięcie krzesła wymusi przesuwanie kolejnych, sorry, sorki, przepraszam, całe to wstawanie, mijanie się, siadanie na powrót, lecz tylko na chwilę. A i tak wciąż jeszcze trzaskać będą drzwi i wciąż schodzić się będą kolejni kolekcjonerzy wrażeń, stali – mimo upadków dnia poprzedniego – i niestrudzeni w swym parciu ku zapomnieniu bywalcy. Bo tutaj się oddycha, tutaj dyskutuje, tutaj słucha jazzowych koncertów. Zerwane zostały z okien rybackie sieci, a ze ścian ciężkie, mroczne boazerie, znikły obrazy o tematyce morskiej. Zrobiło się jakby jaśniej, przestronniej, choć wieczorami w dalszym ciągu mroczno. I leje się piwo, a nie jak w dawnych latach wino, tylko kelnerka jest ciągle ta sama, kierowniczką sali, energiczna i gotowa, by pijaków za drzwi wyrzucać osobiście, nie ma przebaczyć, gdy podpadłeś – po tobie!

Ale to wszystko później, wieczorem i nocą, na razie siedzieli – a w wąwóz ulicy i przez szerokie witryny kawiarni do jej wnętrza wlewało się rozproszone letnie światło. Siedzieli tak od kilku godzin, coraz bardziej w siebie zapatrzeni. Na samym tylko łapczywym wpatrywaniu się w siebie nie wiadomo kiedy upływać by im mogły kwadransy, a przecież prócz tego rozmawiali, śmiali się, gestykulowali, a każde słowo, każdy gest, każdy grymas był ważny, warto go było uchwycić, w ten sposób uczyli się siebie, uczyli się sobą zachwycać.

Bo jemu wszystko się w niej podobało: sposób, w jaki unosiła filiżankę, jak odrzucała w tył głowę, jeżeli udawało mu się ją rozśmieszyć, albo gdy odwracała się w jego stronę, kiedy wracał do stolika; wszystko, po prostu wszystko.

Pasma długich i kasztanowych włosów opadały jej na ramiona, okalając delikatną twarz. Nos miała prosty, usta wąskie, długie rzęsy i zielone oczy. W pierwszej chwili sprawiać mogła wrażenie wiecznie zamyślonej, wręcz smutnej, jednocześnie zaś skupionej, skoncentrowanej na rozmówcy, co wzbudzać musiało czułość – i wzbudzało, nie mógł powiedzieć, że nie – oraz chęć, no właśnie, by zręcznym słówkiem, eleganckim żarciem wywołać jej uśmiech, przegnać precz melancholijne zadumanie.

Była inna niż wszystkie, to mu się w niej najbardziej podobało, była inna, gotów był się przy tym upierać, nie on jeden w historii świata. Tego dnia miała na sobie długą, szmaragdową bawełnianą suknię na ramiączkach, a pod nią kanarkowy T-shirt. Suknia ta, w średniowiecznym czy też hippisowskim stylu, innymi słowami, by ją opisać, raczej by nie znalazł, doskonale oblewała jej wiotką sylwetkę, wąskie biodra i zgrabne nogi. Urywając się niewiele ponad stopami, ledwo odsłaniała czarne martensy. (I cóż, chyba tylko one wydały mu się zwykłe, zwyczajne, chodziło w nich wszakże całe miasto, moda bywała okrutna, dziewczyny od stóp do głów ubierały się tu niemal tak samo, niby to chcąc się wyróżniać, ale przede wszystkim obawiając się tego, by nie odbiegać od narzucanego sobie nawzajem kanonu).

Uwagę zwrócił na nią już dawno, musiała mieszkać w pobliżu, prawdopodobnie na zboczach Kamiennej Góry, zdarzyło się zatem raz i drugi, że wspólnie – chociaż nie razem – podążali o poranku aleją Piłsudskiego w stronę przystanków przy skwerze Plymouth lub Świętojańskiej, skąd trolejbusy wieźć ich miały do szkół. Tak, to wtedy zauważył ją po raz pierwszy, zwiewną hippisę z kanciastym plecakiem Pippi Langstrumpf na ramionach, tak mu się objawiła, znieca, niespodziewanie, kto wie, być może i wcześniej szedł już za nią, to

bardzo możliwe, jednak wtedy była dzieckiem, najgrzeczniejszą z grzecznych, niewyróżniającą się małolată, więc dopiero po tym, jak zmieniła styl, a właściwie gdy go dla siebie odkryła, znalazła, gdy w nim okrzepla, tak jak okrzepli rysy jej twarzy, już nie dziecka, nastolatki, a więc dopiero wtedy wpadła mu w oko.

I odtąd się mijali. Nie było wcale tak, że nie mógł przez nią spać, ani nawet że na dobre ją zapamiętał, po prostu się mijali, najpierw w drodze do szkoły, a później coraz częściej: przy okazji koncertów albo zwykłego szwendania się po mieście, przed którymś z kin albo w okolicach dworca, tam często się siedziało, się spotykało, się kupowało coś do żarcia, zwłaszcza wieczorami. Wtedy zdarzyło się, że wymienili spojrzenia – mieli, na to wyszło, wspólnych znajomych – i w ten sposób wreszcie się zapamiętali, bo gdy następnego dnia zmierzali krok w krok długą aleją, ona po jednej, on po drugiej stronie jezdni, to i kiwnęli do siebie głowami, tak mu się przynajmniej zdawało, choć może to tylko on kiwnął, zaś ona, speszona, odwróciła głowę... Ale, że go rozpoznała, tego był pewien.

A potem przez jakiś czas wcale jej nie widywał, aż wreszcie natknęli się na siebie na imprezce u pewnego koleżki przy Abrahama. Marek trafił na tę bibkę przypadkiem; wcześniej lawirując po mieście z kolegą punkowcem Granatem, coś tam chlapnęli na schodach przy bulwarze, poprawili w budach przy skwerze Kościuszki, wtedy naszła ich ochota na ajerkoniak, znaleźli go w sklepie przy Starowiejskiej, prócz tego nic się nie działo, nuda, panie, traktorem koszą, nuda, co by tu zrobić z tak pięknie rozpoczętym wieczorem – zastanawiali się rozpaczliwie – aż w końcu się udało: napatoczyć na jedną taką pannę, ona powiedziała, że idzie na bal, więc i oni poszli.

Mała właśnie wychodziła, bo już późno było, cóż z tego, że zaczęły się wakacje, nie dla niej były jeszcze poważniejsze balety – a jednak została na chwilę i, jak się okazało, tylko po to, by z nim, z Markiem, spędzić ten czas w korytarzu pełnego imprezowiczów mieszkania, spędzić go na rozmowie, co ona w nim dostrzegła, mógł się tylko domyślać, za to on, gdy usłyszał jej głos –

ani nie za niski, ani, broń Boże, wysoki, za to z jakąś chropowatą nutą – a więc, gdy usłyszał jej głos, my się znamy, czy coś takiego, to od razu, bo to zdaje się ów ajerkoniak działał, od razu zatem palnął, że znają się tylko z widzenia, a jednak lubią się trochę, jak śpiewał, tak mi się wydaje, powiedział, Dżem... Ale ja też lubię Led Zeppelin – dodał zaraz bez namysłu, a obie te nazwy: „Dżem” i „Led Zeppelin” wymienił z taką ironią, że aż błysnęło jej oko, bo zrozumiała, że to zaczepka. I tak to się zaczęło, niby się sprzeczali, przekomarzali, lecz wkrótce zaczęli ustalać, kto kogo zna i z jakiego grona, aż wreszcie zgodzili się, że imprezka nie jest warta grzechu, jest nudna, byle jaka, a potem już nie wiedzieli, o czym jeszcze mówić, więc w końcu sobie poszła, nie dając się odprowadzić, wyszła z koleżankami, ważne, że dyktując numer telefoniczny, nie pomyliła się, a i on – zapisując – tak samo.

No i cóż, przedwczoraj się poznali, wczoraj dzwonił, a już dziś – choć krygowała się, co doceniał – umówili.

– Alkoholu osobom niepełnoletnim nie podajemy – mrugnęła kelnerka, spojrzawszy na Małą, gdy już zasiedli.

– Pani mnie jak zwykle odmładza! – odparł błyskawicznie.

– Pana to ja dobrze znam. A o panienkę się obawiam...

– Naprawdę? – wyjąkała Mała, wcale nie z przestachu, ale jednak nieco w nowym dla siebie miejscu speszona. Kelnerka machnęła ręką w nieokreślonym geście.

– W tym miesiącu jestem tu po raz pierwszy – wyjaśnił z zawadiacką miną.

– Dziś jest czwarty lipca, prawda? – upewniła się.

Popisywał się, strasznie się popisywał i aż sam się sobie w duchu dziwił, gdyby nie ajerkoniak, wcale by przecież nie miał śmiałości, aby taką młódkę zaczepić, jednak cóż, zdarzyło się, a teraz, gdy siedział przed nią, gesty i słowa dyktowała mu adrenalina, podpowiadał je testosteron, jakby zwiększoną ich dawkę, hormonów, bądź słów, wtłoczył sobie do żył dwa dni temu wraz z owym

słodkim, kanarkowym, punkowym likierem.

Odważnie, choć mimo wszystko starając się nie przesadzić, drwił z jej szkoły, orłowskiego plastyka, z owego towarzystwa odklejonych od rzeczywistości dziwadła, co to zapewne gubią się w drodze do budy. Ja też Kocham deszcz – przekonywał za moment błazeńsko, cytując, choć nie pamiętał kogo – Kocham deszcz, bo zmywa wspomnienia z chodników życia...

Następnie spierali się, gdy Mała nieśmiało oponowała, na temat Pearl Jam i Nirvany oraz całego stylu, który się wraz z tymi zespołami pojawił, styl w modzie, noszenia wełnianych czapek w środku lata i kraciastych koszul – wiązanych rękawami w pasie i zwisających do kolan niczym sukienki.

– Ty się nabijasz – kontratakowała Mała – nabijasz, wyśmiewasz, a sam z punkowcami się włóczysz. Lepsi jesteście?

– To oddolny ruch – odpowiadał z przekonaniem – nam mody nie dyktuje kolorowy cukierek MTV!

– Dobra, dobra – nie dawała się zbić z tropu, co przyjmował, a jakże, z uznaniem.

A potem śledzili wzrokiem tych, którzy przechodzili ulicą. Istny korowód, gdy spojrzeć złośliwie, typów nowej rzeczywistości.

– Patrz na tego w brylach – kierował uwagę Małej. – „Czy nie przypomina Tymińskiego? Teczke niesie, zobacz, jak kurczowo ją ściska, ma w niej, bez dwóch zdań, niezmiernie ważne papiery, ma przepis na cały świat, tylko nikt nie chce go słuchać, żona go goni, ma już dość nudziarza, zresztą zewsząd go gonią, dlatego taką smutną, a jednocześnie zaciętą ma minę.

– A ten – w muszce? Miłośnik krzyżówek, prawdziwy mistrz jolki, prócz tego świetnie rozwiązuje szarady. I na wszystko ma wyrobione poglądy, na wszystkim się zna, teoretyk. Najgorzej, kiedy zaczyna opowiadać filmy, robi to metodycznie, systematycznie, od pierwszej sceny do ostatniej, gubisz się już przy trzecim zdaniu, lecz on tego oczywiście nie zauważa, za to upiera się, żebyś

wszystko zrozumiała, więc wikła się w niuanse, i wtedy ten facet, mówi, przychodzi do tamtej facetki, a ona jest z tym grubym, co to mówiłem... Tak. I dopiero na koniec przyspiesza, ale tylko dlatego, że już kolejny film mu się przypomina, ten o walczącym z Kagiebe agencie Si-jaj-jej, teraz to właśnie wiekopomne dzieło musi ci streścić, na kasecie miał z wypożyczalni, koniecznie musisz zobaczyć...

– A ten, ten wysoki, z dupką na brodzie? Oto spieszy sprzedać akcje, gazetę ma, kursy wyczytał i od rana kombinuje, żeby Tonsil zamienić na Exbud, a Próchnik na Kable. Uśmiecha się, bo wie, że robi interes jak złoto, czuje się Michaeliem Douglasem robiącym machloje na Wall Street, tak, to zdecydowanie jego świat, w Gdyni tylko zaczyna, ale ho, ho, jeszcze o nim usłyszymy; a takich, co na giełdzie nie grają, ma w głębokiej pogardzie...

Nie wiadomo, kiedy wszystkiego zrobiło się tak dużo. Idei, zbawczych pomysłów na świat, ale i na dojmujące często życie, niekończących się, a budzących ogromne emocje dyskusji. Gdy po latach spróbował odtwarzać ów czas, mocno się zdziwił – że tak niewiele w sumie zapamiętał, że tak się to wszystko przetoczyło, w chaosie galopujących za sobą zdarzeń, w rytmie z jednej strony zwykłym, codziennym, gdy mijały poniedziałki i środy, a potem miesiące i pory roku, a jednocześnie pulsującym nerwowo, trudnym do uchwycenia.

Oto rok osiemdziesiąty dziewięty, pierwszą klasę liceum wtedy kończył, wybory, a po nich pierwsze polityczne manewry, cud rządu Mazowieckiego – i zaraz rusza lawina, Węgry, Enerdówek, Czechosłowacja i krwawa Rumunia. Potem plan Balcerowicza, olaboga, świat staje na głowie, co ma runąć, niech runie, dotyczy to głównie dziesiątek, setek zabiedzonych, zapyziałych fabryk i zakładów, wylali cię, jednego z drugim, śmiało, bierz los w swoje ręce, co to, mało miejsca na ulicach, by wystawić polowe łożko i wyłożyć się na nim, i w tak może mało romantycznych, a wręcz pornograficznych okolicznościach zakochać się w handlu? Trudna to miłość, uczyć się trzeba rachunków, jednym przychodzi

to nadzwyczaj łatwo, to kwestia instynktu, najlepiej drapieżnego, wielkie szczęście się z nim urodzić, innym pomoże może żona księgowa, taka jeszcze z peerelowskiego zakładu, wtedy co prawda raczej się kawkę piło, plotkowało, ale jednak to i owo się przyswoiło, więc teraz jakoś to będzie, byle pomysł mieć i odrobinę energii; najwięcej będzie jednak takich, którzy – a często w rozpacz, gdy tyle gęb do wyżywienia – na owych rachunkach połamią sobie zęby i zamiast wypłynąć na szerokie wody ledwo utrzymać się będą na powierzchni, a wielu z nich zatonie.

I zaraz rozpadł się niby Związek Sowiecki, lecz wkrótce trup próbował się podnieść, w sierpniu dziewięćdziesiątego pierwszego jeszcze nic nie było pewne, ale to daleko, za granicą, zaś u nas zabawa na całego, rządy, koalicje, intrygi, socchrześcijańskie demokracje, narodowe tromtadracje, trumny Dmowskiego i Piłsudskiego, żądza rozliczeń, a w kontrze do niej wiara, że prania brudów nie trzeba, bo zaszkodzą, bo kochajmy się, bo co było, to było, bo coraz mocniejsze przekonanie, że za owymi rozliczeniami nie tyle chęć sprawiedliwości się kryje, ale zwykła ochota na rzucenie się przeciwnikom do gardeł, niech leje się krew, Bóg rozpozna swoich.

Więc oskarżenia, ja panu nie przerywałem – swoją drogą ciekawe, kto pierwszy użył owego zaklęcia – ja panu nie przerywałem, a szkoda, bo jesteś pan złodziej, oszust, zdrajca, moralny bankrut, ja panu Trybunał Stanu, a ja...

I chyba nie mogło potoczyć się inaczej – myślał po latach bezradnie – gdy pękła tama i rozszalał się żywioł.

Choćby ostatnio: pełna goryczy noc niemrawego premiera, a miało być tak pięknie, w trzecią rocznicę zdradzieckiego czerwca miały rozgrzać się gilotyny, miały polecieć głowy, już rozwiązały się sznureczki esbeckich teczek, zwyciężyć miała idea nieskalanej czystości, na wzór tej u Najświętszej Pani, lecz oto znów coś poszło nie tak, niektórzy, czego się chwycą, to spieprzą, o nie, w ten sposób udręczony naród nigdy nie doczeka szczęścia oczyszczenia w kąpielu

w spienionej krwi.

– Ja się polityką nie interesuję – powiedziała niepewnie, gdy niechcący zboczył na temat nominowanego właśnie nowego szefa rządu, człowieka o twarzy z zastygłej plasteliny.

– Okej – zgodził się natychmiast. – Bo wiesz, ja pamiętam komunę – dodał jeszcze zaczepnie, by podkreślić dzielącą ich różnicę wieku, zaś z drugiej strony po to, żeby z obolałą miną weterana wytłumaczyć się ze swego niegrzecznego zboczenia na mało romantyczny temat.

W osiemdziesiątym dziewiątym głosować chciał, a nie mógł. I dziwił się, że nie głosują wszyscy spośród tych, którzy mogą. Mniejsza o późniejszy burdel, o zmęczenie krzykaczami. Ale jak można było nie głosować wtedy, za pierwszym razem?

I jeszcze jedno go gryzło. Oto nie dalej jak kilka tygodni wcześniej był u nich przy Chopina niegdysiejszy sąsiad, a od dawna mieszkaniec Hamburga. Rozmawiali z ojcem o Unii Europejskiej, powołanej w holenderskim Maastricht raptem zimą tego roku. „Dwadzieścia lat – mówił ów obywatel lepszego świata – dwadzieścia lat musi upłynąć, nim Unia zgodzi się przyjąć Polskę. Przepaść nas dzieli kolosalna...”

A więc to tak? Że przepaść, to wiadomo, ale żeby czekać dwadzieścia lat? Po tylu trudach i upokorzeniach, a wreszcie po wspólnej – bo i tej zachodniej – radości, kiedy się gorszej Europie udało od Sowietów wyzwolić? To się nie mieściło w głowie!

Nareszcie zmienili wątek i nastrój rozmowy. Może po prostu zmęczył się chojrakowaniem, a może to właśnie owa myśl o tak odległej Europie, gdy wokół przaśna mimo pozornej wielobarwności rzeczywistość, na moment odebrała mu werwę? Bo z czego właściwie się śmiał?

Teraz mówili o swoich rodzinach, w końcu musiało do tego dojść. Wyczuł

nutę czułości, gdy Mała mówiła o matce. Więc i sam mówił o swojej, i o tym, że ma siostrę. I o ojcu, który wciąż pływa, bo nie ma pomysłu na wzięcie sklepu czy hurtowni, na zainwestowanie, dajmy na to, w pieczarkarnię w jakimś podupadającym na Kaszubach pegeerze.

– No, nie chce – znów go poniosło, znów chciał się popisać – nie chce się stary ubrać w błyszczący bordowy garnitur i nie potrafi założyć białych skarpet!

– Hm – chrząknęła na to – a mój wprost przeciwnie...

– Serio? – zainteresował się, choć już zdążył pomyśleć, że może niepotrzebnie wyskoczył z tymi skarpetami.

– Handluje – wyjaśniła. – Sprzęt sprowadza, odtwarzacze kompaktów i telewizory. Pamasonik – zaśmiała się. – Philips, ale przez „f”, JVS. Jednak skarpet białych nie nosi!

– Przepraszam – teraz on odkaszlnął. – Wygłupiłem się.

– Nie ma sprawy. Masz rację: to jest śmieszne. Te garnitury i kolacje z innymi – prychnęła – biznesmenami; o niczym innym nie mówią, jak tylko o pieniądzach. Czasem mam tego dość. I ciągle włączonego CNN na satelicie, ojciec, kiedy wróci do domu, nieustannie ogląda. A niewiele rozumie – znów śmiała się.

Na chwilę utknęli, zamilkli, szukał nowych słów, nowego tematu. I wtedy Wyga wszedł do kawiarni, tak na niego mówili, koleżka w prochowcu, mimo pełni lata, i w majestatycznych dredach. Zauważył Marka i podszedł.

– Cześć, cześć... Dzień dobry pani – skłonił się Małej. – Ty, Marek, nie masz aby czego zapalić?

Rozłożył ręce, nie miał. Rozmawiali chwilę, z Wygą nachylnym nad stolikiem. Wyga narzekał, że kwas kilka dni temu zarzucił, ale kwas to jednak nie to, wolałby – powtórzył ze smutnym, pełnym beznadziei uporem – zapalić.

– Cholera – żalił się – gdzie te czasy, kiedy się częstowało, kto miał zioło, ten nabijał lufę... No nic – westchnął – nie przeszkadzam, leczę.

– Palisz? – zainteresowała się Mała, kiedy zostali sami.

– Od czasu do czasu – zawahał się. – Raczej rzadko – dodał prędko.

A wkrótce posmutniał, bo okazało się, że Mała na kilka tygodni wyjeżdża. Do ciotki.

– Łał – pokiwał głową. – Do Szwajcarii? – powtórzył, jakby chcąc się upewnić.

– Tak, do Genewy.

Ciotka Małej była skrzypaczką, zresztą i Mała przez lata uczyła się grać.

– No pięknie – pokiwał głową z uznaniem. – Grasz, malujesz, fotografujesz... A co najgorsze, nie będzie cię tak długo.

– Bo jeszcze, wracając, u drugiej ciotki muszę się zatrzymać, bez tego się nie obejdzie. W Kolonii.

– A, w Kolonii...

– Byłeś?

– W Kolonii akurat nie – bąknął. – A warto?

Głupie pytanie, pewnie, że warto, doskonale się tego domyślał. Sam pierwszy raz wyjechał całkiem niedawno, po drugiej klasie, na wycieczkę autokarową. W zbieraniu uczniów z różnych szkół, a odbywało się to niby pod pretekstem nauki esperanto, lecz chodziło głównie o to, by wreszcie zobaczyć to i owo, otrzeć się o lepszy świat. I dać oszołomić: choćby pierwszemu przystankowi tuż za granicą dzielącą jeszcze oficjalnie Niemcy, gdy na parkingu przy stacji benzynowej dostrzegli automaty z puszkowanymi napojami. Niby śmiali się z tego i drwili, z samych siebie się nabijali, że tacy są oto nieobyci, a jednak każde z nich wrzuciło monetę, by zaraz usłyszeć stłumione dudnienie, gdy puszka, dajmy na to, z 7 Up, lądowała w szufladzie maszyny. A były tam jeszcze automaty z fajkami i z prezerwatywami, kto chciał, ten doprawdy mógł w wielkim świecie zaszaleć.

Zobaczył wtedy Brukselę i Antwerpię, zobaczył Paryż. A był z nimi

nauczyciel – w niebieskich krótkich spodenkach z krempliny i w skarpetach wsadzonych w sandały – i była nauczycielka – z plastikowym bidonem z herbatą, noszonym w sznurkowej siateczce – i w takim oto gronie zapędzili się w Amsterdamie do dzielnicy Czerwonych Latarni, a wtedy ci nauczyciele oniemieli, zaczęli protestować i zagarniać w panice swe stadko, by prędko zmienić rewir, ale że byli w szoku, to zamiast najkrótszą drogą opuścić wszeteczną dzielnicę tym bardziej się w nią zagłębiali – i nie było, koniec końców, wiadomo, czy bardziej palić się ze wstydu, mając tak obciachowych przewodników, czy też śmiać się z zaistniałej sytuacji.

A rok później uciekł w zasadzie z domu, to znaczy niby z kumplem na działkę pojechał, ale przecież skłamał, bo wyrwali się stopem na Zachód, tam obiecaną mieli robotę na polach Holandii. Piękna to była przygoda, pociągiem do Szczecina, ten pociąg to osobna historia, pełen szmuglerów, nabity papierosami, oni jednak wysiedli nad Odrą, miejskim autobusem dotarli do Kołbaskowa i tam czekali na okazję. Miejscowe cwaniaki, owszem, wzięły ich, ale tylko po to, domyślili się poniewczasie, by mieć w wozie więcej łbów, na wypadek gdyby celnicy liczyć zaczęli kartony z papierosami, a potem wyrzucili ich już po kilku kilometrach, przez co na kolejne samochody polować musieli, stojąc na poboczu autostrady. Raz-dwa pojawiła się jakaś straż, która mandat chciała wlepić, ledwo udało się szwabów ubłagać.

W Holandii z roboty nici, nikt ich tam nie potrzebował, buraczane, czy też szparagowe chłopstwo bało się nielegalnych, snuli się zatem przez cały dzień od gospodarstwa do gospodarstwa wzdłuż wybrzeża i znów spali na stacji benzynowej. Tam poznali chłopaka, Belga, polskiej wódki się napili, a rano wspólnie wyruszyli do domu jego rodziców. Łatwe to było, przyjemne, dawało poczucie wspólnoty, ot, autostrada, wiatr we włosach, przypadkowe spotkanie, a po nim przyjacielskie gesty. U chłopaka podjęci zostali po królewsku, nareszcie się najedli, a młodsza latorośl gospodarzy, śliczna drobna pieguska, wodziła za

nimi oczyma.

Lecz już musieli wracać, jak niepyszni, bo przecież skończyły się nieliczne marki, które wzięli ze sobą w drogę, więc znów autostop i wjazd o świcie do Polski, tę z kolei noc dokończyli na dworcu w Wałbrzychu, stamtąd na północ pojechali pociągiem.

I wszystko się wydało, awantura była na całego, że ojciec zawału nie dostał, to cud, Anusia zaś nie odzywała się do Marka przez pół roku. „Dopóki się uczysz i mieszkasz z nami, nie obchodzi nas, że masz skończone osiemnaście lat. Zresztą co to za wiek! A gdyby coś ci się stało? Gdzie byśmy mieli cię szukać?!”

Opowiedział o tym wszystkim Małej, kiedy już szli przez miasto, kiedy ją odprowadzał. Tylko finału wyprawy nie zrelacjonował szczegółowo, może i dobrze, bo poza tym zdawało mu się, że dziewczynie zaimponował. Samotny (no, nie całkiem, ale prawie) żeglarz w rejsie przez pół Europy, *easy rider* w cudzych, przygodnych, lecz wygodnych, bo darmowych samochodach.

– Słuchaj – powiedziała na koniec, kiedy już stali przed blokiem, w którym mieszkała, bliźniaczo zresztą podobnym do jego bloku przy Chopina. – Słuchaj, co z tobą będzie? Będziesz jeszcze gdzieś zdawać?

No właśnie, bo o tym też rozmawiali. Że niewesoło się dla niego zapowiadały najbliższe tygodnie.

– Dam sobie radę – prychnął buńczucznie.

– Tak mówisz?

– Spoko będzie.

– A jeśli cię wezmą... do woja?

Skrzywił się.

– Nie ma mowy.

– Chyba bym...

– Tak?

– Nie chciała...

Uśmiechnął się.

– Żywcem mnie nie wezmą! – zapewnił.

I wtedy wspięła się na palce i najpierw pocałować go chciała w policzek, ale zaraz zetknęły się ich wargi, gorąco mu się zrobiło, zaś nogi dla odmiany mu zmiękły.

– Do zobaczenia, zadzwoń – rzuciła na koniec zwiewnie, odchodząc.

„I miało być tak pięknie” – myślał na wspomnienie owej chwili po latach. Szlag by to trafił, przekłety ajerkoniak, od niego się zaczęło!

ROZDZIAŁ 2

O KŁOPOTACH WYNIKAJĄCYCH Z BRAKU ŚLEPOTY

Różowo nie było. Nie dostał się na studia.

Maturę jeszcze zdał, na tym etapie obyło się bez perturbacji, mimo że na szkołę świadomie położył lagę. O ile w podstawówce starał się przynosić do domu piątki i świadectwa z czerwonym paskiem, o tyle później, wspinając się w górę ulicy Wolności, pewnego dnia doszedł do wniosku, że po prostu mu się nie chce: przeskakiwać wysoko zawieszonych poprzeczek (z fizyki czy matmy wystarczy wszak z trudem wywalczone trzy z dwoma, na co komu więcej?), ścigać z innymi, spełniać ambicji matki. W przeszłości to ona najbardziej cieszyła się jego stopniami, lecz trudna rada, przepraszam, mamo, nie spodziewaj się kolejnych sukcesów, nie teraz, nie w szkole, żal mi na to energii i czasu.

Przed laty wybrał górującą nad miastem i przytuloną do lasów Dwójkę, by nie iść tam, gdzie jeszcze uczyła się siostra, i by nie iść do Szóstki, do której zdawała połowa jego klasy szkoły podstawowej.

Maturę zatem zdał, a wybierając kierunek studiów, stanął przed sporym dylematem. Pamiętał Aśkę, która najpierw mówiła o oceanografii (a był to jedyny wydział uniwersytetu, który siedzibę miał w Gdyni, pięć minut spacerem od ich domu), potem o awuefie – matka z ojcem łapali się za głowy – ale wreszcie, bo jakże inaczej po Trójce, papiery złożyła na anglistykę.

On zaś odrzucił polonistykę, odrzucił historię, nauczycielem z takim, a nie innym stosunkiem do szkoły nie wyobrażał sobie zostać. Psychologia wydawała

mu się dobra dla panienek zaczytanych w *Ptaśku*, w Whartonie, a jeśli decydowali się na nią faceci, to – miał wrażenie – łamagi, niedojdy, kolesie z problemami. Co zostawało, jeżeli z oczywistych względów odpadała polibuda? Olbrzymia część klasy – ale i całego rocznika we wszystkich gdyńskich liceach – myślała o ekonomii, o administracji i zarządzaniu. Słusznie, trzeba było nie lada ślepoty, by nie widzieć, że to najszersza autostrada ku świetlanej przyszłości – w czasach gdy nareszcie wszystko można było kupić, prehandlować, sprywatyzować, byle dobrze się sprzedać, byle zrozumieć, w czym rzecz, na wykładach z makro- i mikroekonomii.

Inna wielka grupa zdawała z kolei na prawo, gdański uniwersytet wiele więcej w tamtych czasach nie oferował, zatem dobrze, prawo, niech będzie.

Egzaminy zdał, ale się nie dostał, nawet na studia zaoczne, był piąty pod kreską. Ojciec próbował wtedy szukać sposobu, by nazwisko syna przepchnąć w górę listy, lecz nic z tego, nie udało się. Nie udało, choć udawało się innym, cuda się jakoweś działy, gdy ci z jeszcze gorszych po egzaminach pozycji wkrótce cieszyli się indeksami.

Ojciec się wściekł, ale się urządziłeś – krzyczał – na co ci to prawo było, po co, tam pociotków przyjmują, krewnych, znajomych! A jeśli już zdecydowałeś, to trzeba się było uczyć, jesienią, zimą, wiosną, a widziałem, jak to było, w głębokim poważaniu wszystko miałeś, bo jakoś to będzie, myślałeś, i ciekaw jestem, co teraz masz zamiar zrobić, capną cię w kamasze, capną bez dwóch zdań, zmarnujesz rok albo i całe życie, z czego się śmiejesz, powiedz, co ci tak do śmiechu?! Asia zdała, Asia dała radę, nie wstyd ci?

Wstyd nie było, co to, to nie, choć pewien strach odczuwał. Wojo nikomu rozsądnemu nie mogło się uśmiechać. Zatem coś trzeba będzie wymyślić. Tylko co?

Inna sprawa, że ojciec miał inne, większe zmartwienia na głowie, więc może stąd te nerwy? Bo co z tego, że Łucja odzyskała kamienicę, skoro tylko na

papierze? A z drugiej strony zarabiany z takim trudem dolar, który wcześniej z dnia na dzień zyskiwał na wartości w pędzie szalonej inflacji, wreszcie zaczął ową wartość tracić, trzymany na smyczy sztywnego kursu wobec złotego. Wszystko zaś drożało, choćby zwykłe, codzienne koszty utrzymania rodziny, drożały więc także materiały budowlane. I wtedy pod znakiem zapytania stanęła realizacja marzenia o ogrodzie i garażu, o sielance na skraju miasta, gdzie „w zielonym gaju ptaszki śpiewają” – jak zdarzało się i jemu śpiewać (solo lub z Kotem) na imieninach Łucji. Zbyt długo się być może do owej budowy zabierał, tymczasem świat zdążył oszaleć, wielkie to niby było z jednej strony dla narodu szczęście – wolność, panie dzieju, precz z komuną, niepodległość – niemniej w krótkim czasie zrujnowało plany ojca.

Mimo to szarpał się, zacisnął zęby i budował, powoli i z coraz wyraźniejszym poczuciem, że wyrzuca pieniądze w błoto. Postawił już garaż oraz zjazd do niego, przyszlą kotłownię, fragmenty klatki schodowej. Zarysowały się także pomieszczenia parteru, przyszłej kuchni, łazienki, stołowego, doprawdy, pięknie się to zapowiadało, marzenia nabrały kształtu, szkoda tylko, że w chwili, gdy trzeba się było z nimi żegnać, rozpędzać stężały opar iluzji, powoli bowiem stawało się jasne, że budowy nie uda się dokończyć. Wreszcie i stanęła, na co zżymał się sąsiad, trudno mu było swoje kąty ogrzać – narzekał – gdy oni nie potrafili dokończyć swego dzieła, nie spodziewał się – powiedział to nawet Leszkowi wprost – że takiego gołodupca przydzielili mu przez ścianę los.

Ojciec bardzo to wszystko przeżywał, zamknął się w sobie, co Marek doskonale widział. Leszek stary już zresztą był, dobrze po pięćdziesiątce, o czym również zdarzało się synowi myśleć, niekiedy porównał nawet tatkę z ojcami kolegów – wyraźnie młodszymi, urodzonymi po wojnie. Łatwiej było się z takimi dogadać – nie miał złudzeń – wciąż na mecze chodzili, do kina potrafili się wybrać, po prostu nie byli jeszcze – myślał w chwilach okrutnej bezwzględności – aż tak bardzo zmęczeni życiem.

Zatem kłócili się, ojca zżerały zgryzoty, ale uparł się, by twierdzić, że to egzaminy Marka okazały się plagą najgorszą z wszystkich, na co syn stawał okoniem, to moje życie, wołał, będzie wojsko, to pójdę do wojska, świat się nie zawali, niejeden idzie i wraca...

– Czy ty wiesz, co ty mówisz? Zgnoją cię, upodlą, po co ci to? Asia zdała, powiedziała, że zda, i zdała, my z mamą tobie również uwierzyliśmy, ale nas zawiodłeś!

– Tak, Aśka zdała! – wściekał się chłopak i wybiegał z mieszkania, trzaskając drzwiami. Włączył się z kolegami albo – kiedy już poznał Małą – z nią. Bez celu, bez końca, wszystko stawało się nieważne, całowała się, diabllica, jak żadna inna wcześniej.

Ale wojska się bał. Osiemnastu pieprzonych miesięcy! Słyszało się to i owo, głupim trzeba było być, by wierzyć w kretyńskie opowieści o tym, jak to służba łączy ludzi na całe życie, że po woju, rozumiesz, najlepsze wspomnienia, taka zabawa, ubaw po pachy, kiedyś żeśmy z kumplami szli, brachu, a tu porucznik nas widzi, a my mu tak, bracie, a on nam smak, będziecie zapierdalać jak pershing na wysokość lamperii, kupa śmiechu na kompanii była, kumpel dostał podwójną służbę wartowniczą, a tu śnieg po pas, Niemcy strzelają, aleśmy się wtedy, bracie, najebali...

Z tego wszystkiego nawet *Krolla* obejrzał, mówili, że dobry, niestety Marek nie dał się rozbawić. Linda, owszem, ludzki pan, choć trep, ale i jego lepiej byłoby nie spotkać, za to Pazura – kuźwa, człowieku, jeżeli tak to naprawdę wygląda, ratuj się, kto może! Tylko jak?

W chwilach trwogi studiował rozporządzenia ministra, zwłaszcza to o zasadach kwalifikacji do służby. A raczej dys-kwalifikacji, chodziło przecież o to, by się od powołania wymigać.

Niestety odpadały: słaba budowa ciała lub dla odmiany otyłość upośledzająca sprawność stroju (stroju? ale jakiego? państwowego?); charłactwo nierokujące

poprawy (cokolwiek miało to znaczyć); feminizm, infantyizm, eunochoidyzm, obojnactwo (wymieniane w jednej linii, po przecinku, i znów trzeba się było domyślać, co autor miał na myśli). Odpadały przewlekłe choroby skóry, zniekształcenia czaszki i obce ciała w mózgu, całkowita ślepotą lub choćby wyraźny oczopląs, głuchoniemota, gruźlica kręgosłupa lub choćby zwykły garb, odpadały setki chorób i upośledzeń, ich lista rozwijała się na dwudziestu stronach maszynopisu, lecz wszystko na nic, Marek zdrowy był jak ryba, a poza tym wiele z nieciekawie brzmiących dolegliwości wcale ze służby nie zwalniało: weźmy polipy, nieżyty, żylaki, przetoki, spodziectwo lub wierzchniactwo (i znów: co to znaczyło? na co wskazywało?).

Zasepiał się, gryzł wargi, bo może rzeczywiście w tak podłych okolicznościach przyjdzie mu odsłużyć swoje? Z drugiej zaś strony wzruszał ramionami, będzie dobrze, dodawał sobie animuszu, słyszało się tu i ówdzie, że w tym roku wcale brać nie będą, bo funduszy nie ma, bo państwo ma inne potrzeby, a Rosja wewnętrzne problemy, więc może nie trzeba się martwić?

Przed jej wyjazdem do Szwajcarii pożegnał się z Małą tak naprawdę dzień wcześniej. Smętny to był wieczór, zdążyli się już bowiem do siebie przyzwyczaić, do niemal codziennych spotkań i rozmów, a mimo to przyszedł na plac gdyńskiego dworca autobusowego, szumnie się to nazywało, chodziło o skrawek parkingu pomiędzy dworcem kolejowym a pocztą, przyszedł, by jeszcze raz ją zobaczyć, nacieszyć się jej uśmiechem. Poznał wtedy jej mamę, przyjemną, choć nieco podejrzliwą osobkę, przyglądała mu się z uwagą, a może i z zazdrością, gdy Mała jemu poświęcać chciała więcej uwagi, tymczasem proszę wsiadać, drzwi zamykać, ukochana wskoczyła na stopnie prowadzące do autokaru, obróciła się, pomachała, ucałował palce i dmuchnął w nie, a kiedy usiadła na swoim miejscu, obszedł wielki wóz, by jeszcze raz ją zobaczyć. Wreszcie odjechała, więc uklonił się potencjalnej teściowej, wbił ręce w kieszenie i odszedł, gwizdząc.

Następnych kilka tygodni minęło nie wiadomo jak i kiedy, ojciec wyleciał na kontrakt, zostali z matką sami, ona smutno spoglądała, on wolał tego spojrzenia unikać, zatem włączył się i popijał.

Na biwaku w Dębках liznął Lucy in the Sky with Diamond, straszna to była noc, noc, w trakcie której najpierw, leżąc na piasku z oczyma skierowanymi ku gwiazdom, zrozumiał wszystko, wszechświat, kosmos, obejmujący całość rzeczy łąd, było to jak spotkanie z Bogiem, lecz nie tym groźnym, starotestamentowym, i nie z Jezusem natrętnie narzucającym się mdłymi przypowieściami, lecz z Bogiem, który w istocie wszystko stworzył, uporządkował, pokochał i kochać pozwolił, niczego więcej nie oczekując i nie wymagając. Tyle że wkrótce rozplłynęli się gdzieś koleżkowie, na plaży został sam, a potem szedł przez mroczny las, natknął się na jakiś rozświetlony zakład, jakby stanowisko wiertnicze, po placu kręcili się robotnicy, było jak w filmie, jak w *Blue Velvet*, czuł strach, potężny strach, biegł, biegł, cudem trafił do namiotu, lecz nie mógł w nim wytrzymać, bał się zamknięcia, uduszenia pod opadającymi płóciennymi ścianami, więc już do świtu przesiedział, dygocząc, przed namiotem, wciąż w strachu, mowy nie było już o owym Bogu i kosmicznym porządku, była za to bojaźń i drżenie, nigdy więcej – obiecał sobie dzień później.

Do Jarocina pojechali z ciekawości, takie sobie to było, bo, owszem, kolorowe, ale też jakby nie na czasie, widok tych wszystkich punkowców ubranych w skajowe papy i obutych w rumuny – bo tak te glany nazywano, ponoć chodziła w nich rumuńska armia – sprawiał wrażenie pocztówki jeszcze z Peerelu, czytało się o takich, oglądało z podziwem na zdjęciach w czarno-białym „Non Stopie”, a niekiedy nawet w „Razem”, jednak teraz punkowcy byli już dinozaurami, te ich agrafki i pacyfy, deklarowana anarchia i włosy stawiane wcześniej na cukier, a dziś przy użyciu zachodnich kosmetyków. W Gdyni widywało się takich rzadko, często też ci, którzy nazywali siebie punkami, zachowywali jednak pewien umiar, resztkę smaku, nie przesadzali w codziennym

strojeniu się na śmiecia, można się więc było z nimi pokazać na mieście. Tymczasem tam, w Jarocinie, hulaj dusza, piekła nie ma, im gorszy kto miał pomysł na siebie, im bardziej ortodoksyjnie podchodził do swego mundurku, tym dumniej się z nim obnosił. „Wiocha” – stwierdził Marek.

Polską podróbkę Nirvany usłyszeli, czyli Hey, i ulicznego bluesmana z Krakowa – niejakiego Maleńczuka. Doskonale wypadło lodowate Variete. „Klaszczę w dłonie, by było mnie więcej”. Klaskali zatem. Także wtedy, gdy Dżem z Ryśkiem pokazali pazur, choć oni wcześniej nie wierzyli, by było to możliwe, tego typu archaiczną muzyką pogardzali. Czarowało Voo Voo i oczywiście Janerka. „Goni nas lukratywny wieprz i wszystkim życzymy źle nam z oczu patrzy”.

Tyle że było to, jak by nie patrzeć, dinozaurowo, pieśni przeszłości. A główną nagrodę w konkursie dostał zespół o jakże znaczącej nazwie: The Bill.

I jeszcze w krótki romans się wdał, niepotrzebne to było, miał później wyrzuty sumienia, w sumie więc wyjazd uznać musiał za piętrowo nieudany.

Dziewczyna podobna była do tej, którą kiedyś spotkał w górach i zakochał się na krótko, lecz bez opamiętania, „w pewną letnią noc, gdzieś na dach”... I tak dalej. Ot, przygody.

Poza tym wydawało mu się, że zauważył w tłumie Tomka, na chwilę, nim rozdzieliły ich ludzkie, wciąż przelewające się fale. Tomka, tego, który lata temu przychodził do Aśki. On ponoć z Gdyni nie wyjechał, został, studiował na miejscu. Ciekawe, co u niego...

Lepiej bawili się dwa tygodnie później w Żarnowcu, a właściwie w Czymanowie, obok jeziora i elektrowni wodnej, a więc w okolicy, gdzie jeszcze za komuny budować miano elektrownię dla odmiany atomową – na ruskich częściach i reaktorze. Wtedy budziło to protesty, a przede wszystkim grozę, zapowiadało się apokaliptycznie. Teraz zaś zorganizowano w tym miejscu koncert, wielkie wydarzenie, tyle że cichaczem jego sponsorem okazała się jedna

z partii politycznych, zapatrzeni w Amerykę liberałowie. To troszeczkę wkurzało, śmiech więc ich spotkał i drwina, kto wie, czy tego typu inicjatywą raczej nie zaszkodzili sobie, niż pomogli. Za to na scenach działa się dobrze, wiało od nich nowością, jak to od morza, doskonale zaprezentowały się zwłaszcza kapele trójmiejskie: Golden Life, Illusion czy Blendersi. Było też dawne Kombi, w skórzanych ciuchach z sex shopu, teraz jako Skywalker. No i gwiazda z Zachodu, gwiazda z MTV, zespół Jesus Jones.

Bo MTV było bogiem, Red Hoci i Jane's Addiction, Sisters of Mercy i Rage Against the Machine. Jeszcze The Cure się pokazywało, a *Open* i *From the Edge of the Deep Green Sea* z ostatniej płyty, uważał, kierowany sentymentem, dawało się jakoś wytrzymać.

MTV. A kiedyś dwa kanały, pamiętał, i transmisje ze zjazdów PZPR, długie przemowy zamiast dobranocek. Potem *Jarmark* – robiony na wesoło, na luzie, dla każdego coś miłego z motoryzacji, muzyki czy sportu. I *Za chwilę dalszy ciąg programu* – absolutna klasyka. A pomiędzy nimi *Bliżej świata*, przegląd ciekawostek z zachodnich kanałów satelitarnych, błyskotka, cukierek podawany do lizania przez szybę, zupełnie niezrozumiały – w kraju rządzonym przez, było nie było, dyktaturę – dowód na to, że w szerokim świecie wolno więcej, że jest tam bardziej kolorowo i wesoło. Telewizja satelitarna – jak dumnie to brzmiało! Mam talerz (a nie każdemu wolno było mieć), przyjdź do mnie na satelitę... Wcześniejszy o kilka lat szał na video, na *Lody na patyku*, *Rambo* czy *Akademii policyjną* (wolisz trójkę czy piątkę?), przy satelicie to było małe piwo, pikuś, nic.

MTV, wielki świat. A prócz tego coca-cola zaczęła się w Gdyni właśnie rozlewać i anonsowano w gazetach wzniesienie dwóch budynków World Trade Center (cokolwiek to miało znaczyć), a wiosną swój pierwszy sklep otworzył Levi's. Łał, ależ się wiły przed nim kolejki, by chociaż przymierzyć znane z reklam pięćset jedyńki. Szorstkie, a jednocześnie miękkie, błękitne jak niebo

nad Karaibami, choćby patrzeć można na nie było bez końca.

Reklamy. Już nie prusakolepu, już nie oferty ZREMBU – „zawsze na czasie”, ale polleny, choć przaśnej, to przynajmniej zabawnej („ocieć prać? prać!”), albo, jeszcze lepiej, szamponu vidal sassoon – „wash and go”. Tak, tę reklamę obejrzał najwięcej, bo jakieś kilka tysięcy razy, MTV puszczało ją bez końca.

Z tego wszystkiego niby drwił – bo jakże inaczej? Drwił z zespołów podrabiających te z Zachodu, drwił z niejakiego zagubienia dinozaurów z lat osiemdziesiątych, drwił z coraz większego zapatrzenia się podatnego na błyskotki ludu w ekrany telewizorów, drwił z pędu i odruchów stadnych. Ale i wciąż kontrolował się: czy aby sam dyktaturze rozpedzonych czasów nie ulega, czy nie jest baranem prowadzonym na rzeź?

Najgorsze, że z nadmiaru wakacyjnych wrażeń do Aśki się spóźnił, bo wybrał Czymanowo zamiast Warszawy. Mieszkała jeszcze byle jak, wynajmowała na Ursynowie, dotarł tam w poniedziałek pod wieczór, oszołomiony nieco Warszawą, spore to jednak miasto, jakieś takie zabiegane, tłoczne, nie do porównania z Gdynią, gdzie poważnych skrzyżowań szerokich arterii znaleźć da się raptem kilka.

– Jestem – powiedział wreszcie, biedny miś, zlany przez deszcz, gdy wśród identycznych bloków długo szukał adresu.

– Jesteś? – zrobiła wielkie oczy. – Teraz jesteś, dzisiaj? Przecież mówiłam – wściekła się – mówiłam, że masz przyjechać najpóźniej w piątek, teraz człowiek wyjechał, myślałeś, że będzie na ciebie czekał, na królewicza? Słuchaj, Marek, o co ci chodzi, sądzisz, że świat kręci się wokół ciebie, że stanie w miejscu, bo tobie grozi wojsko?

– Nie mogłem wcześniej – wzruszył ramionami. – To jak, pomożesz?

A chodziło o to, że miał mu pewien facet załatwić odroczenie, Aśka interesy z nim prowadziła, a on miał ponoć dojścia.

Pokłócili się, wrzeszczała, nawet miło mu było, że tak bardzo się w sumie losem braciszka przejmuje.

– Aśka, pomóż – prosił na koniec – przepraszam, zawałem, ale przecież wiesz, że inaczej kanał, koniec świata!

Zjedli odgrzewaną zupę, której nagotowała w weekend.

– W tygodniu nie mam czasu pichcić – wyjaśniła.

– Strasznie ponoć jesteś zarobiona? – kiwał głową z udawaną empatią.

– Żebyś wiedział...

Otworzyła wino, skrzywił się. Nie lubił wytrawnego, słodkie wolał. Mimo wszystko nie odmówił.

Podobała się mu. Rzadko się teraz widywali, wcześniej nie znał jej takiej. Nie wiedział, że w ogóle potrafi cokolwiek ugotować. Przypominała mu Weronikę, tę z *Podwójnego życia*, przez fryzurę, ale i przez czerwony golf. Może specjalnie go kupiła, by upodobnić się do Irène Jacob?

– A twój chłop gdzie? – zapytał.

– W Londynie. Na szkoleniu.

– Fiu, fiu – zagwizdał. – Będziecie brali ślub? Mama się zastanawia. I babcia.

– Babcia też?

– Wiesz – nareszcie się rozluźnił – ona akurat mówi, że to nieważne. Że nie musisz się spieszyć.

– A ty kogoś masz? – zainteresowała się Aśka.

Chrząknął.

– Mam. Chyba mam.

– Będzie coś z tego? – sięgnęła po kieliszek.

– Może i będzie – wyprostował się, nagle dumny z siebie.

– Tylko że najpierw pójdziesz do woja – zadrwiła.

– Przestań, Aśka, nie ma mowy!

– Słuchaj, zobaczę, co da się zrobić, ale facet jest już na urlopie, wróci na początku września, nie wiem, czy nie będzie za późno.

– Wykombinuj coś innego – rozpostarł się na krześle, spojrzał wyzywająco.

– Ja? – znów się uniosła. – Ja mam wykombinować? Człowieku, dorośnij, nie możesz być ciągle taki roszczeniowy! Czy to moja sprawa? Z choinki się urwałeś? Dorośnij!

ROZDZIAŁ 3

ZAKOCHANA PARA

Zły był. Bo dał się w trolejbusie kanarom złapać, cynglom Babilonu, pięćdziesiąt tysięcy, które bez zakłopotania przyjęli, zapominając wspaniałomyślnie o wypisaniu mandatu, poszło się... Pięćdziesiąt tysięcy, banknot ze Staszicem o twarzy czujnego troglodyty, równowartość flaszki. Szlag by to trafił!

A potem pod swoją szkołą Mała oznajmiła, że pospieszył się, a ona musi zostać w budzie godzinę dłużej.

– Zerwij się – cmoknął poirytowany.

– Nie mogę – odparła, zerkając nerwowo w stronę wejścia do budynku, bo dzwonek już wybrzmiał. – Poczekaj – poprosiła. Dobrze sobie, gdzie? tutaj? u woźnego na kolankach?

– Albo się przejdź.

Ba, łatwo mówić, zimno było, jak to w lutym.

A jednak poszedł przed siebie, minął Maxima, ktoś siedział w przeszklonej sali, lecz głupiej, co by tańczyła, nie dostrzegł; szedł w stronę mola, ale skręcił, by wspiąć się najpierw ku pięknie położonemu sanatorium. Tam rozejrzał się i znów zmienił kierunek, schodząc ku plaży. Potem włączył się wzdłuż brzegu. O przejściu do Redłowa nie było mowy – sztormowe wiatry spiętrzyły wody zatoki, całkowicie zalewając kamienie tkwiące u podnóża wysuniętego w morze klifu. Zawrócił.

U nasady mola zaczepiło go dwóch takich, co to ich spotkać można

wszędzie, w każdym mieście i miasteczku, wiecznie spragnionych, zawsze niedoinwestowanych. Nagabywany, burknął niechętnie, a oni zęgnali go słowami mimo wszystko pokornymi, tytułując kierownikiem i życząc miłego dnia.

Zerknął na zegarek, lekcja kończyć się miała za kwadrans, szkoda tylko, że w ten sposób stracili kilkadziesiąt minut; odkąd poszedł do pracy, nie mieli ich dla siebie wielu, przecież i dziś wieczorem czekała go szychta w otwartej całą noc wypożyczalni kaset video. Za prawie trzy miliony miesięcznie, sumę nie do pogardzenia, pewnie, że i więcej zarobić by nie zaszkodziło, cóż, pozostawało rozglądać się i czekać, może nadarzy się szansa, lepszy strzał, poważniejsze zajęcie.

Inna sprawa, że nie spieszyło mu się do tego, wolność, mówił, najważniejsza jest wolność.

Za to matka – bo ojciec znów wyjechał – za to matka nieustannie powtarzała: Aśka, Aśka, Aśka...

Stojąc na deskach pomostu, oparł się o odrapane bariery i splunął w chrzęszczącą topiącym się lodem toń.

Aśka – wzór do naśladowania. Tylko czy aby na pewno? Czy skończyła tę swoją wymarzoną anglistykę? Nie! Czy skończyła ekonomię? Tak samo nie! A ile było hałasu, gdy pełna zapału zaczynała drugi kierunek. Poradzisz sobie? Oczywiście, mam, nie mam innego wyjścia, współcześnie jeden kierunek studiów to za mało, trzeba wykorzystać szansę, jaką nam daje los...

A dawał, faktycznie dawał. Prędko zaczęła tłumaczyć – najpierw najprostszą korespondencję biznesową, potem foldery i inne teksty reklamowe, po latach wyposzczenia bogiem stał się import, rynek chłonał towary jak gąbka, mnożyli się handlarze, od małych po coraz grubsze, błyskawicznie tuczące się ryby. Trzy zdania w jakimkolwiek obcym języku wystarczyło umieć sklecić, by zacząć zarabiać, i to wcale nie grosze, byle prędko, nie tracąc czasu, oto za pierwszym

klientem natychmiast ustawiał się drugi, po nim kolejny, opędzić nie można się było. A potem Maciek tłumaczyć zaczął na żywo, i to na coraz wyższym szczeblu, więc i ona się wspięła, stawki wzrosły i wzrosnąć też musiało ich zaangażowanie, coraz więcej energii trzeba było poświęcać nowemu zajęciu, a i inwestować w siebie, w swój wygląd i kosmetyki. Nauczyła się chodzić w garsonkach. Lecz mimo to – i znów w krok za Maćkiem – zdecydowała się zacząć ów drugi kierunek, oto stwierdzili oboje – i zdawało się, że słusznie – iż znajomość biznesowej teorii bardzo im się w translatorskiej zabawie przyda, tak jest, zabawie, bo łatwe to było i przyjemne, wieńczzone bankietami w najlepszych hotelach i restauracjach, szampana wtedy popróbowała, prawdziwego, francuskiego.

A jednak pomylili się, i to podwójnie, po pierwsze bowiem teoria marketingu w praktyce nie dawała im wiele, dużo prędzej uczyli się go niejako mimochodem, uczestnicząc w konferencjach i rautach. Po drugie, to nie tłumaczeniu mieli się ostatecznie poświęcić, tym razem to Aśka pierwsza dostała propozycję i wkrótce wręcz szarogęsić się zaczęła w biurach Prokomu, patrzcie państwo, jeszcze przed chwilą skromna biurowa asystentka, a zaraz potem poważna pani menedżer. I zaczęły się jazdy do Warszawy, z czasem coraz częstsze, zwłaszcza odkąd Maciek w stolicy dostał stałą pracę, wtedy coraz mniej myśleli o zaliczeniach czy egzaminach, najpierw na zaoczne się poprzynosili, potem na UW próbowali studia kontynuować, lecz po co, na co to wszystko, jeżeli więcej, powtórzmy, nauczyć się mogli na co dzień w swoich zapyziałych jeszcze biurowcach, i jak niby mieliby znosić protekcyjne, a często wręcz niegrzeczne zachowanie wykładowców, gdy na drugi dzień to do nich zwracano się z szacunkiem, im się kłaniano, ich się obawiano? Zwłaszcza Maciej potrafił huknąć, zrugać, stawiać do pionu szaraków wychowanych w poprzedniej epoce, gwałtu, rety, jęczeli, co się dzieje, oto niespełna dwudziestopięciolatek, a przecież wielki pan, gruba ryba, czy naprawdę do takich chamów bez skrupułów odtąd

należć ma świat?

Więc wreszcie i Aśka przeprowadziła się do Warszawy na stałe, Aśka, Aśka, Aśka...

Ale to nie ona pomogła Markowi latem, wtedy gdy wymigać się potrzebował od armii. Pomógł wuj Franciszek – najpierw, gdy zwrócił uwagę siostrzeńca na działający we Wrzeszczu i związany z Lublinem Gdański Instytut Teologiczny. A potem nieco popychając sprawę, gdy niesforny młodzieniec niezbyt potrafił sprostać wymogom rekrutacji. A musiał się mianowicie pochwalić świadectwem z religii (ha, miał je, lecz jakim cudem, zważywszy na wojny, które toczył ze szkolnym katechetą?), następnie zaś wykazać się nie tyle znajomością podstawowych prawd wiary, co szczerą ku nim miłością.



Plaża w drodze do Orłowa.

Z tym było już wtedy gorzej. Lata, gdy nudził się w nawach kościoła na Wzgórzu, minęły bezpowrotnie. Chłodny to był kościół i dudniący głucho metalowym pogłosem przemów kolejnych proboszczów, chodziło się najczęściej na balkony, empory, siadało w jak najwyżej położonych rzędach, i gadało, plotkowało, zerkano ku pannom, to ich obecność była w świątyni najważniejsza, wybacz, Panie Jezu. Ach, z jakże wielkim, bywało, czekał utęsknieniem na to, by na mszy pojawiła się Madzia, wtedy wystarczyło mu obserwować ją z daleka, zarumienioną, odgarniającą znad czoła kosmyk włosów, często roztargnioną,

szepeczącą wciąż z koleżaneczkami, innym zaś razem nabożnie wyciszoną, skupioną.

Prócz tego, tak jest, nudził się w kościele niezmiernie, a wtedy liczył szybki w wysokich, lecz mało wymyślnych witrażach, liczył je, by dowiedzieć się, czy więcej w skali całej ściany jest szybki pomarańczowych, czy seledynowych, czy ciemnoniebieskich, a może jednak zielonych. Niczemu ta wiedza nie miała rzecz jasna służyć, wyników żmudnych obliczeń zresztą nigdy nie potrafił zapamiętać, ale to i dobrze, gdyż dzięki owemu cudowi niepamięci w następną niedzielę – o ile w zasięgu wzroku nie pojawiła się Madzia – mógł podjąć trud rachunków od nowa.

Gdy miał lat jedenaście, koniecznie zobaczyć chciał *Seksmisję*. O tym niestety nie mogło być mowy, stanowczo nie zgadzał się ojciec, zresztą przerażona tytułem filmu matka podobnie. Wybrali się potajemnie – z dziadkiem Konstantym. O, parę stanowić musieli niezwykłą, osiemdziesięcioletni, ale jak widać ciągle spragniony mocnych wrażeń weteran, prowadzący przez hol kina Warszawa zasmarkanego mikrusa.

Konstanty śmiał się wtedy jak cholera, wstydu chłopakowi narobił. Za to Marek, o święci anieli, za jakie grzechy, doznał był objawienia! Tak jest, objawienia, głos się w nim albowiem wewnętrzny odezwał, głos namolny, zręczliwy, głos domagający się – i to jak raz wkrótce po scenie z windą i basenem – by klęknął, miast siedzieć, i by głośno zaczął się modlić – ku własnemu najpierw zbawieniu, ale i ku nawróceniu owych setek rechoczących pogan, istnych dzikusów, albowiem zdawali się nadzy (w swym grzechu!) i przepasani jeno wiechciami suchych traw.

Ciekawe tylko, że ów głos – ale czy aby na pewno samego świętego Piotra? archanioła Michała? bo może jednak szatana? – akurat wtedy musiał dać o sobie znać, na *Seksmisji*, a nie na przykład, gdy byli z Kotem czy z ojcem na *Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia* (to z Leszkiem), na *Hair* albo na *Gwiazdnych*

wojnach (też z ojcem), na *King Kongu* lub na wzbudzającej nieznane drżenie *Walce o ogień* (w tym wypadku do kina wybrali się oczywiście z dziadkiem). I nie na porankach w dziecięcej epoce, i nie – kilka tygodni przed *Seksmisją* – na traumatycznej *Akademii pana Kleksa*, w której na ukochanych przez Ambrożego czystych i niewinnych chłopców nastawał złowrogo ku nim nastawiony Filip Golarz. Wtedy nie, a teraz tak, dziwne.

Tak czy inaczej, sporo Marka kosztowało, by głosowi owemu nie ulec, walkę z nim stoczyć musiał bezwzględna, oprzeć się mianowicie wizji piekielnej kary, oprzeć szantażowi – klękać albo się w niedzielę z nieklękania spowiadać!

Gdy po wszystkim, wciąż przejęty trwogą, zrelacjonował swe zmagania dziadkowi, ten przyjrzał mu się zrazu z niedowierzaniem, a potem kazał nie zawracać sobie głowy, straszą was, straszą klechy – bagatelizował – przestraszonymi łatwiej rządzić, wiem, co mówię.

Kilka lat później sam papież w Gdyni wylądował, czekało się na niego w upale, dość łatwo było w tłumie omdleć i dość łatwo tym samym przeżyć uniesienie. Jeszcze tego samego dnia Jan Paweł II już w Gdańsku mówił o tym, że każdy ma swoje Westerplatte, wielce się te słowa później przeżywało, rozpamiętywało, niestety w Gdyni nic równie znaczącego nie powiedział, najfajniej było, kiedy przejeżdżał, machało się do niego, on też machał.

No a potem, już po dziewięćdziesiątym, gdy na polityczną powierzchnię wypłynęły figury pierwszych z nowej szkoły inkwizytorów, tłustych misjonarzy, co to sami klęcząc, zmusić do tego chcieli wszystkich innych, zatem kiedy pojawiły się przeróżne akcje katolickie i zjednoczenia (w *Psach* nazwane Chrześcijańską Unią Jedności), wtedy zatem niedoszły święty od *Seksmisji* z religią pożegnał się na dobre. Na pohybel – uznał za tymi samymi *Psami* – czarnym i czerwonym.

O, to zresztą było nieoczywiste doświadczenie: *Psy* oglądane w Gdyni, gdy ubecy pierdoleni nieśli na ramionach (niby na drzwiach) schlanego koleżkę,

śpiewając „Janek Wiśniewski padł”... Wstrząsająca scena, śmiechy zamierały w mroku sali. Anusia wyszła z kina wściekła i miała do syna pretensje, że zabrał ją na taką... – nie potrafiła znaleźć słów – na taką głupotę, na taki śmieć, na takie świństwo.

W październiku trzeba się było decydować: albo dać się zaciągnąć, dać obuć w kamasze, zapędzić do koszar, albo też prysnąć z domu, wyprowadzić się, niech „taki tu nie mieszka”, powtarzają do znudzenia matka lub ojciec, i niech się armia martwi, gdzie szukać uciekiniera, a łatwo go w prawie milionowej aglomeracji na pewno nie znajdzie. No i pojawiła się oprócz tego owa trzecia opcja, studiowanie teologii, Boże, bądź miłościw duchom niespokojnym i skłonnym do irytacji, jakże bowiem przetrwać, jak przeżyć długie weekendowe godziny, gdy zmuszonym jest się klepać paciorki, chwalić Jezusa Chrystusa i wysłuchiwać nudziarstw... Na szczęście filozofię dawało się polubić, a i historię Kościoła znieść.

– Wszyscy o tobie myślą, twoimi problemami się przejmują – koniec rekrutacyjnej epopei skomentował jeszcze ojciec – tylko ty jeden najmniej! Nie zmarnuj tego, co masz! Drugiej szansy możesz nie dostać!

– Jasna sprawa, ma się rozumieć – unosił się honorem synalek. – Głupi nie jestem!

A w dodatku pracę najpierw znalazł, a potem się od rodziców wyprowadził.

Zamieszkał w piwnicy pewnej willi na zachodnim stoku Płyty Redłowskiej, gdy stawał w ogrodzie, piękny miał przed sobą widok: na wiecznie szumiącą ulicznym ruchem dolinę alei Zwycięstwa, a bliżej na działki i na dzielnice skrytych w ogrodach domów jednorodzinnych oraz na gmach Instytutu Chorób Tropikalnych. Ważne, że blisko miał do Małej, do jej szkoły w Orłowie.

Mała. Cicha woda. Taka się z początku wydawała uduchowiona, skłonna do melancholijnej refleksji. Dobrze sobie, prędko wyszło szydło z worka. Bo wciąż była czymś zaaferowana, nieustannie zabiegana, to za ołówkami, to za papierem

fotograficznym odpowiedniej jakości, albo niezbędnymi chemikaliami, włóczyli się zatem po Gdańskach i Sopotach, Marek dziwił się, że aż tak bardzo jej się chce. Albo rysowała, albo wywoływała zdjęcia, a jeszcze do szkolnej kapeli dała się wciągnąć, cóż, nie zna życia, kto w pewnym wieku nie otarł się o granie, na skrzypcach wtedy chłopakom przygrywała lub na pianinie, a Marek z nią, zawsze z nią, nieustannie swej lubej towarzysząc, bo wciąż spragniony był jej śmiechu, ale i złości, jej energii oraz mimo wszystko miłości.

Włóczyli się, to dobre słowo, włóczyli, tu koncert, tam imprezka, jakiś półprofesjonalny wernisaż lub wieczór anarchistycznej poezji, ciągle coś się działo, Mała w tego typu chaosie czuła się jak ryba w wodzie, trudno było za nią nadążyć.

A teraz wreszcie wrócił pod szkołę, pod owego tajemniczego często dla zwykłych licealistów plastyka, i chwilę przyglądał się wychodzącym z eleganckiego, harmonijnego budynku dziewczynom i chłopakom. Kolorowi byli, fakt, panny niekiedy podgolone drapieźnie nad uszami, faceci brodaci, wielu w archaicznych dzwonach, one z kolei w dzierganych na drutach ciężkich sukniach, czapkę jeden miał z gigantycznym pomponem, inny łysą pałą zakrywał błyszczącą pilotką, a wszyscy owijali szyje długimi, poskręcanymi w grube zwoje szalami. No kto normalny się tak ubiera w czasach Nirvany i Pearl Jam, ludzie, czy wy luster nie macie?

Włóczyli się, choć sporo go to kosztowało, i dosłownie, i metaforycznie, przecież w co drugi weekend – a więc po wyczerpującym piątku – zrywać się musiał, by studiować, w tygodniu zaś, nie ma przebaczyć, pracował.

Najpierw na hali targowej, dzinsy tam sprzedawał w ciasnej, mrocznej klitce; że ktoś zdecydował się zatrudnić takiego mruka do tak odpowiedzialnej roboty, gdy trzeba umieć zagadywać i prawić komplementy przeróżnym paniusiom i niezdecydowanym kawalerom, to cud, jednak skoro napatoczyła się robota, to ją wziął, a tam sporo z nudów palił i przyglądał się temu, co dokoła. Bo hala to

osobna planeta, rzeczywistość zakrzywiona, inaczej tu płynął czas, a i opuszczać jej rozległych, samowystarczalnych, zdawało się, przestrzeni, gdy nie było takiej konieczności, nie trzeba było wcale. Tu zatem džinsy, tam tureckie swetry, obok kurtki skórzane i bielizna, kawałek dalej kolonialna spożywka – w całym swym bogactwie: kaw, batonów i czekolad – dalej warzywa, kiszone ogóry, mięso. Wieczny hałas, wieczny rwetes, mniejsza już o klientów, ciekawsi byli sami sprzedawcy, a zwłaszcza właściciele stoisk. Te ich wieczne dąsy, że interes nie idzie, jak powinien, to narzekanie na opresyjne urzędy, ale i na leniwych pracowników, to przymilanie się do klientów, ale tylko po to, by wkrótce spluć na ich cień – zwłaszcza gdy towarom długo się przyglądali, a koniec końców odchodzili niespiesznie, nie kupiwszy nic, kołysząc się na nogach, obciążeni siatami z kapustą i ziemniakami.

Koleżkowie go namierzyli. O, a ty, co tutaj robisz – parskali z początku śmiechem, choć on w podobnym tonie zapytać mógłby ich: a was co sprowadza pod tandetną wiatę, wydawać by się mogło, że tylko na dumnej Świętojańskiej można was spotkać, nie zaś tu, w królestwie podrabianego szajsu!

I tak się złożyło, że raz poprosił jeden, by Marek trochę zioła przechował, a zaraz przyjdzie po nie ktoś inny. I stało się tak, jak powiedział. A potem prośba się powtórzyła po raz drugi, trzeci, czwarty, hola, uznał wreszcie sprzedawca, a ja co z tego mam, narażam się, zioło to wszak zioło, towar nielegalny, jakiś głupek niech się wygada i afera się zrobi w samej rzeczy kryminalna, co to ja jestem, darmowa skrzynka kontaktowa? Zatem i na tym zaczął zarabiać, nic wielkiego, prowizję miał skromną.

A jednak głupio zrobił, niepotrzebnie dał się skusić łatwym pieniądзом, ruch wokół stoiska prędko bowiem wzrósł, a co niektórzy amatorzy – i to wcale nie džinsowych koszul czy kurtek – potrafili wracać stanowczo zbyt często, masz hasz, nawoływali już z oddali, aż, kurwa, ciszej, musiał ich uspokajać, a za to sam za krojenie na zapleczu upojnej plasteliny brał się cokolwiek poirytowany.

No i masz! Bo nagle komuś się coś nie zgodziło w rachunkach, ej, Marek, gdzie jest kasa, gdzie towar?! Weź, przestań, odpowiadał możliwie spokojnie, wszystko wyliczone. No jak, upierali się, jak wyliczone, skoro się nie zgadza, kurde, kasę nam wisisz. Ja?

Wtedy już nie koledzy, a smutni tacy zaczęli go nachodzić, smutni a nerwowi, i raz nawet w te pędy chcieli go ze stoiska wyciągnąć, do lasu, jak mówili, zawieźć, dół sobie wykopiesz, grozili. Bronił się, szamotał rozpaczliwie, więc tylko potargali go solidnie, wyłomotali, aż spodnie z półek pospadały, długo je potem zbierał i układał, o nie, myślał przy okazji, o nie, ratuj się kto może, dość tego. Pieniądze oddał, choć nie czuł się winny, bo naprawdę na działkach nie kantował, a potem zajęcie prędko zmienił, przeniósł się do owej wypożyczalni kaset video – przy rynku w Orłowie.

Na szczęście nie szukali go już, a i on nie szukał wrażeń, w mieście przez jakiś czas się nie pojawiał, tyle co z Małą. Ale i popalać przestał, znajomi Małej mieli ubaw: patrzcie, co z ludzi robi teologia!

A wokół mafia – rozpisywały się gazety – nie było filmu, w którym nie pojawiałyby się ruski trop. Mafia, dobre sobie! Drobne cwaniaczki, pokątni handlarze, nerwusy w skórzanych kurtkach i błękitnych spodniach. Mimo wszystko lepiej ich było unikać.

No, wreszcie wyszła – jak zwykle roześmiana, ale i otoczona wianuszkami oblizujących się na samą myśl o jej przyjaznym spojrzeniu patafianów. Odrzucił niedopałek, pocałowali się. Teraz to ona chciała zapalić, więc z kieszeni płaszcza wyjął pomięte camele.

– Nie nudziłeś się, misiu? – przymilała się.

– Dałem radę – wykrzywił twarz, by nie myślała, że długie na nią czekanie sprawiało mu przyjemność. Nie pierwszy raz go tak wystawiła.

– Idziemy do mnie? – objął ją.

Zawahała się.

– No co? Mieliśmy pójść!

– Ojej, ale wiesz co? Ja się z mamą umówiłam – zerknęła na zegarek – za godzinę w Delicjach.

– Z mamą? W Delicjach? – warknął. – Nie przesadzasz?

– No weź, co miałam zrobić, matka chce, żebyśmy razem lampy obejrzały, mam jej doradzić.

– Akurat w piątek? – zdenerwował się. – Akurat w dniu, kiedy udało mi się wyzebrać kilka godzin wolnego?

No bo te lampy.

Jej starzy. Ech. On faktycznie raczej nieobecny, wciąż w hurt-detal się bawiący, ale też co rusz coś nowego rozkręcający. Za to ona, pani matka – a zwrot ten przejął po latach od Tomka, dawnego absztyfikanta Aśki – za to więc pani matka... Wszechobecna, stara maleńka, w tych swoich kusych kurteczkach, obwieszona biżuterią, równie zalatana jak córka, wciąż pełna nowych pomysłów, ciągle zajęta kupowaniem, upiększaniem chałupy, te, proszę, dziś akurat lampy, to nie pierwszy jej wynalazek, bo jak nie lampy, to dywany, nowa kuchnia albo komoda z desy, a jeszcze o domu na działce na Kaszubach musiała myśleć, tam też – a to komplet mebli do ogrodu by się przydał, a to zmywarka czy inna chłodziarka.

Na niego, miał wrażenie, patrzyła z niejakim pobłażaniem, zwłaszcza od chwili, gdy niby to asystował w pewnym rajdzie po sklepach, ale nie bardzo potrafił cokolwiek doradzić, zaś sądy wydawał sceptyczne (a prosiła go Mała: rób dobrą minę do złej gry!), od tamtej zatem chwili przekonana, że ma do czynienia z niemotą i gburem. Ale to nieważne – myślała zapewne, o to ją przynajmniej Marek podejrzewał – bo przecież to chwilowe, jest chłopak, bo jest, na szczęście kiedyś go nie będzie, no, Marek, co u ciebie, aha, więc pracę zmieniłeś, dobrze, słusznie, bez pracy nie ma kołaczy, a co ty właściwie studiujesz? No tak, trudno, nie wracaj późno, córuś, jutro jedziemy kupować...

Ha, zastanawiał się z kolei on, ha, ależ będzie zamieszanie, kiedy to pan Marek okaże się mimo wszystko nie-upragnionym zięciem, kiedy więc przyjeżdżać będzie z żoną i gromadką szkrabów do owej sielskiej dachy wśród kaszubskich borów i trzeba go będzie przyjmować w salonach na dywanach jak równego sobie. Ba, może i po teściu te jego interesy przyjdzie człowiekowi przejąć – cokolwiek by to miało znaczyć – a wtedy on, człowiek, Marek, pokaże, co znaczy chwytać wiatr w żagle, i rozwinie zwiędłe przedsiębiorstwo na skalę, o której teściu mógł tylko pomarzyć! O ile się zięciowi, oczywiście, zechce, he, he...

Zdarzało się, że żartowali z Małą na ten temat, Mała dopingowała go, a wtedy tym luźniej popuszczał wodze fantazji.

Bo przecież z Małą to na poważnie, prawda? Coraz mocniej w to wierzył. A gdyby się tak znienacka oświadczyć?

– Bo wiesz – wtulając się w niego, powiedziała tymczasem tym swoim łagodnym, przymilnym tonem, oho, już czuł, że może się to skończyć niemiłym zaskoczeniem – bo wiesz, jeżeli dzisiaj z nią pochodzę, spędzimy razem trochę czasu, to mnie jutro do Marty wypuści.

– Jutro? – niby spodziewał się niemiłego zaskoczenia, a jednak nie potrafił zareagować inaczej niż ze złością. – Do Marty?

– Jest imprezka – wyjaśniła niewinna lelija.

– Jaka imprezka? – stanął, obrócił ją ku sobie, spojrzął jej w oczy. – Przecież mieliśmy posiedzieć u mnie, nic nie robić, film obejrzeć.

– Film? – zasmuciła się. – W tej norze?

– Kurczę, Mała, akurat nie mam zajęć, obiecałaś.

– Nie bądź nudziarzem, przestań!

Masz ci los – z nią, aktoreczką!

– Mała, ale ja nim właśnie jestem! Jestem nudziarzem i raz na dwa tygodnie

nie mam ochoty na nic innego. Posiedzmy, pobadzmy tylko we dwoje, czy to takie trudne?

No i juz – w trymiga sie poklócili, poszło na ostro, bo Mała uparła się przy swoim, a on poczuł się zmęczony, rób, jak chcesz, uznał, rób, co chcesz – uniósł się. Idź na tę imprezkę, ja nie idę, pieprzę tę twoją Martę i towarzystwo świrów! Tak, pieprzysz? No to zobaczymy... No i dobrze! A tak, bardzo dobrze, żebyś tylko nie żałował. Głupia jesteś? Zwariowałaś? Będiesz mi tu grozić? Bo co niby zobaczymy? Co masz na myśli? Nie wiesz czy nie rozumiesz? W takim razie lepiej, żebyś się zastanowił. Spędź sobie wieczór w tej swojej norze, z grzybem do towarzystwa, ja bardzo dziękuję, ja rezygnuję, pa!

Co za dzień! Zaczęło się od kanarów, a teraz Małej dąsy i pląsy! Wściekł się, ale za nią nie pobiegł, okej, zobaczymy, kto bardziej będzie żałował.

Rozstali się, rozstali na dobre i dopiero po miesiącu ponownie zeszli. Wiosna wtedy przysła, ach, jak cudownie było spacerować, chciało się żyć, chciało kochać, nawet w ciemnej i być może faktycznie niezbyt przytulnej norze, zresztą od razu myśleć zaczął o czymś innym, jaśniejszym, większym, by Małej było miło, by czuła się szczęśliwa, by szczebiotała, jak to tylko ona potrafiła.

No, ale latem pożarli się znów, bo dość miała jego gnuśności i tumiwisizmu, a on z kolei rzygał jej kretyńskimi artystami, pajacami, pieprzonym snobizmem bandy nieudaczników. O, po tych słowach już nic nie mogło być jak wcześniej, żegnam pana – oznajmiła. Ja panią również, i to oziębłe. Przez chwilę było miło, wiesz – zalała się fałszywymi łzami. No więc szkoda, moja panno, że tak to pięknie spieprzyłaś...

Z tego wszystkiego nic dziwnego, że ani pierwszego, ani tym bardziej drugiego semestru nie zaliczył, na poprawki też nie miał siły, więc wylali go ojcuzłkowie bez skrupułów, pięknie się to potoczyło, nie ma co, rok w plecy, kompletnie stracony, a wszystko przez tę idiotkę!

ROZDZIAŁ 4

O SPOTKANIU BAWIDAMKA Z KOBIETĄ WYZWOLONĄ

Dopiero w Gdyni, na dworcu, przestraszył się na dobre. Że rodzice będą wściekli albo, co gorsza, śmiertelnie obrażeni. Niepotrzebny był ten Kraków, głupi, bezsensowny. Ale czy to jego wina, że od dwóch dni nie miał skąd do nich zadzwonić?

Tłukł się całą noc, jak najtaniej, przez Kielce i tak dalej, pociąg co rusz stawał, co rusz ktoś wychodził z przedziału, albo się do niego ładował, ciężko było o sen, nawet jemu, przez ostatnie miesiące zaprawionemu w wykorzystywaniu każdej okazji do tego, by przykimać.

Do Krakowa nie pojechał z rezerwą, o nie, tak źle z nim jeszcze nie było, całkiem w armii nie zwariował, zresztą na rytualne święto rezerwistów, na pijane pompki pod pomnikiem Mickiewicza nie zasłużył, służby nie odbył bowiem do końca, zwolnili go wcześniej, to ojciec załatwił, ojciec stanął na głowie, poruszył niebo i ziemię, by uwolnić synalka od horroru, z którym miał wątpliwą przyjemność zetknąć się na przysiedze (swoją drogą od kilku miesięcy w jej ramach odwoływać się można było do Stwórcy, co wydawać się mogło ostatecznym dowodem odzyskania wolności). To wtedy rozgadany, no, po prostu szczęśliwy na widok rodziny po sześciu tygodniach rozłąki, Marek palnął, opowiadając o tym i owym, że pracuje przy jednostce jakaś tam Irenka czy Helenka, w której to przypadku gdyby wszystkie chuje, którymi miała do czynienia, ustawić na placu apelowym, to... Nie kończ – Leszek zastygł, zamarła

Aśka, Anusia zaś wolała udawać, że niczego nie słyszała. Tak, to wtedy Leszek zmienił zdanie i skończyła się jego obrona twardego stanowiska, że skoro Marek poważnego podejścia do życia nie chciał nauczyć się po dobroci, to niech go teraz wojsko uczy, niech zmężnieje gówniarz i tak dalej.

O owym „dalej” opowiadać za bardzo nie ma powodu, chyba że kogoś bawią prymitywne dykteryjki o ściganiu kotów, albo te o psychopatycznych kapralach, o kompanijnych łamagach lub o nocnych wartach, kiedy nie wiadomo było, czy do pijanych podoficerów strzelać – zgodnie z regulaminem – czy jednak mimo wszystko nie.

Weźmy sam początek: cywilne ciuchy do wora (a wór do jeziora), w zamian mundur i bielizna, kalesony, uszatka, trampki na zaprawę, skarpety i wyciągnięty dres, mydelniczka, maszynka do golenia i żyłtka, szczoty do szorowania buciorów, wreszcie pościel. Co było jak pogrzeb, złożenie do grobu wcześniejszych beztroskich doświadczeń, by w zamian dać wkręcić się w tryby procesów niezrozumiałych, w sen zmorę, w koszarowy koszmar.

A zaraz szkolenie ze ścielenia wozu i składania ciuchów w regularną kostkę, od tego zaczyna się wszak obrona ojczyzny, a to dopiero przygrywka, bo wkrótce ganiecie o świcie, a po nim nudne wykłady. Czasem strzelanie, często musztra. I tak przez całe tygodnie.

Może komuś to się mogło podobać, może jak ktoś ze wsi się wybrał między ludzi – myślał Marek – to wtedy owszem. Do niego samego jednak nader prędko dotarło, w jak wielkie wdepnął gówno.

Poza tym naprawdę nie ma o czym gadać.

Jeszcze się tylko szramy dorobił, mówił, że na ćwiczeniach, dopiero kiedy ojciec pisma chciał słać do ministerstwa, przyznał, że w szamotaninie, sporo się ich zdarzało po piętnastej, gdy kadry nie było już na kompanii. Szczepili się niczym dwa niedźwiedzie, choć żaden niezbyt potężny, z pewnym pacanem z białostockiego. Z początku dla zabawy, od żartów się zaczęło, ale wkrótce

jednego i drugiego poniosły emocje, więc i pacnęli się po razie z piąchy i znów weszli w klincz, aż wreszcie tamten rzucił nim w zwinięte przy placyku za kotłownią strzępiaste, przez innego debila pozostawione wbrew rozkazowi, zwoje drutu kolczastego. Cud, że oka nie stracił, bo cięcie poszło do skroni, zachodząc aż na policzek.

Bolało i paprało się, czemu czuła, miłą, pachnącą ręką próbowała zaradzić pielęgniarzka, a skończyło się złowrogo wyglądającą, zdradzającą jakąś mroczną tajemnicę blizną. Nosił ją odtąd raz z dumą wojownika, a innym razem ze wstydem.

Tak czy inaczej: zamiast od razu po uwolnieniu do ojca pojechać, zamiast rzucić mu się do kolan w ekstatycznej podzięce, z Poznania pojechał do Krakowa.

Bo Grześka takiego poznał, dobrego kumpla, do którego siostra przyjeżdżała, fajna taka, drobna blondyneczka. Kartki ze dwie wymienili, a prócz tego po liście, ot, żołnierska rozrywka, dostać list to było coś, a tym bardziej jeżeli od panny. Więc tak jakoś wyszło, że zachęcany przez Grześka wybrał się na południe niby to ważną przesyłkę własnoręcznie dostarczyć. W Krakowie już kiedyś był – na szkolnej wycieczce. Ładne miasto, wszędzie blisko – wydawało się. W schronisku wtedy spali, skąd do rynku dochodziło się w kwadrans. Teraz jednak okazało się, że to całkiem spore miasto, pod wskazany adres dotarł zatem solidnie zmęczony, zwłaszcza że po nocce w PKP.

Panna zdziwiła się, zmieszła, jej rodzice jeszcze bardziej, poczuł się jak Himilbach z Maklakiem we *Wniebowzięciu*, wiadomo, wojsko łączy ludzi na całe życie, było dokładnie tak samo, ale rozmowa się nie kleiła. Kawę pannie zaproponował, a ona nie wiedząc, w jaki sposób odmówić, zgodziła się. Pojechali zatem do centrum, tę kawę wypili, rozmowa ani w tramwaju nie nabrała tempa, ani przy stoliku choćby cienia intymności, bez sensu – stukał nerwowo palcami o blat, gdy panna wyszła do toalety. Napoje kosztowały

krocie, nic to, że obok gołębie i hejnał z wieży, że dorożkarskie konie, zaczarowana, oszczana dorożka, kto siedział przy krakowskim rynku, ten wie, o co chodzi. Tego, powiedział wreszcie brawurowo, nie zabieram ci czasu, dziewczyno, wracam do siebie. Nie zatrzymywała go, tułał się do późna po Plantach – a skrytych w mroku pijaków było tam mnóstwo – na koniec pakując się do pociągu. Z ledwie kilkoma papierosami w kieszeni, nimi przez długą noc starał się oszukiwać zrazu ssący, a potem mdlący okrutnie głód.

W Gdyni, kiedy tylko wyszedł na plac przed dworcem, usłyszał skrzek mew. Wzruszył się, bez dwóch zdań wzruszył. Było niedługo po piątej rano, miasto puste, wychłodzone po nocy, chłonał jego widok łapczywie, jakby wracał po Bóg wie ilu latach, jakby nie przyjechał tu wcześniej na przepustkę i jakby nie był już tym samym chłopakiem, który kilka miesięcy wcześniej żył sobie w nim beztrosko, lawirując to tu, to tam, normalnie.

„Chyba jednak zwariowałem” – przestraszył się, ale zaraz roześmiał wesoło.

Patrzy: a tu na każdym rogu ulicy telefoniczna budka. Zwyczajna, trwająca w cierpliwym oczekiwaniu, gotowa do użycia. Aż podszedł do pierwszej lepszej, by sprawdzić, czy działa.

Bo do domu, do rodziców, dzwonił całe dwa dni wcześniej – by potwierdzić, że go wypuszczono, że wraca. No ale potem ten Kraków, Kraków, a w nim budek zero, a jeśli już, to zepsute, patrzcie państwo, takie wielkie miasto, a jednak za Gdynią daleko w tyle!

Szedł na Bema – do kamienicy. Gdyż oto umarł wreszcie jeden z odziedziczonych po poprzednim systemie lokatorów i teraz to oni, prawomocni właściciele, mogli się w końcu przeprowadzić na swoje. Ojcu udało się sprzedać niszczejącą budowę, planował także pozbyć się mieszkania przy Chopina. Bo kamienica to, ho, ho, okazało się, prawdziwa studnia bez dna, odzyskało się ją, owszem – Łucja się doczekała! – lecz razem z lokatorami, którym czynszów nie można było podnieść i nie można się było ich pozbyć, wymienić na bogatszych,

płacących więcej, tymczasem dziedzictwo dziadka Wilczyńskiego trzeba było utrzymać, zadbać o nie, wszak ostatni remont, tak wiele kosztujący Łucję nerwów, miał w kamienicy miejsce ponad dwie dekady wcześniej.

Tak czy inaczej, to się właśnie tej wiosny stało – przeprowadzka rodziców. Jeszcze zimą przepustkę spędził z nimi w dawnym mieszkaniu, teraz doszedł na Bema.

Zapukał, odczekał, zadzwonił. Otworzyła matka – i od razu szczęśliwa! Za to ojciec naburmuszony, gdzie byłeś – chciał wiedzieć – myśmy się wczoraj ciebie spodziewali. Miałem zobowiązania – odparł – głodny jestem, palić mi się chce! O tym paleniu dwa razy nawet powtórzył, prawda, że żołnierz jak malowany? Ale: zobowiązania? Jakie zobowiązania? Oj, tato, zrozum, musiałem załatwić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę, ale nic się nie bój, wiele przemyślałem, wiele zrozumiałem, urządzę się jakoś, rozejrzę, dam sobie radę, do egzaminów będę się przygotowywał. Do egzaminów? Jakich egzaminów? Będę studiował, tym razem na poważnie. A co u Aśki? – widząc pełne powątpiewania spojrzenie ojca, uznał, że lepiej zmienić temat.

A u Aśki było dobrze, ho, ho, jak dobrze, bo Aśka, bo Aśka, bo Aśka...

Przydreptała też Łucja, dawno jej nie widział.

– Dzień dobry, babciu! – rzucił wesoło i rzucił się ku niej.

Pozwoliła się przytulić, pachniała mydłem.

– Wypuścili cię, Krzysiu? Wypuścili?

Spojrzał na rodziców niepewnie.

– To nie Krzysiu, mamó – tłumaczyła Anusia.

– Prawda, to Kostek – poprawiła się zakłopotana staruszka.

– Nie Krzysztof i nie Kostek, to przecież Marek!

– Marek – Łucja zastanowiła się, jakby szukając czegoś w pamięci. – Prawda, Marek! – wyciągnęła dłoń, by pogłaskać wnuka po twarzy. – Marek...

Dopiero gdy się wyspał, usłyszał, że z babką nie najlepiej, że traci pamięć. I to akurat teraz – pokiwał głową z niedowierzaniem – gdy wróciła z wygnania na poddasze, a więc kiedy tym bardziej wracać mogłaby pamięcią do lat, w których z tak wielkim entuzjazmem wprowadzała się do wybudowanej przez męża kamienicy. Cóż za ironia losu!

Tymczasem w nowych okolicznościach trafił mu się, synowi marnotrawnemu, osobny pokój. Wielki, wręcz ogromny, z widokiem na cichą uliczkę. Jeszcze go, żołnierza, nie rozpakowali, czekaliśmy na ciebie, tłumaczyła Anusia, zresztą widzisz – oprowadzała go po mieszkaniu – mebli mało, na tak wielkie pałace zupełnie nie byliśmy przygotowani – śmiała się, wciąż jakby zaskoczona obrotem spraw.

Zatem sam się teraz z rosnącym entuzjazmem rozpakowywał z ustawionych karnie wielkich pudeł.

Najpierw książki. Nienacki, pachnący we wspomnieniu mętą, zgniłozieloną wodą z jezior, bo z jakiegoś powodu Marek najbardziej polubił *Nowe przygody...*, te z otwierającą opowieść sceną, w której Pan Samochodzik z rozbawieniem przysłuchuje się tyradom wędkarza Anatola na temat szkodliwości popijania gotowanej kiełbasy oranżadą. Dalej Niziurski – rozbrykany w rytm Wielkiej Kołomyi Elementarnej, niezrównany mistrz zabawnych dialogów. Vonnegut. O, to powinienem ponownie przeczytać – uznał, wpatrując się w okładkę *Syren z Tytana* – zwłaszcza teraz, po powrocie z wariatkowa. Jak przez mgłę przypominał sobie odczytywany przez Wuja z wielkim podziwem heroiczny, będący świadectwem oporu wobec tyranii list, którego autorem już za chwilę okazać się miał on sam, pozbawiony wcześniej pamięci, Wujko. Ale się chłop zdziwił! U Vonneguta cały świat to wariatkowo, kto dał się zaszczepić tego typu sceptycyzmowi, ten na wiele chorób powinien być uodporniony. Wreszcie Eco – mistrz nad mistrze, genialny w *Imieniu róży* i niezrównany w *Wahadle*.

Niewiele ich było, książek, jeszcze Sienkiewicz, Tolkien, *Paragraf 22* oraz kilka innych, mniej wartych wspomnienia tomów. *Złoto Gór Czarnych*, *Ostatnia walka Dakotów*. Uśmiechnął się, o Aśce pomyślał.

Na dnie tego pierwszego z kartonów znalazł jeszcze broszurowe wydania *Old Surehanda* i *Winnetou*. Przypomnił sobie od razu wujka Władka, jak ten twierdził, że Apanaczka to kochanica wodzów Apaczów, i za nic nie dawał się przekonać, że to wcale nie tak.

I jeszcze jedno wspomnienie: gdy pewien łebek, a siedzieli wtedy w ławach kościoła, czekając na próbę przed pierwszą komunią, otóż łebek upierał się, że jedną stroną zeszytu o *Winnetou* czyta w minutę, zaś cały zeszyt w kwadrans. Sęk w tym, że stron było kilkadziesiąt, czego samochwała w żaden sposób nie potrafiła połączyć i upierała się przy tym swoim kwadransie. Czy to nie ten sam gnojek twierdził ze znawstwem, że A-ce-piorun-de-ce to zupełnie inny zespół niż Ejsidisi? I że Renault i Reno to dwie osobne marki?

W innym pudle znalazł komputer, aż dziw, że się to to uchowało. Atari 800. W dawnych czasach jeden z kolegów miał ZX Spectrum, maleńki elegancki mechanizm. Inny chwalił się commodore 64. Za to Markowi Leszek przywiózł właśnie atari, rzecz brzydka, lecz jakże wydajną, grało się wtedy całymi godzinami a to w wyścigi samochodowe, a to w *River Raid*, w *Boulder Dash* czy w *Football Managera*. Grało, ba, łatwo powiedzieć, najpierw załadować trzeba było maszynę z magnetofonowej kasy, co mogło nieraz doprowadzić spragnionego amatora rozrywki do furii – gdy po kilkunastu minutach oczekiwania okazywało się, że wszystko na nic, że trzeba próbować od nowa, byle wcześniej unieruchomić ów magnetofon, nie dopuścić, by drżał, by jazgotliwy sygnał wprowadzania danych nie został niczym zakłócony. A ile się wtedy naźarli, nakłócili z Aśką? Gdy ona chciała grać i on, mamó, mamó, moja kolej! I jeszcze: ile sterujących ruchami figurek na monitorze dżojstików poszło w diabły, zawsze zbyt delikatnych, a szarpanych zawzięcie, nic na dłuższą metę

niewartych, a przecież tak drogich; lepilo się je zatem z beznadziejnym uporem taśmami klejącymi, mocowało kruche blaszki i łączyło wątle kabelki, a przy tym pytało zduszonym przez wściekłość głosem – czy nie dałoby się sterowników wymyślić lepiej, inaczej?

I znów kolejny karton, a w nim następne zeszyty, już mniejsza o te z Maradoną czy z relacjonowanymi własnoręcznie meczami mistrzostw świata w Hiszpanii lub w Meksyku. Oto bowiem znalazł także broszurę, skarb kibica, z wszystkimi spotkaniami każdej z lig – a więc pierwszej, dwóch drugich i ośmiu trzecich – z sezonu 1985/1986. Postanowił wtedy, że rozegra bez wyjątku wszystkie z zarysowanych w terminarzu meczów – w rolach piłkarzy występować miały rozbiegane po kuchennym blacie zastępy plastikowych żołnierzy. Co do jednego, upierał się, a było tych meczów ponad dwa tysiące, z udziałem nie tylko Arki czy Bałtyku, ale również Chemika Police, Elany Toruń czy Garbarni Kraków. Grał zatem, skrzętnie zapisywał wyniki, a w tabelach skrupulatnie dodawał zespołom punkty. Lecz nie, ostatecznie nie dał rady, to był wysiłek ponad możliwości, żołnierze może i by wytrzymali – choć śmiertelnie zmęczeni – on jednak oklapł już przy kolejkach wczesnojesiennych, o dokończeniu rozgrywek nie mogło być mowy.

Za to fikcyjne mundiale udawało się kończyć, i to wcale nie raz na cztery lata, a wręcz co tydzień. Rozgrywał je uczciwie: mimo że Polska w oczach dziecka była potęgą od zawsze, od czasów zamierzchłych, od epoki Górskiego, to jednak toczonych na stole rozgrywek nie wygrywała za każdym razem. Niekiedy udawało się to Brazylii, o wiele rzadziej Francji, Argentynie, Danii albo Portugalii – które zachwycały w roku osiemdziesiątym czwartym – za to nigdy Niemcom i nigdy Anglikom (ZSRR – z powodów oczywistych – do mistrzostw dopuszczany nie był).

Na pierwszy prawdziwy mecz ojciec zabrał go, kiedy na Eysmonda – a więc o rzut kamieniem od domu – przyjechała Wisła z Krakowa. Z Nawalką –

podkreślał Leszek, widać szczególnie cenił sobie piłkarza, którego nazwisko bardzo spodobało się również Markowi, idealnie bowiem pasowało do gracza rozpoczynającego huraganowe ataki swej drużyny. Arka wystąpiła w strojach żółto-niebieskich, krakowianie w czerwono-białych, tłum zebrał się wielki i aż nabrzmiały od skumulowanej energii, ta wreszcie wybuchła, gwizdków sędziego nie dało się w tym szaleństwie usłyszeć. I tak jak chwilę wcześniej w finale Pucharu Polski, tak teraz znów wygrali gdynianie, jednak Marek niewiele z meczu zapamiętał, bardziej zaś to, że kiedy wrócili do domu, w telewizji rozpoczynała się właśnie druga połowa. To go zdziwiło, sześciolatka, bo coś tu przecież nie grało. A także to, że teraz oglądał mecz czarno-biały. Mimo to koniecznie chciał rozpoznać na trybunie siebie i tatę – co się jednak nie udało i czym bardzo był zawiedziony.

Jakiś czas później wybrali się na Bałtyk, wtedy do Gdyni przyjechał Widzew Łódź, nie byle jaka drużyna, bo z Młynarczykiem, Żmudą, Tłokińskim, Rozborskim, Surlitem, Bońkiem i Smolarkiem. Widzew, który rok wcześniej wyrzucił z europejskich rozgrywek Manchester United, a potem Juventus Turyn i przegrał dopiero z Ipswich Town. Tymczasem to uwielbiany wówczas w Gdyni Piotr Rzepka zdobył bramkę dla biało-niebieskich, a łodzianie zdołali wyrównać ledwie na kwadrans przed końcem gry.

A za rok Widzew ponownie grał z Juventusem, wcześniej wyeliminowawszy potężny Liverpool. Wtedy Boniek grał już w barwach włoskiej Starej Damy i niektórzy mówili, że to zdrada, co owocowało długimi, zażartymi dyskusjami na szkolnych korytarzach.

Jakby *à propos* Juventusu, kartkując gruby zeszyt, znalazł teraz karygodnie złożony w kostkę oryginalny włoski, zdobyczny plakat. Karygodnie, bo przez to zniszczył się, wytarł na zagięciach. Zaś takiego zespołu wcześniej nie było i już chyba nie będzie – pomyślał, wpatrując się w obraz ustawionej w trzy rzędy drużyny. Z Zoffem, Cabrinim, Gentilem, Scireą, Tardellim i Rossim – świeżo

upieczonymi mistrzami świata. I Michelelem Platinim. I ze Zbigniewem Bońkiem. Oraz z Massimo Boninim, piłkarzem z San Marino, tego rodzaju gwiazd nie sposób zapomnieć, są jak zaćmienie Słońca, zdarzają się raz na sto lat. Będąc właścicielem takiego skarbu, plakatu, nie można się było Juventusem nie zachwycać, a swoje robiły też eleganckie stroje: mianowicie koszulki w czarno-białe, pionowe pasy z tajemniczym napisem Ariston przebiegającym przez pierś.

Lecz dość o futbolu, brak już miejsca, czasu i pretekstu, by wspomnieć choćby o Marcu van Bastenie, kolejnym genialnym graczu z również genialnej drużyny – A.C. Milan. Bo oto inne plakaty znalazły się na dnie kartonu, tym razem skocznych Norwegów z a-ha. Był czas, przed The Cure rzecz jasna, gdy od rana do wieczora mógł słuchać ich przebojów – *Take on Me* albo *The Sun Always Shines...*

Na koniec samochodziki jeszcze przejrzał, żelaźniaki, krótko, przez chwilę, podobnie jak rzucił tylko okiem na to, co pozostało z przywożonych niegdyś przez ojca zestawów lego. Gdyż i tak, podsumowując, sporo tego było, dość, by raz czy drugi uśmiechnąć się do wspomnień, ale też zastanowić nad sobą, spojrzeć z dystansu. Bo jednak: w tej pierwszej po powrocie rozmowie z ojcem, co tu kryć, blefował. Blefował, gdyż pomysłu na siebie nie miał.

Czego by złego o nim nie mówić, po armijnym sanatorium czuł się silny, napakowany. Pomyślał nawet o tym, czy by nie biegać – dla utrzymania dobrej formy. Najpierw wrócił jednak do włóczędzy, do szwendania się po mieście, niby to w poszukiwaniu pracy. Lecz co to za miasto – zauważył świeżym spojrzeniem – ledwie kilka poważnych ulic i placów: część Wójta Radtkego, Starowiejska i 10 Lutego – patrząc ze wschodu na zachód – oraz prostopadłe do nich fragmenty Władysława IV czy Abrahama. Oczywiście Świętojańska i jej krótkie odnogi. Ewentualnie Warszawska. Nowy Jork to nie jest – uznał.

Świętojańska. Jeszcze na niej trwały, w kilka lat od rozpoczęcia terapii Balcerowicza, ostatnie niedobitki poprzedniej epoki: jakiś warzywniak, jakies

chemiczne tysiąc jeden drobiazgów, jakaś pizza na grubym i pulchnym cieście, rodzaj drożdżówki obficie posypanej serem i zmiękczonej pieczarkową mazią (znikła za to kanciapa usytuowana mniej więcej w połowie ulicy, gdzie prócz kurczaków z różną w dawnych czasach sprzedawano frytki z ostrym sosem paprykowym; ten sos na zawsze miał dla Marka pozostać wzorem wszystkich dresingów, niedościgłym i mimo tylu prób i poszukiwań niemożliwym do odtworzenia ideałem). Poza tym jednak zakwitł już na niej kapitalizm, a że słabo był pielęgnowany, bo jedyną uznaną metodą doglądania owego ogrodu była zgoda na nieposkromiony żywioł, więc wnet rozpleniały się zawłaszczające teren chwasty, perze, rdesty i babki. Bo Bata, garnitury Sunset czy džinsy Big Star – owszem, niech udają Mediolan i Londyn. I sklepy z futrami, skórą niech będą (nawet jeżeli przez część mieszkańców miasta, tych, którzy ze zwieszonymi głowami mijali ich bijące blaskiem wielkiego świata witryny, nazywane były pralniami brudnych pieniędzy). Lecz były to mimo wszystko wyjątki, bo prócz tego ulicę zawłaszczwały kolejne trudne do pojęcia mody. Na przykład przez sezon lub dwa na dywany, nic, tylko wszędzie dywany, sięść nie było gdzie, zjeść, napić się, za to wykładzinę kupić można było co krok. Po dywanach rozpanoszyły się z kolei buty i nie dojdiesz człowieku, dlaczego! A potem apteki – nie jedna, na zdrowko, czemu nie, wszak zdrowko najważniejsze, nie jedna zatem i nie pięć, a całe ich dziesiątki, kurka, skąd ta nagła epidemia?

Jeszcze na bankomaty zwrócił uwagę: sporo się ich pojawiło, niczym huby kleiły się do ścian, stały się, podobnie jak budki telefoniczne, symbolem nowoczesności, ha, aż trudno było wierzyć, że niby dopiero za dwadzieścia lat mamy dołączyć do Unii. Jak to możliwe, skoro bankomatów ci u nas dostatek!

Niestety, sam korzystać z owych cudów najwyczejniej w świecie nie mógł, nie miał do nich dostępu, nie miał karty, nie miał pinu, był jak te cygańskie dzieci pozornie siedzące na tej samej ulicy, po której przechadzali się właściciele bankowych kont, lecz w gruncie rzeczy nic niemające z nimi wspólnego, gorsze,

mówiące innym językiem, takim, w którym nie ma słów „wyciąg” i „saldo”.

Ojciec cierpliwość stracił już po kilkunastu dniach.

– Co masz zamiar robić? – zapytał.

A przecież trwała jeszcze wiosna, wkrótce przejść miała w lato, wieczory wydłużały się, stawały się cieplejsze i tym mocniej kusiły z oddali światła knajp, wabiąc ku sobie wszelakie ćmy barowe, koneserów rozmów o niczym, łowców piękna płci przeciwnej, a wreszcie po prostu smakoszy różnorodnych trunków.

Wódkę na dobre nauczył się pić w wojsku, wcześniej zdarzało mu się to od przypadku do przypadku, na przykład w trakcie meczów, na które chodzili z kolegą Granatem. Pierwsze połowy spędzali zwykle za Górką, stojąc w lesie za płotem i mając widok ledwie na część boiska. Za to w przerwie już za darmoszkę wchodzili na stadion i siadali na betonowych płytach, by mieć przed sobą plac gry, dalej skryte wśród drzew korty, a za nimi kojący bezruchem ciemnoniebieski pasek morza inkrustowany czerwonymi, żółtymi lub czarnymi klejnocikami stojących na redzie statków – piękny to był widok, zaprawdę godny zazdrości. Wtedy odkręcali flaszkę i pili z plastikowych kubeczków, słuchając przy tym opowieści o tym, jak to, panie, przed wojną, gracz wykonać potrafił mianowicie kornet, a więc zacentrować piłkę mocno i precyzyjnie z narożnika boiska w sam środek pola karnego, a potem zdążyć jeszcze do niej dobiec i osobiście zagłówkować, wykonując wyrok, zdobywając gola. Tak było, bez wątplenia, ten, który opowiadał, widział to na własne oczy, nie kłamał, bo po co by miał?

Prócz tego krzyczało się: lutuj, napadywuj, czas zamierał, zastygał, wszelki ruch miał charakter pozorny, nawet ten, w którym Arka to zdobywała awans na wyższy poziom rozgrywek, a to, po roku, ponownie zsuwała się ku trzecioligowej beznadziei. Wódka była ciepła, a popitka słodka i lepka, każdy ma swoją magdalenkę i swoje sklepy cynamonowe.

Zatem wódkę prócz dawnych meczów kosztował przede wszystkim w wojsku, teraz zaś miał jej dosyć, wołał wiśniówkę – dajmy na to – albo powoli

podbijając serca i wątroby żołądkową gorzką. A najlepiej piwo odpowiedniej jakości, gdyż to pijane na wartowniach nigdy nie było należycie schłodzone i często pływały w nim fuzle. Po takich doświadczeniach dusza rwała się do rajów.

Ba, łatwo powiedzieć. W Krakowie, zdążył zauważyć, knajp było mnóstwo, zwłaszcza piwnic, do których schodziły tłumy. Za to w Gdyni, mieście budek telefonicznych i bankomatów, pod tym względem rozrywkowym panowała istna posucha.

Odpadały upiory z przeszłości, mieniające się restauracjami Pod Kandelabrami czy Bałtycka. Co z tego, że pojawiły się w nich bilardowe stoły, skoro wciąż w oczy rzucały się przede wszystkim zaplamione obrusy i zasypiający nad nimi stali bywalcy. Oraz kelnerki w płóciennym obuwiu z dziurami na pięty i palce.

W grę nie wchodziły także kioski z piwem, Antałek czy inna Baryłka, tak od wieków oblegane, tak wciąż zatłoczone, a jednak wymagające przymknięcia oka na swe walory estetyczne, mocnych nerwów, zgody in blanco na ryzyko wdania się w awanturę, a przynajmniej oblania kwaśnym jak mocz, zwietrzałym piwskim.

Raz czy drugi zajrzał zatem do Cyganerii, może nawet, by spotkać w niej Małą, ale że dziewczyny nie zastał, to i siedzieć w oparach wspomnień nie za bardzo chciał. Był jeszcze Heineken przed prezydium na Świętojańskiej i była fajna nora, długa, wąska jak amerykańskie bary przydrożne, tuż za kinem Warszawa. Przede wszystkim chodził jednak na bulwar, do Mingi, przybytku całodobowego, nigdy niezamykanego – bo niby jak, skoro był to tylko podest przykryty dachem na słupach, podest, a na nim bar i kilka stolików – w którym to miejscu zdarzało mu się nie raz doczekać świtu. Miło było posiedzieć, morza posłuchać, rozmawiać z kolegami i poznawać panny.

O, dobrze było być w Gdyni marynarzem, samozwańczym wilkiem morskim i patrzeć z góry na przybyszów z dzikiego interioru. Pierwszy raz uświadomił to sobie, kiedy jeszcze jako uczeń płynął z kolegą wycieczkowcem na Hel (za bilety

nie płacili, dostali je od kogoś, żaden normalny tubylec by za coś takiego nie zapłacił – bo po co? by płynąć? a co to niby za atrakcja?), płynęli zatem z nudów, z braku innego pomysłu na spędzenie wakacyjnego dnia, a wraz z nimi płynęła wycieczka Bóg wie skąd, z Polski, z ziemniaczanych równin, i kiedy zaczęło kołysać, cała ta wycieczka, ich, Marka z kolegą, dwunastoletnich rówieśników, porzygała się jak koty, pociesznie, żałośnie, ludzie, jak można się aż tak upodlić?!

Albo ten widok: siedzisz, piwo popijasz, a tu z obłędem w oczach leci po piasku wrzeszcząca wataha i wbiega bez opamiętania do morza – w butach, w spodniach, woda zimna, brudna. No o czym to świadczy? O czym?!

Pannom w Mindze cuda-wianki opowiadali: o dalekich rejsach, pożartych rekinach żarłaczach i o pokonanych w nierównej walce piratach (bo skąd niby ta budząca zainteresowanie blizna, jeżeli nie po boju z kapitanem Hookiem... A może Cookiem? Jak zwał, tak zwał. Owe panny trwały w zasłuchaniu, bywały śliczne, czemu nie, najpiękniejszym zaś finałem nocnej posiadówki było lądowanie (zmyliwszy czujność portiera) w owym strzelistym akademiku, który nad plażą i Cafe F. Minga królował, a w którym latem miast studentów pomieszkiwały, bywało, wczasowiczki.

No więc przesiadywał w owej knajpie i był to czas ciągu dygresji, swobodnych i często niekoniecznie logicznych przeskoków z tematu na temat, byle tylko omijać ten najważniejszy, najtrudniejszy, który ojciec ujmował najtrafniej, zwięźle i krótko, choć powtarzając przy tym jak echo: Co zamierzasz ze sobą...

W sklepie – natrętnie nagabywany, odparł pewnego razu – w sklepie sobie coś znajdę, lecz nie da się tego zrobić ot, tak, hop-siup.

– W sklepie? – Leszek prychnął gniewnie, zeźlony dodatkowo bezczelnością syna. Bezczelnością, bo chyba nie sądził gówniarz, że ojciec o takiej dla niego marzy karierze – mianowicie ekspedienta.

– No to w knajpie...

– W knajpie!

– Do jakiejś szkoły pójde.

– Ciekawe, bo rok szkolny już wkrótce się zaczyna, a ty nic, zdaje się, w tym kierunku nie zrobiłeś?!

– Nie martw się, zdążę.

– Dobrze, więc zdążysz. Lecz co oprócz tego zamierzasz przedsięwziąć, jak na siebie zarobić?

Gadaj tu z takim! Czy nie rozumie, że w kraju bezrobocie? Że łatwo nie jest? I że co nagle, to po diable?

Kłócili się, awantury wybuchały coraz częściej, Marek miał zresztą poczucie, że racja jest po stronie ojca, wstydził się tego, że nie zarabia. Ale i pisał życiorysy, roznosił je – i nic!

– Bo teraz liczą się studia! – tryumfował stary.

– Studia? Żeby w banku czy urzędzie za kontuarem siedzieć?

– A jednak! Bo Asia...

Lecz tego, mianowicie siostry, miał brat powyżej uszu, więc trząsał drzwiami i zniknął, nie wracał przez kilka dni, u kumpli pomieszkiwał. Gdy ojciec wyjechał na kolejny kontrakt, nie pożegnali się. Anusia płakała.

A skoro on pracy nie znalazł, to ona znalazła jego. Aśka pomogła, Aśka załatwiła. Mógł wzruszać ramionami, mógł się śmiać: na co te wszystkie nerwy?

Kiedy Mała odwiedziła go w jednostce, mocno się zdziwił. Podwójnie zresztą: bo nie dość, że zjawiła się z nienacka, to jeszcze nie wiadomo w jakim celu, niby przy okazji, przejazdem (z tragarzami?!), bez powodu, ot tak. Nie widzieli się wtedy prawie od miesiący i niespecjalnie się im rozmawiało. Co gorsza, jej wizytę szczególnie przeżyli niektórzy koledzy Marka, teraz już o niczym innym nie mówiąc, jak o ruchaniu. Żałował, że przyjechała.

Niedługo potem zadzwonił i w toku rozmowy zdołał wtrącić zdanie klucz: masz kogoś? Miała, szlag by to trafił. Z drugiej strony: może to i dobrze?

Natknęli się na siebie w Rock Cafe Buda, w końcu to małe miasto. Buda, jak i Minga, stała tuż przy plaży i była drewnianym barakiem, gdzie odbywało się mnóstwo gorących koncertów. Była też miejscem ponurym, klaustrofobicznym, pilnie strzeżonym przez osiłków na bramce. I wszystko w niej było prowizoryczne, bar i scena, toalety oraz instalacja elektryczna (że to to nie spłonęło, istny cud – myślał nieraz – oby nie zapeszyć!), wewnątrz zaś zawsze kłębiły się tłumy, panowała duchota i hałas. Jednak trzeba było się w niej pojawiać, kto nie bywał, tego jakby w ogóle nie było, mimo że bilety potrafiły kosztować i po kilkadziesiąt tysięcy.

Trafili na siebie na koncercie Apteki, „my pijemy tu browary, hary kriszna, hary, hary, ujarane całe miasto, ludzie chodzą ulicami ciasno”. W pierwszej chwili nie poznał jej – ścięła krótko włosy i doprawdy wyglądała jak Winona Ryder z teledysku *I Love Your Way*: delikatna, krucha, jeszcze bardziej dziewczęca.

Wpadła mu wprost w ramiona, podrygując w pewnym oddaleniu od sceny, na jego widok zrobiła wielkie oczy, ba, jeszcze większe, bo i tak miała już mocno poszerzone źrenice, oho, musiała się pani solidnie upalić, pomyślał, ona zaś naturalnym ruchem z miejsca go objęła – a ramiona i szyję miała mokre od potu – oplótła, wtuliła się w niego i od razu zaczęli się całować.

Jakiś koleś się przypałętał, którego odpędziła, krzyząc: Nie widzisz?! Odejdz! Marek do bitki zaczął się wtedy w duchu szykować, widząc, że tamten otacza się kolegami, jeszcze tego mi trzeba – myślał w ponurej desperacji. Jednak goście zrezygnowali i tylko śmiali się z niego i pozwalali sobie na wulgarne uwagi dotyczące prowadzenia się Małej. „Chodźmy” – wyciągnął ją na dwór, żeby ochłoneła. Na plaży okrył ją swoją kurtką, samemu nie było mu zimno.

Chciała się napić, poszli po piwo, potem usiedli na piasku. Gadali.

Już nocą odwiózł ją taksą do domu na Chwarzno, potem przez lasy długo wracał piechotą, nie mogąc zdecydować, czy jest szczęśliwy, czy też wręcz przeciwnie. Bo może oto wdepnął po raz drugi (a nie trzeci? lub czwarty?) do tej samej rzeki i wcale nie można wykluczyć, że jest to ściek, rzeka gów...

„Nie, nie – gryzł się zaraz w język – bez przesady, spróbować można, będę ostrożny, tym razem nie dam się wodzić za nos i nie pozwolę wyprowadzić się z równowagi”.

A jednak: już po kilku dniach poinformował Anusię, że się wyprowadza, że mu za ciasno nawet w kamienicy, że musi pójść na swoje, że nie jest dzieckiem. I nie minęło kolejnych kilka dni, gdy do jego nowego mieszkania na Śląskiej wprowadziła się Mała. Co zrobisz, serce nie sługa.

ROZDZIAŁ 5

MUCHA NA SZCZĘŚCIE

To się musiało stać u Franciszkanów, choć nie w górnym kościele, a w kaplicy. Goście ledwo mieścili się w nawie, ale prócz tego ceremonia miała charakter skromny, bez wymyślnych śpiewów i gry zaprzyjaźnionej skrzypaczki. Aśka sukienkę sprawiła sobie prostą, wzorowaną na tunikach z lat trzydziestych i delikatnie opinającą zaokrąglony brzuch, a zamiast welonu nosiła szeroką opaskę, związaną z tyłu głowy i opadającą na plecy. Maciek wystroił się w czarny surdut, białą koszulę i błękitną kamizelkę oraz w popielate spodnie.

Po oficjalnej części uroczystości goście sypnęli ochoczo ryżem, po czym ruszyli schodami w dół do czekających na nich autobusów. Młodzi ruszyli tymczasem w przeciwnym kierunku, w górę, na inny parking, gdzie czekała na nich limuzyna. Na placu przy klasztorze pijaków oczywiście nie zabrakło, doskonale na nie wyczuleni, tego typu okazji nie przepuszczali. Kiedy Marek zawahał się na ich widok, rozpoznając z zażenowaniem kolegów z dawnych boisk, Maciek skinął głową:

- Daj im flaszkę.
- Nie wziąłem, nie mam.
- Jak to nie masz? Pieniądze im daj.

Cóż, zawstydził się swą nieporadnością, ale i przyjął ją z pokorą. Zawsze mało zainteresowany społecznymi rytuałami, unikający ślubów i pogrzebów, mógł spodziewać się tego, że rola drużby nie raz zaskoczy go i przerośnie. Z tym, że to Maciek ponoć nalegał – tak twierdziła Aśka – by drużbą na ślubie siostry

był Marek, wymówić się zatem było trudno.

W długiej, zdaniem Marka nazbyt ostentacyjnie wybranej, limuzynie usiedli na wprost siebie – młodzi i świadkowie. Znów, tak jak w kościele, jedynie kątem oka przypatrywać się mógł kuzynce szwagra, pulchnej brunetce, dość ładnej, choć jak na gust Marka zbyt mocno upudrowanej, z zastygłymi rysami; zdawała się nosić maskę, siłą rzeczy budząc dystans.

Cywilny odbębnił z samego rana, skazując się następnie na długie, nerwowe oczekiwanie na przysięgę w kaplicy, teraz jechali do Orłowa. Wiadomo, od pewnego czasu tylko w okolicach tamtejszego molo udawały się w Gdyni najpiękniejsze sesje zdjęciowe.

Szczęście im dopisało – i może to znak, że dopisywać będzie przez całe długie życie? – chmury kłębiły się bowiem, przeganiały nad pomarszczoną zatoką, wiatr rozwiewał poły marynarek i włosy, przez co ujęcia powinny były nabrać należytej dynamiki – co miało się okazać po wywołaniu filmów – sprawiać wrażenie prawdziwie radosnych, zatrzymując na wieki chwile beztroskiej, nieudawanej zabawy. Tak to sobie przynajmniej założyła pani fotograf, która gonila ich teraz po molo i plaży. Pani fotograf, czyli Mała we własnej osobie, artystka co się zowie, wciąż domagając się nowych póz i grymasów i wciąż przestawiając ich na nowo – a to by tłem kolejnych ujęć było zalesione wzgórze, a to klif, a to daleki Sopot z Gdańskiem w parze, a wreszcie wyciągnięte na brzeg rybackie kutry, lub ostatecznie samo morze – raz stalowe i chłodne, gdy chmury całkowicie przysłaniały słońce, a już za chwilę połyskujące figlarnym złotem.

I najbardziej się Mała przy tym wszystkim czepiała Marka, wiadomo, bo wciąż wydawał się jej sztywny, wciąż za mało się uśmiechał, wciąż nie potrafił właściwie ustawić. Sztorcowała go zatem, a Maciek śmiał się, wpadłeś bracie jak śliwka w kompot, mówił, ha, ha, w wojsku chyba cię mniej musztrowali!

W niebieskiej sukience do kolan i z krótkimi rękawkami Mała mogła, ba,

musiała się podobać. Błyszczały jej usta i oczy.

Już w limuzynie panowie napili się – bo czemu nie? – po czym szwagier rozłożył się na kanapie i zapytał:

– A wy co, nie pobierzecie się? Mama na pewno by chciała. – Miał na myśli teściową, Anusię.

Marek skrzywił się.

– A w waszym wypadku nie chciała?

Prawda, pięć lat zdążyło minąć od studniówki Aśki, prawie trzy, odkąd już w Warszawie zamieszkali ze sobą, a przecież do ślubu długo im się nie spieszyło. Tłumaczyli to pośpiechem świata, w którym przyszło im funkcjonować, przeróżnymi przeszkodami natury zawodowej.

– Kariery robią – wzdychała na to Anusia i choć z jednej strony podobała jej się wolność, wyrwanie z konwenansów, jakim cieszyć się mogli współcześni młodzi, to z drugiej strony gryzło ją mimo wszystko to życie na kocią łapę, bez przysięgi. I niby się nie martwiła tym, co ludzie mogą powiedzieć, ale jednak, pytana o Aśkę i jej warszawskie życie, z pewnym trudem odpowiadała, że córka, owszem, narzeczonego ma, że, owszem, mieszka z nim, że, owszem, są szczęśliwi, a więc i ona, matka, jest.

No i jeszcze to: dzieciątko! Ślub państwo dyrektorstwo zaplanowało oczywiście z dużym, niemal rocznym wyprzedzeniem i wtedy to nie cięża decydowała o podjęciu przez nich decyzji. Teraz jednak nie dało się jej ukryć i Anusia mimo wszystko drżała z niepokoju na myśl o tym, co sądzić będą, o czym szeptać dalecy krewni i najbliżsi znajomymi.

– Myśmy byli daleko – zaśmiał się w odpowiedzi Maciek. – Wiesz, wtedy łatwiej, nas ledwie kilka razy w roku pytano, czy weźmiemy wreszcie ślub, czy nie... A ty byś nie chciała? – teraz zwrócił się do Małej. – O – zaśmiał się, choć Mała nie zdążyła odpowiedzieć ani gestem, ani tym bardziej słowem – chciałabyś, chciała, Marek, nie wygłupiaj się, oświadczyć się choćby dziś!

Widział go kto, Wujka Dobrą Radę! Ale Maciek był przecież z tych, którzy, gdy sami zaangażują się w jakieś przedsięwzięcie, gdy podejmą istotną decyzję, to z miejsca przekonują do niej innych. Gdy zaczną inwestować w akcje, to będą i ciebie namawiać, gdy rzucać palenie, od razu rozpoczną nawracanie otoczenia, a wszystko namolnie, z gorliwością neofity, nie dostrzegając często swej śmieszności.

– Bo wiecie, jak to z konkubinatami – dodał jeszcze wesołek, zanim go Aśka zdążyła uspokoić łagodnym napomnieniem. – Kojarzą się z meliną, przemocą domową, ha, ha!

Rzeczywiście: pobrzmiewało w owym słowach – konkubina i konkubent – echo kronik kryminalnych, telewizyjnego programu 997, no i dobrze, no i fajnie, faktycznie można się było z tego śmiać. Swoją drogą, niedługo trwała ta ich pierwsza próba wspólnego życia, skończyła się dramatycznie, istna heca, kabaret, z tego również się dzisiaj śmiali, znów rozłączeni, choć tym razem nie z powodu awantur i kłótni pomiędzy sobą, gdyż teraz akurat zadziałała siła prawdziwie wyższa.

Kiedy zamieszkali na Śląskiej, nie minęło wiele dni, gdy obudził ich dzwonek do drzwi. Najpierw nieśmiały, ten można było zlekceważyć, lecz zaraz natarczywy, uporczywy, wiercący dziury w mózгах, Mała jęknęła, Marek zaklął, w poranek po długiej sobotniej nocy nachalny, nieproszony gość aż zdawał się prosić o mocną ripostę, o zrzucenie ze schodów i obrzucenie na koniec złym, a jednak w pełni zasłużonym słowem.

Ha, ale to pani matka się objawiła we własnej osobie, jakby zresztą nieco speszona, nie tak rozgadana; o to, czy może wejść, zapytała wręcz nieśmiało. Marek wpuścił ją do środka, pewnie, czemu nie, przepraszając od razu za swój skąpy strój (w gaciach mianowicie paradował – na szczęście bokserkach – i w naprędce narzuconej na ramiona powyciąganej, dresowej bluzie). Usłyszawszy z przedpokoju głos matki, Mała gramoliła się z materaca niezgrabnie, niezdarnie,

rozczochna i opuchnięta na twarzy. Istna konkubina, pijacka melina, zresztą pusta butelka po winie potoczyła się niebawem po podłodze, trącana matczynym pantoflem.

– Boże, jak wy tu żyjecie! – załamał ręce gość, zapominając na chwilę o tym, że nie jakością ich życia miał się ewentualnie martwić, a nim samym – wspólnym, na kocią łapę, bez zgody rodziców.

– Co ty mówisz, mamó, jak to jak żyjemy? Normalnie – Mała ziewnęła i przeciągnęła się rozkosznie.

– Ma pani ochotę na kawę? Albo herbatę? – zaoferował Marek brawurowo, zważywszy na brak czystych naczyń, gdyż wszystkie co do jednego gniły w przepelnionym zlewie, co też zdążyło się już rzucić w oczy, może i niepewnej w trudnej dla siebie chwili, ale też spostrzegawczej pani matce. Podziękowała zatem głosem wciąż cichutkim, po czym przeszła do rzeczy.

– Córku! Jak to tak? Ja rozumiem, że ty studiujesz, że chcesz być samodzielna. Ale ty o nas pomyśl, pomyśl o babci, o cioci Janinie! Co powiedzą, kiedy się dowiedzą, że ty... że ty... że ty...

– Mamó – przerwała jej kategorycznie Mała. – Mamó, tak ładnie potrafisz rymować: co powiedzą, kiedy się dowiedzą... Więc dlaczego się zacinasz, mnie od tego boli głowa.

Marek przestraszył się: że może za dużo dzień wcześniej wypili wstrętnego, kwaśnego wińska – przecież dziewczyna najwyraźniej nie zdążyła wytrzeźwieć!

– Się zacięłaś, mamó, a jest niedziela rano, mamó, daj spokój, ja mam dziewiętnaście lat, ja jestem pełnoletnia!

– A skąd masz pieniądze na koncie? Skąd, jak nie od tatusia?! – teraz już nie wytrzymała, uniosła się pani matka. – Masz, bo tatuś... Bo myśleliśmy, że to na farby... Bo ci wpłacił, bo...

– Mamó, jest dwudziesty wiek, a za chwilę dwudziesty pierwszy! Co ty myślisz, że ja będę czekać na błogosławieństwo cioci Janiny?!

– Ale pieniądze masz, bo tatuś...

– Pieniądze? – wkurzyła się dla odmiany Mała i zerwała się, i skakać zaczęła po nagim parkiecie niczym kauczukowa piłeczka, miotała się po mieszkaniu niczym wściekłe zwierzę w klatce, wrzeszcząc przy tym coraz głośniej. – Pieniądze? O, proszę, jeżeli ty myślisz, że chodzi o pieniądze, to masz, weź sobie tę kartę, wypłać wszystko jeszcze dziś, konto zostanie puste, my sobie damy radę, poradzimy sobie, Marek pracuje, a i ja... I ja... – po długiej tyradzie teraz to Mała zacięła się i nie potrafiła dokończyć zdania – i ja znajdę pracę! Będę kelnerką, albo kucharką, co wy sobie myślicie!

Cóż, piękne to było, piękna przemowa i mocna kończąca ją deklaracja, Marek naprawdę szczerze podziwiał determinację lubej. Ale karty to może by jednak Mała nie musiała oddawać, a co więcej – gdy matka opędzała się przed córką i nie chciała dać sobie wcisnąć do ręki plastikowego prostokątka – nie musiała jej giąć, łamać, co widząc, Marek przestraszył się, że oto na dobre tracą dostęp do konta. Ach, prawda – uspokoił się na moment – gotówkę wypłacić wszak można przy okienku w banku. Uff... Ale zarazem: fuck! Bo przecież nie dziś, a dopiero jutro, tymczasem po lodówce hula wiatr, a w portfelach pusto.

Gdy wzburzona pani matka wreszcie opuściła lokal, przypomniał o tym Małej:

– Nic nie mamy, nie wiem, jak wytrzymamy do jutra. Cholera, chleba na dwie kromki, dwie parówki, serek topiony.

– Kochasz mnie? – wołała wiedzieć ona. No, ba!

Dopiero po południu zapytał:

– Słuchaj, Mała, a skąd oni właściwie wiedzieli, gdzie cię szukać? Mówiłaś, że im nie powiedziałaś.

– Słowo: nie powiedziałam!

Zastanawiała się chwilę.

– Wiedzieli, że mieszkam u ciebie, a ty gdzieś w tej części miasta...

- Ale to długa ulica – wciąż nie mógł się nadziwić.
- Ty nie ich szpiegostwem się teraz martw, a tym, że wróca! – zaśmiała się.
- A wróca? Tak myślisz?
- Hm... Ojciec.
- Czyli strach się bać? – uśmiechnął się drapieźnie.
- Poczekaj! Nie ruszaj się, ani drgnij! – krzyknęła, po czym przypatrywała mu się z uwagą, ułożonymi w prostokątną ramkę palcami imitując fotograficzną czy filmową klatkę. – Twój dziadek nazywał się Wilczyński, powiadasz... Kurczę, masz coś z niego, masz!
- Aż pokraśniał z dumy.
- Żeby tylko czasem bardziej ci się chciało chcieć – dodała niepotrzebnie.

Weselni goście zdążyli się tymczasem wynudzić, a choć nasyceni, owszem, widokiem rozciągającym się z restauracji na port i skrawek miasta, to mieli czas także zgłodnieć i zatęsknić za wódeczką.

Wreszcie ją ujrzeli: limuzynę wysuwającą się zza zakrętu.

Młodzi szarpnęli się na Panorame, przeszkloną, z widokiem z góry na zatokę i ciepło oświetlony popołudniowym światłem półwysep, od samego początku w grę nie wchodziła inna knajpa niż ta, położona w najbardziej prestiżowym punkcie miasta.

Nareszcie się rozpoczęły rytualne powitania, całowanie chleba, strzeliły szampany, można było zasiadać do stołów. A więc najpierw do rosółu, a potem do dewolajów. Młodzi to by chcieli zaszaleć, popisać się, błysnąć światowym obyciem i zaserwować nawet owoce morza, na szczęście udało się im podobne cuda wyperswadować, udało się to matkom; dzieci, mówiły, nie myślcie tylko o sobie, myślcie o gościach, niech będzie tradycyjnie, niech się czują swobodnie, nie każcie im zachwycać się czymś, czego mogą nie znać, co nie będzie im smakować, bądźcie tego dnia dla nich!

Dobrze, stanęło zatem na kurczakach w panierce, skoro takie są gusta ludu. I wódkę pito tradycyjną, polską, czystą, wino zaserwowano jedynie do obiadu.

Gdy już pojedli, uruchomił się didżej, samotny jeździec, Aśka nie chciała zespołu, takiego w bordowych koszulach, z rozklekotaną perkusją, z keyboardem i z gitarami z korpusem z masy perłowej.

Pod pierwszy taniec zagrał *Dance Me to the End of Love* Leonarda Cohena i nawet (a może tylko?) Marek docenił ów wybór. Bo tak jak na stadionach – tłumaczył cicho Małej – często usłyszeć można gejowski hymn *YMCA*, tak na weselach jak kraj długi i szeroki gra się i śpiewa *Windą do nieba*. Ostatnią, kuźwa, pieśń, którą powinno się przypominać przy tego typu okazji!

Jej stary wpadł na Śląską niczym burza, mało drzwi nie rozwalił, nie sam zresztą był, a z jakimś niepewnym siebie kolegą, tamten facet zresztą tylko statystował, przez całą, trwającą dobre pół godziny, awanturę nie odezwał się ani słowem.

Za to stary solidnie był pobudzony, wrzeszczał, Małą tarmosił i poganiał, by się zbierała, a ta, choć oponowała z początku, to prędko się ojcowskiej woli poddała, czemu Marek przyglądał się wielkimi oczyma, on również nie mówił wiele, tyle co nic, bo gdy spróbował uspokoić rozjuszonego brytana, ten w pierwszej chwili niemal skoczył ku chłopakowi z pięściami, cudem się opanował i tylko wysyczał tonem bynajmniej niezapraszającym do jakiegokolwiek dyskusji:

– Nie po to zgodziłem się na całe to córki malarstwo, by roztrwoniła talent, by zgniła w jakiejś norze – rozejrzył się po pomieszczeniach z pogardą. – Na razie niech się uczy, niech studiuje, niech dorośnie, a wtedy...

– Wtedy co? – załkała ona.

– Wtedy: zobaczymy! – warknął. – Zobaczymy! Pakuj fatalaszki, pożegnaj się z panem, jak dorośniesz – powtórzył – a pan mnie do siebie przekona – spojrzawszy wyzywająco na Marka – wtedy zobaczymy. Pan jak kocha – zaśmiał się

szyderczo na koniec – jak kocha, to poczeka!

A było to tak, że on akurat spółkę założył, nie byle jaką, poważną i upragnioną po tylu latach dłubania w hurcie-detalu, i może to właśnie sprawiło, że taki się stał nerwowy, wybuchowy, tak bardzo z jednej strony przerażony widmem klęski, dotkliwej porażki, a z drugiej zdeterminowany, by trzymać życie krótko za pysk, niczemu nie dać się zaskoczyć, by je totalnie kontrolować, a jak wszystko, to wszystko, więc nie tylko interesy, ale i córkę, ukochaną córeczkę, dość mam nerwów – wymusnęło mu się na odchodnym – z całym tym bajzlem, więc przynajmniej ty mnie, córuś, zrozum, nie zawieź, bądź nadzieją na nagrodę za całą tę harówę!

Dopisało mu szczęście: przy okazji swego hurtowego przedsięwzięcia poznał facetów z upadających zakładów radiowych, inżynierów i techników. I jakoś tak od słowa do słowa zaczęli kombinować, żeby może część owych zakładów przejąć? Przecież to się nie może zmarnować: ludzie oraz ich umiejętności. Tylko komu i co sprzedawać, co produkować? Nad tym się głowili, tym gryźli, nie oni jedni w ostatnich latach od Bugu po Odrę. A jednak uparli się i byli pewni siebie, nad nowymi rozwiązaniami pracowali, starali się patrzeć w przyszłość, komputerów coraz więcej, robotów, panie, cudów, więc może i nasze nadajniki, nasze nienowoczesne niby, ale przecież działające odbiorniki, na coś się mogą przydać, zadziałać, może w nich nadzieja, może dzięki nim uda się schwytać Pana Boga za nogi, na dobre się w nowej rzeczywistości odnaleźć, ustawić, zająć pozycję, która procentować będzie przez lata, aż do bezpiecznej i dostatniej starości? Przecież sroce spod ogona nie wypadliśmy, nie tylko dawni ubecy – jak mówiono – mają prawo marzyć o godnym zazdrości życiu Carringtonów!

Więc spółka, spółka, założyli ją, założyli wbrew dominującej ideologii, by każdy sobie rzepekę skrobał, bo sukces – dało się słyszeć zewsząd – jest kwestią indywidualną, a co kolektywne, to gorsze, co wspólne, to podejrzane, życie to wyścig, a świat tor wyścigowy, liczą się tylko zwycięzcy, reszta jest milczeniem,

niech odejdzie w zapomnienie, zwyciężaj albo zgiń, oto co głosił duch nowych czasów, oto wezwanie, jakim z uśmiechem wzywano na arenę chcących biec ku nowoczesności kolejnych w historii gladiatorów-niewolników.

A więc – spóła. I kolejne nerwy, kłopoty! Jeszcze mu było potrzebne niesformą córką się martwić? Bo też wybrała sobie kawalera...

A potem już bawiono się, tańczono. Didżej najpierw Bitelsami się popisywał, potem Klenczonem i spółką. Wreszcie odnalazł Abbę i Boney M., *Sun of Jamaica* i *Suzannę*. „I’m crazy loving you” – krzyczał do ucha Małej Marek, bo w ogóle w tańcu lubił się wygłupiać, aż poprosiła, by nie pił za dużo, co zaraz solennie i po raz kolejny obiecał.

Bo mimo wszystko widywali się niemal codziennie, na tyle, na ile pozwalały im obowiązki, a gdy rodzice Małej zorganizowali na kaszubskiej działce urodziny starego, Marek odważnie się na nich pojawił. Stary dowiedział się już wtedy, że chłopak przestał być byle chłystkiem, że do roboty chadza w garniturze, więc i inaczej na niego spojrzał. Marek, niby razem z Małą, podarował mu whisky w eleganckiej skrzyneczce, więc, o, proszę, a pan, panie Marku, czym się właściwie zajmuje – inna już była rozmowa – logistyką, panie Stefanie, ruch musi być płynny, a kontenery gotowe, czy to do załadunku na statki, czy na kolejowe platformy.

Bo to właśnie załatwiła braciszкови Aśka – gruba ryba z Warszawy – robotę w terminalu na Obłuzu.

I tylko z ojcem cały dzień, wieczór i noc mijali się bez słowa. Leszek na synalka wciąż był obrażony, przeprosin zdaje się oczekiwał, podpowiadała je zresztą Markowi i Anusia, i Aśka, a kiedy ten spróbował ojca zwyczajnie zagadać, jak gdyby nigdy nic, nie wracając jednakże do tego, co było, Leszek ostentacyjnie go zlekceważył, do któregoś z wujów się obrócił, strasznie niby to wciągnięty w dysputę o tym, jak to świat – z perspektywy Tczewa – schodzi

nieuchronnie na psy. Wtedy więc i Marek zakręcił się na pięcie i wzruszywszy ramionami, wyszedł na taras zapalić.

W czwartej czy piątej godzinie zabawy wokół didżeja wszczął się ruch, kręcić się przy nim zaczęli co bardziej ośmieleni, rozochoceni, a jednak niezadowoleni z poziomu imprezy goście. I zaraz skończyły się gorączki sobotniej nocy, skończyły *Hairy*, *Lady Panki* czy inne *De Mona*. Z głośników – o zgrozo! – popłynął czystej barwy chodnik.

Zerknął na Aśkę – rozłożyła ręce. Maćkowi było wesoło. Śmiała się także Mała, bo też co można było robić, gdy tak wielu dopiero teraz ośmieliło się z szaleństwem oczu pędzić na parkiet?

Blondyneczka, *Dziewczyna z marzeń*, *Teściowa*, *Zabawa we wsi* – didżej prędko udowodnił, jak świetnie jest przygotowany. Ole-ole, baj-baj, ole-ole, mi graj! Przy *Żegnaj Mała* również Marek nie mógł się nie dać zaciągnąć pod głośniki. „W twoich oczach strumień gwiazd, w twoich oczach perły słońca” – obiecująco zaczynała się pieśń.

– Co?! – zdębiał, usłyszawszy drugi wers.

– Nie mam pojęcia! – odkrzyknęła, śmiejąc się.

– „Wyleniały, właśnie tak, wyleniały, aż do końca”?! Czy ty to słyszysz, Mała?! „Wyleniały aż do końca”?! Co to, do cholery, może znaczyć?!

Po takiej to muzycznej przygrywce długo nie trzeba było czekać, by zaczęły się same najpyszniejsze gry i zabawy. W naciskanie prędkimi przysiadami, a właściwie podskokami na krzesła, pompek materaców i dmuchanie tym samym balonów, w przepuszczanie surowych jaj przez nogawki, w trafianie zwisającym z pasa na sznurku widelcem w wąskie gardło flaszki po wódce. Zgroza, horror, ubaw po pachy, śmiechu, że ja cię nie mogę!

Aż wreszcie Maćkową muchę złapał, bo rzucił się ku niej najzwawiej i nie dał

ubiec żadnemu z konkurentów. A że i Mała chwyciła opaskę Asi, to docinków oboje usłyszeli od groma, docinków, ale i zachęt – bo przecież tak piękną stanowili parę, a ludzie lubią wesela, naprawdę lubią, zwłaszcza gdy didżej ma głowę na karku, ma ją otwartą i nie boi się zapomnieć o tym, co się puszcza w smętnym radio.

Więcej grzechów nie pamiętał. Tyle było tego dobrego!

Obudził się na szczęście w mieszkaniu przy Śląskiej. Głowa pękała, przez gardło nie chciała przejść kleista kula śliny. Leżał na materacu nagi, a przez otwarte okno do wnętrza napływały fale gorąca. Z trudem przewrócił się na drugi bok: spodnie i marynarka zwisały z fotela, obok pomięta koszula. Poniżej, już na parkiecie, zaległy majtki. A obok nich drugie – dziewczęce, koronkowe. W łazience szumiała woda.

– Mała – pomyślał.

Lecz co, jeśli nie ona?

Wstać, zapukać, zapytać o coś? Bo to chyba nie świadkowa?

– Hej, misiu, słyszysz mnie? – to ona zawołała. – Bo zapomniałam, a się skończyło, czy możesz wstać i przynieść...

Odetchnął z ulgą, uśmiechnął się, opadł na plecy. Wesele się Aśce, trzeba przyznać, udało.

ROZDZIAŁ 6

KUTIA, MAKOWIEC I JESZCZE WIĘCEJ SŁODKOŚCI

Mieszkanie. Wciąż jeszcze nie oswoiła go, wysokiego, olbrzymiego, obejmującego szeroką kłamrą klatkę schodową, dawniej, pierwotnie, przed wojną tak właśnie przez dziadka wymyślonego, potem podzielonego na dwa, dziś ponownie połączanego. Okna wychodziły z niego i na podwórze, i na ulicę, niezwykle był to dla niej widok, wszak wcześniej, jeszcze przed wyjazdem do Warszawy, odwiedzając babkę na poddaszu, przyzwyczała się do widoku podwórka, dobrze je, oglądane z wysoka, zapamiętała, wyryło się w jej pamięci, dlatego dziś, oglądane z niższej kondygnacji, zdawało się zniekształcone, niby to samo, lecz inne, jak czasem we śnie ukazują się nam pozornie dobrze znane przestrzenie, a jednak są wtedy zdeformowane, powykrzywiane niczym na obrazach awangardowych w swoim czasie malarzy.

Dziadek postawił parter z dwiema niewielkimi kłitkami, dalej piętro z największym, ogromnym mieszkaniem, przeznaczonym dla siebie i rodziny, potem dwie kolejne kondygnacje – podzielone lokalami na pół – a jeszcze wyżej poddasze – tym razem z czterema skromnymi kawalerkami. Z biegiem lat się to pozmiało, administracja osiedlała wciąż kolejnych lokatorów, dawne eleganckie mieszkania dzielono na mniejsze, zamurowywano łączące je przejścia, za to wykuwano wyjścia na schody. Z harmonii oryginalnych rozwiązań nie zostało wiele.

Głowili się teraz wspólnie i każde z osobna – ojciec, matka, Aśka, a i Maciek

– jak to teraz utrzymać, może stróżówkę choćby wynająć, może na biuro, na niewielki zakład, byle zgodził się ktoś płacić? Gdyż poza tym liczyć mogli tylko na to, że lokatorzy z czasem... Hm, po prostu zwolnią mieszkania... Hm, niech żyją jak najdłużej, ale... Chyba że wcześniej najwyższe instancje pozwolą uwolnić czynsze, a wtedy zarządzać będzie łatwiej, trudno, darmo, niech zapanuje wolny rynek, przecież nie każdy musi mieszkać w samym centrum miasta! Tak przynajmniej twierdził Maciek, który ze swymi stanowczymi sądami oswajał powoli Anusię.

Bo właśnie przyjechali na święta – Aśka z mężem i maleństwem, przyjechali mimo niepokoju o to, jak kilkugodzinną podróż zniesie kilkutygodniowy osesek.

W dniu wesela niektórych, co bardziej naiwnych, dałoby się może przekonać, że panna młoda po prostu za bardzo sobie folguje, że nie dba o dietę, nade wszystko kochając słodczy. Lecz nie minęły przecież trzy miesiące, a już zaczęły się owe długie godziny, z początku niewinne, gdy po północy odeszły wody, a potem straszne, najstraszniejsze, gdy od świtu do późnego popołudnia powtarzały się skurcze. Szczęśliwie finał odbył się prędko, jakby w rewanżu od losu za wcześniejsze cierpienia, i oto przed szesnastą Kubuś wyskoczył na świat. Ważył 3400 gramów i miał 51 centymetrów, na jego widok Maciek omal świata nie opuścił, przynajmniej na chwilę, bo zbladł – taki niby chojrak – i chwiał się na nogach.

Przyjeżdżać wedle pierwszych postanowień nie mieli, zwłaszcza babcie im to odradzały, jednak Aśka uparła się, to nasze pierwsze święta, mamó, mówiła, nic się nie stanie, nic, to możliwe – taka podróż, ludzie jeżdżą... No i rzeczywiście: udało się!

– Spał, całą drogę spał – pęczniała z dumy młoda mama, podczas gdy świeżo upieczona babcia miotała się po mieszkaniu, jeszcze raz chcąc się upewnić, że goście – a wśród nich ten najważniejszy – czuć się będą w gościnie doskonale,

bezpiecznie. Myśleć o tym co prawda zaczęła grubo na tydzień przed ich przyjazdem, teraz jednak znów wydawało jej się, że małemu nie będzie dość ciepło. Albo dla odmiany za gorąco! Albo nie dość wygodnie – na szerokim jak lotniskowiec tapczanie.



Port wewnętrzny.

Dobytku przywieźli co niemiara, Maciek pięciokrotnie ponawiać musiał kurs z piętra na ulicę, aż się cały zdyszał. Wreszcie przysiedli wokół jak księżę na ziarnku grochu ułożonego Kubusia i już tylko przyglądali mu się – w czym celowała zwłaszcza Anusia.

Wigilia tego roku przypadła w sobotę, przyjechali zatem tydzień wcześniej, potem Maciek wrócił na kilka dni do stolicy, teraz ponownie się pojawił.

Dziś wyszli – zięć z teściową – krążyli po mieście, pewnie o halę targową zahaczając, ostatnie zakupy bywają najtrudniejsze, wciąż się coś przypomina. Jaka to ulga – twierdziła przy okazji zarumieniona od chłodu Anusia – że przynajmniej wszystko można kupić, owszem, stojąc niekiedy w kolejce, choćby po rybę, ale przecież nie za byle ochłapem i nie licząc na cud. Tak, to naprawdę wspaniale, gdy wszystko można dostać.

Za to ojca w domu nie było, och, nieszczęsny dziadek, po weselu nie mógł zrezygnować z kontraktu, musiał wyjechać – najpierw w długą podróż busem do Marsylii, by tam zamustrować – a potem przez długie miesiące rozmyślać

o wnuku, wyobrażać go sobie, wreszcie doczekać się szczęsnej nowiny, lecz tylko po to, by znów widzieć dzieciątko jedynie w wyobraźni – i co z tego, że już na bazie entuzjastycznych opowieści? – i wciąż odtąd odliczać przeciągające się dni do końca służby. I tęskniąc tak, jak nie zdarzyło mu się to od lat, bo, owszem, zawsze tęsknił, a gdy rodziła się Aśka, gdy rodził Marek, to nawet zdecydowanie bardziej, taki los marynarza i niech nie mówią ci, co mało wiedzą, że przecież w zamian pomarańcze, w zamian diety w bonach Pekao i krociowe zyski z handlu. Bywały chwile, że człowiek wszystko by oddał, by móc być na lądzie, nie na morzu, być w Gdyni, angażować się, organizować – choćby powrót powiększonej rodziny ze szpitala – by się cieszyć tymi pierwszymi, najważniejszymi chwilami.

– A pani u nas została? Pani na dłużej do nas przyjechała? – Łucja zakradła się bezszelestnie i swoje pytania zadała zwykłym już dla siebie, cichym, łagodnym tonem, a mimo to obrócona w stronę okna Aśka niemal podskoczyła.

– Babciu, ale mnie przestraszyłaś! Przecież to ja, Asia, znów mnie nie poznajesz? Na pewno poznajesz! – Chwyliła dłonie staruszki w swoje ręce, a Łucja przyglądała się wnuczce z pewnym niepokojem, jak przyłapaną na niewiedzy uczennica pierwszej klasy, świadoma, że nie powinna przyznawać się do tego, iż na postawione pytanie nie potrafi odpowiedzieć, że lepiej zatem udawać.

– Poznaje – szepnęła – teraz już poznaje. Pani już nas odwiedzała, pamiętam.

Taka już była, myliła imiona, widząc co rusz to Franciszka, to Antoniego, córkę jeszcze miałam – kiwała głową – córkę, córeczkę, nie wiem, gdzie jest, wyjechała...

– Nie wyjechałam, mamu – tłumaczyła jej wtedy Anusia – to Franciszek wyjechał, ale jeszcze cię odwiedzi, zobaczysz, porozmawiacie, powspominacie.

– Babciu, a może ty zgłodniałaś? Albo herbaty się napijesz? – zapytała teraz troskliwie Aśka.

– Napiję – skinęła głową Łucja.

– Chodź – poprowadziła ją wnuczka do kuchni. – Usiądźmy, może opowiesz mi o tym, jak wprowadziliście się tutaj z dziadkiem Krzysztofem, pamiętasz, jak to było? O jakiej to było porze roku?

Bo pewne rzeczy Łucja pamiętała doskonale, epizody, zatrzymane w czasie chwili, wtedy i kolory sobie przypominała, i słowa. Na przykład o Wyszkuwie potrafiła mówić, o ojcu swym i siostrach. O lecie nad rzeką i o tym, że syn Błażejusiaków – ale jakich Błażejusiaków? tego oni, słuchający jej, z kolei zupełnie nie wiedzieli – a więc, że syn Błażejusiaków, Jurek mu było, pływał łódką i nawoływał z daleka dziewczęta.

– Myśmy mieszkali przy samej Świętojańskiej – powiedziała teraz. – Przy samej. A aut jeździło po niej mnóstwo!

– Tak, babciu – zgodziła się Aśka. – Tak było. Z tym że później to już tu się przeprowadziliście. Z dziadkiem, to znaczy twoim mężem, i z dziećmi.

– Naprawdę? – zdziwiła się Łucja. – No, rzeczywiście... Miałam męża – potwierdziła po chwili, po momencie zawahania, w którym jakby szukała czegoś w pamięci. – To był taki przystojny pan.

– No widzisz, babciu, tak to jest – Aśka wstała i teraz to ona pokiwała głową. – Tak to już jest – powtórzyła, niczego konkretnego nie mając na myśli, ot, zdziwiona może miękko, acz bezlitosną siłą, z jaką czas obchodził się ze staruszką.

– Poczekaj na mnie, babciu – zalała szklanki wodą. – Ale nie, nie bierz jeszcze, nie chwytaj! – odstawiła je na bezpieczną odległość. – Może ciasta przegryziesz – podsunęła talerz i poczekała, aż Łucja niepewnym ruchem sięgnie po kawałek sernika. – Ja prędko zajrzę do Kubusia, zerknę, czy się nie obudził.

Po powrocie znów się babce przyglądała. Tak chudej i drobnej, że aż zastanawiać się można było, czy Łucja nie jest aby duchem. Tylko oczy wciąż świeciły w owej drobnej twarzy. Podobna jest do maluszka – uderzyło to naraz

Askę – tak samo bezradna, zdana na opiekę, podobnie zamknięta w trudno dostępnym dla innych świecie.

Już sześć lat minęło od czasów, gdy wspólnie przeglądały babcine skarby, owe listy, zapiski z przeszłości. „Co z nimi? – zastanowiła się teraz. – Ciekawe, czy Marek w ogóle o nich wie?”

Gdy Łucja siorbała, rozglądając się przy tym ciekawie po kuchni, i gdy skubała długimi palcami pachnący wanilią sernik, Aśka ponownie wyjrzała przez okno. Marek zatrząskiwiał właśnie drzwi auta. Uśmiechnęła się do siebie. Bo zmienił się, dojrzał. Późno, bo późno, lecz dojrzał. Prezentował się wręcz dostojnie: w czarnym płaszczu do pół uda, w błękitnej koszuli i pod krawatem. Taka moda nastała, taki sznyt, na błękitne koszule – gdy się chciało poważnie wyglądać. Dość się chłopak nachodził we wzorowanych na lotnicze kurtkach – uznała.

Kiedy Maciek, dzięki swym rozbudowanym w Warszawie koneksjom, polecał szwagra w terminalu kontenerowym, nieco się obawiali. Nie, nie że sobie nie poradzi, choć na pewno w obecnych czasach przydałoby mu się skończyć studia (ba, najpierw zacząć je na poważnie!). Ale że zawiedzie, że nadszarpienie zaufania – nie dość, że do siebie, to jeszcze do tych, którzy go polecali.

Tymczasem – proszę! Nie dość, że pracował, to i uczyć się rzeczywiście zaczął: w Wyższej Szkole Czegoś Tam, ruszyła właśnie taka, na Kieleckiej, pod lasem, w budynku dawnej Izby Wełny.

– To dzięki tej dziewczynie – stwierdziła autorytatywnie. Schodzili się i rozstawali, o czym wiedziała od mamy, cóż, trudno, w niektórych przypadkach tak widocznie musi być, grunt, że teraz stanowili całkiem udaną parę. Coś już z tego musi być, nie inaczej, nie są wszak dziećmi. Mała, Monika, piękna dziewczyna, swoją drogą.

– Cześć – w progu stanął zdyszany, tachając owiniętą wielkooką siatką choinkę.

Łucja spojrzała z przestachem na Aśkę, a potem wstała.

– Pójdę, położę się.

– Niech babcia nie przesadza! – zagrział, ale i uśmiechnął się. – Babcia się mnie boi? Wnuka?

Kiedy, choć uspokojona, mimo wszystko wyszła, rozłożył bezradnie ręce.

– Jak mały? – zapytał, szczerze zainteresowany. I nie czekał na odpowiedź, a od razu ruszył w głąb mieszkania. – Śpi – szepnął, zerkając a to do wnętrza pokoju, a to na idącą jego śladem Aśkę. – Śpi.

– Żałujesz, prawda? – zaśmiała się cicho. – Poczekaj, daj mu czas.

To również się jej w nim podobało: że aż tak zachwycił się Kubusiem.

– Aśka, a gdzie go, drapak, ustawić? – wrócił do drzewka. – Ustalałyście coś, mama zdecydowała?

– No chyba w kącie, za stołem, jak inaczej?

– Woląłem się upewnić – mrugnął. – Pierwsze święta tutaj. A stojak gdzieś widziałaś?

Mały zakwilił, Aśka pobiegła do niego. Marek radził sobie sam, rozmyślając. Gdy wróciła, zapytał:

– A wy na zawsze zostaniecie w Warszawie?

Uśmiechnęła się ciepło.

– Chyba tak – odparła, choć spodobał się jej cień nadziei, który usłyszała w głosie brata.

Nie był jeszcze u nich, choć mama tak, a jakże, tuż po narodzeniu maleństwa.

W przyszłości myśleli o czymś więcej, na razie niewielkie mieszkanko kupili w Natolinie, przyzwyczajeni do południowej części miasta. Wychylając się z balkonu, niemal dotykać mogli szorstkich pni brzoź, a i park mieli na wyciągnięcie dłoni. Teraz czekali, aż wiosną ruszy metro, ba, całe miasto czekało, oni jednak należeli do tych nielicznych szczęśliwców, którzy z owego skoku

cywilizacyjnego, z tryumfu człowieka nad materią, na wzór londyńczyków sprzed ponad stu lat, korzystać mieli w niedalekiej przyszłości codziennie.

– A ty nie myślałeś, żeby wyjechać? – zainteresowała się. – Wszyscy wyjeżdżają, znam takich dziesiątki. Na studiach, po studiach. W Trójmieście ciężko coś znaleźć.

– Ja znalazłem – zaśmiał się, spoglądając czujnie, czy zrozumiała, co miał na myśli.

– Miłość cię tu trzyma.

– Czemu nie? – zawiesił głos. – Zobaczymy, co z tego wyniknie.

– O – zareagowała szybko. – Czuję, że coś kombinujesz! Albo kombinujecie – poprawiła się.

– Niczego nie kombinujemy. – Może jej się zdawało, ale chyba faktycznie podkreślił ostatnią sylabę. – Wiesz, chciałoby się czasem...

– Chciało-by?

– No, uporządkować życie...

– Ty byś chciał? A Monika? Ona też?

– Właściwie to nie wiem – roześmiał się. – Muszę zapytać, zrobię to.

A tymczasem znów zamieszkali razem, stary jakby oswoił się z sytuacją, zapomniał o sprzeciwie dyktowanym po części skrywaną dewocją – a może raczej strachem przed opiniami innych bigotów? – zamieszkali zatem, bo z tymi wszystkimi swymi wcześniejszymi rozstaniem byli niczym dzieci na huśtawkach mijające się w przeciwstawnych cyklach, gdy jedno wzbijało się w górę, drugie opadało, przez co dotykać się mogli jedynie w locie, na krótką chwilę, na czas najczulszego muśnięcia.

Ociosanie masywnego pieńka, a potem umocowanie zgrabnie rozłożystego świerczka, o grubych, tłustych igielkach, zajęło mu więcej czasu i kosztowało więcej wysiłku, niż to sobie założył. Wreszcie jednak mógł się podnieść z kolan.

– A z tatą? – kolejny temat poruszyła niemal szeptem, wchodząc na grząski grunt i nie wiedząc, jak brat zareaguje. – A z tatą? – powtórzyła, ale i tym razem nie miała śmiałości dokończyć zdania, tyle musiało wystarczyć, jakby niewypowiedzenie słów o pogodzeniu i pojednaniu mogło uratować sytuację. A przynajmniej jej nie potwierdzać, nie sankcjonować.

– Nic nowego – burknął, zmarszczył czoło. – Muszę lecieć – otrzepał spodnie – tylko spojrzę na chłopaka.

– Wy sobie też postawicie choinkę? – zapytała.

Pokiwał głową.

– Starzeję się – udał ciężkie westchnienie. – Mam ochotę na pielęgnowanie tego typu sentymentów.

„Dwadzieścia jeden lat!” – pomyślała, uśmiechając się w duchu, kiedy już wyszedł. Niedługo później wróciła Anusia z Maćkiem.

Kolację wigilijną zaczęli wcześniej na prośbę Marka, który nie za późno i na dłużej – o czym z przekąsem poinformował Anusię – pojechać miał z Małą do jej rodziców. Na Bema pojawili się z kolei rodzice Maćka, wcześniej nieco zazdrośni o to, że syn z wnukiem zatrzymał się u teściów.

Ulepione przez Anusię uszka tradycyjnie okazały się majstersztykiem. Usmażony na maśle karp miał w sobie tę delikatną, tłustą słodycz, a podawany z utartym selerem z jabłkiem i orzechami wzbudził jak co roku – i z jakiegoś tajemniczego powodu tylko raz w roku – same ochy i achy. W salaterkach przeżyły się jeszcze między innymi ryby w galarecie i lśniła miodowym, przytłumionym blaskiem kutia. Nie obyło się przy tym bez tradycyjnego sporu o to, czy potraw powinno być dziewięć – jak na stołach szlachty (wszak z niej wszyscyśmy!), czy też jedenaście – jak u magnatów (bo czemu niby nie?), a może jednak dwanaście (zgodnie z liczbą apostołów)? A w takim razie: czy kompot z suszu zaliczać do potraw, czy masło, czy chleb, bo jeżeli tak, to stanęło ich na stole mimo wszystko zbyt wiele.

Nie zabrakło też nieśmiertelnej anegdoty, zwykle pamiętał o niej Leszek, którego tym razem zastąpić musiała Anusia, o tym, jak to pewnego razu, mimo tak wielkiego bogactwa, mała Asia w ramach wigilijnej kolacji zażyczyła sobie kromki z serem.

Mała była grzeczniutka, skromniutka, w prostej sukience zdawała się uczennicą szkółki prowadzonej przez zakonnice, aż Marek dziwił się, że taką mu los podsunął anielicę.

Kiedy już z Małą wyszli, by autem Leszka dojechać do Chwarzna, zaczęło się kolędowanie. Bez Konstantego – zauważyła Aśka, w czym wtórowała jej Anusia, zaraz wyjaśniając pozostałym, o kim mowa – nie było już jednak tak, jak kiedyś, zresztą i Leszka brakowało. Co do tego, nie potrzebując nawet mówić o tym na głos, ani przez moment nie miały wątpliwości, jednak przy próbie śpiewów jego nieobecność okazała się szczególnie dotkliwa.

Wreszcie i państwo Marczyńscy się pożegnali, jeszcze raz, choć nie było to potrzebne, zapraszając wszystkich na jutrzejszy obiad u siebie. Zmęczony, zabiegany w trakcie ostatnich kilku dni Maciek chwilę statystował w cichej, przeplatanej częstymi chwilami milczenia rozmowie żony z teściową, ale w końcu i on dał za wygraną i poszedł się położyć.

– A ty, Joasiu? – zapytała Anusia. – Mały budzi się, nie da ci spać, nie jesteś zmęczona?

– Ach, mamuś, wytrzymam – zapewniła Aśka, głowę składając na wspartej łokciem o oparcie fotela dłoni.

Wróciły zatem do tematu powoli i długo urządzanych mieszkań, do swych planów z tym związanych. Po czym znów zamilkły. Choinka błyszczała od bombek i kolorowych światełek, z telewizora ledwo słyszalne kolędy nuciło Mazowsze.

– No i widzisz – odezwała się Anusia – pogodzili się!

– Właśnie! – córka przypomniła sobie rzuconą przez matkę dyskretnie

i przelotnie, bo już nadchodzili goście, informację o telefonicznej rozmowie ojca z Markiem. – Ale skąd wiesz? Powiedział ci czy podsłuchiwałaś? – przechyliła prowokacyjnie głowę.

– Po tym, jak tata porozmawiał z tobą i poszłaś do małego, Marek poprosił o słuchawkę. Wycofałam się, długo rozmawiali, nie, niczego nie słyszałam, ale kiedy na koniec mnie zawołał, oczy miał zaczerwienione, błyszcząły mu jak od łez. Zapytałam tatę, o czym mówili, on także się śmiał, pociągał nosem, zdaje się, że musieli powiedzieć sobie coś ważnego...

– Mamo, cieszę się – Aśka poderwała się z fotela i przysiadła obok Anusi na kanapie, objęły się. – A Marek, co? Coś ci powiedział? Mielicie czas zamienić słowo?

– Powiedział, że wszystko w porządku, że trzeba było to zrobić, porozmawiać. Wiesz, nic więcej, trudno się zresztą po nim wylewności spodziewać. Zdążyłam zapytać: popłakaliście sobie? Wtedy tylko pokiwał głową.

Już w drugi dzień świąt, w poniedziałek, Maciek wracać musiał do Warszawy. Anusia narzekała: co to za ważne sprawy, dziwiła się, czy nie można by ich było załatwić po Nowym Roku? Nie, nie dałoby się – tłumaczył zięć, od którego zarząd oczekiwał pilnego raportu – żałuję, ale nie mogę tego zrobić w domu, na odległość, ta moja cegła z Centertela – miał na myśli wzbudzający z jednej strony podziw, a z drugiej mieszane uczucia, czasem drwiny, telefon komórkowy – nawet ta moja cegła – podkreślił ponownie – na niewiele się zda. Podobno niedługo ruszyć ma w Polsce poczta elektroniczna, przesyłanie dokumentów drogą elektroniczną, przez World Wide Web, ale na razie...

– Słuchaj – przerwała mu Anusia, może i nieco niegrzecznie, ale też musiała się upewnić – a powiedz no jeszcze raz: ile cię ten cały telefon kosztuje?

Bo to się w głowie nie mieściło!

– Ja nie płacę, mamo – mimowolnie zadarł brodę. – Firma. Aparat kosztował dwadzieścia trzy miliony, abonament to sześćset pięćdziesiąt tysięcy. Nie licząc

kosztów rozmów. Dobrze, że nie trzeba już płacić za te przychodzące.

Gdy Anusia złapała się za głowę, Maciek roześmiał się, po czym wrócił do pakowania. – Swoje zrobię, mamó, wrócę. Nie zdążysz się nawet stęsknić – mrugnął okiem do Aśki, a wtedy i Anusia się uśmiechnęła. Bo też polubiła Maciusia, na swój sposób pokochała. Dobrze się Joasi w życiu ułożyło, bez dwóch zdań.

Lecz to wciąż jeszcze nie był koniec owych świątecznych wzruszeń, jak z bajeczki dla wiecznych dzieci, jak z noweli dla przedwojennych służących marzących o własnym, najlepiej u boku hrabiego, o gorącym od szczerych uczuć, własnym, a nie państwa, domowym ognisku.

Kiedy ponownie pojawił się na Bema, Marek zdawał się skory do rozmowy, do bliskiego kontaktu – co intuicyjnie doskonale rozpoznała siostra. Pochwaliła go wtedy za odwagę porozmawiania z ojcem, co przyjął z niejakim zawstydzeniem. I zaraz wyjaśnił, że nie wstydzi się wcale wzruszenia, ale raczej tego, że wcześniej doprowadził do swego z ojcem poróżnienia, ba, do prawdziwej zimnej wojny domowej. No, ale wreszcie po niej – cieszyła się Aśka, co brat skwapliwie potwierdził.

Potem jakby nie mieli o czym mówić, Aśka udawała więc, że daje się na to nabrać i by wypełnić czymś ciszę, wspomniała o zapiskach Łucji z dawnych lat.

– Marek, czy te je miałeś w ręku?

W ogóle o nich nie słyszał.

– Babka wszystko zapisała – zaczęła opowiadać z entuzjazmem – opisała swoje życie, z jednym dziadkiem, z drugim, mówię ci, to jest kapitalne! Tylko nie wiem, czy gdzieś papierów nie zawieruszyła, mamę zapomniałam spytać. Koniecznie musisz to przeczytać!

A jednak: mimo zapału, jaki włożyła w swą opowieść, brat, dostrzegła, nie bardzo się przejął, wręcz jakby puścił wszystko mimo uszu. Za to z małym próbował się bawić, zwrócić na siebie jego uwagę. Próżny trud, maluszek

kierował co prawda w jego stronę szkliste oczy, ale właściwie nie reagował – nie licząc niemal niedostrzegalnych ruchów maleńkimi, czerwonymi paluszkami. Tylko czy można to było uznać za odpowiedź na wygłupy wuja?

A ten wyprostował się znenacka i wypalił rzeczowo:

– Pobieramy się.

– Tak? – Aśka zrobiła wielki oczy. – To czemu nic nie mówisz?

– Otóż mówię.

– Świetnie, nareszcie, kiedy?

– Myślę, że wiosną.

– Dzisiaj – zawahała się. – Zresztą czy ty się w ogóle oświadczyłeś? Tak na serio?

– Powiedzmy – uciął. – Ale nie myśl, że to dlatego, że ty mnie w piątek namawiałaś. Ja już wcześniej...

– Jasne. A mama wie?

– Chyba nie. Ojcu powiedziałem. Że zamierzam. Z prośbą, by mnie nie wydał. Z tym że wiesz... mógł nie wytrzymać.

– Słuchaj, cieszę się – Aśce świeciły się oczy. – Przyznaj się mamie przy mnie, chcę zobaczyć jej minę.

– Kiedy? Dziś? – skrzywił się.

– Kurczę, to już nie wiem: czy wy na serio, czy tylko to sobie wymyśliłeś?

– Na serio!

– No to weź, powiedz jej natychmiast! Koniecznie muszę przy tym być.

ROZDZIAŁ 7

WYBORY

Miało się to odbyć prędko, na co nalegał Marek, choćby w połowie kwietnia, w Wielkanoc. Na to jednak w charakterystyczny dla siebie, pełen egzaltacji sposób, nie zgodziła się pani matka. A bo czasu mało, bo trudno zorganizować, bo gości spoza rodziny trudno stawiać przed dylematem, czy spędzać mają święto z rodziną, czy jednak męczyć się na balu.

Stało na lecie, na sierpniu, żeby „er” znalazło się w nazwie miesiąca. Wtedy jej stary podpisywać miał swoje najważniejsze w życiu umowy, zatem i ten termin trzeba było przełożyć – tym razem na październik.

Markowi te z niewielkim okładem symboliczne, jak się okazało, dziewięć miesięcy, dłużyło się niemiłosiernie, on, wcześniej zbuntowany, niechętny konwenansom, więzom nakładanym przez zwyczaj, tradycję, teraz spieszył się. Może bał się, że sen pryśnie?

Jednak nie kłócili się, nie sprzeczali, narzeczony chodził jak w zegarku, do pracy i z powrotem, oraz na weekendowe wykłady. Oszczędzać też zaczął, odkładajmy, proponował, ku zdziwieniu narzeczonej, łatwiej nam się będzie urządzić.

Ona tymczasem, narzekając na to, co kazano jej robić w szkole, na zajęcia obowiązkowe i wedle niej nudne, malowała teraz pseudorenesansowe, fantazyjne portrety, skupione na detalach, odtwarzające strukturę ubiorów swych postaci, błysk świecidełek, naszyjników z pereł, lśniących kamieniami brosz i złotych szpilek we włosach. Portrety, albo i autoportrety, co zauważył Marek, bo

wszystkie te strojne panny miały ów rys kryjącego się w oczach albo w kącikach ust smutnego skupienia, które w chwilach, gdy nie roznosiła jej energia, zdarzało się Małej. Ładne – mówił w każdym razie – z tym że wiesz, ja się nie znam – zupełnie niepotrzebnie tłumacząc swój brak, jak podejrzewał, należytego entuzjazmu. Mała wzdychała wtedy, przewracała oczami, albumy podsuwała i próbowała przyszłego małżonka edukować. Na szczęście pani matka zachwycała się bez umiaru, widząc w córce następczynię największych z wielkich mistrzów. Albo mistrzyń – podsuwała jej trop Mała – mistrzyń, a mianowicie Lavinii Fontany.

– Tak, córuś, masz rację! – pokrzykiwała pani matka, porównując płótna córki z reprodukcjami. – Bożesz ty mój, będziesz sławna, kochanie, będziesz milionerką! I nie chodziło bynajmniej o dawne miliony, te sprzed stycznia, kiedy dziesięć kilogramów wędlin kosztowało milion trzysta tysięcy, nie, miała na myśli miliony nowe, już je widziała, przeliczała.

Bo też nosiło się obecnie w portfelach dziesięć, dwadzieścia czy pięćdziesiąt złotych, a nie jak dawniej sto tysięcy czy pół miliona, a do tego monety, jak w cywilizowanym świecie, i wódka kosztowała siedem złotych z groszami, a jajko groszy dwadzieścia.

Tyle że wciąż jeszcze wszyscy mówili o setkach tysięcy i milionach, a stojąc przy ladach czy kasach, przeliczali po cichutku nowe ceny na stare, bo te stare znali lepiej, mieli je oswojone. Młodzi, jak to młodzi – radzili sobie lepiej. Im starszy jednak umysł, tym gorzej zmianę przyswajał, prasa nieustannie informowała o oszustwach, którymi padali zwłaszcza biedni, a więc tym bardziej odczuwający skutki nieuczciwości, emeryci.

– Przydałyby nam się – kiwał głową w chwilach zamyślenia Marek – przydałyby się niekoniecznie miliony, ale choćby dodatkowe setki.

Niech będzie, że ze dwa tysiące, wydatki albowiem planowali spore, już latem dowiedzieli się, że wprowadzić się będą mogli do kamienicy, więc meble

najprostsze zaczęli kupować, lodówkę chcieli mieć własną, pralkę. To znaczy głównie Marek chciał, Mała zdawała się niczym nie martwić, jakby wierząc, że gdy przyjdzie trwoga, to tatulek pomoże, sypnie groszem, nie da swemu oczku w głowie cierpieć niedostatków i niewygody.

– Jak on się zmienił! – bez mała konspiracyjnym szeptem opisywała sytuację Leszkowi Anusia, zresztą i on sam prędko zaskakującą z nagłą dorosłość syna zauważył. – Mówi, że się wyszalał, wyobrażasz sobie?

Po krótkim pobycie w kraju Leszek znów prędko zamustrował, bo to, wiadomo, wesele, więc z jednej strony wydatki, a z drugiej kłopot, by trafić z terminem powrotu. Szczęśliwie udało się to odpowiednio zaplanować, ojciec wrócić miał z morza na dwa tygodnie przed ślubem syna.

Oczywiście nie wrócił, czym się nie niepokoił, po prostu nie było dla niego zmiennika. Zdążę – uspokajał mimo wszystko – zdążę, najwyżej przyjadę na ostatnią chwilę, niestety, tak może się zdarzyć, musicie poradzić sobie beze mnie.

Sporo było do załatwienia, sporo biegania, a jeszcze wieczór kawalerski – wrzód na tyłku, Marek wcale go nie planował, tyle że kumple się uparli.

Bał się, że jakiś numer mu wywiną, że striptizerkę zaproszą, albo lalunię z agencji, a nie w głowie mu były tego typu żarty. Odetchnął z ulgą, gdy skończyło się na popijawie, na grubych żartach, niczym więcej.

I kto by się spodziewał, że kilka tygodni później nader poważna, wyzwalająca olbrzymie emocje dyskusja, którą odbyli z kolegami owej nocy, wyda się bohaterowi wieczoru tak błaha, nieistotna, zupełnie niezrozumiała?

Rozpalił ich do białości Kwaśniewski, Ole Olek!, który właśnie tego dnia wygrał prawybory we Wrześni, jasne, niczego to nie musiało znaczyć, prawybory to jedynie zabawa, a Wałęsa sukcesywnie, tydzień po tygodniu, odrabiał sondażowe straty i już prawie zrównał się z kandydatem postkomunistów. Niemniej pewien strach był: że wygra właśnie Kwaśniewski, roztańczony w rytm biesiadnych hitów, uosabiający ponoć nowoczesność

i otwarcie na świat, symbolizujący brak kompleksów i klasę. A przecież komuch!

Zwycięstwo odniesione przez nich dwa lata wcześniej Marek jakoś zniósł, w wojsku inne miał zmartwienia. Teraz jednak oburzał się, oni nie mają moralnego prawa rządzić – perorował, na co niektórzy z kolegów (i to zdawałoby się, że dobrych kolegów!) wybuchali śmiechem, człowieku, o czym ty mówisz, co to za moralne prawo, liczy się właśnie styl, liczy klasa, ważne, by nie kompromitować Polski na zewnątrz i by umieć się dogadywać.

Fakt, Wałęsa potrafił człowieka wyprowadzić z równowagi, łatwo można było sobie wyobrazić lepszego prezydenta. Ale nie, gdy w grę wchodziła porażka z byłym ministrem PRL, z godnym pogardy karierowiczem, sługusem skompromitowanego systemu.

– Czy nie widzicie tego, nie czujecie? – pokrzykiwał zatem szczerze oburzony, prawdziwie przerażony, wściekły. – Nie rozumiecie, że Kwaśniewski jest kimś gorszym nawet niż Tymiński, pajac z Peru, choć i jemu ludzie dali się omamić?!

– Mało to jeszcze razy ludzie głupio wybiorą? – próbował podsumować temat zmęczony barman o nalanej twarzy, który, chcąc nie chcąc, przysłuchiwał się rozmowie gości. – Jeszcze nie raz szlag nas trafi, rozsądniej mieć wszystko w dupie!

O, co za upiorny wieczór – tym bardziej pieklił się Marek, bo jak niewiele minąć musiało czasu, by ludzie oślepli i ogłuchli, by zapomnieli o zbrodniach, zapomnieli o zomowcach, albo choćby o pogardzie i zakłamaniu, z jakimi byli traktowani.

– Po pierwsze – usłyszał zaraz w odpowiedzi – po pierwsze: ilu ich było, powiedz, tych, których rzeczywiście gonili zomowcy? Ilu było walczących? Po drugie: czemu się dziwisz, po Balcerowiczu, że ludzie mają dość? Tak, jedni odnaleźli się w nowej rzeczywistości, ale wielu jest takich, którzy sporo w niej stracili. Na przykład robotę w zakładzie, w którym przepracowali całe życie,

a więc w istocie wszystko. Nic dziwnego, że poczuli się śmieciami bez wartości, poczuli się bezdusznie zlekceważeni.

– Proszę cię! – jęknął. – Jeździsz polonezem? Nie jeździsz! Fabryki padają, bo padać muszą, nikt nie chce od nich kupować.

– Może i tak – zgodził się kolega. – Tylko nie do mnie o tym mów, mów do tamtych, co głosować chcą na Kwacha.

– A po trzecie – wtrącił inny – a po trzecie ludzie prędko zobaczyli, z kim mają do czynienia: z kłótliwymi świętoszkami, ja nie mówię o tych, co faktycznie działali w podziemiu, nie mówię o Kuroni. Bo ilu mieliśmy Kuroniów w poprzedniej koalicji? I jak się rozpadła, jeżeli nie we wstydzie, gierki ją zgubiły, polityczne cwaniactwo tych, co uznali w swej pysze, że są w nim dobrzy, w cwaniactwie, jeżeli my im tak, mówili, to oni nam smak, a my im wtedy z drugiej strony i zobaczymy, kto kogo, bo na tym i niczym innym polega polityka, a gawiedź niech klaszcze i się przygląda, niech podziwia z rozdziawionymi gębami i niech głosuje na nas bez końca. A figę!

Trudno się było Markowi z tym nie zgodzić, ale mimo wszystko nie dał się przekonać. Dlatego upił się i z trudem próbował przetrwać kolejny dzień. Mała była z tego powodu nadąsana, przepraszam, mówił zatem, przepraszam, od jutra zacznę nowe życie, a od soboty – uśmiechał się mimo łupania w czaszce – jeszcze jedno, najważniejsze, najwspanialsze z moim Maleństwem u boku, niemniej wybaczyć, dziś nie pojedę w sprawie ciast, jutro...

Gdy wrócił nazajutrz z cukierni, zaniepokoił się. Sypialnię zastał uporządkowaną jak nigdy, łóżko zasłane, za to nie było w mieszkaniu Małej, nie było, a być powinna, z zajęć na uczelni miała w tym tygodniu zrezygnować. W łazience spostrzegł, że nie ma jej kosmetyków. Za to na stole w kuchni znalazł karteczkę: jestem u mamy, zadzwoń.

Odebrała po sekundzie, domyślił się, że czekała przy aparacie.

– Naszego ślubu nie będzie – oznajmiła drżącym głosem, nim zdążył

o cokolwiek zapytać.

- Jak to? – teraz zdenerwował się na dobre.
- Nie będzie.
- Wypadek? Czyj? Twojej mamy?
- Nie.
- Ojca?
- Nie.
- Mała, mów, do jasnej cholery, to poważne sprawy, a nie zgaduj-zgadula.

Komu co się stało?

- Ślubu nie będzie – powtórzyła i tym razem w jej głosie usłyszał chłód.
- Powiedz dlaczego!
- Mam... Po prostu... mam wątpliwości, muszę się zastanowić.

Uznał, że zwariowała. Ale żeby na punkcie knajpy? Menu? Czegoś równie mało istotnego?

– Ej, kochanie – instynktownie zmienił ton, chcąc zarazić Małą uśmiechem. – Głowa do góry, damy radę, to nic strasznego, będzie dobrze.

- Niczego nie rozumiesz. My nie pasujemy do siebie – wystękała.
- Jak to? O czym ty w ogóle mówisz?
- Nie pasujemy do siebie, nic z tego nie będzie.
- Nie pasujemy?! – dał się ostatecznie wyprowadzić z równowagi, wrzasnął.
- W ten sposób nie będziemy rozmawiać...
- Co ty pieprzysz, Mała?! W jaki sposób? Gadasz od rzeczy, oszalałaś?

Odłożyła słuchawkę. Zamarł. Odbiło jej, puściły nerwy, to się zdarza, ochłonie – stwierdził.

Nie palił od wielu tygodni, lecz miał ukrytą między książkami paczkę. Odnalazł ją i drżącymi rękoma odpalił pomiętego marlboro. Spojrzał w stronę wódek, wieży skrzynek ustawionych w kącie pokoju niczym w monopolowym

na rogu ulicy. I na swój garnitur zerknął, na koszulę wiszącą na wieszaku i czekającą na uroczystą ceremonię prasowania. Muchę miał od szwagra, zachował ją na, kurwa, szczęście. Ale co, jeżeli Mała nie żartowała? Jeżeli się uprze, by wszystko odwołać? Jasne, potem zaczyna się korowody: przeproszenia, obiecywania, patrzenia sobie w oczy, drżenia serc, a wreszcie lądowania w pełnej komitywie w łóżku. Ile razy zdążyli to przerobić? Z tym że najpierw trzeba będzie gości udobruchać, ha, ciekawe, kto ma to zrobić, kto ma świecić oczyma za histeryczkę, idiotkę, cholera, po matce to ma, niech ją diabli wezmą!

I nie, teraz nie pójdzie już z górki – coraz bardziej wściekły ściągnął ze szczytu ciężką skrzynkę, sięgnął po flaszkę (ciekawe, kurwa, kto resztę wypije?!) i spróbował ją odkręcić. Jak na złość nakrętka nie chciała się oderwać od delikatnej obrączki, a kiedy nacisnął i przekręcił mocniej, pękła, rozerwała się i drasnęła go w nasadę kciuka. Pieprznął flaszką o ścianę, sięgnął po kolejną, dopiero wtedy się napił.

Wrócił do telefonu, bo choć najpierw zachłysnął się, jakby próbując wódki pierwszy raz w życiu, to jednak zdołał uspokoić oddech, zen – mówił sobie – zen, spokojnie, bez paniki, nie dajmy się zwariować. Wszystko dobrze się skończy.

Wybrał numer („kto tu komu go wykręcił” – pomyślał jeszcze, widać wódka trafiła już do krwiobiegu), czekał. Zen. Po prostu zen. Poczł się tybetańskim mnichem, dobrze mu było, wszechświat stanął w miejscu, skamieniał, kamienia nie ruszysz...

Kiedy telefonu nikt nie raczył odebrać, napił się jeszcze raz i z flaszką w kieszeni płaszcz zbiegł po schodach. Miał szczęście – taksówkę zatrzymał od razu.

A może to pani matka Małą zbuntowała? Może staremu się odwidziało, a Mała jak zwykle mu uległa? Co wtedy? Czy uda mu się ją przekonać i uciekną w siną dal jak filmowy absolwent z Elaine, myślał, w biegu wskakując do

autobusu jadącego z Chwarzna na Witomino.

– Panie, szybciej – zaskomlał. Kierowca obejrzał się przez ramię, nie odpowiedział, za to faktycznie nieco przyspieszył.

Co gościom powiem? Co matce, co ojcu, rany, jaki wstyd, jaka klęska, porażka. I jaka zniewaga! Tak jest – zniewaga, pajaca ze mnie robią, o nie, tak nie będzie, oto skończył się grzeczny Mareczek, w jednej chwili umarł, a narodził się, kuźwa, mściciel o smutnym spojrzeniu, tak jest, smutnym, bo odtąd już nic nie będzie tak jak kiedyś.

Jezu, jak się dłużyły: Kielecka, Chwarznieńska, jazda przez las. Wreszcie wysiadł i pobiegł. Przy Afrodyty, kuźwa, mieszkali, dobre sobie! Bo to w ogóle była dzielnica z ulicami Zeusa, Ozyrysa, Posejdona, jakiegoś Amona, innego Mitry, co to ma być, pieprzony park religijnej rozrywki? Na Afrodyty to burdel powinien mieć siedzibę, i kto wie, kto wie, czy nie z czymś takim ma pan Marek aktualnie do czynienia!

Zanim stara otworzyła, dzwonek zdążył się zagrać. Przestraszona była, drzwi ledwo odchyliła i nie zapomniała założyć łańcucha.

– Gdzie Monika? – Chciał wiedzieć, nie miał czasu na powitania, widać już zresztą było, że są w zмовie, mamuśka z córeńką.

– Nie ma.

– Jak nie ma?! Ciekawe bardzo, gdzie jest?! Proszę, nie róbcie ze mnie wariata, musimy porozmawiać, wyjaśnić sytuację, dobrze, w porządku, zmienmy termin, zmienmy knajpę, ale przestańcie robić jaja!

– Piłeś – powiedziała, na co się roześmiał.

– Niech pani przestanie pierdolić, bo to już nie jest wesołe, może było przez chwilę, ale nie jest – uderzył w drzwi, próbował je pchnąć, łańcuch trzymał mocno.

– Już dzwoniłam – ledwo wyjąkała – po męża i policję. Już jadą.

– To po ciebie jadą, idiotko, ale z kaftanem, otwieraj! I po twoją córeczkę.

Otwieraj!

I wtedy usłyszał Małą:

– Marek, idź sobie! Idź!

Wołała z oddali, ze schodów albo z kuchni. Jakby bała się podejść bliżej.

– Mała – cofnął się o krok, uspokoił. – Mała, ja ci tego nie wybaczę, przegiełaś, zniszczyłaś wszystko. Nie wiem dlaczego, nie pojmuję. Ale to koniec, rozumiesz? Koniec!

Odwrócił się, splunął na ziemię, ruszył w stronę furtki. Na ulicy z piskiem opon zatrzymał się błyszczący volkswagen. Wyskoczył z niego stary i w oczach miał furię. Był też z nimi jakiś osiłek.

Marka ich widok wcale nie speszył, szedł, jak do tej pory, krokiem pewnym, z pochyloną do przodu głową. Furtką trzasnął, aż zaśpiewała.

– Co, skurwysynu, zrobiłeś mojej córce?! – wydarł się ojciec panny młodej, aż zatrzymała się w oddali zaciekawiona spacerowiczka. Inna, z wózkiem, stanęła w pół kroku na rogu ulic i nie wiedziała: zawrócić? uciekać?

Stary tymczasem rzucił się ku niemu z łapami i w krok za nim tamten drugi, a kiedy Marek wywinął się, podstawili mu nogę, więc zatoczył się na płot, po czym odbił się od niego, odbił z nowym impetem i złością:

– Co jest? – warknął. – O co chodzi? Znamy się? Myślę, że nie. Spierdalać!

Wtedy stary pohamował się. Towarzyszący mu tępak również znieruchomiał. Tylko patrzyli po sobie, Marek zgrzytał zębami.

– Dobrze – po namyśle wycedził tatulek. – Zapomnijmy o sprawie, nie będziemy zgłaszać najścia.

– W dupie was mam – odparował.

– Przykro mi, że tak się to, Marku, skończyło, ale to decyzja Moniki.

Wziął głęboki wdech, chwilę szukał słów:

– Idiotka – rzekł cicho, odwrócił się, ruszył przed siebie. Na przystanku

popłakał się, siedząc w kucki, czym wzbudził sensację, więc bluznął raz i drugi, a potem poszedł piechotą w stronę lasu. Świat się skończył, zawalił, to rzecz pewna, nie można było mieć złudzeń.

Wyjechała niemal od razu, do Niemiec – dowiedział się z pewnych źródeł. Może bała się go? Że będzie wracał na Afrodyty, że będzie perswadował? A może nawet, że obleje jej twarz żrącym kwasem? Kto wie, co za myśli podsuwać jej mogła mamuska?

A wracać ani myślał, aż sam się sobie dziwił. Nie, nigdy. To rzeczywiście był koniec.

Niemniej nastąpiła jesień, wieczny listopad pod ołowianym niebem, lodowate wichry zrywały z drzew złote liście, te wpadały w kałuże i gniły. W równie wiecznym grudniu po wczesnym zmroku gapił się całymi godzinami na ścianę i sufit, na które uliczna latarnia rzucała cień okiennego krzyża. W dżdżyste lub śnieżne dni ów cień rozmywał się, w inne za to kształty miał ostre, wyraźne.

Podobny w charakterze okazał się styczeń, potem luty, dopiero w marcu jako tako się pozbierał. Uznał, że czas się napić, zabawić, co było, to było, nic to, alleluja i do przodu!

I właśnie w sopockim Sfinksie spotkał koleżankę Małej, znali się z imprez. Okazało się, że Mała już z wojaży wróciła, a co więcej, że jest w ciąży.

– Prędko się uwinęła – prychnął wzgardliwie, odbierając od barmana szklankę.

Dziewczyna przypatrywała mu się uważnie.

– Nie jest, bynajmniej, w drugim miesiącu, czy trzecim – mówiła powoli, wciąż nie zdejmując z niego wzroku, jakby chcąc się upewnić, że zrozumiał.

– Iwona, posłuchaj – troszkę się chwiał i plątał mu się język. – Mnie to już nie dotyczy, rozumiesz? Nie dotyczy.

– Jak uważasz – wreszcie wzruszyła ramionami. – Lecz to wygląda na

miesiąc szósty...

Zmarszczył czoło, zastanowił się, a potem roześmiał się głośno.

– Odejdź, dziewczyno, zejź mi z oczu, proszę cię. Swoje przeszedłem, daję słowo.

– Jasne, rozumiem. Wiesz, właściwie szkoda, że jesteś pijany. Bywasz zabawny.

– Tak? – ucieszył się.

– Do następnego razu – rzuciła na odchodnym, rozpluwając się w tłumie.

Rzeczywiście upił się, miał tego świadomość. Więc jeszcze posiedział, pokiwał się przy stoliku, palił. Piwa nie dopił, do Gdyni wrócił taksówką. Taryfiarz albo mu źle wydał, albo on sam pieniądze zgubił, dobrze, że w ogóle rano znalazł portfel. „Czas wziąć się w garść” – postanowił. W najbliższym sklepie wyłopał porzeczkowego tymbarka, a potem zawlókł obolałe jestestwo do mamusi, na niedzielny, a jakże, rosółek.



Modernistyczna architektura – jedna z wizytówek Gdyni.

CZĘŚĆ

3.

ROZDZIAŁ 1

SZCZĘŚLIWA EPOKA

„Stare czasy” – pomyślał. I choć uśmiechowi towarzyszyła odrobina goryczy, to przeważała ironia, dystans do samego siebie sprzed lat, oglądanego niczym na filmie video, nieostrym, odbarwionym, którego bohaterowie żenująco się ubierali, nosili dziwaczne fryzury, a ich zachowania, emocje sprawiały wrażenie przerysowanych, zmanierowanych, pokracznych.

Lecz zaraz skupił się na tym, co przed nim, na przejechaniu miasta, liczyli kiedyś z żoną światła, jakie mijają się, jadąc od Tuszyna za Zgierz, i było ich, owych świateł, ponad czterdzieści, na szczęście od tego czasu wiele zdążyło się zmienić. Ech, chciało się westchnąć, gdyby tak jeszcze w końcu otwarta została wschodnia obwodnica Łodzi, trasa skróciłaby się o kolejnych kilkadziesiąt minut.

Z drugiej strony teraz, w niedzielny wieczór, jechało się płynnie, bez przeszkód, grunt to nie dać się nabrać na drogowskazy tuż po wjeździe w granice miasta, tam, gdzie jedynka odbija w lewo, okrążając Łódź na kształt wielkiej litery „ce”. Nie, zamiast tej, oficjalnie kierującej na Gdańsk drogi, dużo lepiej trzymać się było ulicy Rzgowskiej, konsekwentnie kierować na północ, dopiero za chwilę skrócić w prawo i niedługo później w lewo, by przejechać miasto arteriami włączonymi w trasę oznaczoną numerem czternaście. Tak przynajmniej uważał.

Mijał zatem Łódź, przygaszone przedmieścia, blokowiska, ceglane fabryki i wyboiste skrzyżowania, godzinę temu świat zaczął szarzeć, a wkrótce ściemniał, rozblęskły latarnie. Choć zasnęła niewiele wcześniej, żona obudziła się, gdy co

rusz przystawał, a potem ruszał krótkimi skokami spod kolejnych świateł; gdzie jesteśmy, zapytała, w Łodzi, odpowiedziała od razu sama sobie, trzy godziny – szepnął – jeszcze trzy godziny, ale teraz już z górki. Znów zwinęła się, próbowała ułożyć w miarę wygodnie, niełatwe to było, wreszcie zamknęła oczy, zmęczona. Zerknął w lusterko – dziewczyny także spały, jedna z otwartymi ustami, druga z głową opuszczoną na pierś. Sam czuł się dobrze, skupiony, skoncentrowany, o ile bowiem męczyła go zwykle jazda po Gdyni i Trójmieście, to w trasie odprężał się, lubił tak płynąć, połykać kilometry, zwłaszcza dotyczyło to drogi na wakacje, tam, a nie z powrotem, gdy z odświeżoną, po rocznej lub dłuższej przerwie, ciekawością przekraczało się kolejne granice, wjeżdżało w dawno niewidziane góry, gdy krajobraz zmieniał się i choć nieznacznie, to zmieniały się też detale na stacjach benzynowych i przydrożnych parkingach.

O drugim sierpnia dwa tysiące piętnastego roku informował niewielki wyświetlacz na tablicy rozdzielczej, poza tym o siedemnastu stopniach temperatury – ciepły to był zatem wieczór, po gorącym dniu, choć nic to zapewne w porównaniu z tym, czego doświadczali jeszcze dwie doby wcześniej – a wreszcie o liczbie przejechanych od rana kilometrów: mianowicie ośmiuset siedemdziesięciu siedmiu.

„Teraz już z górki” – powtórzył w myślach, wystarczyło dojechać do A2, niedługo później skrócić w A1 i odtąd nie zjeżdżać z autostrady aż do jej północnego krańca w Chyloni. A więc minąć również Włocławek, nareszcie z ulgą, trzy albowiem były dotąd stacje drogi krzyżowej na trasie z południa na północ: pierwsza Częstochowa (dziś przejechali przez nią na szczęście dość późno, już po godzinach szczytu, niemniej wieczne są w tym mieście remonty), druga – nieszczęsna Łódź (ale już niedługo!) i właśnie Włocławek – wyżłobiony koleinami, męczony nieustannym tranzytem, oddychający ciężko spalinami.

Obudzili się w słoweńskim Ptuj, bezludnym w świąteczne przedpołudnie i błyszczącym urokliwie po deszczu, który przez noc bębnił w dach hotelu (a

pokoje mieli na poddaszu); nim wyjechali z miasteczka, wdrapali się jeszcze na zamkowe wzgórze, skąd rozciągał się widok na przecinaną mostami Drawę i na zasnutę mgłą jezioro, sam zamek arkadami przypominał Wawel, a może jeszcze bardziej podkrakowską Pieskową Skałę, czuło się zatem bez wątpienia, że to już ta, własna, środkowa część Europy, spójna w architektonicznym stylu, spojrzeć wystarczyło na bryły kościołów i sylwetki ich wież. Jakaż to była odmiana po śródziemnomorskiej Dalmacji, gdy wspiąwszy się chorwacką autostradą w głąb ładu i przejechawszy liczne tunele, nagle trafiało się do krainy intensywnie zielonych, oblewających wzgórze lasów. Podobne, choć nieco inne wrażenie zrobiło na nim kiedyś przekroczenie Alp, gdy z ziem złotych od bawarskich zbóż, nad którymi królowały hełmy wież barokowych kościołów, wjeżdżało się w wąską dolinę Adygi z jej zamkami zastygłymi na skałach, a dalej z winnicami rozpaczliwie uczeponymi trasowych pól. Tu jęczmień, chmiel, piwo, tam winorośl i oliwa. Odmienne światy – inaczej oświetlone, a więc może i inne pozwalające snuć marzenia.

Jako mieszkaniec Północy (a przynajmniej polskiej północy), czuł się przede wszystkim spadkobiercą gotyku, tego specyficznego, krzyżackiego, ciężkiego i ceglanego, wystarczy spojrzeć na panoramy Torunia i Gdańska, by zrozumieć, w czym rzecz, niemniej i krajobraz inkrustowany barokiem uznał z czasem za swój, dostrzegając podobieństwo mijanych w podróży miejscowości: polskich, czeskich, austriackich, ale też właśnie bawarskich czy słoweńskich.

Wyjechali przed południem, przytrzymał ich Wiedeń i spowodowany wypadkiem korek, przez który zwinnie przeciskały się karetki i wozy strażackie, zaś sam Ptuj jako miejsce postoju, koniecznej przerwy w nazbyt długiej do przebycia jednym skokiem trasie znad Adriatyku do Gdyni, wybrali z tego samego powodu, z jakiego czyniło to tysiące rodaków, unikając mianowicie opłaty za słoweńską autostradę. Te piętnaście euro było co prawda kroplą w morzu wakacyjnych wydatków, niemniej wielu Polaków starało się je

zaoszczędzić, ot, kolejny narodowy sport, wyzwanie, gdy trzeba było uważać, by na drogę płatną przez nieuwagę mimo wszystko nie wjechać, zaś później, lawirując wśród słoweńskich wsi i miasteczek, nie zgubić trasy i właśnie przez Ptuj, a potem Lenart, wijącymi się ulicami, zjechać do austriackiego Mureck, skąd prędko wrócić można było na właściwy, pozwalający z powrotem nabrać prędkości szlak.

No, a wcześniej Chorwacja, Dalmacja, Breła, urocza, niewielka, rozlana na schodzącym stromo do morskiego brzegu wzgórzu. W płytkiej zatoce zmieścił się tam mały port, gdzie prócz rybackich łodzi cumowały także wypasione jachty, a tuż przy nim, na zadbanym deptaku, kilka knajpek. Obok rozciągały się szorstkie plaże, wzdłuż których w krótkim czasie dojść można było do sąsiedniej, większej Baški Voda.

I to im wystarczyło, tego było im trzeba, seledynowo gorącej wody i wieczorów na tarasie otwartym ponad dachami położonych niżej domów na perspektywę ograniczoną w oddali rozpływającą się o zmierzchu bryłą wyspy Brač.

Mimo że dostęp do niego mieli w Gdyni, a Marek przez ponad dekadę pływał po najszerszych wodach, to odpoczywać lubili właśnie nad morzem, nad Adriatykiem.

Ostatnimi czasy, słyszał, coraz popularniejsze stały się Czarnogóra, nawet Albania, nie licząc rzecz jasna Gruzji, Grecji, Turcji, Egiptu czy Tunezji. Oni jednak wierni pozostali Chorwacji.

Jeszcze zanim urodziły się dziewczynki i po pierwszej po ślubie wyprawie do Toskanii, zawiedli się co prawda zdeptanym przez turystów Dubrownikiem, lecz mimo to wrócili po latach: najpierw, po krótszej o kilkaset kilometrów wyprawie, do położonej na Istrii Moscenickiej Dragi. Potem jeszcze raz – na wyspę Ciovo, jej południową część, skąd blisko było do Trogiru i – stateczkiem – do Splitu.

I tylko trzy lata temu zdradzili Chorwację dla Wenecji. Dziewczynki,

owszem, patrzyły zrazu na nią, Serenissimę, szeroko otwartymi oczyma, ale prędko zmęczyła je, przytłoczyła, tak że i ojciec poczuł się zawiedziony – tym mianowicie, że nie mógł się we włóczędze brzegami kanałów należycie rozsmakować. Pojechali stamtąd nad Gardę, do skrytego w cieniu olbrzymiej skały Limone, w nim także się zakochali, krążąc wkrótce wokół jeziora i przecinając je na pokładach tramwajów wodnych, odwiedzając Monte Baldo, zerkając w oszołamiające przepaści, wcinając pizzę na przemian z polentą i rozplływając się nad lodami o smaku gorgonzoli. Wieczorem zanurzali się w tłum, było głośno, w czym prym wodzili wyluzowani Niemcy, zdawać się mogło, że jest ich w miasteczku więcej niż Włochów, to dla nich grał zespół imitujący Beatlesów i dla nich lało się piwo. Europa, panie, Europa.

„Szczęśliwe to były czasy” – uznał teraz, nareszcie skręcając lekko w prawo, by zgodnie z wolą betonowego ślimaka ostatecznie zwrócić się na północ. „Tylko dlaczego: były?” – zastanowił się już na A1, najpierw nabrawszy odpowiedniego pędu.

Ha, bo tak, bo przeczuwał go, ów nadchodzący zmierzch, nie on jeden zresztą po zajęciu Krymu przez Sowietów i w czasie, gdy trwała wojna w Donbasie. Kto mógł się spodziewać, że w trzy lata po świątecznym i mimo wszystko tryumfalnym dla organizatorów (choć nie na boiskach) piłkarskim Euro jeden z turniejowych stadionów zostanie zniszczony przez artylerię; a skoro jeden, to czemu nie kolejne, i nie tylko drugi, trzeci, czwarty ukraiński, ale piąty, szósty, siódmy lub ósmy – tym razem już w Polsce? Jasne, strachy na Lachy, grunt to zagrożenia nie wyolbrzymiać, skoro w Kijowie, gdy na froncie ginęli żołnierze, otwarte były kawiarnie i hulały dyskoteki, to tym bardziej w Warszawie życie musiało toczyć się dalej. Ale jednak: po sąsiedzku trwała wojna, i to z Rosją w roli głównej.

O babce myślał, o Łucji. Od kiedy ona przed *tamtą* wojną wiedziała, co się święci? Już na kilka lat naprzód, czy dopiero w trzydziestym ósmym? A może

jeszcze latem trzydziestego dziewiątego wierzyła, że wszystko rozejdzie się po kościach? W każdym razie z jej zapisków nie wynikało to jednoznacznie.

Poza tym: już kiedy wyjeżdżali, Europa drżała w posadach, chwiały się jej wolnościowe fundamenty. Nawet wahali się, czy z wakacji nie zrezygnować. Bo oto pękły tamy w Turcji, Grecji i Macedonii i kolejne dziesiątki tysięcy uchodźców z Afryki i z Azji, a głównie z płonącej Syrii, lądowały, z ulgą dorównującą swemu wcześniejszemu przerażeniu, na plażach, skalistych brzegach Europy, by potem przemierzać ją pieszo – a przede wszystkim Bałkany – na północ, ku ziemi wcale nie obiecanej, choć tak bardzo upragnionej. Gdy włączali telewizory – w apartamencie w Breli i wczoraj w hotelu – można się było przestraszyć, można było pomyśleć, że granice zostaną najpierw zakorkowane, a potem ostatecznie zamknięte i toczyć się będą wzdłuż nich rozpaczliwe batalie; jak w takim razie wrócić do kraju?

Więc tak, zmieniał się klimat, Grecja bankrutowała, głowy, jak kontynent długi i szeroki, w górę unosili populiści, o własnych interesach krzyczeli, o nie głównie chcieli dbać, o ciemiężone unią narody, nie zaś o ich wspólnotę, zagrożenia wszędzie dostrzegali i wrogów z łatwością wynajdowali, ochoczo rzucając ich na pożarcie omamionym tłumom. Coś się psuło, jeszcze niegniło, lecz już śmierdziało i nie bardzo było wiadomo, czy objawi się duch, który ów proces zdoła powstrzymać. Jeszcze proces – choć może wyrok przez historię został już wydany?

A jak wszędzie, to wszędzie, więc dotyczyło i Polski, kraju nagle nieszczęśliwego, zrujnowanego, uciemiężonego i nieustannie zdradzanego, poddanego obcej dominacji, bezwzględnie torturującego (brakiem zainteresowania) dziennikarzy wyklętych i niepozwalającego rozwinąć skrzydeł stadionowej husarii.

– Dość! – wycedził przez zęby, wszak obiecał sobie wcześniej, w wakacyjnym jeszcze nastroju, nie myśleć o polityce, nie dać się jej wytrącać

z równowagi, nie pozwalać doprowadzać się do pasji. Ileż razy zupełnie niepotrzebnie zdarzyło mu się w niedalekiej przeszłości zbluzgać Bogu ducha winny monitor laptopa, gdy dał się poszczuć stażystom produkującym informacje w internetowych portalach?

Zatem dość, koniec, kropka, nawet jeżeli nie działa się dobrze i nie było wiadomo, czy wkrótce nie skończy się aby definitywnie owa szczęśliwa epoka, kiedy świat zdawał się drzemać w oswojonym kształcie i kiedy chciało się wierzyć, ech, jakże naiwnie, że tak już zostanie na zawsze, sielsko, bezpiecznie, racjonalnie, że żyć się będzie w stanie jakże miłego uspienia długo i szczęśliwie, tak jak się żyje w bajce.

„Szczęśliwa epoka” – powtórzył w zamyśleniu raz i drugi.

Ha, lecz kiedy się owa epoka zaczęła? Bo przecież nie od wstąpienia do NATO i wcale niekoniecznie od chwil, gdy pola nad Wisłą użyźniać zaczęły europejskie fundusze.

Miał na to swoją teorię, domorośły myśliciel, mijający właśnie w skupieniu ciąg długich ciężarówek. Miał i to zgoła niepolityczną.

Otóż wszystko, uwaga, zaczęło się od Małysza! A raczej: dzięki niemu. Nie chcecie, nie wierzcie, ale posłuchajcie.

Nie licząc dokonań młodzieńczych, gdy jeszcze nie dorósł do roli, jaką wyznaczyła mu historia, roli Mojżesza przeprowadzającego swój naród z epoki pesymistycznego, skazującego na wieczną niepewność chaosu w dziedzinę optymizmu i samozadowolenia, a więc swój pierwszy poważny konkurs Małysz wygrał czwartego stycznia dwa tysiące pierwszego roku. Czy nie tak powinno się wkraczać w nowe tysiąclecie? (Trzy dni poślizgu nie znaczą w tej skali nic). Wkraczać z przytupem, a właściwie z telemarkiem, choć jednocześnie od wydarzenia niewiele znaczącego, bo cóż to jest wobec aspiracji trzydziestu ośmiu milionów, co znaczy jednorazowa wygrana w choćby najbardziej prestiżowym konkursie skoków narciarskich? Oczywiście, że to mało, tak się mogło, ba,

musiało wydawać, jeszcze przez kilka czy kilkanaście dni, a że nic już nie będzie jak dawniej, tego przewidzieć nie byli w stanie nawet najwięksi mędracy.

Bo wcześniej chaos, czas zerwanej ciągłości, epoka formowania się kształtów, przepotwarzania się; w latach dziewięćdziesiątych z jaja się wykluła larwa, lecz larwę trudno pokochać, zaś szczęśliwa przyszłość powszechnego dobrobytu – zwłaszcza w przeliczeniu na marki, dolary i euro – nie pozwalała się dogonić i wciąż, mimo trudów kolejnych przyspieszeń, pozostawaliśmy w tyle, ubodzy krewni o niskim – mimo że ho, ho, obaliliśmy komunę – samopoczuciu. Z równości wtedy drwiono, w niej widziano załączek wszelkiego zła, rej wodziła wolność, aż za dużo tej wolności, bo była to głównie wolność konkurowania, ścigania się, a w takich okolicznościach i o braterstwie nie mogło być mowy.

Teraz, gdy wspominał tę odległą już erę, zdawało mu się, że wszystko, co wtedy czynił, że decyzje, które podejmował, służyły tylko utrzymywaniu się na powierzchni. Byle nie zatonać, byle starczyło na czynsz, byle przetrwać do pierwszego, a co będzie dalej, w dłuższej perspektywie – o tym myślało się niechętnie, to się rysowało mgliście, owszem, można było marzyć, tylko po co tracić czas?

Jeszcze we wczesnych latach osiemdziesiątych był na obozie harcerskim w Borach Tucholskich, i tam, by prędzej nauczyć zuchów pływać, kazano im skakać z łodzi oddalonej od brzegu w głębokozieloną toń jeziora, wszyscy skakali, więc i on się odważył, by zaraz w panice młócić ramionami wodę, gdy zachłystywał się i poczuł strach wielki, jak nigdy wcześniej i później, był pewien, że to koniec, koniec w najbardziej fundamentalnym sensie. Musiano go wyłowić, udało się.

Więc takie właśnie były lata dziewięćdziesiąte, tak je z oddali widział.

Aż wreszcie motyl rozwinął skrzydła i wzbił się do lotu, narodził się albowiem Adam – jak było na początku – a wśród tych, którzy jego lot z zapartym tchem śledzili, narodziło się braterstwo.

Zaczął się kibicowanie, analizowanie, śmieszny był ten dziadulek-profesor, który na przykładzie uniesionej przed kamerą drewnianej, wpiętej w nartki figurki, tłumaczył narodowi fizykę narciarskiego skoku. I śmieszni, żałośni telewizyjni reporterzy, którzy ładowali się z butami do mieszkania przytłoczonej nagłym zainteresowaniem babci mistrza i nachalnie, niegrzecznie, łamiąc emocjonalne tabu, wypytywali ją o uczucia towarzyszące zwycięstwom wnuka. Ale też zaroilo się od ekspertów, listę bitych przez Małysza rekordów wykuwało się na blachę, wstyd było jej nie znać, nie potrafić wyrecytować. Główny Urząd Statystyczny może i nie podał, a podać był powinien, o ile wzrosło spożycie bananów i bułek, tych ponoć najważniejszych katalizatorów sukcesów kochanego Adasia. Ważną rolę odgrywał jeszcze dobroduszny – jak z archetypu dziadka (choć nie miał wtedy nawet pięćdziesięciu lat) – wąsaty trener Tajner, liczył się też wkład tajemniczego fizjologa, profesora Żołądzia, a wreszcie fizjoterapeuty Kota. Tak, to istotne: że dziadka mędrca wsparła nauka, stawaliśmy się w ten sposób nowocześni i tym bardziej okazywało się, że sroce spod ogona nie wypadliśmy, tym bardziej trzeba się było z nami liczyć i nas doceniać, na pewno zaś przestać patrzeć na nas z góry.

Zatem barwy dla odmiany w górę, niech sprzedają się fikuśne kapelusze i szaliki, naprzód biało-czerwoni, zbierzmy się w kupę pod skocznią, policzmy przed telewizorami, oto jesteśmy, i to jacy roześmiani, nareszcie szczęśliwi, ramię w ramię, patrzcie, państwo i państwa, jak potrafimy się wspólnie bawić, być ze sobą, krzyczeć z radości do utraty tchu i pocieszać się po porażkach.

Dopiero potem odrodzili się siatkarze – i z miejsca dostali wsparcie owej rozkwitłej na śniegu narodowej miłości – a i za piłkarzami jeździć zaczęli nie tylko szukający guza troglodyci, ale też całe autokary zjadaczy chleba bez bokerskich ochraniaczy na zębach. Tak było.

Nie było za to cudów, bądźmy realistami, więc również przy owym wspólnotowym porodzie zdarzyły się bóle. Na przykład kiedy wybrali się

z Justyną do Zakopanego w roku drugim (zarówno tysiąclecia, jak i małyszomanii) na historyczne, pierwsze pucharowe zawody Mistrza na polskiej ziemi. Po latach trudno by mu było powiedzieć, dlaczego do tego doszło. A jednak: od słowa do słowa ze znajomymi narodził się śmiały plan, pojechali. Bilety na dwa dni kosztowały dwadzieścia złotych, nic dziwnego, że rozeszło się ich w mig czterdzieści tysięcy. Nie licząc dodatkowych trzynastu tysięcy, co po jakimś czasie odkrył sąd, nie licząc mnóstwa podrabianych, a także takich, których wcale nie było, a których szczęśliwi nie-posiadacze w chaosie i przy biernej postawie zaskoczonych nawałą ochrony wdarli się na stadion.

Co to był za ścisk! Ludzie walczyli o każdą piędź ziemi, niektórzy mdleli, inni, wściekli, bili się ze sobą, a wszystkich dodatkowo ogłuszała dudniąca muzyka. Siłą rzeczy, skupieni na walce o przetrwanie, tylko na dźwięk nazwisk niemieckich zwracali spojrzenia ku zeskokowi, by w odpowiedzi na słowa spikera wyć dziko i nienawistnie. Nie cierpiano zwłaszcza niemieckiego trenera o zacieklej, wrogiej, srogiej twarzy, a kiedy główny konkurent Mistrza, Sven Hannawald, wyciągiem krzeselkowym zmierzał ku miejscu startu, ci, co mogli, rzucali w niego śnieżkami.

Jasne, nie wszyscy, innym wstyd było jak cholera, bydło – mówili wtedy nawet o sobie rodacy – motłoch, tłuszcza, pospólstwo. Bo się dopiero uczyli, jeszcze nie wiedzieli, że uczucia w tłumie można mieć także pozytywne.

Pon Bócek chronił, bo nie dość, że nie pozwolił, by stało się coś poważnego, by tłum tratował się i deptał na śmierć, to jeszcze rękę polskiego sędziego poprowadził, gdy ta stawiała noty owemu Hannawaldowi. Według szwabskich gazet właśnie one, niskie oceny, zadecydowały, że niemiaszek nie wygrał sobotniego konkursu. Ale czy tak trudno, panowie pismacy, wyobrazić sobie, co by się działo, gdyby sympatyczny Sven wyprzedził zwycięskiego Fina – i to o tę prowokacyjnie minimalną, jakby na złość, jedną dziesiątą punktu?

Za to w niedzielę pierwsze, należne mu miejsce zajął Adam i świat wrócił do

formy.

Zatem najpierw Małysz, niedługo potem Unia. Skoczek rozbudził dumę i pozbawił kompleksów, zaś dołączenie do Wspólnoty – mimo grymasów krzykaczy – stało się konkretnym i osiągalnym celem. A jeszcze później Michel Platini z koperty wyciągnął kartonik z napisem „Poland & Ukraine”, więc znów było na co czekać i znów miało się coś do udowodnienia – sobie oraz światu.

Wydłużanie się na mapach autostradowych linii śledził z wielką uwagą. Tempo owego procesu siłą rzeczy musiało być żółwie, otwarcia kolejnych odcinków dzieliły miesiące i lata. A jednak: działo się!

Wybrał się też na mecz – Hiszpanów z Irlandią. By zobaczyć aktualnych wówczas mistrzów Europy i świata, Casillasa, Ramosa czy Xaviego, a przede wszystkim genialnego Andrésa Iniestę. Przed stadionem dostrzegł i miał możliwość sfotografować legendarnego hiszpańskiego kibica Manolo – w baskijskim berecie na głowie i z wielkim, charakterystycznym bębniem – tego samego, którego pamiętał jeszcze z mitycznego dla siebie mundialu España '82. Tak oto w Gdańsku nabrał dziarskiego, sportowego ciała, zmaterializował się, pozwolił dotknąć wielki świat – wcześniej odległy, utkany z marzeń, oglądany przez szybę telewizora. Teraz można w nim było uczestniczyć, poczuć się jego pełnoprawnym obywatelem, ba, gospodarzem.

Było chłodno, a wręcz nieludzko zimno jak na czerwiec, w przerwie nie po piwo sięgnął, a po herbatę. Z samej gry zapamiętał niewiele, zwłaszcza że dwie z czterech bramek padły prędko po rozpoczęciu każdej z połów, jeszcze nie zdążył się na dobre rozsiaść, rozejrzeć, a piłka już lądowała w siatce.

Lecz może właśnie dzięki temu wydarzyło się to, co najpiękniejsze, magiczne, przejmujące? Nie licząc jednego z łuków trybun, który zajęli kibice hiszpańscy, reszta stadionu była zielona – od koszulek Irlandczyków. Ci zaś, kiedy już przegrywali z kretesem, zrazu zamruczeli głucho, ostrzegawczo, lecz wkrótce fala uniosła się potężnie i nadszedł wielki przypływ – w rytmie

wzbieranego w płuca powietrza – więc po chwili huczeli już niskim tonem, melodyjnie, rzewnie, przepełnieni smutkiem i tak wielką tęsknotą uwięzionej duszy, że większą trudno było sobie wyobrazić. Tak oto zabrzmiało słynne *The Fields of Athenry*, pieśń klęski, ale i dumy, Irlandczycy śpiewali ją tego wieczoru przez długie dziesięć minut, je również uwiecznił, nagrał telefonem i zachował w pamięci aparatu do dziś.

Swoją drogą, szczęśliwa epoka zbiegła się z powszechnym dostępem do telefonów, mniej więcej od przełomu wieków mieli je już wszyscy: ciężkie alcatel jak z bajki o zaokrąglonych, kolorowych teletubisiach, albo małe, mieszczące się w dłoni, nokie czy ericssony.

I zbiegła się także z ekspansją Internetu – kto by pomyślał, otwierając z debiutancką tremą przeglądarkę, że otwiera jednocześnie puszkę Pandory. Wypełnioną, jak wiadomo, nieszczęściami, choć na jej dnie Zeus ulokował ponoć również nadzieję.

Dzień po meczu wybrał się jeszcze do Sopotu i zaszedł pod Sheratona, w którym nocowali piłkarze Éire. Zdziwił go brak zagradzających wejście do budynku barier i kordonów, a widząc, że przez obrotowe drzwi wchodzi do hotelu, kto tylko chce, sam przekroczył próg. Wewnątrz aż kotłowało się od irlandzkich fanów, a kiedy z windy wyłonił się ktoś, kogo bezbłędnie rozpoznawali, być może któryś z piłkarzy, od razu wzrósł gwar i wznosiły dobrze podlane piwem okrzyki, kwitowane następnie salwami śmiechu. Takie to było normalne, zwykłe.

Małysz upadał nie raz, ale upadł też w Zakopanem, w styczniu dwa tysiące jedenastego roku. W piątek jeszcze wygrał swój ostatni w karierze konkurs, zaś dwa dni później przy padającym gęsto śniegu, krótko po tym, gdy wylądował na sto dwudziestym metrze, rozjechały mu się narty, a on przy wielkiej prędkości grzmotnął o zeskok. Publiczność zamarła, wyjący jeszcze przed chwilą tłum zamilkł w jednej chwili. Już nie mistrz, a żywa legenda, najpierw podniósł się,

z twarzą oblepioną śniegiem, lecz potem znów, otoczony sanitariuszami, położył się na noszach i na nich wywieziono go ze stadionu. Tego dnia wygrał młody Kamil Stoch, zmiana warty odbyła się zatem na najwyższym poziomie emocji. Stary mistrz w marcu zdołał jeszcze zdobyć swój ostatni, brązowy medal mistrzostw świata, niemniej coś się bezpowrotnie skończyło.

Wciąż budowano autostrady, bo żadnej nie udało się skończyć przed czerwcem dwa tysiące dwunastego roku, wciąż organizowano coraz to inne mistrzostwa, ale optymizm, a może nawet entuzjazm, parował – pomyślał teraz – niczym oglądane kilkanaście godzin temu ptujskie jezioro. Tak jest, w pięknym słońcu i w świąteczny dzień pojawiła się mgła, która za nic nie chciała się podnieść.

Zerknął na Justynę: spała. Podobnie, o dziwo, dziewczynki. Postanowił nie zatrzymywać się, dam radę, przekonywał sam siebie, wszak już Kutno...

I znów się zamyślił, bo wiedział doskonale, co Justyna odpowiedziałaby na ten jego, choć powoli przysłaniany cieniem nadchodzącego schyłku, to jednak entuzjastyczny wywód o erze powszechnego szczęścia i dobrobytu.

Otóż – podsumowałyby – stadiony i hale sportowe to nie rzecz najważniejsza. Mniejsza z nimi, niech powstają, byle na nich nie kończyć. Z kolei autostrady: owszem, piękne są, w przydrożnych toaletach aż miło się zatrzymać w porównaniu z zaśmieconymi parkingami austriackimi czy nawet niemieckimi. Tyle że z jednej strony autostrady, z drugiej zaś rozklekotane busy, które zastąpiły transport zbiorowy na prowincji i które jeżdżą przeładowane i rozbijają się w wypadkach. Do czego nas to zbliża – pytałaby z ulotnym uśmiechem, z życzliwym spojrzeniem, ale kiedy trzeba, rzeczowa do bólu – do czego? Czy busami przypominamy Szwajcarię, czy jednak trzeci świat? Bo nie ma też kolei, nie ma torów, owszem, w tej kwestii nieco się ruszyło, lecz tylko na najważniejszych liniach, podczas gdy kolejnym ministrom – czy to z prawa, czy z lewa – udało się po stu latach doprowadzić paradoksalnie do zatarcia różnic

między dawnymi zaborami. Wtedy przecież na ziemiach byłej Kongresówki sieć kolejowa była wątła, rachityczna, żałośnie nieporównywalna do tych w Galicji czy w Prusach. Dziś zaś po obu stronach Wisły jest wreszcie tak samo, tak samo niestety źle, po prostu torów na południu i zachodzie najpierw przestano używać, a potem zarosły na wieki wieków; o ile nie zostały rozkradzione.

A to jeszcze nie koniec – mówiłaby – stanowczo nie koniec. Bo emigracja, bo utracone pokolenie, dziesiątki ich, setki tysięcy, miliony nowych Irlandczyków czy Brytyjczyków, Norwegów i Islandczyków. Co za głupota pozwolić tym ludziom w takiej masie wyjechać, stracić ich, a właściwie nie ich, bo oni być może wrócą na stare lata, lecz co z ich dziećmi? Czy stać nas na to? A co z niezliczonymi dramataми rozłąki, osamotnienia, pozostawienia – czy to żon, czy córek, czy wreszcie starych rodziców? I nie mów mi – nie pozwalałaby Markowi przerwać – nie mów, że wcześniej bywało podobnie, bo jednak dziś skala jest inna. Z tym że czemu się dziwić, jeżeli wszędzie groszowe pensje, bo jesteśmy, cholera jasna, krajem taniej siły roboczej i jeszcze się tym szczycimy! A więc groszowe pensje, a do tego śmieciówki, brak jakiegokolwiek zabezpieczenia socjalnego, ciągła niepewność, wieczny brak perspektyw. Bo najważniejsi są pracodawcy – wciąż się podkreśla, wciąż delektuje się owym słowem. Jakby łaskę robili, że pracę oferują, bo doskonale mogliby się bez owej wspaniałomyślności obejść – w swoich fabrykach czy przetwórnjach. Tak? Czy aby na pewno? Sami by sobie, łaskawcy, tę pracę dawali i sami by ją brali za najniższe stawki?

– No i kredyty – wiedział, że i o tym nie mogłaby zapomnieć, rozpromienione w ferworze dyskusji słoneczko. Czy koniecznie wszyscy musieli je brać? Czy koniecznie pożądać własności? Nie sądzę, z pewnością inaczej można to było wymyślić, zamiast oddawać kraj i ludzi w zastaw deweloperom i bankom.

– W takim razie jak? – zapytałby on. – Jak wymyślić?

– Czy ja wiem? – wzruszyłaby ramionami. – Nie jestem specjalistką, nie muszę się znać. Lecz dobrze wiesz, że można by inaczej.

Wtedy on z kolei, broniąc się, wspomniałby o marnej pozycji startowej Polski, zaczynaliśmy wszak dwadzieścia lat temu z poziomu równego poziomowi ówczesnej Ukrainy, tymczasem spójrzmy, zauważmy – gdzie dziś jesteśmy my, a gdzie oni?

– Oczywiście – zgodziłaby się. – Rozumiem, było jak było, musieliśmy gonić, więc goniliśmy, nie patrząc na koszty, tylko skąd teraz zdziwienie tych, którym się powiodło – a więc nasze, Marku, w pewnym sensie także – że nie wszyscy są równie zadowoleni?

– Ależ są, z badań wynika, że są, że wszyscy jesteśmy! Nigdy wcześniej w takim stopniu nie byliśmy zadowoleni i nigdy z równie wielkim optymizmem nie patrzyliśmy w przyszłość. W wielkiej masie, więc dotyczy to także tych na śmieciówkach, z kredytami lub bez...

– Ci na śmieciówkach nigdy kredytów nie dostaną!

– ...także tych – dokończyłby mimo wszystko – tęskniących za rodziną na Wyspach.

– W takim razie – zastanowiłaby się, dobrze ją znał. – W takim razie, albo okrzepliśmy na tyle, że poczuliśmy, iż dłużej nie musimy gonić, że stać nas wreszcie na zwolnienie tempa, by się rozejrzeć, zadbać o siebie, o inne wartości niż tylko pieniądze, albo...

– Albo?

– Albo postanowiliśmy się zemścić na tych, którym mimo wszystko powiodło się lepiej, a co kłuje czasem, przyznasz, w oczy, albo...

– Powiedz.

– Albo nam odbiło. Sama się boję, przecież wiesz.

Wiedział. Zacisnął zęby.

Smoleńsk. Katastrofę traktował jako wzorcowy przykład oderwania polityków od ziemi – kiedy wszystko, dosłownie wszystko jest przez nich odbierane wyłącznie jako element politycznej gry. Gdy nic nie jest neutralne, a wszystko zabarwione polityką (więc również, czemu nie, sytuacja pogodowa), i nic nie jest przy tym realne – bo ważniejsze od praw fizyki są wymogi rozgrywki: kto kogo przechytrzy, kto komu podstawi nogę, kto kogo skompromituje dla chwilowej przewagi w sondażach.

W Smoleńsku wcześniej wylądować zdołał Jak-40 z dziennikarzami. A więc da się? Da! Kto zatem sugeruje, że to niemożliwe? Wiadomo, polityczny rywal.

Potem mgła, drzewa. I niedająca się ustalić, bo wciąż rosąca liczba wybuchów. Tak miało być.

Tamtego dnia obudził się w Berlinie. Wkrótce prowadził auto przez miasto. Naraz rozdzwonił się telefon. Połączenia domagał się ojciec, Aśka, wkrótce Justyna. Dopiero wtedy odebrał – przestraszony, iż stało się coś poważnego. Wypadek, śmierć – było to już niemal oczywiste – kogoś z bliskich. Boże, kogo?!

W to, co usłyszał, trudno było uwierzyć, jednak rychło, zatrzymawszy się na niewielkiej stacji paliwowej, potwierdzenie niezrozumiałych wieści znalazł na ekranie wiszącego nad kontuarem telewizora. I za nic nie dało się tego potraktować tak, jak dziewięć lat wcześniej, kiedy rzuciwszy okiem na samolot wbity w szklany wieżowiec, wzruszył ramionami i przełączył kanał, myśląc w pierwszej chwili, że trafił na marnej klasy katastroficzny film (tylko dlaczego wyświetlany równolegle przez każdą z innych stacji?).

Mimo ściśniętego gardła, bólu brzucha i trzęsących się rąk musiał wrócić za kierownicę, do granicy gnał, by jak najprędzej złapać polskie stacje radiowe, zaś później, już w ich towarzystwie, starał się pojąć w istocie niepojętą skalę wydarzenia, bezmiar straty, nieszczęścia.

A jednak: na spajającej naród w granit żałobie prędko pojawiły się rysy,

zadrapania, zaczęło się wskazywanie winnych, bieganie z kamerami po Krakowskim Przedmieściu i podjudzanie żałobników. Pojawiły się też podłe głosy radości na widok tak wielkiej masy żałobników (nasi! nasi! nasi!) oraz idące za tym nawoływania, by bez szemrania na wieki wieków, bo z woli Opatrzności, oddać wszelką władzę tym najbardziej, ponoć, poszkodowanym.

O, poczuł, jak na samo wspomnienie znów zalewa go krew, o, sporo by jeszcze miał na ten temat do powie...

Nie dokończył, bo jak wtedy, przed laty, w Berlinie, spojrzeć musiał na telefon. Aparat drżał. Dzwoniła Aśka.

– Cześć, nie mogę rozmawiać – odebrawszy, nie dał jej dojść do słowa. – Prowadzę, zadzwoń później.

Mimo to zdążyła rzucić:

– Słuchaj, zamknęli Kubę.

– Jak to zamknęli? – zwolnił, kontrolnie zerkając w lusterko.

– W Gdańsku. Po bójce. Tyle wiem.

Piła – wyczuł.

Cholera, właśnie mijał wjazd na parking!

– Asia, zadzwonię do ciebie za moment, powiesz mi wtedy dokładnie, o co chodzi.

– Bo ty jedziesz, tak? Ale jesteś już w Gdyni?

– Nie jestem. Wracamy. Będę za dwie godziny.

– Aha... Słuchaj, ja nie wiem, on zadzwonił, że go zamknęli, że jest na komisariacie w Gdańsku przy Piwnej. Ja się pytam, o co chodzi, a on na to, wyobraź sobie, że nic takiego, tylko żebyś wiedziała, jakby co...

– Jak-by-co?!

– No właśnie, ja też się pytam, a on mówi, że tak ogólnie, bo różne się rzeczy na komisariatach zdarzają. Wiesz, jaki on jest. Same kłopoty po tej jego

przeprowadzce, ja prosiłam, ale się uparł... Powiedz, co on robił w tym Gdańsku? Co go zaniósło, że pojechał się bić?

– Rany, Aśka! Nie wiesz nawet, czy on pobił, czy jego pobili, ważne, że nie ze szpitala dzwonił. Kończę, odezwę się za chwilę, jest noc, a ruch całkiem spory – skłamał. – Nie denerwuj się, pa!

Już jakiś czas temu, co zauważył, obudziła się Justyna.

– To Aśka? Stało się coś?

– Tak. Z Kubą coś nie tak – wyjaśnił. – Jest na komisariacie, nie wiadomo: on pobił czy jego... – powtórzył, choć to już Justyna musiała słyszeć.

– Niedobrze – przygryzła wargę. – Ale na razie się nie denerwujemy? – spojrzała czujnie.

– Próbuujemy – odparł.

– Nie jesteś zmęczony? Może cię zmienić?

– Wcale. Wiesz, szczerze mówiąc, wcześniej byłem. Za Ostrawą i kiedy jechaliśmy przez Śląsk.

– Nie powiedziałaś! – to, co usłyszała, nie spodobało się jej.

– Przecież się zatrzymaliśmy – przypomniał – w McDonaldzie.

Musieli przerwać, bo tym razem rozmawiać chciał ojciec. Sięgnął po aparat.

– Tato, prowadzę. Dzwonisz w sprawie Kuby?

– Tak.

– Aśka się do was odezwała?

– Tak.

„Cholera – pomyślał – czy musiała? Po nocy dziadków denerwować?”

– Poczekajmy, aż dowiemy się więcej. A ja oddzwonię za kilka minut, dobrze?

– Jedź ostrożnie, prawym pasem.

– Jak zawsze. Do usłyszenia. I nie martwcie się na zapas.

Chwilę trwało, nim zjechał w długą kiosk parkingu.

– Napijesz się kawy, może coś przekąsisz? – zaproponowała Justyna. –
Pójdziemy z dziewczynkami do toalety.

Rozejrzył się po pustym placu, ocenił sytuację. Nie miały daleko. Zresztą z podobnego do ich auta również się właśnie gramoliła rozszpanowana rodzinka.

– Będę dzwonił – westchnął.

– Jasne – pokiwała głową.

Zbliżała się północ, mijala właśnie trzynasta godzina ich podróży.

ROZDZIAŁ 2

NA POWIERZCHNI

– Czego się dowiedziałeś? – zapytała Justyna, kiedy ponownie ruszyli. Lecz nie chciał się rozgadywać, nie przy dziewczynkach, niby zaspanych, a zawsze doskonale wyczulonych na rozmowy dorosłych.

– Niczego nowego. Aśka niewiele potrafi dodać, tyle że zadzwoniła do mamy i postawiła rodziców na nogi. Właśnie jadą do Gdańska.

– O! – zdziwiła się Justyna.

– Zupełnie niepotrzebna afera – po chwili uderzył dłonią w kierownicę. – Chłopak ma dwadzieścia lat, a dziadkowie go będą odbierać z aresztu.

– Myślisz, że mógł zaszaleć?

– Kto go tam wie? Trzeba czekać, zobaczymy, co się okaże.

Jechali teraz przez niemal absolutną ciemność, płaski pejzaż po obu stronach drogi rozmywał się w niej i tylko gdzieniegdzie mocniejszym akcentem czerniały kępy zbitych w kupy drzew, lub, przeciwnie, połyskiwały światła odległych domostw.

Nie spieszył się, nie starał wydrzeć nocy tych kilku czy kilkunastu minut, które mógłby jeszcze nie wiadomo po co zaoszczędzić. Co rusz mijał go zatem jakiś rozpędzony SUV, patrzcie, państwo, a więc niezachodzący od podwozia rdzą stary opel z berlińskiego szrotu i niedymiąca corolla – bo jeśli już toyota, to tylko rav 4, zaś jeśli nissan, to qashqai.

Kiedy minęło go z kolei masywne bmw, przypomniał sobie Locke’a, Ivana Locke’a. Żaden inny film w ostatnich latach tak bardzo go nie poruszył –

opowieść o cenie, jaką płacić trzeba za popełniony błąd, o zdradzie, niewierności, ale i odpowiedzialności. Justyna, przyglądając mu się po wyjściu z kina, z miną badaczki niepodjezwanych o zdolność do tak wielkich wzruszeń goryli śmiała się, że to obraz idealny dla czterdziestolatka. Prawdopodobnie miała rację, lecz jak tu się nie przejąć, nie dać wciągnąć w historię jadącego nocą autostradą faceta, któremu nagle wali się świat! Tom Hardy w głównej roli genialny, a prócz niego w filmie tylko słycać, w niekończącej się sekwencji kolejnych rozmów telefonicznych, pozostałych bohaterów. Taka to intymna historia.

Podobne wrażenie, dojmujące, przesywające do głębi, zrobił na nim kilka lat wcześniej inny brytyjski film: *Sekrety i kłamstwa* Mike'a Leigh. A przede wszystkim scena, w której Cynthia Rose, niezbyt lotna kura domowa, na pewno nie ikona życiowego sukcesu, daje się namówić na spotkanie ze swą domniemaną, oddaną przed wiekami do adopcji córką, Hortense. Oto siedzą w bezludnej kawiarni, siedzą ramię w ramię, kamera obserwuje je zza przeciwnej krawędzi stołu i ani drgnie, ani się poruszy, są tylko one, stonowana, rzeczowa Hortense z teczką wypełnioną dokumentami oraz Cynthia (w tej roli wspaniała Brenda Blethyn), która pali papierosa i wciąż tokuje, zagaduje świat swoimi przesłodzonymi *darling* i *sweetheart*. Próbuje być grzeczna i nie zranic rozmówczyni, ale przecież nigdy nie miała do czynienia z czarnoskórym... „Pamiętałabym – mówi – czyż nie?”

I znów jest to życie, samo życie uchwycone w konfrontacji porażającej, bezwzględnie obnażonej intymności niemal zastygłej w bezruchu dziewczyny z szamotaniną jej powtarzającej rozpaczliwe *I'am sorry* matki. Trwa to dobre dziesięć minut i wbija w fotel, choć na ekranie dzieje się tak niewiele.

„Cholera – pomyślał nagle, jakby dopiero teraz po raz pierwszy to sobie uświadomił. – Cholera, przecież i w jednym, i w drugim przypadku chodzi o dziecko! Niechciane, przypadkowe. Cholera!”

Inna sprawa, uznał zaraz, zmieniając temat w swobodnej tej nocy wędrówce

myśli, inna sprawa, że gdzie mu tam do Locke'a!

Bliżej do *Klanu* – uśmiechnął się – zdecydowanie bliżej, z całą tą jego celebracją życia rodzinnego, z familijnymi obiadekami, kolacjami, świętami – bo wciąż tam się jada, obficie i smacznie, w dodatku w scenerii mebli z IKEI i na zastawie z niej.

Klan – czyż to nie kolejny symbol szczęśliwej epoki, jej łże-kronika, korowód imion, Barbar, Elżbiet, Jerzych, Ryszardów, których nie ima się bieda, a nieszczęścia, choć tak pozornie częste, pozwalają się zagadywać przy smacznej kawce w zgrabnej filiżance, albowiem zawsze w ostatniej chwili interweniować zdoła wuj Antoni – wzięty adwokat lub ceniony lekarz.

Rewersem *Klanu* są oczywiście *Kiepscy* – dumął nad kierownicą – oni również ciągną się i mają się świetnie, choć czy przetrwają czas wzmożenia narodowej powagi, tego nie wiadomo. Na razie pozwalają się śmiać, z samych siebie się śmiać, oglądani, jak wielokrotnie pokazywały badania, nie tyle przez duchowych współbraci prymitywnego Ferdynanda, ale też przez tych z wyższych szczebli społecznej drabiny, tych, co to raczej wino popijają niż piwo.

Może gdyby połączyć owo rozmiłowanie w stadnym ciepełku *Klanu* z przykrywaną obłudną grzecznością, a wiecznie pielęgnowaną przez Kiepskiego i Paździocha zawiścią i złością, chęcią dotkliwego pognębienia sąsiada, udowodnienia mu, jak wielkim jest zerem, może zatem wtedy powstałby pełny obraz narodu zmuszonego do wyścigu, do nieustannego porównywania się z innymi, a przecież tak bardzo tęskniącego za świętym, lecz nie w niebie, ale tu, na ziemi, tej ziemi, spokojem?

Za to serial *Złotopolscy*, ulubiony przez Czesława Miłosza, szczęśliwej epoki nie przetrwał, bo może za bardzo był podszyty ironią. Tytuł, bez dwóch zdań, miał idealny, trafiający w sedno odwołujących się do szlachectwa ambicji dorabiającego się ludu.

– Rozmyślasz?

Obrócił się, zaskoczony.

– A co, widać, że tak?

Skinęła głową.

– Miny robię?

– Robisz – ziewnęła, zerkając jeszcze w głąb auta, jakby szukając potwierdzenia dla swych słów u dziewczynek. Na szczęście spały. – Na pewno cię nie zmienić?

– Nie – odparł. – Już Toruń.

– W takim razie nie przeszkadzam. Chyba że wolisz rozmawiać?

Nie wołał. Bo też, prawda, wzięło go na rozmyślania. A wszystko przez pewne spotkanie – nie gdzie indziej zresztą, jak w Breli.

Po raz pierwszy minęli się na spacerowej ścieżce, betonowym pasie wijącym się ponad i wzdłuż skrawków żwirowych plaż, obok murów pensjonatów i oplatającym płynnymi wstęgami pnie poskręcanych od wiatru drzew. Chodziło się tamtędy w dzień w poszukiwaniu wolnego miejsca nad brzegiem morza, ale chodziło również – i to z o wiele większą przyjemnością – o zachodzie słońca, albo wręcz po zmroku, gdy upał pozwalał nareszcie odetchnąć, gdy przypominały o sobie zapachami drzewa i kwiaty, gdy z wysoka, z tarasów zaludnionych letnikami, dochodził szcęk naczyń i wybuchające co rusz salwy śmiechów.

Byli starsi, uznał, że co najmniej o dekadę, ona drobna, koścista, z farbowanymi na czarno krótkimi włosami, on wysoki, chudy jak szczapa, z siwą szopą. Oboje opaleni karmelowo, widać służyło im adriatyckie plażowanie. Chodzili, trzymając się za ręce, on czasem mówił coś niskim, gardłowym głosem, ona odpowiadała cicho.

Prócz mijanek na deptaku, przy samoobsługowym sklepie czy na jednej z nielicznych w Breli wąskich i krótkich uliczek spotykali się również w pizzerii,

którą szczególnie polubiły dziewczynki. Pewnego razu siedzieli nawet ze sobą po sąsiedzku, stolik w stolik. Przysłuchując się, uznał, że są Holendrami. O ile nie Flamandami.

Najważniejsze: kobieta przypominała mu Małą. Zaś mężczyzna – na co nie od razu wpadł, olśnienie przyszło później, niespodziewanie, nocą, gdy w samotności popijał wino na tarasie – tak więc on przypominał Tomka, niespełnionego muzyka i odrzuconego absztyfikanta Aśki.

Odkąd je rozpoznał i nazwał, podobieństwo stało się nieodparte. I teraz już tylko tych dwoje widział: Małą i Tomka, dwie niby zapomniane, a kiedyś tak ważne w swoim życiu figury. I właśnie dlatego zaczął rozmyślać – w kolejne wieczory i przy kolejnych szklaneczkach. O losach swoich oraz Aśki.

Oto świat, który wcześniej jakby zapadał się w siebie, zasuszał, zastygał w coraz bardziej zeskorupiałej w latach osiemdziesiątych formie, nagle eksplodował, wybuchł, zrzucając krępujący pancerz, po czym rozrastać się zaczął błyskawicznie i w niepohamowany sposób. Na ich, jego i Aśki, młodych oczach zawalił się system, przed którym miliony drżały od czterdziestu lat, a oni, owszem, zauważyli to, nie można powiedzieć, że nie, lecz jednak wzięli ową epokową zmianę za coś naturalnego, oczywistego. Podobnie działo się z narodzinami nowego porządku – uczestniczyli w nich, docierały do nich echa porodowych bóli, a jednak nie w pełni pojmowali skalę i rangę wydarzeń.

Bo byli zakochani, jak nie jedno, to drugie, jak nie w tej, to w tamtym, a jeszcze grała muzyka, MTV migotało na ekranie, liczyły się pocałunki i czułe niedopowiedzenia, liczyły się nowe, wspólnie z ukochanym lub ukochaną przesłuchiwane płyty, a potem już tylko rozpacz, ogrom szczenięcych tragedii, przytłaczająca moc osobistych, zasłaniających resztę świata doświadczeń.

Z Aśką, uważał, los obszedł się łaskawie, szczerze ją obdarowując. Już po latach opowiedziała mu o nauczycielu – wychodziło jednak na to, że gdy ów nauczyciel okazał się niedostępny, to jak na zawołanie w jej życiu pojawił się

Tomek. Potem zaś – by nie cierpiała zbyt długo – Maciek. Czy nie inaczej potoczyła się jej kariera? Nigdy nie musiała zastanawiać się nad wyborem drogi, wahać się na rozstaju rozwidlających się i ginących w mroku ścieżek, w jej przypadku wystarczyło być i chwytać z uśmiechem – to jedyny wysiłek: pamiętać o uśmiechu! – nadarzające się okazje. Jak nie nauczyciel, to zapatrzony w nią jak w obrazek Tomek. Jak nie wywołujący wyrzuty sumienia muzykant, to twardo stąpający po ziemi Maciek. A jak studia nudne, to tłumaczenia, a jak nie tłumaczenia, to witające ją z otwartymi ramionami przedstawicielstwa zachodnich firm. Tak jest, Aśce wystarczyło rozpościerać ramiona, by zaraz chwytać w nie niosący ją wkrótce wiatr.

Za to on – odstawiana niepewnym ruchem szklanka zostawiała na blacie stolika tłuste, rubinowe plamy – on takiej szansy nie dostał. Jeszcze przed przełomem na tyle był świadomy absurdów otaczającej go rzeczywistości, że nauczył się ją kontestować, przyglądać się z dystansem. Potem, kiedy rzeczywistość przyspieszyła, miał inaczej niż siostra dodatkowe dwa-trzy lata, by i ten etap z początku tylko obserwować, a przez to dojść do zbliżonych wniosków i wciąż traktować świat z lekko pogardliwym uśmiechem. Gdy Aśka, właściwie się nad tym nie zastanawiając, wyrokiem historii, wystartowała do biegu, on na wpół świadomie został w blokach. Uznał, że nie musi się ścigać; głupio oczywiście myślał, bo gnać miał odtąd każdy, o czym prędko się przekonał, tyle że już mocno spóźniony.

– Hej, nad czym tak dumasz w samotności, nie wypijaj całej butelki!

– A rzeczywiście rozmyślam – odpowiadał. – Rozczulam się.

– Rozczulasz?

– Pięknie tu, szkoda, że musimy wracać.

Wyszła na taras, przystanąła obok męża, pogładziła go po włosach.

– Mamy przed sobą jeszcze jeden dzień, a poza tym wrócimy. Jeżeli nie tu, to w podobne miejsce.

Miała rację. Na pewno miała. W końcu ostatnimi czasy udało mu się jako tako opanować panikę, skoordynować ruchy, utrzymywać się na powierzchni. Pływał.

A czy ich losy – prędko wracał do rozmyślań – losy Aśki i jego samego, czy były, czy są emblematyczne, charakterystyczne dla czasów, w jakich przyszło im dorastać i żyć? Może tak, choć raczej nie, postaci-symbole sprawdzają się w książkach, w opowieściach, zaś realnego, jednostkowego istnienia w ramki ku przykładowi i nauce bliźnich zamknąć się chyba nie da.

- Rzeczywiście, za dużo wypilem. Bo tak jakoś...
- Kładź się, posprzątamy jutro.
- Byle nie padało.
- Obiecuję, że nie będzie – mrugała okiem, czarodziejka.

Przed laty, kiedy z pewnym opóźnieniem dotarły do niego słowa Iwony, owej koleżanki Małej, słowa dotyczące oczywiście ciąży niedoszłej panny młodej, postanowił, zgodnie z pierwotnym, pijackim impulsem, niedającą się pojąć, przyswoić informację zlekceważyć. Niestety, na dłuższą metę nie było to możliwe, rzecz wymagała wyjaśnienia.

Mała nawet przez telefon nie chciała z nim rozmawiać. Nieprzypadkowo zatem natknął się na ulicy na panię matkę. Spanikowała na jego widok, aż zatrzęśły się jej ręce.

– Nie przychodź, nie napastuj, nie molestuj! – zawołała. – Będziemy wzywać policję, będziemy się skarżyć na nękanie...

– Ja chcę jedynie wiedzieć – tłumaczył prędko, by nie uciekła – czy to moje dziecko?!

- Co mówisz? Jak śmiesz?
- Czy moje? – upierał się.
- Odejdź, proszę, zjedź mi z oczu, nie chcę cię widzieć. I Monisia również!

W tej sytuacji zdecydował się na pertraktację. Długie, żmudne, za pośrednictwem Iwony. Prosząc o spotkanie, obiecał, że nie będzie swej zwycięzcy przekonywał, nie będzie mówił o miłości, nie będzie czynił wyrzutów, słowem, że nie spróbuje cofać czasu. I że chce zadać jedno pytanie. Po incydencie z panią matką wiedział już, rzecz jasna, że i Mała wie, jakiego to pytania się spodziewać, zapewne dlatego tak trudno było ją na spotkanie namówić. Nie wierzę ci – przekazywała przez koleżankę – boję się ciebie, boję!

„Naprawdę boi się? Dobrze sobie” – myślał.

A jednak umówili się – w holu kolejowego dworca. Niby przypadkiem właśnie tam, ale Marek w tego typu przypadek nie uwierzył, zbyt boleśnie odczuł skłonność Małej do kombinowania, do misternego w zamyśle, a topornego, gdy przyglądać się mu z dystansu, intrygowania; że też dawniej tego nie dostrzegł i nie zrozumiał zawczasu, jak wielkie w związku z tym grozi mu niebezpieczeństwo!

Nie, wybór dworca w żadnym razie nie mógł być przypadkowy, zatłoczony hol miał być scenerią bezpieczną i pozwalającą w każdej chwili przerwać rozmowę, by zaraz rozpląnąć się w tłumie. Z kawiarni uciec trudniej, łatwiej w niej za to o zawstydzające sceny, widocznie faktycznie się ich bała.

Przyszła z tym swoim nowym, ciężkim, zwałistym; chłop miał łeb wielki jak świnia, wilgotne od oblizywania usta i czerwone poliki. Do tego się garbił. Był, o czym już wcześniej dowiedział się Marek, malarzem, rzeźbiarzem, autorem instalacji, cuda-wianki odstawiał przy pomocy magnetowidów i magnetofonów, na stypendia wyjeżdżał do Karlsruhe, a swe dzieła wystawiał w Poznaniu i w samej Warszawie.

Mała za to dyszała ciężko, sapała, gdy obracała brzuchem, tłumy musiały się rozstępować, była jak cyrkowy klaun, któremu wypchane spodnie obniżają środek ciężkości, była jak zepsuty bąk zabawka, ciężka i przysadzista, już niezdolna do wesołego wirowania. Tak mu się przynajmniej wydawało, choć był

to tylko siódmy miesiąc. Ale rysy na pewno miała już wtedy grube, mięsiste – zapamiętał. I powietrze chwyciła z trudem, niczym karp katowany w wannie. A może tak mu się tylko po latach wydawało?

– Daj nam chwilę – wysapała zatem do swego artysty.

Fagas niby odszedł posłusznie, lecz tylko na kilka kroków, Marek dostrzegł go kątem oka, stojącego przy kiosku z gazetami. Będzie, co ma być – pomyślał, biorąc pod uwagę ewentualną awanturę.

– Jesteś szczęśliwa, Mała? – zapytał.

– To chciałeś wiedzieć? Po to zawracasz mi głowę, po to mnie tu ściągales?

– Oczywiście, że nie. Zresztą dobrze wiesz. Słuchaj, dlaczego ty mi to zrobiłaś? – mimo wszystko odwlekał zadanie najistotniejszego pytania.

– Wiesz... – zawahała się. I o dziwo spuściła z tonu: – Wiesz, ja myślę, że to stało się naprawdę lepiej... dla nas obojga. Przysięgam, uwierz mi. Tak myślę. Że lepiej.

– A ty... z nim... – skinął głową w wiadomym kierunku. – Ty z nim... Kiedy ze mną... Kiedy szykowaliśmy się do...

– O to nie pytaj. Miałaś nie pytać.

Zrozumiał. Musiało tak być: że ona z nim!

– Nie pytaj! – teraz już krzyknęła, widząc wahanie Marka, krzyknęła, aż poruszył się pan rzeźbiarz. Na szczęście dała mu znak, by warował.

– Słuchaj, czy to moje dziecko?

– Nie.

– Ile ma tygodni?

– Nie twoje.

– Jesteś pewna?

– Ma mniej.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– To chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka.

– Jesteś pewna? – nie chodziło rzecz jasna o płeć.

– Jestem.

– Mimo wszystko – zająknął się, choć chciał, by zabrzmiało to szczerze – mimo wszystko życzę ci szczęścia – dokończył.

– Ja tobie, Marku, również.

Przestąpił z nogi na nogę, wpatrując się w jej – a jednak! – delikatne, piękne rysy. Tak jakby widzieć ją miał tego dnia po raz ostatni w życiu, nigdy więcej nie zobaczyć.

– Cześć. Z twoim koleżką, wybacz, żegnać się nie będę.

Odtąd częściej bywał w Sopocie, w mrocznym Sfinksie, albo w którejś z odmian zadymionej, zachlapanej piwem Siouxi. Przesiadywało się, gadało, przekrzykiwało głośną muzykę. Jeszcze, bywało, grały po klubach kapele na żywo, jednak coraz częściej wypierali je didżeje, ci odprawiający czary nad drogocennymi gramofonami autycy z wielkimi słuchawkami na uszach. I znów trzeba się było uczyć tych wszystkich nowych nazw: house, acid jazz, jungle, drum'n'bass, słuchało się medytacyjnej *Karmacomy* Massive Attack albo dla odmiany rozedrganego *Firestarter* Prodigy. Słuchało się, bo nie było innego wyjścia, jedynie gdy barman się wstawił, zdarzało się trochę gitar, na przykład *Street Spirit*. Lecz z Radiohead to się wtedy raczej śmiano, to popłuczyny – twierdzili znawcy, światowcy, modnisie za swój kulturalny smak cenieni w towarzystwie.

Panienki. To ich przede wszystkim szukał, stąd Sopot, miejsce spotkań, miejscowość graniczna. Różne mu się podobały: nastroszone rude, przyлизane brunetki, rumiane Słowianki. Wbijał się na parkiet, by nieco wśród nich podreptać w miejscu, niestety z rzadka owo kiwanie przeradzało się w coś więcej,

łatwiej było zagadać przy barze, wtedy jednak bywało, że czar prędko pryskał, niełatwa to była ścieżka, niełatwa droga nie tyle zaspokajania chuci, co poszukiwania tej, która zapełni pustkę. Czasem pomagała szrama, blizna z wojny na Bałkanach, pamiątka po handlu bronią w Cesarstwie Środkowej Afryki, świadectwo tego, że z niejednego pieca jadło się chleb, i że był to piec rozgrzany, łatwo się przy takim sparzyć, hej, dziewczyno, spójrz na misia... Nie, zaraz, inaczej to powinno być: hej, dziewczyno, skoczmy do mnie, prawdziwie wojennych artefaktów mam w arsenale więcej i zawsze gotowe są do wystrzału. Bum, bum!

Tymczasem i w porcie nie działało się dobrze. Zwalniać postanowili, a skoro nie miał doświadczenia, wykształcenia i obecnych na miejscu pleców, więc pierwszego do redukcji wytypowano właśnie jego.

Zaczął jeździć – najpierw fordem fiestą z proszkami do prania, a potem pikapem Škody z chipsami. Jeździł od Słupska po Elbląg, przez Kaszuby i Bory Tucholskie, przy okazji nauczył się geografii swej małej – drwił – ojczyzny, bo wcześniej, choć wszystkie państwa świata potrafił połączyć z ich flagami (co wzięło się z oglądania transmisji sportowych), to nie wiedział, jak się względem siebie mają Smołdzino i Rowy, Dziemiany i Stara Kiszewa, nie wiedział, gdzie szukać Złego Mięsa i gdzie leżą Pijaki (mianowicie pod Dąbrówką Malborską).

Wreszcie przesiadł się w citroëna c15 i odtąd woził alkohole. Dobrze woził, nadspodziewanie świetnie sobie radził, potrafił wódkę proponować, namawiać do niej, zachęcać, a w efekcie zmuszać klientów do płacenia za coraz dłuższe faktury.

I wtedy wpadli z kolegami na jeszcze lepszy pomysł, że też nikt wcześniej o tym nie pomyślał – winiarnia! Tak jest, trzeba było koniecznie otworzyć winiarnię, miejsce na poziomie, wszak brakowało takiego ewidentnie na rynku.

Jak pomyśleli, tak zrobili, wszelkie oszczędności w ów interes ładując, a jeszcze biorąc kredyty. Klitkę znaleźli przy Kilińskiego, dobry to był adres, bo romantyczny – u stóp Kamiennej Góry, a jednocześnie o dwa kroki od

Świętojańskiej. W środku zmieścili sześć stolików (w tym dwa przy miękkich, wydobytych z lombardów kanapach w stylu bieda-empire), do tego bar – a przy nim wysokie stołki, sporo też zainwestowali w toaletę. W przyszłości, gdy już się biznes rozkręci, planowali przekucie się do sąsiedniego lokalu, a może i zejście w głąb – do piwnicy, mrocznej, ale przecież mogącej oferować jakże pożądaną w wielu okolicznościach intymność.

Anusia z Leszkiem zaszczycili otwarcie, podobało im się, Marek tryskał dobrym humorem, wina nie popijał, taką mieli z kumplami umowę, że u siebie nie piją. Nawet Aśka, kiedy pojawiła się w Gdyni, odwiedziła przybytek brata. Nie żałowała, bo i kawę Z Innej Beczki oferowało wyśmienitą.

Pewnego razu przez okno dostrzegł Małą – oto stała niezdecydowana na ulicy, u jej boku dreptało dziecko, spojrzała w jego stronę, czy go dostrzegła, rozpoznała przez szybę w mrocznym wnętrzu, tego nie był pewien, w każdym razie odwróciła się, odeszła.

Z tym że szalu niestety nie było, znawcy nie chcieli się inwestorom odplącić za ich trud, nie przychodzili, nie chcieli wracać, ceny, mówili, ich zniechęcają, piwo gdzie indziej parę złotych kosztuje, a tu lampka prawie dziesięć, to stanowczo za drogo.

Ludzie! – mieli ochotę wołać wspólnicy – ludzie, przecież mamy już dla was nie sikacze z państwowych wytwórni w Bułgarii czy na Węgrzech, lecz starannie wybrane wprost u producentów butelki – z Bordeaux, z Langwedocji, znad Renu i Mozeli, z katalońskiego Penedès albo z włoskiej Abruzji!

Cóż, rychło przyszło im spuścić z tonu i jednak lać tandetę z kartonów, albo serwować grzańce z butelek kupowanych w pobliskich delikatesach. A jeśli już zdarzyła się wesoła, skłonna sięgać do portfeli kompania, to śpiewy kończyły się często nie dyskusją o starożytnej Grecji, ale rzyganiem, inwektywami, kłótnią o wysokość rachunku.

Sporo się nauczył: co to rioja, a co cava, co barolo, barbaresco, co zimowy

eiswein. Jednak z dnia na dzień coraz mocniej rzucało się w oczy, że naród zwyczajnie nie dorósł. Mityczna później biurowa klasa średnia nie dowiedziała się jeszcze, że nią jest, nie dała sobie masowo wmówić kredytów we frankach – co w sumie dodało jej pewności siebie – nie poznała smaku szynki długodojrzewającej, nie znała sushi, nie nauczyła się dzielić makaronów, zamiast na przasne świderki i kokardki, to na penne i farfalle, tagliatelle i casarecce.

Problem w tym, że nie można było skwitować owej nieudanej inwestycji jedynie wzruszeniem ramion, socjologicznym i pełnym wyższości komentarzem na temat poziomu wyrobienia gdynian, choćby dlatego, że w tak starannie dobraną i wykonaną drewnianą podłogę wsiąkły olbrzymie pieniądze, zaś wśród korespondencji wyróżniała się ta z banku – grożąca karami za niespłacone raty.

Kłócili się ze współnikami, spółki, wiadomo, rzecz najgorsza, kłócili się, żarli, upijali, godzili, wreszcie jednak wrzód nabrzmiał i trzeba było przerwać ów przemieniający się w farsę karnawał, przeciągającą się celebrację upadku. Swoje zrobiły wtrącające się żony – w efekcie panowie rozstali się chłodno.

Co ciekawe, dowiedział się później, koledzy pozostali wierni branży i doczekali się jej powolnego rozkwitu. Jeden do dziś pisze o winie i zakąskach, pisze do niskonakładowych, rozchodzących się właściwie w zamkniętym gronie, ale kolorowych i aż tłustych od reklam magazynów. Drugi zaś sprowadza wyselekcjonowane specjały z Armenii i Gruzji i też nie najgorzej mu się powodzi. Kto by pomyślał dwadzieścia pięć lat temu, ba, piętnaście, co właśnie zostało udowodnione, że z tego typu zbytków da się żyć, rodzinę utrzymać: z pogaduszek o winie, z finezyjnego strzyżenia psów, z pisania tekstów, które wygłasza lektor w popularnych programach telewizyjnych („tymczasem Magda Gessler całkowicie niespodziewanie zagląda do kuchni...”), a wreszcie z szamańskiego coachingu pod nieustającym patronatem Paola Coelho (nie lubisz stresu? zapomnij o nim, to takie proste, płacisz pięć słów!). No czyż można nazwać inaczej niż szczęśliwą epokę, w której klienci stali się na tyle bogaci, by

płacić za podobne cuda na kiju?

Ale to później, później. Po upadku Z Innej Beczki do śmiechu mu nie było. To wtedy poszedł pływać, co załatwił mu ojciec, sam miał niedługo z rejsami skończyć, jednak zdążył pomóc synowi.

Kwalifikacji Marek nie miał żadnych, zaczął więc jako prosty marynarz. Wtedy po raz pierwszy zobaczył Śródziemne (ale i rozhuśtane Biskaje po drodze), później Czarne i Czerwone, przez lata poznał niemal wszystkie porty bałtyckie i te z Morza Północnego, odwiedził Stany i Meksyk oraz północne wybrzeże Ameryki Południowej. Zdarzało się, że zastanawiał się, czy by aby nie zejść – w Barcelonie czy Sztokholmie. Jednak wracał na pokład, wracał do pracy, a gdy spłacił długi, zapisał się na kursy. Przydały mu się zwłaszcza te z obsługi dźwigów, bo odtąd pracować mógł przy platformach wiertniczych w Zatoce Meksykańskiej, albo, u wybrzeży Holandii, przy budowie wyrastających z morza jak stokrotki z trawy wielkich farm elektrowni wiatrowych.

Gdynię w tamtych latach zdradził podwójnie, bo nie dość, że większość czasu spędzał na statkach, to na lądzie często przeprowadzał się: najpierw do klitki we Wrzeszczu, potem do podobnej w Sopocie, wreszcie do kawalerki na gdańskiej Żabiance.

Już w nowym tysiącleciu na prośbę matki wstąpił z nią pewnego razu na wijącą się wśród kuszących modeli ułożenia sobie świata ścieżkę w IKEI. Anusia lampom się przyglądała i szafkom do postawienia przy łóżku, a szczególnie pochylić się miała zamiar nad materacami – Leszek na plecy narzekał. I wtedy właśnie, gdy zatrzymali się w pewnym małym pokoiku jak ze snu, i kiedy obrócili się, by z niego mimo wszystko wyjść, przydarzyło im się spotkanie.

– Dzień dobry – powiedziała na ich widok zaskoczona Mała. A ciągnięta przez nią za rękę dziewczynka uśmiechnęła się ufnie.

– Dzień dobry – odparła sucho i po krótkim wahaniu, jakby wcześniej przypomnieć musiała sobie, z kim ma do czynienia, Anusia.

I oboje, z Markiem, spojrzeli na tę dziewczynkę, i Anusia zrobiła wielkie oczy.

Marek próbował żartować i choć nie zdobył się na nic szczególnie błyskotliwego, Mała roześmiała się.

Odeszli prędko, to Anusia nadała tempo, oglądając się przy tym co rusz za siebie, bo w tym sklepie, wiadomo, kiedy spotkasz już kogoś w dziale łóżek, to potem mijasz się z nim raz za razem i przy naczyniach, i przy wykładzinach, aż do samego końca, do kas, do nic niewartych hot dogów. Tego zaś, owych powtórek z zaskakującego spotkania, matka wyraźnie chciała uniknąć.

A on rozumiał jej zmieszanie, sam je wszak poczuł, serce przed momentem zabiło mu mocniej i ręce zwilgotniały od potu.

Bo to było tak, jak gdyby zajrzał do albumu ze zdjęciami, z własnymi fotografiami z dzieciństwa, kiedy z lekko kręconymi blond włosami cherubinka wpatrywał się, wykrzywając usta, w obiektyw.

Otóż ta dziewczynka dokładnie w ten sam sposób się uśmiechała, jeszcze do tego lekko przechylając główkę, jasne, to mogło być tylko złudzenie, na siłę wyszukiwane podobieństwo, ale przecież, do jasnej cholery, matka również wyraźnie je dostrzegła! Widział to, wiedział, choć nie skomentowała zdarzenia ani słowem, a kiedy odwoził ją do domu, milczała – wcześniej tego dnia tak bardzo rozgadana.

Z tym że wtedy wygrywał już Małysz, więc Marek tydzień później mógł poznać Justynę i odtąd o reszcie świata – na dobre lub na złe – zapomnieć.

ROZDZIAŁ 3

REWERS

Aśka to, Aśka tamto... W pewnym czasie inaczej to brzmiało: Aśka tu, Aśka tam. Na lotniskach i wśród wieżowców Londynu lub Frankfurtu, w Moskwie, gdzie się często przesiadała, wreszcie w Korei lub w Japonii – czym szczególnie imponowała rodzinie, nawet Leszkowi, obieżyświatowi.

Na narty jeździli z Maćkiem do Zillertal, do Sölden, a nawet do Kitzbühel, letnie wakacje spędzali w Portugalii (zakochani, jak pisała na pocztowych kartkach, w Lizbonie, w zaułkach Alfamy), albo nawet dalej, w Maroko. Rodzinny rekord ekstrawagancji, rekord absolutny, nie do pobicia, ustanowili po tym, gdy zakochawszy się w ekranizacji *Władcy Pierścieni*, przez Monachium i Singapur polecili do Nowej Zelandii.

– Mamuś, to wyprawa mojego życia – gorączkowała się przed wycieczką, ale i po niej, jakby chcąc się zarazem wytłumaczyć z tak dalekiej i kosztownej podróży. Lecz warto było – chwaliła się niezliczonymi fotografiami, a na nich zielonymi wzgórzami, mrocznymi wąwozami, rdzawymi równinami, a wreszcie jeziorami u stóp zaśnieżonych szczytów. Na ich widok Anusia, nie mając innego porównania, wspomniała o Morskim Oku oraz o wodospadzie Kamieńczyk. – Tak, mamo, tak, tylko że tam wszystko jest sto razy większe i piękniejsze – gorączkowała się Aśka.

Mieli już wtedy olbrzymi kredyt do spłacenia, ale mieli też raj na ziemi, wymarzone lokum. Tym razem w północnej części miasta, dwupoziomowe, a więc z romantycznym poddaszem, z olbrzymią sypialnią i wielką łazienką, a wreszcie z salonem otwieranym przeszklonymi drzwiami na własny kawałek

trawnika. Ich był także udział w jednej czterdziestej gruntu wspólnego osiedla, niby niewiele, a jednak, proszę, oto ich własny kawałek stolicy! Osiedle ogrodzone było murem, zamykane bramą, strzeżone przez kamery i jeszcze dodatkowo przez stróża, sąsiadów mieli z klasą, spotkać się można było z nimi raz do roku przy grillu, a poza tym niemal się nie widywać, nie wchodzić sobie w drogę, ot, jedynie o świcie, gdy wsiadali do samochodów, by zmierzając do biur w centrum miasta, na chwilę utknąć wspólnie w niewielkim zatorze przy osiedlowej bramie.

Ona po erze w jednej, plus krótkim epizodzie w innej telefonii trafiła wreszcie do biznesu nigdy niereklamowanego na telewizyjnych ekranach, ba, wcale w ten sposób nieistniejącego, wplątała się mianowicie – tak właśnie lubiła o tym mówić, żartując wesoło – w światłowodach.

Maciek z kolei w czasach AWS, a więc wzmożenia gdańskich karier, w Ministerstwie Łączności się zaczepił, potem otarł się o miedź, wreszcie lądując tam, gdzie Aśka.

Wcześniej nie chcieli ze sobą pracować, teraz tak się jednak złożyło, tyle że wciąż dzieliły ich piętra, a jeszcze częściej niezależne od siebie podróże służbowe. Niekiedy dojeżdżali wspólnie do pracy, lecz rzadko razem wracali, spotykali się za to w windzie wysokiego biurowca, na przeciągających się w nieskończoność zebraniach – wtedy jednak broniąc interesów swoich działów, a więc polemizując na oczach prezesów, poza tym zaś w kantynie – siorbiąc zupy lub wcinając dietetyczne sałatki.

Niekiedy, gdy wchodziła do stołówki, nie umówiwszy się uprzednio z mężem, zastawała go w towarzystwie pewnej brunetki z falami włosów jak z żurnala i ze zniewalającym uśmiechem. Jacy bywali rozchichotani i koniecznie ku sobie pochyleni, jacy rozgadani!

– Przestań, nie przesadzaj – bagatelizował, gdy próbowała dać mu do zrozumienia, że niepokoi ją natura owej relacji. Wszak z nią, z żoną, miała

wrażenie, coraz rzadziej się w ten sposób, głośno, spontanicznie, śmiał.

A widywała ich też wsiadających do taksówki, wiedziała, że i na delegacje jeżdżą wspólnie.

Po brunetce nastąpiła z kolei inna piękność, tym razem ogniste kasztanowowłosa, z jeszcze okazalszą grzywą lwa i z drapieżnym błyskiem w oku; wtedy znów to samo – wspólne obiady, taksówki, wyjazdy.

– Z choinki się urwałaś? – wpadał w gniew, narzekając później na nadmierną jego zdaniem podejrzliwość żony. – Przecież nie sami pracujemy, ale w zespołach. Ty także większość czasu spędzasz z facetami, prawda?

Inna sprawa, że od dawna... Chodziło o drobne rzeczy: gdy ugotowała coś w domu, a on zapomniał pochwalić. Albo gdy zamiast z nią spędzać wspólny wolny wieczór wolał mecze oglądać albo w grach tracić życie. Na wywiadówki też chodzić nie chciał, jej tego typu sprawy (bo i na przykład kontakty z panią Hanią, sprzątającą) zostawiając na głowie.

A przy tym twierdził, że to ona się czepia: o ciuchy zostawiane byle gdzie w łazience (ale przecież tylko na chwilę, góra na pół dnia!), o plamy po paście do zębów na umywalce albo, co gorsza, na lustrze (po prostu nie zauważył!) lub o to, że nigdy nie chciało mu się kubka po kawie czy szklanki po whisky odstawić do zmywarki.

– Nie bądź taka porządniejsia – obejmował ją, starając się obracać owe drobnostki w żart, bo to przecież były drobnostki, przekonywał – daj żyć, od czego mamy panią Hanię?

– Kuba patrzy i się uczy – odpowiadała cicho, tak żeby syn nie słyszał. – I będzie robić tak jak ty.

– Wezmę go do galopu, rzeczywiście na zbyt wiele sobie pozwala – obiecywał. Po czym zapisał chłopaka na piłkę, wielką karierę mu wróżył, ale to Aśka musiała odbierać syna po treningach.

Doszło do tego, że jedynie w wakacje potrafili odpoczywać, cieszyć się

życiem; albo w weekendy – w Rzymie lub w Mediolanie. Wtedy rzeczywiście inaczej ze sobą rozmawiali, może więc faktycznie zbyt dużo pracowali, może to wszystko wina stresu?

Jak grom z jasnego nieba spadła na nią wiadomość, że Maciek jednak ją zdradził. Wiadomość, swoją drogą, od anonimowego, internetowego życzliwego.

I to wcale nie z wampirzycą brunetką, nie z ognistą rudą. Bo właśnie z taką jedną cichą myszką, pięciu groszy byś za nią nie dał, dziewczynką jeszcze, stażystką, chudzielcem z kwaśną miną.

Nie chciała uwierzyć, nie po anonimie, odruchowo wykasowała go nawet z pamięci e-mailowej skrzynki, a jednak spała źle i wzmogła czujność.

Nie widywała ich razem, nie przyłapała na wspólnym lunchu. Do czasu.

Do czasu, mianowicie, gdy na koncie – ich wspólnym, a nie jego prywatnym, widocznie się pomylił – znalazła ślad po rachunku za kolację w hotelu w Mikołajkach. Podczas gdy oficjalnie małżonek wizytować miał Frankfurt.

– Byłeś na Mazurach? – zapytała.

Zdziwił się.

– Kiedy?

– Trzy tygodnie temu.

– Skąd!

Lecz mimo wszystko się zmieszał.

– Z... – spokojnie wymieniła imię i nazwisko.

– Oszalałaś? – zdenerwował się.

Wtedy uznała, że nie powinna już mieć wątpliwości.

– Ją zapytam. Jutro. Przy wszystkich.

– Zwariowałaś! – bronił się rozpaczliwie, w jego oczach dostrzegła nienawistny strach.

Tłumaczył się łzawo, płacząco, bez honoru, dopiero po jakimś czasie przechodząc do kontrataku. Że niby jest w domu szykanowany, niekochany itd., żalosne itd.

– Powinieneś się wyprowadzić – zaproponowała po kolejnych nieprzespanych nocach, niemiło jednocześnie zdziwiona, że sam nie raczył na to wpaść.

I wyprowadził się, owszem, czym ostatecznie ją załamał.

Jakiś czas później wszystko się wydało, musiało, Anusia wpadła w panikę, świat się jej zawalił. Podobnie jak teściowej, choć ona oczywiście w konflikcie młodych brała stronę synalka.

A jednak wspólnie zaczęły mediację, o zastanowienie prosiły, o opamiętanie, na przyszłą traumę wnuka się powoływały. Nie można przekreślać tylu wspólnych lat – przekonywały – przez jedną głupią chwilę, błąd, świństwo; bo przecież wciąż tak wiele was łączy! – podkreślały z uporem.

Zatem pozwoliła mu wrócić, co uczynił z miną zboląłego psa, myszkę *fatale* udało mu się zwolnić, ba, nawet wysłać w inny rejon świata; także i Kubuś uspokoił się i przestał bić na szkolnych korytarzach, a najważniejsze, że mamy były szczęśliwe.

Jednak już nic nie było tak samo, być po prostu nie mogło, Aśkę zżerały nerwy, wieczna niepewność, wciąż sprawdzała stan konta i ciągle wydzwaniała do mężulka, by sprawdzić, czy jest aby tam, gdzie zapowiadał, że będzie.

A i on zdążył zaznać innego świata, troszkę się w czasie separacji rozhulał, z niejednego pieca chleba popróbował.

Syna rzeczywiście trzymał odtąd krótko, jakby uwagą, którą poświęcał dziecku, chciał wymazać swój grzech, jakby chcąc udowodnić, że mimo wszystko rodzina jest jego największą troską. Niestety Aśka również nadmiar emocji skierowała na dziecko, odtąd zagłaskując je, osaczając. Chłopak fatalnie to znosił – na co uwagę zwróciła Anusia.

– To nie ma sensu – stwierdziła wreszcie Aśka, gdy ostatecznie dopadło ją zniechęcenie.

– Nie ma – po raz pierwszy od dawna tak po prostu, spontanicznie, zgodzili się ze sobą.

I wkrótce rozeszli się na dobre, w nadspodziewanie letniej atmosferze. I tylko dzieciak znów płakał.

Na rozwód czekali długo, lecz coraz pewniejsi podjętej decyzji.

– To pierwszy przypadek w naszej rodzinie – załamywały ręce obie matki. – To się u nas nie zdarzało...

Anusia ponadto wiedziała swoje:

– Wszystkiemu winna Warszawa. Kto to widział – perorowała – żeby tyle pracować, czasu dla siebie nie mieć, nie myśleć o tym, co między ludźmi najważniejsze, zapomnieć o dobru dziecka! Męczą się tam, a potem rozwodzą!

– Mamo, ależ to nieprawda – oponował Marek. – Nie tylko w Warszawie ludzie się rozwodzą i nie tylko w Warszawie harują. Za to tylko tam – dodawał już ciszej, jakby do siebie – tylko tam za porządne pieniądze.

Po czym wymieniał długą listę imion dawnych kolegów i koleżanek, co to z Trójmiasta nie wyjechali, a pobierali się prędko i równie prędko rozchodzili.

– Naprawdę? – chwytła się za głowę.

– Na szczęście to tylko jedna strona medalu – pocieszał ją natychmiast, teraz przypominając tych, co rozwodów uniknęli.

– Czyli większość żyje ze sobą w zgodzie? – ucieszyła się Anusia.

– W zgodzie albo i nie – mrugnął znacząco. – Lecz tak, jest ich więcej. Z czego spora część, wyobraź sobie, mieszka właśnie w Warszawie – podkreślił.

– Słuchaj – przypomniało jej się zniecka, aż złapała syna za rękę. – Słuchaj, a może wszystko dlatego, że tego pierwszego chłopaka porzuciła?

– Nie sędzę – uśmiechnął się. – Nie sędzę. Nie można myśleć w ten sposób,

to nie ma sensu, zresztą, kto by miał wystawiać tego typu rachunki: ślepy, nieczuły los? Nie wierzę w takie cuda.

– Lecz może z tamym byłaby szczęśliwsza?

– Mamo, ale nie miałyby Kubusia!

Zreflektowała się.

– Prawda. Kubuś najważniejszy, żeby tylko jemu nie stała się krzywda.

– A ty – chciała wiedzieć po chwili – a ty byś nie poszukał zajęcia na lądzie? Żeby dziewczynki nie musiały tęsknić za ojcem?

– Gdy tylko trafi się okazja, wykorzystam ją, obiecuję.

– Bo tobie – jeszcze raz zmieniła ton, teraz na kategoryczny, niedopuszczający wątpliwości – bo tobie się poszczęściło. I to po takim wielkim rozczarowaniu...

– Delikatnie to nazywasz, mamo – wtrącił.

– Strasznie cię ta lafirynda potraktowała, ale to może i lepiej, wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Zastanowił się. Na krótki moment kusząca wydała mu się ta matczyna wizja sprawiedliwości – w której los z nawiązką wynagradza krzywdy.

– Ale przecież i Małej życie się ułożyło – przypomniał, ciekaw bardzo, jak taki obrót spraw wytłumaczy matka. Jednak nic już nie powiedziała, swej teorii nie broniąc ani jej nie rozwijając.

Aśka tymczasem została: ze stróżem na grodzonym osiedlu, z poddaszem i z niekoszonym trawnikiem oraz z udziałem w jednej czterdziestej osiedlowego, ale i stołecznego gruntu. Zaciśnęła zęby, próbowała sobie radzić. Musiała, kierowana dumą, ale może i pragnieniem, by Maciek przekonał się w przyszłości boleśnie, jak wiele miał i jak pięknie to wszystko roztrwonil.

Tak jak w dzieciństwie okropnie bała się AIDS i zboczeńca-wampira, pershingów i wojny atomowej, tak teraz przerażało ją widmo bezrobocia. I rak.

Niech się coś stanie, zamartwiała się, niech da o sobie znać podstępna choroba, cichy zbyt długo i za późno rozpoznany bunt komórek, niech zabraknie sił do pracy – wtedy wszystko, dosłownie wszystko, runie jak domek z kart.

Teraz przez to nie mogła spać, analizowała wszelkie sygnały, jakie do nadgorliwego mózgu przesyłało jej własne ciało, dotykając brzucha i piersi, muskając znamiona na ramionach, poszukując domniemanych zgrubień w pachwinach. Rankiem zaś z niepokojem przyglądała się synowi – „czy poradziłby sobie bez niej?”

„Głupia jestem – zzymała się z kolei na siebie w chwilach otrzeźwienia. – Nic mi nie jest i nie będzie”.

I wtedy:

– Kubuś, Kubulku – wołała szczęśliwa i rzucała się ku chłopakowi, chcąc go całować w czoło i policzki. On zaś wywijał się, czułości unikał, matka irytowała go. Oczyma, zwłaszcza oczyma przypominał Maćka. Miewał tak samo gniewne spojrzenie.

A kryzys rzeczywiście przyszedł, po całym świecie się ponoć rozhułał, mnóstwo się o nim mówiło w biurówcach, na zebraniach. Z tym że znała wyniki sprzedaży – wynikało z nich niezbitcie, że firma ma się nieźle. O co więc tyle gadania? Czyżby nadarzył się pretekst – zastanawiali się w wąskim gronie spiskowców zebranych wokół ekspresu do kawy – pod którym szefostwo spróbuje wprowadzić nowe porządki? Nazwie to racjonalizacją, wiadomo, obniżaniem zbędnych kosztów, nazwie walką właśnie z kryzysem – ale przede wszystkim odkuje się za lata, kiedy menedżment średniego i wyższego szczebla wymusił na zarządzie te wszystkie karty, siłownie, prywatne przychodnie, dość tego dobrego, musimy zacisnąć pasa – oznajmią teraz grube ryby, odpinając guziki w spodniach i luzując paski – musimy, wiecie, rozumiecie.

Zwalnianie zaczęło się od dołu, dzięki czemu ci, którzy zostali w załoczonych wcześniej biurowych halach, mogli teraz poczuć nieco luzu...

Dobre sobie! Owszem, przestrzeni mieli dla siebie więcej, ale tylko po to, by tym bardziej móc się popisać – ktoś przecież musiał wykonać pracę wyrzuconych. A że wykonywał nie najlepiej, wziąć się trzeba było i za górę, kryśka przyszła zatem i na Aśkę, i to wtedy, kiedy ledwo zdążyła się pozbierać po rozwodowych perypetiach. Nagle jedyne, co miała do roboty, to odwożenie syna do szkoły. W komitetach rodzicielskich zaczęła się udzielać, jak Iwica walczyła z nielubianymi nauczycielkami, co z tego, skoro w nowym semestrze przepisać musiała chłopaka do szkoły publicznej. Odtąd przeżywała choćby minutę jego spóźnienia i drżała o każdą nową znajomość – z łebkami, którzy zdawali się jej nieodpowiednio grzeczni, źle ułożeni, zbyt śmiali; z takimi nie wiadomo, co im strzeli do głowy, a dziecko jak to dziecko, pójdzie za resztą, nie odmówi i ani się spostrzeże, gdy wplącze się w kryminalne tarapaty.

Swoją drogą cienko już wtedy przędli, osiem miesięcy trwało owo bezrobocie, skończyło się sushi, a zaczęły warzywne gulasze, Maciek, owszem, na syna płacił, lecz wyczuwając swą aktualną przewagę, kazał byłej żonie dzwonić do siebie i upominać się o pieniądze. Niekiedy tylko w portugalskim, kupowanym w dyskoncie, a mimo to przypominającym lepsze czasy, vinho verde znajdowała jako takie ukojenie.

– Jestem superlaską, superlaską – powtarzała.

Najtrudniej było jej przekonać potencjalnych pracodawców, że zgodzi się na mniej zaszczytny tytuł i niższe zarobki. Tak oto wcześniejsze sukcesy stały się balastem, bijącym po oczach garbem. Lecz w końcu znaleźli się tacy, którzy dali się uwieść, najpierw w sieci supermarketów (tym razem świętowała przy prosecco), a potem w wielkim koncernie chemicznym. Z tym że to już nie było to, nie beztraska zabawa we wspinanie się po szczeblach korporacyjnej drabiny, po schodach do nieba, nieskończonych, bo „the sky’s the limit”, teraz wiedziała już, że piąć się nie ma ku czemu, że na szczycie nie czeka na nią raj. Teraz chodziło raczej o to, by z powrotem nie dać się zepchnąć w czeluść, by utrzymać

pozycję, nie dać się przeskoczyć.

Planowała zatem ostrożnie – a planowanie należało do jej obowiązków – bezwzględnie za to pilnując, by nakreślone w Excelu zamierzenia skrupulatnie realizowano. W rozmowach z nowymi szefami stała się układna, dość pomysłowa, ale nie zanadto, zawsze świetnie przygotowana, by bronić swoich racji, a jednocześnie na tyle elastyczna, by po jednym wychwyconym czujnie słowie z miejsca zmieniać front i z wyćwiczonym zapałem skłaniać się ku zupełnie nowej, podrzuconej przez grube ryby koncepcji. Z kolei w oczach podwładnych była rybą piłą, pozornie nieruchomą, poruszającą się po korytarzach z łaskawym uśmiechem, a jednak czujną i gotową do błyskawicznej, bezwzględnej dla płotek reakcji.

Chyba jej nie lubiano, nie licząc jednej czy drugiej dziewczynki, które dopiero zaczynały i wpatrywały się w przełożoną jak w obrazek. Wkrótce, niedawno jeszcze beztroskie studentki w fikuśnych fatałaszkiach, nosiły się jak ona: na szpilkach, w spódnicach do kolan i w bluzkach zapiętych na przedostatni guzik.

Ona z kolei najbardziej nie lubiła spotykać się z gamoniami z agencji reklamowych. Oto ładowali się do salek konferencyjnych zawsze z tymi pewnymi siebie minami, co to niby nie oni, wszak za trzydziestosekundowy filmik o środkach na przeczyszczenie dostali byli złoty medal na którymś z tych swoich licznych, przez siebie i dla siebie organizowanych festiwali. Tymczasem pomysły mieli wciąż te same, kropka w kropkę, latem proponowali wysyłanie promotorów na plaże – i balony, balony, a prócz nich ulotki w formie wakacyjnych pocztówek – zimą zaś zaangażowanie w Internet. Szczególnie zachwalali virale – czyli preparowanie błyskotliwych, pozornie niezwiązanych z marką filmów, które później użytkownicy sami z siebie będą powielać, przesyłać dalej, zachwycać się nimi jak dobrze wytresowane cyrkowe małpy. To gwarantowany hit – zapewniali – co nigdy się nie potwierdziło. Ziewała.

Gdy w przedstawianych propozycjach używali trudnych słów, co najmniej

trzy sylabowych, jak „konsekwentnie”, „atrybut” lub „ukontentowanie”, komentowała złośliwie: „Co ci biedni ludzie mają z tego zrozumieć?”. A potem obserwowła z satysfakcją, jak wiją się, ale i natychmiast zgadzają: faktycznie, musimy dostosować przekaz do poziomu odbiorców... Żeby was pokręciło, pyszałkowate tchórze!

Pewnego razu zdarzyli jej się tacy, którzy niemal w progu dowiedzieli się, że źle się do spotkania przygotowali, widać czegoś nie zrozumieli z wysłanych im założeń; może po prostu zrozumieć nie byli w stanie? Oczekiwała konkretnego: precyzyjnego pomysłu na pojawienie się produktu w sieci kin. Niczego więcej. Ci tymczasem wygłaszać chcieli wykłady o konieczności odmłodzenia marki, całkowitej zmiany jej filozofii tak, by odtąd nie kojarzyła się z bezpieczeństwem, a z radością. Rewolucji po prostu chcieli, choć nikt ich o nią nie prosił. O kinach oczywiście ani myśleli wspomnieć.

Siedziała, bębniąc palcami o blat. Jeden z nich, wyszczekany i wyraźnie zakochany w sobie, nie tracił rezonu, gardłował przy tym namiętnie, do ostatniej chwili licząc na to, że się w ten sposób wyratuje. Drugi był z kolei cichy, przybity, przygnębiony, on przynajmniej wiedział, że tonie, że na nic wszelkie starania, że kontrakt, którego byli już tak blisko, przejdzie im bezpowrotnie koło nosa i że zamiast pieniędzy liczyć się muszą ze zwolnieniami w tej ich nędznej, głupiej agencji.

Tytułowali go dyrektorem kreatywnym, znaczy to pewnie on wymyślił bzdury, o których przyszło mu głądzić. Spojrzenie miał zbitego psa, tak jest, lecz czasem, zauważyła, w jego oku błyskał jakby gniew, dlatego pomyślała, że jest w głębi duszy marzycielem, srogim mścicielem, potencjalnym pisarzem, który kiedy już do końca się zeźli, kiedy go szlag z nerwów trafi, wtedy rzuci zajęcie u reklamowych panów i z pełną nienawiścią łatwością opíše: korporacyjne korytarze, jakie przyszło mu w trakcie nędznej kariery zwiedzić, oraz korporacyjnych półgłówków średniego szczebla, których miał nieszczęście

spotkać. A na koniec dyszące ze strachu przed szefami z Zachodu niby to grube ryby. „Tak, na pewno opisze – uśmiechnęła się do swych myśli – opisze i mnie”...

Sęk w tym, że teraz dukał bez sensu okrągłe zdania o potrzebie zrozumienia zmieniających się pragnień klientów i o tym, że podpaskom – bo o nich była mowa – nad których sprzedażą nie tacy jak on od lat się biedzili – konieczne jest odświeżenie, i to on, właśnie on, z koleżkami sobie podobnymi, znalazł na to patent, jakiego świat dotąd nie widział. Dobrze sobie.

Wciąż siedziała, wciąż bębniła, aż wreszcie to ją opanowała złość, aż zmeła w ustach przekleństwo – zaś oni podnieśli głowy – po czym wstała i bez słowa wyszła, rzucając na pożarcie nudzie i zażenowaniu jedną z tych swoich młodziutkich asystentek. Niech się uczy, biedactwo, jak to jest użerać się z pajacami. Niech ich wysłucha albo wyprosi, lecz lepiej niech zrobi to drugie, bo jeśli nie przybiegnie do gabinetu swej szefowej za kwadrans, to na niej się skupi gniew bogini. Tak musi być, inaczej się dziewczątka nie nauczy, że jak objawić powinien światu Paolo Coelho, wolny rynek cen i pośpiech, zaś za stratę czasu potrafi okrutnie karać.

Kiedy miał piętnaście lat, Kuba wyprowadził się do ojca. Tak po prostu, bez ostrzeżenia, spakował się i wyniósł. Przeraziła się. I to nawet nie tym, na co się zdobył, ale sposobem, w jaki to zrealizował – nie próbując z matką choćby porozmawiać. Sporo nerwów to ją kosztowało, szarpania się, upominania o swoje, wszak sąd przy okazji finałowej rozprawy wyraził się jasno, to jej przyznając prawa do opieki nad synem. Inna sprawa, że Maciek tylko rozkładał ręce: ja go nie namawiałem, twierdził, sam chciał, co mogę zrobić? Na szczęście zrobił, jeszcze jak zrobił, bliźniaków się zdążył dorobić i to właśnie przyrodnie rodzeństwo, jego płacze, krzyki dość rychło wybiły Kubusiowi z głowy buntowniczy zryw. Wrócił jak niepyszny już po trzech tygodniach.

– Kocham cię, mamuś – zdarzyło mu się nawet wyznać.

W gimnazjum nie sprawiał kłopotów, lecz poszedłszy do technikum – wymarzonego, na Mokotowie – włączyć się zaczął, raz wrócił pijany, innym razem podniecony, bo, jak twierdził, ruskich kibiców gonili z chłopakami przed meczem na Narodowym. Widziała to w telewizji – i przestraszyła się, lecz on tylko śmiał się pogardliwie i wzruszał ramionami. Co mi zrobisz? – chciał jeszcze wiedzieć, tak bezkarny się czuł. W tamtym roku klasę musiał powtarzać, na szczęście jakimś cudem dziewczynę poznał spokojną, do Dominikanów wspólnie chodzili. A potem inną – i się w ochronę przyrody zaangażowali, w ekologię. Ależ skacze z kwiatka na kwiatek – kiwała głową z niedowierzaniem, mając na myśli nie tylko zmieniane prędko sympatie syna, ale również jego co rusz radykalnie różne zainteresowania. Z tym że wtedy odetchnęła już z ulgą, bo najgorsze, miała nadzieję, mieli już, matka z dorastającym synem, za sobą.

Pewnego roku niemal całe wakacje spędził w Gdyni i bardzo się ponoć polubili z Markiem. Na Aśki nieszczęście – jak uznała wkrótce, bo oto syn postanowił, że studiować będzie w Trójmieście. Za głowę się złapała! Dlaczego? Po co? To absurdalne! Tak chcę, upierał się, podoba mi się tam.

– A może ty chcesz uciec przede mną? – targnął nią z nagłą wzbudzony niepokój.

– Mamuś, daj spokój! – w niespodziewanym geście czułości nachylił się ku niej, pocałował ją w policzek. – Naprawdę: Gdynia mi się podoba.

– Co będziesz robił?

– Studiował, na politechnice.

– Ale później?

– Co później?

– Jak sobie poradzisz po studiach na mniej prestiżowej uczelni?

– Mamo, nie przejmuj się, nie zwracaj sobie głowy. Może do Stanów wyjadę, może do Nowej Zelandii? Pamiętasz?

Pamiętała, a jakże, już na lotnisku w Auckland solennie obiecał – że kiedyś

wróci na antypody na zawsze.

– Miałeś wtedy dziewięć lat.

– Teraz dziewiętnaście i co?

– I jeszcze dwa lata szkoły – zauważyła.

– No więc czym się zajmujesz? Może jeszcze zmienię zdanie? – zaśmiał się bez troski, lekko, rzeczywiście może nie było się czym zajmować?

– A ja miałabym tu zostać sama? – zapytała mimo wszystko, nieokreślonym gestem wskazując na mieszkanie, albo i na całe miasto.

Wzruszył ramionami, lecz nie dostrzegła w jego geście lekceważenia, a raczej trud poszukiwania odpowiedniej odpowiedzi.

– No widzisz... Tak się może zdarzyć, mamuś – odparł.

– Tak – pokiwała głową, bo dotarło to do niej być może po raz pierwszy w rodzicielskim życiu. – Tak się może kiedyś zdarzyć.

A on się owej myśli trzymał. Że wyjedzie z Warszawy, że przeprowadzi się do Gdyni.

Rozmyślała z tej okazji o losach szkolnych kolegów i koleżanek – w czym pomógł odkryty niedawno Fejsbuk. Sebastian w Stanach, tak jak Ola i Asia. Leszek w Holandii, Paweł i Iwona w Londynie. Inny Paweł oraz Kasia w Niemczech, Basia w Szwecji, ktoś we Włoszech, ktoś w Hiszpanii. Michał w Krakowie, Ania i Danka w Warszawie, podobnie jak kilkoro innych. Reszta, owszem, w Trójmieście, lecz dlaczego nadmorskiej metropolii nie udało się zatrzymać pozostałych? Co sprawiło, że straciła moc przyciągania i że tak chętnie z niej uciekano?

W grudniu wybrała się do Gdyni pendolino. Jednym z pierwszych kursów, tak się złożyło. Wchodząc do wagonu, pomyślała o Marku – naiwnym entuzjaście wszelkich tego typu zmian. Swoją drogą, śmieszyło ją to jego gadanie o szczęśliwej epoce.

Pociąg rzeczywiście płynął – nie szarpiąc, nie trzęsąc, nie hałasując. Śmieszne

były te komitety powitalne pracowników kolei na każdym z przystanków i irytujące powtarzane namolnie przy wtórze nokturnu Es-dur Chopina komunikaty o karach dla ewentualnych gapowiczów. Niemniej skład zwiedzała z ciekawością, zachodząc, a jakże, również do warsu. Patrzy – tam Korba! Ten sam, muzyk, basista. Dawniej pałakowaty, teraz ledwo się mieścił w wąskiej szczelinie między barowym stolikiem a oknem. Ucieszył się na jej widok, ona również uśmiechała się szeroko.

– Ja na Bielanach...

– Ja również od wielu lat w Warszawie – prędko się dogadali.

– Że też się nigdy nie spotkaliśmy!

Nie ożenił się, u wielkiego dewelopera pracował. Kiedy narzekać zaczął na rząd i prezydenta, zmieniła temat.

O Syropie opowiedział, wesołkowatym perkusiście:

– Słuchaj, kochana, to dziś wielka figura. Firmę ma własną, koparkami handluje, maszynami budowlanymi, to znaczy wypożycza je, przetrwał kryzys, na autostradach się wyżarł. Czwórka dzieci, wielka chata w Mechelinkach. No i pobożny bardzo się stał, gdzie jakaś uroczystość, to on w pierwszych rzędach. Ale ciągle wesoły, rubacha. Krótko mówiąc, szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. W kontuszu wyglądałby świetnie!

– The Smiths uwielbiał – przypomniała sobie.

– A teraz, gdy dzwonią na mszę – mrugnął okiem Korba.

Na końcu języka miała pytanie o Tomka – wiadomo.

– A Paweł? – zapytała jednak, dostrzegając w oczach rozmówcy cień podszytego ironią zdziwienia. – Jak mu tam było...

– Bestia – odpowiedział.

– Prawda!

– Paweł znikł. On się z nas najdłużej przy muzyce kręcił, w studiach

nagraniowych pracował, potem w radio. W kłopoty jakieś popadł, w długi, słyszałem, że tam i używki wchodziły w grę. Mówili, że jest w Irlandii, albo w Walii. Nikt go w każdym razie od dawna nie spotkał.

Tak to bywa. Zamilkli oboje.

– A ty? – teraz to Korba chciał wiedzieć. – Ty przecież wyszłaś za tego naszego niedoszłego wokalistę – Mateusza? Mariusza?

– Maćka.

– Właśnie, Maćka!

– Rozeszliśmy się sześć lat temu. Oficjalnie sześć lat temu – uściśliła, całą sobą dając do zrozumienia, że nie jest to wątek, który chciałaby ciągnąć.

Zamówił colę.

– Za to wyście się najbardziej trzymali z Tomkiem – przeszło jej wreszcie przez gardło.

– A wiesz, że zupełnie straciliśmy kontakt? – Korba oczywiście tylko na to czekał, a wcześniej droczył się z nią, ciekaw bardzo, z jaką miną Aśka zapyta o dawnego chłopaka; otóż z niepewną i lekko drżącym głosem. – Zupełnie straciliśmy kontakt i nie potrafię powiedzieć, kiedy i dlaczego do tego doszło. Ale jeszcze przed moją przeprowadzką. Prócz historii studiował i prawo, ma, o ile nic się nie zmieniło, chłopca i dziewczynkę. Mieszkał w bloku na Karwinach.

– To jego rodzice tam mieszkali – wtrąciła.

– Tak. A on po sąsiedzku. Jakby się bał choć trochę zmienić otoczenie.

Nadeszli konduktorzy, weseli, ale i napęczniali z dumy, bo to, panie, pendolino, święto lasu, jeszcze pachnące nowością.

– Na Naszej Klasie nie dał znaku życia – po chwili wróciła do tematu. – Ani na Fejsbuku.

– Widzisz... Z tym że ja również! – zaśmiał się Korba. – Ale widzę, że szukałaś go, co? Aleś mu wtedy dała popalić!

– Kiedy to było – zawstydzila się, spuściła wzrok. Tego tematu również wolala nie ciągnąć.

Przegadali całą drogę – o Gdyni, dawnych latach, ale i o tym, jak ostatnio zmieniało się miasto. Więc może również dlatego jadąc w niedzielę w przeciwnym kierunku, pomyślała: jak by to było – wrócić?

A Kuba się uparł i kiedy parę miesięcy później zdał maturę, od razu starać się zaczął o przyjęcie na gdańską politechnikę.

Swoją drogą ostatnimi czasy w politykę się zaangażował, protestował, pikietował, źle się dzieje, mówił, trzeba się bronić.

– To nie lepiej w Warszawie? – niby to się dziwiła, lecz przede wszystkim chwytala ostatniej, cieniutkiej deseczki ratunku.

– Wszędzie lepiej, wszędzie trzeba brać się do kupy. Bo inaczej po nas, mówię ci, mam, po nas.

Szczerze mówiąc, przejęta jego egzaminami, niespecjalnie wiedziała, po której stronie ustawił się syn. Ważne, że w nic niebezpiecznego się nie wplątywał, spoważniał. Gdyby jeszcze nie ta Gdynia – wzdychała często.

No i masz, wykrakała. Długo trzeba było czekać?

ROZDZIAŁ 4

PEPOWINA

Kiedy po długiej przerwie zaburczał i zajaśniał telefon, tym razem odebrała Justyna. Lecz akurat sheella na wysokości Pelplina – albo Starogardu, jak kto woli – mieli mijać, zatem zjechał na parking.

– Rodzice. Dojeżdżają – wyjaśnił Justynie po rozmowie z nimi.

– To wiem.

– Kuba do nich dzwonił, już zwolniony. Odbiorą go, wrócą do Gdyni.

Pierwsza w nocy – westchnął.

– Ty się do niego nie odezwałeś?

– Nie chcę się denerwować. Jutro.

– A wiadomo, o co chodziło?

– O awanturę, wyobraź sobie, po mszy.

– Po mszy?

– Patriotycznej – podkreślił, wzdychając. – Do jakiejś bójki doszło, Kuba był w nią wplątany, nie oberwał, ani sam nikogo nie pobił, doszło do przepychanek, czegoś w tym rodzaju. Niewiele więcej wiedzą, tyle im powiedział.

– I aż policja przyjechała? – dziwiła się Justyna.

Tymczasem kolejny postój na dobre wybudził dziewczynki.

– Co się stało, tato? – koniecznie musiała wiedzieć Łucja.

– Może jednak spróbujcie zasnąć? – zaproponował.

– Ile można? – obruszyła się, ale i ziewnęła.

– Jest środek nocy.

– Ale myśmy się już wyspały – prędko, jak to ona, połykając połówki wyrazów, wtrąciła Hania.

Córki nazwali po prababkach i pradziadkach, od lat panowała zresztą moda na imiona, których trzy czy cztery dekady wstecz nikt nie ośmieliłby się dzieciom nadać, a które popularne były z kolei kilkadziesiąt lat wcześniej. W nowym tysiącleciu place zabaw i przedszkola zaroily się zatem od Antosiów i Franciszków, od Leonów i Janów, od Maryś, od Hanek, od Zoś. Inna sprawa, że i tak niepodzielnie królowały Julie i Jakuby.

A więc: Łucja Konstancja – tak nazwali starszą z córek. Hanna Franciszka – młodszą.

– Mamo, możemy włączyć tablety?

O, zaczęło się.

– Słuchajcie, jest noc, powinniście spać – odpowiedział.

– Ale ja mamę zapytałam.

– Cały dzień oglądałyście – obróciła się ku nim wywołana rezolutnie Justyna.

– Aż za długo.

– Ale nam się nudzi – zajęczkały chórem, bo choć nieczęsto zdarzało im się zgadzać, to męczyć starych w samochodzie potrafiły w doskonale zgranym duecie.

Tablety. Raz pozwolisz i zgadzać się musisz już zawsze. Tak to działało, nie chciało inaczej.

Okres wielkich awantur mieli za sobą. Zwłaszcza Hania w swoim czasie potrafiła wpadać w histerię. Z biegiem lat nauczyła się nieco ustępować starszej siostrze, czyniła to zresztą z pełną wyższości miną, jakby chcąc w ten sposób pokazać, że jej pozorne wycofanie się jest w istocie zwycięstwem, gestem osóbkii świadomej, że nie warto kopać się z koniem. Za to Łucja zazdrośnie strzegła swej pozycji, swych zabawek, piórników, książek, jakby bojąc się, że Hania, dotykając owych skarbów, na zawsze je starszej siostrze odbierze. Była nieco

samolubna, widzieli, martwiąc się tym nieco. Poza tym wciąż się kłóciły, a przede wszystkim umiały być namolne, wierząc rodzicom dziury w brzuchach.

– To co, mamó? Możemy?

Skoro nie spały, włączył radio. „Touch me” – popłynęła wznoszona miękkim głosem prośba. – „How can it be”...

– Łał – krzyknęły od razu. – „Believe me”... – zaśpiewały. – „The sun always shines on TV” – to była jedna z ich, całej rodziny, ulubionych piosenek.

On sam lubił prowadzić przy *Second Coming*. Wprost go niosła ta muzyka, porywał energetyczny rytm pulsującego basu oraz wielopiętrowych kaskad uderzeń w perkusję. A przede wszystkim długich, nigdy się niepowtarzających, ciągnących się w nieskończoność pochodów nut wyczarowywanych przez niepokromionego w swej inwencji gitarzystę.

Tylko ile można? Gdy pytał: czego posłuchamy – licząc na cud wyrozumiałej łaskawości towarzyszek podróży – odpowiadały natychmiast: wszystkiego, byle nie Stone Roses! I nawet Justyna rozkładała ręce, ja się od głosu wstrzymuję, mówiła, zostałeś, kochanie, przegłosowany.

Jeszcze się od biedy na Young Gods zgadzały, na *Skinflowers* albo *Kissing the Sun*, przy tej muzyce także świetnie mu się prowadziło. Szwajcarów dwukrotnie widział na koncertach w Gdańsku, magiczne to były wieczory, eteryczne, za pierwszym razem Justyna ledwo go zaciągnęła, za drugim namawiać już nie musiała.

W radio tymczasem kogoś wzięło na sentymenty. Najpierw zaproponował bowiem *Wielkiego małego człowieka*, a zaraz potem *XXI wiek*. „Jeszcze się w tej podróży, nie daj Boże, niejedno zdarzyć może, złych przygód pewnie trafi się nam ze sto” – wyrzucała z siebie słowa w jednym, pozbawionym przecinków, ciągu Elżbieta Dmoch, dopiero w refrenie zmieniając rytm: „Wielki, nieznany brzeg. Bajecznych szans, bajecznych szans. Dwudziesty pierwszy wiek. Dla wszystkich nas, dla wszystkich nas”.

– Świetna muza – zamruczał.

– Słucham?

– 2 plus 1.

Przytaknęła.

Kiedy w dawnych latach kupowali płyty, najpierw Aśka, potem on (a zaczął od Republiki, ogromnie zresztą zawiedziony tym, że na pierwszym albumie zespołu zabrakło choćby *Telefonów*), matka miała już własną kolekcję. Z Kombi, na przykład, z *Hotelem twoim snów*. Lecz przede wszystkim lubiła 2 plus 1, folkowe *Chodź, pomaluj mój świat* albo nowoczesny, przypominający Abbę, *Easy Come, Easy Go*. A jednak kiedy już w latach osiemdziesiątych, słuchając radia, nuciła właśnie *Wielkiego małego człowieka*, dziwił się. Bo mroczne to było, nerwowe, chłodne, pesymistyczne. Zapamiętał, że lubiła też *Requiem dla samej siebie*, piosenkę dla dzieciaka niezrozumiałą, ale i jego wprawiającą w nieznanym mu wcześniej, trudny do nazwania, melancholijny stan: „Za oknami wciąż na pozór ten sam świat i tylko mnie troszeczkę mniej. Coś odeszło, coś, co waży mniej niż gram, a jednak się nie stało lżej”...

Była wtedy mniej więcej w obecnym wieku syna. Jasne, przekonał się już – choć dwadzieścia lat wcześniej trudno byłoby mu w to uwierzyć – że po czterdziestce da się żyć. Ba, że i estymy dla wolności nieco w człowieku zostaje i że jeszcze czasem się marzy. Ale była też z pokolenia *nomen omen Czterdziestolatka*, więc powinna chyba raczej przypominać, pomijając przejawiony profil bohaterki serialu, powinna zatem przypominać Madzię Karwowską. Czyli chaotycznie, bo chaotycznie, lecz wiązać nitki codziennych spraw, na miarę możliwości oferowanych przez przaśną rzeczywistość upiększać mieszkanie (czy barowe okienko łączące kuchnię z pokojem w mieszkaniu przy Chopina nie było równie banalnym *erzaczem* lepszego świata, co portalowe łuki pomiędzy pokojami w mieszkaniu Karwowskich?), powinna fiata pucować i o działce letniskowej na Kaszubach śnić. Ale czy Madzia mogłaby słuchać 2 plus 1

– zwłaszcza w tej późniejszej, nowofalowej, przygnębiającej wersji?

Inna sprawa, że i on, już czterdziestodwulatek, ani trochę nie mógł – tak uważał – przypominać poważnego dyrektora inżyniera Karwowskiego. Zamiast na co dzień w garniturze w dresie paradował, z kapturem na głowie – zapóźniony hip-hopowiec – albo i nawet w krótkich spodenkach. I na rowerze jeździł, i biegał. Karwowski, owszem, niby także podejmował podobne próby, lecz przecież na składaku i przecież w drodze do pracy – a nie dla relaksu, dla zabawy, po lesie. A jak w ogóle porównać się do facetów ze starych fotografii – przed, ale i powojennych? Zresztą wtedy i małeletnie szkraby ubierano w sztywne garnitury, by od małości uczyły się powagi. „Cholera – pomyślał teraz – a z nas tacy wieczni młodzieniaszkowie, sportowcy”.

Momentem, kiedy ze szczególną uwagą, ale i tkliwie, przyjrzał się matce, był ten, kiedy wspólnie porządkowali dokumenty Łucji.

Jeden jedyny raz zdarzyło się, że statek, na którym pływał, zawinął do portu w Gdyni. I tak się akurat złożyło, że właśnie wtedy babka w ciężkim stanie trafiła do szpitala.

Tego dnia od kilkunastu godzin co rusz łączył się z przejętą matką. Stan stabilny – relacjonowała – ale słaba jest, słabiuteńka, oddycha płytko, niedostrzegalnie, nie reaguje. Doktorzy mówią, że to już długo...

Nie musiała kończyć.

Do portu wpłynęli późno, witała go Justyna, wspólnie pojechali do szpitala. Na portierni nikt nie czynił im przeszkód, winda zawiozła ich na piętro, korytarze zastali puste, pogrążone w półmroku, pielęgniarki w ciszy wskazały im salę. Wszedł, usłyszał równe oddechy śpiących. Łóżko Łucji stało jako pierwsze z brzegu, podpięta była do aparatów, jeden z nich, zgodnie z rytmem od niemal stu lat bijącego serca Łucji, kreślił na monitorze wciąż strzeliste wykresy.

Od tak dawna trudno z nią było o kontakt. Niekiedy zdawało się, że wraca jej pamięć i na krótki czas orientowała się, gdzie jest, z kim rozmawia. Czy tylko

wtedy była sobą – gdy pamiętała o przeszłości i rozumiała wynikającą z niej ciągłość swego istnienia? Tak czy inaczej, nieczęsto i coraz rzadziej się to zdarzało. O wiele częściej wracała do Wyszkowa, do ogrodów dzieciństwa, między rodziców i siostry. Po rosyjsku wtedy mówiła, Anusia odpowiadała jej, w oczach Marka komicznie brzmiały owe rozmówki, dialogi, jak nie z tego świata, jak z filmu. Poza tym wciąż trzeba było zachowywać czujność, bo nie raz stała już u drzwi ubrana w przydługie dla niej płaszcz Anusi, gotowa do wyjścia w nieznane, w nie-nazwane.

Dla matki był to trudny czas, długie lata męczącego fizycznie i psychicznie obowiązku. Marek miewał wyrzuty sumienia: że sam angażuje się niewiele, bo nawet, gdy był na łodzi i mógł pomagać, czynił to z pewną niechęcią, ze znudzeniem, znużeniem. Wstydział się tego później.

Żyła długo, znacznie dłużej niż w połowie lat dziewięćdziesiątych założyli lekarze. Zawyżała, krótko mówiąc, statystykę, co być może dla jakiegoś biedaka oznaczało wcześniejsze uwolnienie od ziemskich ciężarów, a tym samym ucieszyć mogło jego steranych opiekunów.

Teraz, w szpitalu, mówił do niej: przyjechałem, babciu, jestem, to ja, twój wnuk. Pamiętasz, gdy spędzałem u was ferie zimowe, przybywałem z Chopina z wypchanym zabawkami plecakiem, jak na poważne wczasy, dajmy na to w Kudowie czy Karpaczu, a nie ledwie kilka ulic od domu. Pamiętasz? Dziadek Kot palił, a ja raz wziąłem tłącego się papierosa i nieomal zemdlałem.

Chwycił ją za rękę, nieruchomą, choć ciepłą. I nagle drgnęła, niewyraźny skurcz poruszył i jego palce.

– Pamiętasz, babciu? – powtórzył, ucieszył się. – Albo kiedy grałem w piłkę i rozbiłem wam szklaną witrynę w meblościance?

Palce Łucji ponownie drgnęły, to nie mógł być przypadek.

– Babciu, przyszedłem z Justyną, pamiętasz moją żonę? Dzisiaj wróciłem z morza, przyплыliśmy do Gdyni. Specjalnie dla ciebie poprosiłem kapitana,

żebyśmy skreśli, chciałem zobaczyć, czy dobrze się tobą tutaj opiekują...

I tak jeszcze mówił przez jakiś czas, zmyślał radośnie, podniecony reakcją Łucji, aż nagle wykres na monitorze miast szarpanych górskich grani pokazywać zaczął uśpione w trakcie flauty jezioro. Płaską, nieruchomą toń. Dostrzegł to, lecz w pierwszej chwili nie zrozumiał. Myśl pojawiła się po sekundzie, po dwóch, wtedy obrócił głowę w stronę drzwi, bezradnie, jakby poszukując kogoś, kto udzieli mu odpowiedzi na pytanie: co się właściwie wydarzyło? Nie! Inaczej! Chodziło przecież o to, by się odstało to, co się stało; czy ta cholerna maszyna się aby nie zepsuła, czemu nie rusza ponownie, czy odcięto prąd?

Jak duch bezszelestnie pojawiła się pielęgniarzka, spojrzeli sobie w oczy, wstał na miękkich nogach, bez słowa wyszedł na korytarz. Justyna podniosła głowę.

– Umarła – wyszeptał, siadając przy niej i nazywając rzecz wprost, choć tak bardzo wydawała się nierealna. Bo to tak? Z sekundy na sekundę? Tak się to odbywa?

– Umarła – powtórzył, przebierając palcami – a wcześniej mnie rozpoznała. Tak jakby na mnie czekała? – podniósł głowę, lecz pytanie zadawał niekoniecznie Justynie.

Pojechali na Bema, pukali cicho, lecz matka niezwłocznie otworzyła drzwi.

– Byliśmy u Łucji – rzekł, bo tak o babce, po imieniu, od lat nauczyli się mówić. – Byliśmy u niej...

Anusi nie trzeba było więcej. Usiadła w kuchni i załkała, bezradna. Do tego płaczu przygotowana była od dawna, tak sądziła. A jednak nie.

Zaszurał ojciec i przysiadł przy żonie, a potem pogłaskał jej drżącą na blacie dłoń. Marek wstał i włączył czajnik.

– Dziewięćdziesiąt siedem lat – powiedział Leszek, bo tak się zwykle mówi w obliczu nieskończoności, czasem z niezgodą, gdy pierwsza z cyfr budzi kategorię, choć daremny sprzeciw, a niekiedy ze zrozumieniem – że oto dokonało się to, co musiało się dokonać.

Minęło kilka miesięcy, nim na prośbę matki zszedł do piwnicy po kartony Łucji. Te bowiem, wyniesione przed laty przez Aśkę, zdążyły z powrotem trafić do podziemia. Nieświadomie powtarzał zatem gesty siostry – gdy ona dotykała zasuszonych papierzysk, gdy odkrywała babcine skarby.

Sporo tego było, świadectw i zaświadczeń, korespondencji z urzędami, nieaktualnych dokumentów wystawianych przez zmieniające się władze, pocztówek, a nawet fotografii, które wcześniej umknęły uwadze i zamiast do traktowanych z pietyzmem albumów trafiły na piwniczne zesłanie. A także rachunków, setek zgromadzonych skrupulatnie rachunków wystawianych najpierw przez świat, a teraz po latach przedstawionych jemu, światu.

– Po nas również tylko tyle zostanie? – zastanowił się już na górze. Anusia uśmiechnęła się niepewnie.

Później przeglądali z matką owe familijne albumy, Marek pytał o postaci na zdjęciach, próbował łączyć je ze sobą, porządkować chaos twarzy, przypomnieć sobie, zrozumieć i zapamiętać, kto czym był synem, czyją matką, kogo siostrą, szwagierką, teściową.

To wtedy zauważył też, że matka nie jest już młoda. Zawsze była taka sama, identyczna z sobą, nie zmieniała się w jego oczach. Nigdy nie narzekała zbyt na zdrowie, na trapiące ją dolegliwości, zresztą te szczęśliwie omijały ją. A jednak: urodzona przed wojną świętowała niedawno sześćdziesiąte szóste urodziny. Oczywiście nie była staruszką o kunsztownie wyrzeźbionych przez czas rysach, nie otulała siwej głowy chustką, nie garbiła się i nie podpierała laską – a tak zapamiętał starowinki z czasów, kiedy był dzieckiem. A jednak: jej świetna forma mogła być tylko złudzeniem – zaniepokoił się, jakby zaglądając pod podszewkę czasu, w tryby odwiecznego zegara.

Jakiego świata zaznała? Na wakacje w kwiecie wieku nie jeździła do Włoch czy Chorwacji, nie zobaczyła Paryża lub Wenecji, wspominała za to kolejki, ciężkie czasy; o tańcach czy muzyce swojej epoki mówiła co prawda

z entuzjazmem, lecz jemu trudno było weń uwierzyć. Również o to winił komunę, tak, to śmieszne, wobec ogromu zbrodni systemu, zdawał sobie z tego sprawę, jednak winił miniony ustrój i o to: że pokoleniu rodziców nie pozwolił cieszyć się tym jednym, jedynym, tak w gruncie rzeczy prędko mijającym życiem, cieszyć się światem.

W tamtym czasie, kiedy najpierw umarł papież, a niedługo później Łucja, bał się, że matka ulegnie wpływom Radyja. To ojciec konspiracyjnym szeptem zdradził synowi, że matka, za namową brata zakonnika, słucha owego sączącego się pośród mamrotanych pacierzy roztworu politycznego resentymetu. Zapytana odpowiadała stanowczym tonem, że ją interesują wyłącznie modlitwy. Obyś się tylko nie stała świętsza od papieża – ostrzegł pół żartem, pół serio.

Za to zwiedzać wreszcie zaczęła, w gronie koleżanek i w ramach wyjazdów organizowanych przez parafię, a to Padwę, gdzie urodził się święty Antoni, a to Ziemię Świętą.

Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, po długiej przerwie, wróciła do pracy. W ten sposób zadowolona, choć i nie raz, jak mówiła, zmęczona intrygami, doczekała emerytury. Radzić musiał sobie także ojciec, radzić, gdy nowoczesna technika, pojawienie się systemów satelitarnych w kilka krótkich lat zakończyło chwalebna historię zawodu okrętowych radiotelegrafistów, a gdy jednocześnie wciąż jeszcze nie zostały uwolnione czynsze w prywatnych kamienicach. W ochronie próbował wtedy pracować, potem kiosk Ruchu w Chyloni prowadził. Ciężka to była robota, od bladego świtu, Marek podziwiał go za determinację i kiedy mógł, odwiedzał w ciasnej klitce z gazetami i maszyną lotto.

– Widzisz, na co mi przyszło na stare lata? – z uśmiechem komentował ojciec. – A mówią o nas „kamienicznicy” – krzywił się.

– Niech mówią, jeżeli nie wiedzą, że to żadne kokosy.

Poza tym, co cieszyło Marka jako szczególna oznaka żywotności starego, otoczony gazetami Leszek zaczął na nowo śledzić wyniki lekkoatletyczne

i ponownie, jak w czasach wunderteamu, a potem Szewińskiej, Malinowskiego i Wszóły, na pamięć znał rekordy nie tylko światowe i polskie, ale i te z trwającego sezonu, i na tej bazie prorokować mógł osiągnięcia Polaków na igrzyskach czy mistrzostwach świata.

– Odradzamy się – mówił. – To jeszcze nie to, co kiedyś – podkreślał – ale patrz: Ziółkowski, Skolimowska, Czapiewski, Pyrek, Rogowska.

Swoją drogą i po uwolnieniu czynszów oboje, zarówno matka, jak i ojciec, nie mieli sumienia, a mieli za to skrupuły, by część starych lokatorów zderzyć z bolesną rzeczywistością nowych, wyższych stawek za wynajmowane mieszkania. A jednocześnie kamienicy remont był potrzebny. I bądź tu, człowieku, mądry!

Wracając do papierów Łucji: również te prywatne zapiski babki wnuk odkrył z podnieceniem równym temu, jakie kilkanaście lat wcześniej towarzyszyło Aśce. Znalazł zresztą wśród nich i stroniczki skreślone ręką siostry – wykresy, tabele oraz tych kilka akapitów, w których skomentowała swoje dramatyczne narodziny. Utonął w owych notatkach na kilka tygodni, a o swej niespodziewanej lekturze z entuzjazmem opowiadał Justynie.

– Interesujące – przyznała. – Nadaje się na książkę – zasugerowała również.

– Myślisz?

– Pewnie! Mówisz, że nie wszystko jest w nich jasne? Tym lepiej: to, czego brakuje, trzeba zmyślić, rozwinąć, ubarwić. Spróbuj, czemu nie?

– Ja? – zaskakującej propozycji ani myślał potraktować poważnie. – Może lepiej ty?

Teraz to ona się zdziwiła:

– Przecież wiesz, że najpierw muszę napisać doktorat.

No tak, wtedy jeszcze na serio o nim myślała.

Poznali się w przychodni, niegroźny wypadek przydarzył mu się na rowerze, udał się zatem do ortopedy. Ona także przykuśtykała, słomianowłosa i delikatna,

zasiedli obok siebie, kolejka była długa. Od słowa do słowa. Kiedy wypłynął, mailowali, raczkujący Internet na coś się przydał. Telefonował z Aarhus, Helsingborga i Lubeki, więc kiedy wrócił, spotkali się już niczym dobrzy znajomi. Półtora roku później wzięli ślub. Spokojnie się to potoczyło, tym razem bez niemieszczących się w głowie komplikacji.

– Napisz, napisz, a przynajmniej o tym myśl – zachęcała go zatem, gdy uśmiechał się bezradnie.

Owszem, pewnego dnia zasiadł przy biurku żony w pokoiku pełnym półek z książkami. Zasiadł, jak i ona siadywała, kubek z kawą postawił obok klawiatury, zapiski rozłożył na wolnym skrawku biurka. Wstał – zaciągnął roletę. I...

I na tym, niestety, się skończyło, zdania rwały się, nie chciały układać w ciągi. Porażka.

Niemniej myślał odtąd o Gdyni, tamtej Gdyni, z przyjemnością zaglądał do albumów ze starymi fotografiami, szukał po księgarniach opowieści z dawnych lat. Dziwił się, że nie było ich aż tak wiele, jakby pamięć o początkach miasta nie zasługiwała na pełną miłości, albo chociaż serdecznej ironii, opowieść, jakby nie zdążyła się uleżeć, albo przeciwnie, jakby trwała w przekazach żyjących jeszcze świadków, przez co mało komu przychodziło do głowy, by ją spisać, nim przepadnie.

A przecież – co teraz, chodząc ulicami Śródmieścia, widział wyraźnie, jasno i w zachwyceniu – nad Bałtykiem zdarzył się cud, cud wart nieustannego zdziwienia i zachwyty, że oto w tak krótkim czasie z nieznaczącej wioski wyrosło prężne miasto. Gdy dopiero co wytyczono pierwsze, a później główne arterie i rosnąć zaczęły wzdłuż nich pojedyncze zrazu, otoczone łąkami zbóż, kamienice. Gdy wzniósł się majestatyczny gmach poczty, banki, urzędy. A port? Czy wszyscy, a przecież powinni, żyjąc dziś w otaczających go dzielnicach, mają świadomość, że nie został wcale wyrzeźbiony we wrzynającej się w głąb łądu

zatoce, lecz że trzeba go było dosłownie wydrzeć ziemi wysiłkiem tysięcy robotników oraz zaprzęgniętych w furmanki koni? Albo czy spacerując tłumnie latem po molo Południowym, wzdłuż Szkoły Morskiej, akwarium, „Daru Pomorza” i „Błyskawicy”, czy wszyscy zatem pamiętają, by się zachwycić – znów to samo słowo klucz! – ową zatopioną w morzu, a będącą dziełem wizjonerów i inżynierów konstrukcją?

Myślał również o ówczesnych ludziach, zaczynając od Łucji i Krzysztofa, od Konstantego. Jacy byli? Z jednej strony po dziś dzień zatrzymani na czarno-białych, nieco wyblakłych, postrzępionych, czasem pożółkłych fotografiach, a więc nieco nierealni, niekolorowi. A przecież podobni nam, niesieni marzeniami i ambicjami, czasem zapatrzeni w przyszłość, a częściej skupieni na tym, by radzić sobie z zawsze stawiającą opór teraźniejszością. Tysiące ich do Gdyni przybywało i każdy miał prawo wierzyć, że się w niej odnajdzie, i wielu się to udało, stali się mieszczanami albo marynarzami, urzędnikami lub armatorami, wielu innym zaś nie – i o tych również trzeba pamiętać, bo co człowiek, to inna historia, mniej lub bardziej dramatyczna opowieść.

A jeszcze obok Wolne Miasto, wolne z czasem już tylko z nazwy, gdy rozgościli się w nim naziści. Tu białe transatlantyki wspaniałych, budzących dumę budowli, tam narastający terror. Jak się żyło, co się wiedziało, co rozumiało w coraz mroczniejszym cieniu napływającym zza granicy w Kolibkach, jak się czytało gazetowe doniesienia o zajęciu Austrii i Czech, tu, w tym niewielkim polskim klinie pomiędzy ziemiami Rzeszy?

Jeszcze jedno go uderzyło, i to bardziej niż przed laty siostrę. Gdyż oto dziadkowie zdawali się szemrani. Tak jest: Krzysztof i Konstanty. Łucja nie przypadkiem wspominała o ich przemytniczych wyprawach, o podejrzanych konszachtach z niejakim Janem Królem, o tym wreszcie, że wypadek Krzysztofa z roku trzydziestego dziewiątego był pokłosiem tajemnic z przeszłości. Nie o wszystkim napisała wprost, wiedzieć zdawała się więcej, dumna z kolejnych

przeprowadzek do coraz większych mieszkań, a wreszcie do kamienicy, lecz czy nie było to aby podszyte, gdy jednak wstrzymywała pióro, czy nie było zatem podszyte wstydem, poczuciem, że nie ma się czym chwalić?

Gdy szukał informacji o życiu tamtego mitycznego miasta, nie znalazł wielu dotyczących świata przestępczego. Czemu się dziwił, wszak okazja czyni złodzieja, a sposobności do pójścia na skróty – by w krótkim czasie dorobić się fortuny – nie mogło w dynamicznie rosnącym mieście brakować. Jednak nie było ponoć w Gdyni wielkich, zorganizowanych, trzęsących miastem band, jak te w Wilnie, Łodzi czy w Warszawie. O przemyśle, owszem, pisano, także o przekrętach finansowych – i to na gigantyczną skalę – a wreszcie o bójkach i napadach.

– No i właśnie o to chodzi – komentowała Justyna. – Resztę trzeba sobie dopowiedzieć, wyobrazić, uwierzyć raczej przeczuciom niż prasowym relacjom; co się wydaje, to mogło być prawdą, a jeśli brakuje faktów, to tym gorzej dla nich. Tylko koniecznie – podkreślała, śmiejąc się na widok zmieszania Marka – koniecznie wprowadź postać tropiącego dziadków komisarza, niech im depcze po piętach, niech sobie nie myślą, że się im upiecze!

– Ale wiesz – odparł po zastanowieniu – wiesz, że gdybym rzeczywiście potrafił to opisać, to tylko pod pseudonimem. Inaczej bym matce, ale i sobie, zapaskudził rodowód.

Więc może by jednak spróbować? Przemóc się, wczuć? Odnaleźć właściwy język: utrzymany w sepii wyobrażonej naiwności młodej Łucji, która z entuzjazmem wtapia się w realia rodzącego się na jej oczach miasta, a jednocześnie nieprzepelniony słowami „tudzież” oraz „albowiem”?

Z tym że byłyby to tylko pierwsza część opowieści, ta o radości przedwojnia. Bo powstać mogłaby jeszcze druga – o tragedii września, wygnaniu i powrocie, o alianckich bombardowaniach, o nadziejach pierwszych lat powojennych i o tym, co wydarzyło się później.

Przecież babka – odkrywał – z tak wielką, ale i budzącą tkliwy uśmiech pasją, pisała o latach sześćdziesiątych, o swych zmaganiach z rzeczywistością, o wojenkach z córką i sekundującym Anusi Kotem.

Więc może by?

Już na obwodnicy Trójmiasta po raz ostatni złapali ich rodzice.

„No, czy nie jestem jak nękany telefonami Ivan Locke?” – uśmiechnął się do swych myśli, nasłuchując jednakże i próbując wyłowić słowa ojca spomiędzy pytań i potakiwań żony.

– Właśnie wrócili – zdecydowała się wreszcie relacjonować.

– Jak się czują? – podpowiedział pytanie.

– Jak się czujecie, tato? Zmęczeni? Rozumiemy.

– Przyjechać? – zapytał.

– Nie musisz – zaraz zabrzmiała, zdublowana przez Justynę, odpowiedź.

– Jutro koniecznie chcę się spotkać z Kubą – zaznaczył.

– Poszedł już do siebie. Aha, narodowcy... Aha, dziewczyna... Demonstracja... Rozumiem. Brał udział. No, dobrze. My średnio jesteśmy zmęczeni... Już Osowa, blisko. Ucałuję, do jutra!

– No i co? – chciał wiedzieć.

– Poczekaj – nie zdążyła odpowiedzieć, znów zerkając na wyświetlacz. – Teraz Aśka. Halo, cześć Asiu, Marek prowadzi...

Nie rozmawiały długo. Po rozłączeniu Justyna uśmiechnęła się tajemniczo.

– Będzie się działo – powiedziała.

– To znaczy?

– Aśka sprzedaje mieszkanie. Zdaje się, że nie potrafi odciąć pępowiny.

Zaśmiał się z niedowierzaniem. Aśka... wraca? Jeszcze tego brakowało.

– Mamo, a co to znaczy?

– Co znaczy co?

– Odciać pępowinę?

I wtedy, a jechali akurat pod górę, z wąskiej doliny wspinając się na Fikakowo, a więc wtedy nagle światła samochodu jadącego przed nimi przybliżyły się w okamgnieniu – jakby stał w miejscu, bo tak się włókł – więc przybliżyły się, urosły w krótkiej chwili, uwaga, krzyknęła Justyna, a Marek w ostatniej chwili gwałtownie zmienił pas, szczęśliwie omijając obciążonego do granic możliwości tira.

– Uff – odetchnął głośno, gdy ledwo wybrzmiał jęk pozostawionej w tyle ciężarówki.

– Boże – szepnęła.

Wkrótce dobrnęli do końca autostrady, odtąd od domu dzieliło ich kilka minut jazdy.

Strasznie długo – musiał przyznać – trwała ta ich podróż. A zwłaszcza jej ostatnia część.

CZĘŚĆ

4.

ROZDZIAŁ 1

KAMIEŃ Z SERCA

Długo nie pospał. Nocą dziewczynki dosłownie padły w progę, do łóżek trzeba je było nieść, za to obudziły się wcześniej, a wkrótce cały dom postawiły na nogi – szczęśliwe, że są w nim z powrotem.

– Nie pobiegasz? – zaśmiała się Justyna, gdy niechętnie zwlekał się z łóżka. Truchtać próbował od kilku tygodni, ale tylko w Chorwacji zrywanie się na trening o świcie przychodziło mu z łatwością. Na ścieżce spotykał zresztą głównie Polaków, truchtających, dyszących, oblanych porannym potem. Mijali się bez słowa, tylko rzucając okiem na buty konkurentów. Jeszcze by tego brakowało, żeby zaczęli rozmawiać, przechwalać się liczbą pokonywanych kilometrów, zawodami, w których udział wzięli, lub maratonami, jakie planowali.

Zadzwoił do Kuby, uzgodnili godzinę i miejsce spotkania.

– Wuju, nie przesadzasz? – mamrotał zaspany chłopak. – Nic wielkiego się nie stało.

– Pogadamy, opowiesz – uciął Marek.

Przyjechali rodzice, stęsknieni za dziewczynkami.

– A za mną to nie? – żartował.

Kawę wypili.

– No i co tam dokładnie się wydarzyło?

– On się ze wszystkiego śmieje.

– Śmieje?! – zdenerwował się Marek. – Wydzwania z komisariatu, ciąga was

po nocach...

– On przecież nie chciał, myśmy sami pojechali – próbowała tłumaczyć wnuka Anusia.

– Wszystko jedno!

– Pojechał za dziewczyną – głos zabrał ojciec, spokojnie. – Była msza, a po niej spotkanie z publicystą z „Tygodnika Powszechnego”. No i objawili się patrioci – ostatnie słowo Leszek wymówił z przekąsem – dla których był to skandal, bo to niegodne, krzyczeli, obraza narodu.

– I ponoć właśnie ta dziewczyna najwięcej krzyczała – wtrąciła Anusia.

– Ta, za którą Kuba pojechał? – upewnił się Marek.

– Nazywa ją „Mała” – dodała znacząco Anusia.

– Mała? A to dobre!

– Myśmy tak samo pomyśleli.

– I co było dalej? – do tematu chciała wrócić Justyna.

– Dziewczyna gardłowała, zaczęła się pyskować, bo z tą dziewczyną byli też inni.

– To już wiemy – ironicznie skomentował Marek.

– No, ale właśnie Kubuś wtrącił się dopiero wtedy – tłumaczyła Anusia. – Kiedy zaczęła się szarpanina, próbował innych rozdzielać.

– Tak powiedział?

– Bo on z nimi nie był.

– Jak to nie był? Pojechał za dziewczyną.

– No niby tak, ale nie z nimi.

– Z którymi, bo nie rozumiem?

– On tylko pojechał się przyglądać.

– Tak twierdzi?

– Właśnie.

– Ależ ty go, mamó, bronisz!

– Jak to babcia – zaśmiała się Justyna.

Marek wstał.

– Dobrze, co nieco już wiemy – podsumował – reszty się domyślamy. – Spojrzał na zegarek. – Jesteśmy umówieni.

– Dzisiaj? Teraz? Ledwo wstał.

– Już ja go obudzę. A jak on się w ogóle zachowuje?

– Dobrze, spokojnie. Pracę zmienia.

– Pracę? Już zdążył się znudzić?

– Bo go w tym jednym barze na koniec miesiąca oszukali. Mniej wypłacili niż mieli. Do innego się przenosi.

– Tak mówi?

– To dobry chłopak, spokojny.

– Aha, spokojny – kwaśno uśmiechnął się Marek. – Przekonamy się. Dlaczego swoją drogą on tak się uparł, żeby już teraz u was mieszkać, skoro studia zaczyna w październiku?

– To zdaje się właśnie przez tę dziewczynę – stwierdził ojciec.

– Masz ci los – westchnął Marek, szykując się do wyjścia.

Mimo że miał jeszcze kilka dni urlopu, wybrał się na złom. Bo na nim właśnie pracował, odkąd nadarzyła się okazja. Uznali wtedy z Justyną, że warto spróbować – zarabiać, owszem, mniej, ale być w domu, na lądzie, z rodziną. Firma ściągała ów złom do wielu nadbałtyckich portów, skąd zabierała go do tureckich hut. Interes hulał w najlepsze, a Markowi przydało się nie tyle doświadczenie sprzed wieków, kiedy pracował krótko w terminalu kontenerowym, lecz przede wszystkim lata spędzone na obsłudze platform wiertniczych i wokół farm wiatrowych budowanych u skandynawskich czy holenderskich wybrzeży.

Dwie ciężarówki mieli swoje, inne, w razie potrzeby, wynajmowali. Kiedy statek dobijał do kei i gdy chodziło o to, by stał przy niej jak najkrócej, rozpoczynała się trwająca niekiedy ponad dobę operacja załadunku. Trzeba było odpowiednio zgrać taniec dźwigów na placu, płynny ruch ciężarówek kursujących na nabrzeża oraz pracę żurawi przenoszących żelastwo pod pokłady. I jeszcze dogadywać się z załogami statków, z Hindusami lub Filipińczykami.

– Pójdiesz, coś ci znajdą – narzekała Justyna, która plany wobec męża na te kilka dni miała zgoła inne, na przykład żeby piwnicę uporządkował, a nie odkładał niechciany obowiązek w nieskończoność.

– Nie, nie, tylko zerknę, zresztą z maili wiem, że wszystko w porządku – zapewniał.

No i tak było, spory statek wejść miał do portu dopiero w kolejnym tygodniu, wtedy pracować się będzie ciągiem na dwunastogodzinnych zmianach, na razie zaś góry złomu zaległy, lśniąc, w bezruchu, chłopaki ziewali dyskretnie. Był tu zastępcą szefa i miał nadzieję, że go lubiano.

W stronę Śródmieścia ruszył piechotą, wkrótce, zamiast wspinać się wijącą się ulicą na wiadukt, przeszedł przez szerokie pole niezliczonych kolejowych torów, potem Węglową – gdzie zerkając na boki, wciąż dopatrzeć się można było chałup stawianych osiemdziesiąt lat wcześniej – a nim doszedł do placu Kaszubskiego, skręcił w Świętego Piotra. Wkrótce minąć miał z jednej strony kolonię dawnych domków rybackich, następny relikwiarz epoki, w której powstawało miasto, zaś z drugiej niebosięźną wieżę, Sea Towers – od kilku lat jeden z nowych symboli miast – a po niej galerię handlową. Ten ostatni przybytek, mówiono, miano wkrótce zburzyć, ot, znak czasów, galeria niegdyś nowoczesna, teraz okazywała się niewystarczająco wielka, przede wszystkim zbyt niska na rozległej działce w samym sercu miasta, w sąsiedztwie pnących się w cieniu wieży kolejnych wysokościowców. Podobny los spotkał wcześniej jeden z pierwszych gdyńskich pasażerów handlowych – ten na placu Kaszubskim.

Najpierw robił wrażenie – przeszklonymi drzwiami, wyłożonymi płytkami korytarzami, sącząca się cicho muzyką. A jednak wraz z krzepnięciem nowej epoki po ledwie kilkunastu latach ustąpić musiał miejsca budowli wyższej, wielopiętrowej, dumnemu apartamentowcowi.

Bo najpierw w owej epoce budowano właśnie galerie handlowe, później jako tako zajęto się drogami. Dopiero wtedy powstała hala sportowa, a przy niej stadion. Zresztą i basen planowano w ich okolicy postawić, pięćdziesięciometrowy, olimpijski. Remont przechodził tymczasem teatr – już go widział z oddali – a wkrótce otworzyć miano centrum kinowe wraz z siedzibą szkoły filmowej. Niedaleko, nowoczesnym w zamyśle budynkiem, zabudowywano ostatnią plombę, dziurę w lśniącym garniturze zębów Świętojańskiej. Z kolei nie dalej, jak kilka tygodni temu, w lipcu, ruszyła kolejka szynowa spod muszli koncertowej na Kamienną Górę.



Sea Towers. Najnowszy z symboli miasta.

Za komuny inaczej budowano, nawet on to pamiętał, przez lata całe, bez pośpiechu, pozwalając gnić fundamentom i wietrzeć wzniesionym ścianom. Tak było na przykład z estakadą Kwiatkowskiego.

O nowe budowle wybuchały rzecz jasna awantury. Najpierw o wieżę – miała miasto szpeciść, zwłaszcza oglądana z morza, miała się pyszałkowato narzucać, zanadto się swą poszarpaną bryłą wyróżniać. Cudem architektury na pewno nie

była.

Spierano się również o kolejkę: bo na co to, po co, bez sensu! Rzeczywiście, startując u podnóża Góry, wagonik wspinał się na nią nie dłużej niż w dwie minuty, kolejka zdawała się zbytkiem, wisienką na torcie, a dla wielu raczej kwiatem do mało eleganckiego, wymagającego łąt i zszyć kozucha.

Ale Marek cieszył się – zwłaszcza budynkami użyteczności publicznej, choćby miejskim muzeum. Galerie handlowe i apartamentowce oznaczały oddanie miasta pieniądzu, tak może zresztą musiało być, w każdym razie namnożyło się ich. Stawianie muzeów i teatrów było już znakiem innego myślenia, było luksusem, który się mieszkańcom należał, na który zasłużyli.

Także Justyna nie narzekała, zresztą pracowała w Redłowie, w równie nowoczesnych budynkach Parku Naukowego.

To zresztą tam, w Eksperymentach, centrum edukacyjnym, wśród gadżetów mających wyjaśniać dzieciakom bezwzględne prawa nauki, spotkał po latach Małą. Była z córką, tak, z tą córką, teraz już wiotką nastolatką, oraz z kilka lat młodszym chłopczykiem. Pozdrowili się, może i by porozmawiali, ale tamci byli w większym towarzystwie, dzieciaki biegały jak szalone, skontaktujemy się, powiedziała, tak się zawsze mówi, na co kiwnął głową ochoczo, mimo że realizować obietnicy absolutnie nie miał zamiaru.

Ładna, owszem, była, lecz z satysfakcją – którą jednakowoż nie podzielił się z żoną – nie zauważył u siebie żadnych oznak wzruszenia. Było, minęło.

Dziewczynka także mogła się podobać. Spojrzał na Justynę: czy dostrzegła ewentualne podobieństwo córki Małej do męża? Nie, zdaje się, że nie. Zresztą on także go już nie widział.

Dopiero teraz, przecinając właśnie skwer Kościuszki, jeszcze nim skrył się w cieniu zadrzewionej alei, pomyślał o Kubie. Wcześniej odsuwał od siebie wizję przykrej, jak się spodziewał, rozmowy. A jednak – trzeba było młodym wstrząsnąć!

Trzy lata temu, to prawda, polubili się. Bo kiedy dziewczynki mało na czym potrafiły skupić uwagę, Kuba z wielką chęcią pozwalał się oprowadzać po mieście, wozić do Gdańska i Malborka, do Łeby i na Hel. Słuchał z zainteresowaniem, dopytywał. A taki miał być niby zbuntowany, nieposłuszny, arogancki. Wcale nie był.

Tylko co z tego, skoro się teraz z narodowcami trzyma! Odbiło mu?

W Breli widywał takich dwóch: nastolatków mimo upału wiecznie wystrojonych jak na pogrzeb ojczyzny, w ciemnych mianowicie koszulkach – a to z pokrwawionym orłem, a to z wilczymi pyskami (i cytatem z Herberta: „ponieważ żyli prawem wilka, historia o nich głucho milczy”), z dumną husarią lub z zapewnieniami, że pamiętają (a jak wiadomo, zawsze pamięta się to, czego nie można zapomnieć).

Kiedy się im przyglądał, przyszczatym żołnierzom wyklętym, nie wystarczyło mu zżymać się na tych, którzy powstańcze nastroje w maślanych wzbudzali, którzy ich podburzali, ryjąc w mózgach tępym rylcem mitów o zniewoleniu, najżałośniejszym cierpieniu, a przy tym o Bożym błogosławieństwie, jakim cieszy się wybrany przez Ducha naród. Oraz o jego, narodu, najwznioślejszej dziejowej misji i historycznym posłannictwie. Swoją drogą, jak żyć w owej sprzeczności: gdy szlochać się chce, wybite zęby pokazywać, rany całemu światu (niegodnemu) kazać całować, a jednocześnie gdy twierdzić trzeba, żeśmy najlepsi, najsilniejsi, niepokonani, klękajcie narody?! Niby więc z dumą, lecz i zasmarkaną od łkania twarzą, z grymasem, groteskowym wykrzywieniem ust.

To więc, że byli tacy, którzy w owym emocjonalnym kotle mieszały, którzy go nieustannie podgrzewali, to jedno. Ważniejsze, groźniejsze, bardziej niepokojące wydawało się co innego – że w ogóle się dzieciaki dawały na to nabierać, że były gotowe maszerować, salutować, kłaniać się i klękać, bezwolnie, z oddaniem, rezygnując z wolności.

Trudne to było do pojęcia. Dla niego samego, ale miał też wrażenie, że dla

całego jego pokolenia wolność była najważniejsza. Owszem, pełna pułapek, niekiedy wiodąca na manowce. Ale przecież wolność! Więc kłaniać się? Salutować? Po pierwsze – komu?! Przywódcom organizacji? Z jakiej racji? Tak po prostu, dlatego, że się samozwańczo tytułują sturmbannführerami i że są w stałym kontakcie ze wszystkimi świętymi z Dmowskim na czele? Nie, nie mieściło mu się to w głowie.

Śpiewał Janerka, jeszcze w dziewięćdziesiątym pierwszym, na świetnej, a niedocenianej płycie *Ur*: „Znów chcą tobą rządzić, abyś nie zabłądził, wszyscy tacy mądrzy, tacy pewni swego małego; w kupy się zbierają, groźne miny mają, wiwat, mówią, siła, a tego to nie lubię; więc zbudź się, nim zaczniesz znowu skandować, zbudź się, to niedobry sen”.

O to to, właśnie to!

Albo inaczej śpiewał, wcześniej, w Klausie Mitffochu: „Chować się, bo nadbiega tłum, chyba że ktoś chce się z tego pośmiać; wiele rąk i zbyt mało głów, o faszyzmie łatwo nic nie mówić; wiele rąk i zbyt mało głów, i nigdy nie mów tych bzdur, że to dla mnie!”.

Piewcy świata mono-. W mundurach szytych wedle jednego kroju, z jedną jedyną księgą wyjaśniającą im wszystko (a zwłaszcza to, kto z kim nie może spać), z jednym, niepodlegającym dyskusji, źródłem etyki, z jednym wzorcem moralności. I z klapkami na oczach, gdy nie chcą dostrzegać pięknej różnorodności świata, nie próbują jej zrozumieć, nie potrafią się nią zachwycić, a się jej boją, wprost trzęsą się ze strachu, niby tacy pewni swej wiary, jakości swych wartości, a jednocześnie niewierzący w ich siłę, w ich moc przekonywania. Drżą zatem, świat ich przeraża, padają na kolana, a kiedy klękać nie chcą inni, bezczelnie nieprzestraszeni, wtedy trzeba ich do tego zmusić, o, nie, tak być nie może, że my na twarz padamy, do spowiedzi latamy, a wy to nie?

„Znowu chcą tobą rządzić, żebyś nie zabłądził, skąd się tacy biorą, no skąd?”

W tym problem. Skąd się biorą?

Swoją drogą posłużył mu wyjazd, nie ma co. Wyszło na to, że z owej Breli niczym przez lunetę z nadzwyczajnie grubą soczewką przyglądał się sobie i Polsce. I to miał być wakacyjny wypoczynek?

Bo właśnie tam pewnego wieczoru – choć innego niż ten, w trakcie którego rozmyślał o Małej – a więc właśnie tam, gdy również zdarzyło mu się wysączyć o szklaneczkę wina za dużo, na przeprosiny mu się wzięło. Tak jest, przeprosiny, błagać chciał albowiem o wybaczenie całe to pokolenie zagubionych dzieciaków, przepraszać je za krzywdy uczynione przez starszych, bo to ich musiała być wina, tych, którzy zachłysłeni się wolnością, to się widać młodzieży przejadło, trzeba może było mniej wolność celebrować (wolność świństw, samowoli, arogancji, egoizmu), a za to wspomnieć od czasu do czasu o partyzantach dawnych wojen, męczeństwu świętych się kłaniać, a Ojczyznę miłować nie tylko myślą, lecz i dziarskim słowem wspartym ostentacyjnym uczynkiem.

Dobre sobie – zachnął się jednak teraz, zbliżając się do plaży. Przepraszać? Za co? Że przebierać się nie chcieliśmy w nie swoje mundury? Że koszulek nie mieliśmy bezczelności produkować niby to z krwią powstańców? Pamiętaliśmy, nie bójcie się, smarkacze, pamiętaliśmy znacznie więcej, niż wy jesteście w stanie zrozumieć. Tyle że nie robiliśmy z pamięci cyrku. Ot, co!

Oho, poczuł się wkurzony. Wkurzony przez i na Kubusia, a takie to było słodkie dziecię, Kuba, Kubulek – dziś mały powstaniec. Dyskusje mu się nie podobają, bo obrażają naród. Będzie nas uczył, szkolił, stawiał do pionu, wilczy szczeniak! Zobaczymy, kto kogo!

Tymczasem słońce stanęło w zenicie, upał stęzał, spacerowicze snuli się po alejce przygaszeni, rowerzyści leniwie kręcili pedałami. Na skrawku plaży przy deptaku swe boiska wyznaczali piłkarze, co rusz posyłali piłkę nad siatką delikatnym pasem serwisowym, a potem to skakali w górę, opaleni, błyszczący od potu i naciągnięcia jak struny, to zaś nurkowali w piachu w rozpaczliwych próbach sięgnięcia spadającej niczym kamień piłki.

Właściwi plażowicze niknęli w oddali, bliżej brzegu, wody, bliżej bulwaru i ryb nabitych na pomnikowy miecz. Ich krzyki dochodziły zniekształcone, niezrozumiałe, ale i radosne.

Za to w pobliżu wysuniętych w piach, niczym molo w morze, podestów kawiarni budować zaczynał się przenośny stadion. Już stanęły kruche konstrukcje trybun, teraz pompowały się bandy i wielkie balony reklamowe. Do turnieju jakowegoś się szykowano, wyglądało na to, że w piłkę kopaną.

Umówili się w Kontraście, dosłownie w połowie krótkiej drogi pomiędzy Cafe Minga a miejscem, gdzie zanim spłonęła, dudniła niegdyś Buda. Zdarzyło się, przypomniał sobie, że kumple z klasy właśnie tu, w Kontraście, koncert dawali, Aggartha się nazywali, mroczne to były pieśni, mało pasujące do knajpy przy plaży. Ci kumple kariery nie zrobili, szkoda, bo bardzo im zależało, starali się, pamiętał. W każdym razie od tamtego czasu, a minąć musiało ze dwadzieścia lat, do Kontrastu nie zachodził.

Kuba już czekał. W klapkach i bermudach, w kolorowej koszulce ze wzorem będącym prawdopodobnie reprodukcją któregoś z obrazów Jacksona Pollocka i z wielkimi okularami na twarzy.

Marek nie patyczkował się – gdy podszedł do niskiego stolika, a młody choć się uśmiechnął, to nie raczył wstać – i chwycił za te okulary, lekko je unosząc. Tak jest, śliwę miał Kubuś jak malowaną!

– Blizny, jak twoja, to się jeszcze, wujo, nie dorobiłem – mrugnął okiem chłopak. Bo tak właśnie Marka tytułował – zawsze i niezmiennie *per* wujo.

– Ty się moją blizną nie martw! – spróbował narzucić surowy ton rozmowy Marek.

– Jasne, ale wiesz, teraz, kiedy zaczynasz siwieć, szrama dodaje ci szyku. Wyglądasz, jakbyś z komandosami z Afganistanu wrócił. Słyszałem, że biegasz. Może bym dołączył?

– Kubuś, nie zagaduj, nie bądź taki cwany. Co żeś tam w Gdańsku

zmalował?

Chłopak rozpostarł się w wiklinowym fotelu, sięgnął po szklanę – z wodą i z limonką. Chwilę pił – przez grubą rurkę.

– Już mówiłem, że nic. Zaszło nieporozumienie. Towarzyskie.

– Nie kręć, przyznaj się: włączysz się z narodowcami?

– Myślisz? – w oczach chłopaka dostrzegł błysk. – A jeśli tak, to co?

– Kuba, twojego dziadka zastrzelili hitlerowcy!

Kuba roześmiał się tubalnie.

– No to pojechałeś, wujo! Stałeś nad przepaścią i właśnie puściłeś się poręczy!

ROZDZIAŁ 2

GROM Z JASNEGO NIEBA

Przez większą część roku, domyślił się, centrum lokalu stanowił bar, który jak kapitański mostek, zresztą i z górującym nad ladami bocianim gniazdem, albo jak szeroka i długa łódź, stanął w centrum knajpy. Obejść go można było dokoła, a potem przysiąść na przyklejonych do szynkwasu stołkach barowych, albo też poszukać sobie miejsca przy prostych ławach lub na miękkich kanapach przy oknach rozległej hali. Latem jednak życie wylewało się z lokalu na drewniane podesty, stał tam więc kolejny bar, kryty niby strzechą niczym karaibska czy afrykańska chata.

Na krzesłach i w fotelach nie brakowało plażowiczów. Na innych przysiedli spacerujący w pobliżu emeryci. Znad stolików krótkie błyski rzucały okulary, gdzieś w górę unosił się papierosowy dym.

Chcąc nie chcąc, wyławiał strzępki słów z rozmowy facetów siedzących po sąsiedzku. Przyglądał się im – i zastanawiał, kim są. Z nonszalancją obnosili drogie ciuchy, na ich nadgarstkach połyskiwało srebro lub złoto, fryzury mieli zadbane, ulizane żelami, mówili głośno. O sprzedanym aucie, o planowanym wyjeździe do Dębek, o Anecie, o Żanecie, o meczach. Czy byli taksówkarzami? Byłymi cinkciarzami? Zdawali się nie mieć nic do roboty, cieszyć leniwym południem, wyraźnie przyzwyczajeni do takiego, a nie innego sposobu spędzania dnia, a nawet nim znudzeni. Jeden przyszedł z kilkuletnią córką i nią był najbardziej zainteresowany, więc podpytywany przez kolegów o to i owo, odpowiadał w roztargnieniu, półsłówkami, nie podejmował tematu.

Wrócił Kuba.

– Kolejka – wyjaśnił swą długą nieobecność i zaraz wrócił do przerwanej wątku.

– A te ich rozbieranki? – zarechotał. – Zauważ, że to lubią, na meczach koszulki ściągają, kręci ich widać stanie ramię w ramię, ciało przy ciele, dobrze się wtedy czują, chłopak przy chłopaku.

– To samo na koncertach – kiedy przyjedzie któryś z tych ich Wujaszek Adolf Tribute Bands. Wtedy też ochoczo zrzucają koszule, gołe klaty prezentują, obwisłe tłuste cycki i tatuaże na ramionach. Tak, lubią chłopcy się wachać, dotykać, a często i objąć, przytulić, niby w geście przyjaźni. No, powiedz, czy nie mają problemu?

– Nie przesadzasz? – odparł Marek.

– Przesadzam? A te ich marzenia o arabskich gwałtach? Ciągłe o nich mówią, nie mogą się widać doczekać – Kuba zaśmiał się głośno, odrzucając w tył głowę, wielce z siebie zadowolony.

A mówili rzecz jasna o owych patriotach, z którymi się Kuba dzień wcześniej tak niefortunnie złał. Złał i dosłownie – gdy doszło do bijatyki, i złał w myślach Marka, złał w jedno, choć, jak się okazało, błędnie i niesprawiedliwie.

– Słyszałeś, wujo, o imperium Lechitów?

– To znaczy?

– Nie słyszałeś? – Kuba znów cieszył się jak dziecko. – Zapomnij o Mieszku, Piaście czy Popielu. Imperium Lechitów, znaczy nasze, Polaków, jeszcze przed chrztem trwało od tysiąca lat, Rzymian łało jak się patrzy, Germanów, Franków, Wandali, rozciągało się od Renu, od Dunaju, po lasy i góry na wschodzie. Tacy byliśmy, z tego korzenia jesteśmy, jest się czym chwalić, co nie?

– Bzdury jakieś.



Widok na plażę z kawiarnianego ogródka.

– Dla ciebie bzdury. Ale wielu z nich w to wierzy. Wiesz, to się zwykle zaczyna od jednego internetowego wariata, od pierwszego, drugiego, trzeciego artykułu w sieci, a potem toczy się jak kula śniegowa, bo czytają, bo komentują, powołując się na siebie nawzajem – jak pisał Piprzyński, do czego odniósł się Idiocki, polemizując z Głupińskim, Hunowie uciekali przed Lechitami aż miło; przypisy sobie robią, cytują jeden drugiego, aż wreszcie zaczyna to udawać poważną naukową dysputę.

– Bzdury – upierał się Marek. – Śmieci, internetowy szlam.

– Tak? Zobaczmy, jeszcze się przekonasz, wujo, przekonasz się, że będzie się o tym mówić coraz częściej i głośniejszy. Im bardziej będzie miał taki domorosły historyk przechłapanie w życiu, tym mocniej będzie się upierał, że sroce spod ogona nie wypadł. Zapamiętaj, co ci mówię.

– Bo wiesz – zapalał się Kuba, jakby chcąc swym wywodem od-bić sobie, *nomen omen*, odegrać się za celnie zeszłego wieczoru wymierzone ciosy – bo wiesz, łatwo to oni nie mają, a trzeba nadać życiu sens, jakoś je uporządkować.

Polska w ruinie, mówią. Co może być zresztą prawdą z ich punktu widzenia. Na co im studia – to już dobrze wiedzą, że na nic. Kariery, w których kulcie ich wychowywano, też nie dla nich. Staże za darmoszkę mają wiecznie robić? W Biedronce pracować? W Londynie na garach? Więc jakoś to sobie rekompensują – prężąc mięśnie na marszach ku pamięci żołnierzy wyklętych.

I jeszcze wyobrażają sobie, że należy im się za to szacunek. A tu co? Śmichy-chichy, lekceważenie. Chcą walczyć, siedzieć w podziemnym lesie, wrogów wciąż tropią, czujni są i napięci jak guma w pantalonach, tymczasem w świecie trzeba się dogadywać, chodzić na kompromisy, dogadywać. W dodatku te cholerne dziewczyny świetnie sobie radzą i zamiast wielbić jednego z drugim wojownika, kaptie mu podsuwać i schabowe pokornie smażyć, to o wiele lepiej w rzeczywistości się odnajdują. Boli? Musi boleć. A co więcej, koło się zamyka – bo olewani przez panny wyklęci tym głębiej zaszywają się w chaszczach i tym żałośniejszym tonem snują partyzanckie opowieści o tym, jak to kiedyś przywrócą porządek... No i przytulają się w tych swych ziemiankach – jak mówiłem – jak woj z wojem, jak to drzewiej, w imperium Lechitów bywało. Nadążasz, wujo? Dobrze mówię? Okej, rozgadałem się. A czemu ty mi się, wujo, tak przyglądasz?

Marek potarł grzbiet nosa.

– Wiesz, chwilami wyglądasz mi na smarkacza...

– Gówniarza?

– Tak jest. Ale za moment...

– Zamieniam się w słuch i drzę z niepokoju.

– No więc, odkrywam, że jakoś tam masz poukładane w głowie.

– Staram się, wujo, dużo czytam!

– Może za dużo?

– Tak sądzisz?

– Słuchaj, a czemu ty mnie właściwie polubiłeś? Wtedy, jak miałeś osiemnaście lat?

– Wujo, ja ciebie lubiłem zawsze!

– Jasne. Ale dlaczego?

– O ojcu chcesz posłuchać? Że odszedł?

– Zrozumiałem.

– Nie, słuchaj, to byłoby zbyt proste. Zresztą z ojcem jest w porządku. Wiesz, ty mnie wiecznie nie chwaliłeś. Matka, kiedy tylko dwa akordy na gitarze potrafiłem zagrać, uważała, że już zaraz słuchać mnie będą w radio. Pamiętasz, jak w czasie którychś świąt zagrałem. Spocony jak mysz, przejęty. I zaraz ochy i achy. Za to z tobą można było pogadać. Wciąż interesujesz się historią? Pamiętam, jak o pradziadkach opowiadałeś.

– O tyle, o ile.

– Dobrze to było, muszę wreszcie przeczytać te zapiski, o których wspomina czasem mama.

– Posłuchaj, Kuba, a ty jesteś z życia, ale tak ogólnie, zadowolony? – zmienił temat Marek, a właściwie wrócił do poprzedniego.

– Skąd! Słabo jest. Świat nie jest zbyt mądrze urządzony.

– Co byś chciał robić w przyszłości?

– Coś sensownego. Ale wiesz, różnie może być.

– Napijemy się jeszcze? Kawy?

Kiedy poszedł zamówić, przyjrzał się przy okazji krzątającej się przy ekspresie blondynce w krótkich białych spodenkach. Wszystkie zatrudnione tu dziewczyny takie nosiły, prezentując opalone nogi.

– Mówiłeś o dziewczynach – podjął zatem temat, wróciwszy z filiżankami. – Że nie chcą wojowników wielbić, nie chcą im usługiwać.

– Bo tak jest. W dziewczynach, wujo, nadzieja. Że się nie zgodzą być służącymi, że nie dadzą sobie wmówić, iż kiedyś, gdy siedziały cicho, bo głosu nie miały, a więc że wtedy było im lepiej: bo im świat wygodnie dla siebie urządzali panowie domu. Swoje dziewczuchy dziś wiedzą.

– No właśnie... – zawahał się Marek.

– Co: no właśnie?

– Ta, za którą pojechałeś, mówisz, pierwsza się tam przed szereg wyrывała. Coś więc chyba nie tak z tą twoją teorią.

Kuba oparł łokcie na kolanach, pokiwał głową.

– Rzeczywiście.

– To po co się w coś takiego ładujesz?

– Wiesz co, wujo, chodzi o smaczek. Ja ją przekabacę, zobaczysz. Taka jest hop do przodu, bo młoda, naiwna. Zresztą zapatrzyła się na pewnego cwaniaka z prawa. A to bęcwał, co wkrótce zostanie udowodnione.

– Tak? Bardzo jestem ciekaw. Będziesz za nimi jeździł i się łał?

– Jakoś bardzo się tego nie boję. Ale nie w tym rzecz.

Poznali się w kolejce, on jechał z politechniki, ona na Przymorzu usiadła naprzeciw niego. Poczuli, opowiadał, że oto stało się to, co od dawna miało się stać – o ile chce się wierzyć w opowiadki o połówkach pomarańczy. Zagadał. Dała się na kawę zaprosić, choć później drwiła ze złotoustego warszawiaka i traktowała go z wyraźną wyższością. Choć dumny był ze stolicy, to i do Gdyni zapalał wzmożoną nagle miłością. Po przyspieszonej przeprowadzce zajęcie znalazł sobie w barze przy plaży w Orłowie, a ona odwiedzała go tam. Z tym że z koleżanką przychodziła, bo sama, jak przyznała z zastanawiającym opóźnieniem, miała chłopaka. Ta koleżanka, owszem, była niczego sobie, jednak nie o nią Kubie chodziło. Na razie jedyne, co mógł, to na Fejsbuniu zabawne komentarze-zaczepki zamieszczać, nieco się tylko przy tym dziwiąc, że panienka niespecjalnie mądre strony polubiła. Chłopakiem się nie martwił. Aż wreszcie na spektakl na orłowskiej plaży próbował ją namówić, na co ona stwierdziła, że akurat tego popołudnia do Gdańska musi jechać. W ważnej sprawie. A w jakiej? Ideowej. O, ideowej – zdziwił się. A jakaż to mianowicie idea wchodziła w grę? Patriotyczna. Łał! – jego zdumienie wzrosło. Chętnie się przyłączę – zaproponował. Ty? – teraz to ona zrobiła wielkie oczy. Po czym wydeła pogardliwie usta. A jednak pojechał – przez koleżków poznanych po drodze

traktowany z góry. Na miejscu wydarzenia nabrały tempa, Mała – krzywił usta w poszukującym u Marka zrozumienia grymasie – Mała dała się ponieść rosnącej temperaturze spotkania, pokazała pazurki, wstyd mu było jak cholera – twierdził – ale interweniować w końcu musiał. Bo najpierw na dziewczynę naskoczyli podenerwowani interlokutorzy-emeryci, za nią ujął się z kolei ten jej niby-chłopak, popychanie się zaczęło, szarpanie, a gdy tamten, palant, wymierzył pierwszy cios – z płaskiej ręki, aż klasnęła na policzku jakiegoś studenta – wtedy zatem Kuba się włączył. Lecz nie, nie do obozu Małej dołączył, a przeciwnie, natarł na tych jej koleżków, zrobiło się poważnie, grubo, wiekowi zakonnicy ręce wznosili do nieba, renciści pierzchali, wkrótce Kuba na placu boju został sam, siła złego na jednego, więc choć do ostatniej chwili nie pozostawał dłużny, to jednak legł na polu chwały, legł w obronie, co podkreślał z przekąsem, liberalnej demokracji i wolności słowa.

Razem ich zresztą przyskrzynili, tylko Małej udało się zbiec razem z patriotami; na szczęście jeden z braci w kluczowym momencie również dał się ponieść emocjom, więc na komisariat, świadcząc ochoczo, przydreptali za nim inni ojcowie i prawda zwyciężyła, prawda o tym, kto zajście sprowokował, a kto stanął w słusznej sprawie, i można mieć było nadzieję, że rzecz się rozejdzie po kościach, nie będzie miała dla Kuby sądowych reperkusji.

– Jednak na razie o przychylności tej swojej Małej... – zawahał się Marek, a ostatnie ze słów z trudem mu przeszło przez gardło – marzyć chyba nie możesz?

– Sądysz? – Kuba uśmiechnął się nadspodziewanie drapieźnie i jako żywo przypomniał stryjowi dziadka, Krzysztofa Wilczyńskiego, który w identyczny sposób krzywił usta na zachowanych fotografiach. – Tak sądzisz? Bo ja wręcz przeciwnie: odszkodowania mam zamiar się domagać, zadośćuczynienia, najpierw w myślach, potem w słowach, a wreszcie w uczynkach.

– Taki jesteś pewny siebie?

– Nie po to się już w czerwcu przeprowadzałem. A wiesz – zmienił temat

chłopak, zamieszawszy najpierw w pustej filiżance, a potem oblizawszy łyżeczkę z resztki kawowej piany – wiesz, że jej stara otwiera restaurację?

– Skąd mam wiedzieć?

– Gdzieś tu, w Śródmieściu. Rodzinka jest, z tego, co się zorientowałem, lekko ą-ę.

– Właśnie. A co z twoją robotą? – zainteresował się wuj.

– No jak? Oszukali mnie. Napiwki napiwkami, ale oprócz tego normalną pensję mieli zapłacić. Taka była umowa.

– Na papierze?

– Papiery to ja musiałem mieć, z sanepidu, jak to w gastronomii. A podpisanie umowy przekładaliśmy. Wiesz, dobrze im z oczu patrzyło. Z tym że na koniec miesiąca rozmowa była już inna. Mniejsza z tym. W piątek przy Mściwoja mam zacząć, wiesz, bocznej od...

– Wiem.

– Wuj, a co z bieganiem?

– Poważnie cię to interesuje? Ja, owszem, u siebie czasem próbuję, po lasach. Przecież nie będziesz o świcie na Demptowo przyjeżdżał.

– Fakt – Kuba wcale nie wyglądał na zmartwionego.

– Tu możesz – Marek omiół gestem plażę i bulwar.

– Zobaczymy...

– A w ogóle już biegałeś? Próbowałeś?

– Jeszcze nie. Ale skoro wszyscy mówią, że to takie zdro...

Naraz znieruchomiał, wytrawnym gestem okulary podniósł na czoło i zaraz zmrużył czujnie oczy.

– Co się stało? – zapytał Marek, oglądając się przez ramię.

– He, he – zaśmiał się siostrzeniec. – O wilku mowa – skinął w kierunku stolika tuż przy samej spacerowej alejce. – Nie zauważyła mnie – szepnął i zgarbił

się, jakby chcąc stać się niewidzialnym.

– Kto?

– Mała.

– To jest ta twoja Mała? – jeszcze raz obrócił się Marek i teraz to on zamarł, zaskoczony.

– Otóż to. We własnej, cudownej osobie.

ROZDZIAŁ 3

KWAS

(DEOKSYRYBONUKLEINOWY)

Chwilę trwali: jeden w osłupieniu, drugi w namyśle. W końcu odezwał się Kuba:

– Sama siedzi. Czeka na kogoś. Podejść. A może ty ze mną? Żebym cię przedstawił? Albo nie: najpierw zagadam, pomachamy do ciebie. Potem się przysiadzimy albo ty dołączysz do nas.

– Nie idź – zdążył syknąć Marek, lecz chłopak ani się obejrzał.

A wujo spanikował. Nade wszystko nie chciał, by dziewczyna zdążyła spojrzeć w jego stronę. Poderwał się zatem i skrył za przeszklonym narożnikiem budynku. Stąd jeszcze raz rzucił okiem, upewnił się. Budząc zdziwione spojrzenia, przeskoczył barierkę i pobiegł przez piach. Byle go tylko Kuba z daleka nie zauważył i za nim nie wołał.

Wziął taksówkę, by jak najprędzej znaleźć się w domu – przed komputerem. Z auta wysłał esemesa: „Nie możecie być razem, przynajmniej na razie! Nie mów z nią o mnie, to poważna sprawa”.

Dość długo, denerwując się, czekał na odpowiedź. „Wujo, co z tobą? Upał? Udar?”

„Kubuś, nie żartuj. Jutro ci wszystko wyjaśnię. Jutro”.

Dziewczynki bawiły się na parkingu. Przywitał się z nimi w roztargnieniu. Justyna przy stole w kuchni porządkowała wakacyjne fotografie.

– Jesteś? – zdziwiła się. I od razu zaniepokoiła: – Wszystko w porządku?

– Doskonale – machnął ręką.
– A jednak jesteś zdenerwowany – przyjrzała mu się.
– Skąd – zaprzeczył. – Muszę tylko sprawdzić coś w sieci – ruszył do pokoju i swojego komputera.

– W sprawie Kuby?
– Z Kubą było tak, jak mówili rodzice – w kilku słowach streścił to, czego się dowiedział.

Przy laptopie spędził kilkadziesiąt minut. „Już wtedy powinienem to zrobić – zrywał się na siebie, prędko przebiegając wzrokiem kolejne internetowe strony. – Dziewiętnaście lat temu. Cholera, co teraz będzie?”

Z numerami telefonów zapisanymi na karteczce sięgnął po szorty i adidas.
– Przebiegnę się – oznajmił żonie.
– Patrz, jakie piękne ujęcie – obróciła głowę, wskazując na ekran.
– Rzeczywiście – zgodził się.
– Idziesz biegać? O tej porze?
– Inaczej do niczego nie dojdę – wypalił, aż ją zdziwiło to jego zaangażowanie. Dotąd nie zauważyła, by to swoje od wielkiego dzwonu truchtanie traktował serio, by miał jakieś związane z nim plany, jakiś cel, do którego niby teraz dążył.

Jeszcze wrócił do komputera i z pamięci wykasował historię oglądanych stron. Na wszelki wypadek – choć nie sądził, by małżonka miała go szpiegować.

Z telefonem w dłoni pobiegł w stronę lasu, skrył się między drzewami, przysiadł na skraju ścieżki. Dzwonił do laboratorium – bo tak to trzeba było załatwić, właśnie tak. Ponownie pytać Małą – cholera, Małą, matkę kolejnej Małej! – nie było sensu. Zresztą jak miałyby to wyglądać: przepraszam, ale po latach przypominałem sobie, że wciąż mam wątpliwości?

Kiedy połączenia natarczywie domagał się Kuba, nie odbierał, a potem

wyłączył telefon. Zastanawiał się. Oddzwonił dopiero po źle przespanej nocy (co z tego bowiem, że sprawa rozejść się mogła po kościach, jak przekonywał się przed snem, że może nie było powodu, by panikować, robić aferę? Na razie strach miał wielkie oczy).

– Wuj – w głosie siostrzeńca usłyszał niepokój. – Powiedz, o co chodzi! Co się stało?

– Powiem. W cztery oczy. Gdzie się spotkamy?

– W Kontraście?

– Koniecznie tam?

– Przecież wiesz...

– No właśnie wiem. Rozumiem, dlaczego tam cię akurat ciągnie. Dobrze – wyjrzał przez okno, lało od rana. Miał nadzieję, że dziewczyna nie bywa w knajpie codziennie, a zwłaszcza w taką pogodę.

Kiedy dotarł na miejsce, padać przestało. Po plaży snuły się w mglistej poświacie mroczne figury w kapturach na głowie. Z oddali zdawać się mogło, że to beduinki w czarnych hidżabach przemierzają pustynię na tle morskiej fatamorgany.

Na Kubę chwilę czekał – w mrocznym, chłodnym wnętrzu. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, aż podskakiwał na stołku.

Chłopak wyglądał na zmieszanego.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Słuchaj, ja się wczoraj obracam, patrzę, a ciebie nie ma. Rzucam okiem w stronę Riwiery, a ty gnasz, jakbyś przed kimś uciekał. Potem ten esemes...

– Słuchaj, ta twoja Mała... – Marek obliznął usta.

– Tak?

– Potrzebuję wymaz z jej ust – wypalił.

Kuba zmarszczył brwi.

– Wujo...

– To poważna sprawa. Wolałbym nie tłumaczyć, o co chodzi.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Wymaz. Może być na szczoteczce.

Chłopak zdawał się nie słyszeć ostatniej kwestii stryja.

– Jak to sobie wyobrażasz – powtórzył z naciskiem – że niby nie wytłumaczysz mi, w czym rzecz?

Marek zgarbił się, wlepił wzrok w podłogę.

– Pamiętasz – wyprostował się. – Znasz pewnie tę historię: że miałem się żenić, jeszcze przed Justyną...

– Coś słyszałem, piąte przez dziesiąte.

– Z Małą. Znaczy z matką Małej. Znaczy... twojej Małej.

Kuba gwizdnął. Ale i zaśmiał się nerwowo.

– Problem w tym, że ona wkrótce była już w ciąży. Podobno – przełknął ślinę – nie ze mną. Tak mówiła.

– Nie z tobą? Ale mogła być z tobą?

– Mogła.

– I teraz sobie o tym przypomniałeś?!

Marek milczał. Co miał chłopakowi tłumaczyć? Jakie to miało zresztą znaczenie, kiedy sobie przypomniał?

– I co teraz?

– Kubuś... To trzeba sprawdzić, nie denerwować się, spokojnie, bo może mnie nie okłamała. Lecz musimy mieć pewność. Lepiej żebyś nie szedł z nią do łóżka.

– Bylibyśmy kuzynami?

– W pierwszej linii.

– Takie rzeczy się zdarzają. Śluby.

– Chodzi o geny, Kuba. Jeżeli ojciec i matka mają te same wadliwe geny, może się to skończyć poważnymi wadami u dzieci. W tym rzecz, w niczym innym.

– Ładnie mnie urządziłeś.

– Ja? Gdzie tu moja wina? Znajdź inną dziewczynę, nie będzie problemu. W przeciwnym razie musimy poznać prawdę.

Dopiero teraz Kuba zamówił piwo. I wódkę.

– Wymyślasz – powiedział, wróciwszy do wysokiego stolika, przy którym siedzieli. – Wymyślasz, wujo, bo po co by ci miała dziewczyna kłamać? A jej facet? Nie jest ojcem? Niczego nie podejrzewał? Nie zainteresował się, nie sprawdził?

– Masz rację. Spanikowałem.

– Poważnie się przejąłeś.

– Tak.

Milczeli, Kuba przez ciemne kratownice okiennych ram zapatrzył się w stronę plaży i morza. Duży motorowy jacht wpływał pomiędzy falochrony, w przeciwną stronę szedł dymiący holownik.

– Wymaz z ust, powiadasz?

– Dzwoniłem, pytałem, wystarczy szczoteczka do zębów.

– A włosy, te sprawy?

– Szczoteczka pewniejsza. Mniejszy margines błędu.

– Tylko skąd mam ją wziąć? Poprosić? My się ledwo znamy.

– Właśnie tego się boję: że się poznacie bliżej.

– Istnieje coś takiego, jak antykoncepcja...

– Ja wiem. Masz rację. Niepotrzebnie robię aferę.

– Właściwie to ty mnie wpychasz do jej łóżka – naraz nerwowo zarechotał Kuba.

– W tym rzecz, przecież ci tłumaczę: żebyś się nie spieszył. Tobie na niej zależy, prawda? Wybaczyła ci awanturę?

– O, nie myśl, że tak od razu. Udawała wściekłą. Jej koleżkowie się ponoć na mnie zawzięli.

– Ale nie przepędziła?

– No właśnie nie! – ucieszył się Kuba, ale i zaraz spochmurniał.

– To ci pech – obaj westchnęli ciężko.

– Słuchaj – odezwał się po chwili Marek. – A ty tę jej matkę poznałeś?

– Skąd!

– Nieważne. Prędzej czy później i tak się wyda, czyim jesteś synem. Mała... Moja Mała – uściślił – znała przecież Aśkę, a i ciebie, niemowlaka, na rękach widziała. Tak czy inaczej wybuchnie afera.

– Sądziysz?

– Człowieku, od tej rodziny lepiej żebyś się trzymał z daleka!

Ryby miał kupić, Justyna prosiła, świeże, jak w Chorwacji. Powinien był najpierw do hali pojechać, ale w korku stanął, potem spieszył się na spotkanie. Zatem dopiero skręciwszy z placu Kaszubskiego w górę Jana z Kolna, wypatrywać zaczął miejsca do zaparkowania.

Justyna. Musiał o wszystkim jej powiedzieć, nie okłamywał żony. Ale czy wcześniej wspomniał kiedykolwiek o tragikomicznym epilogu swej poprzedniej miłości? Nie pamiętał, chyba nie. Teraz muszę – przekonywał się w myślach, przygotowywał do niełatwej rozmowy.

Znalazłszy cudem wolne miejsce, wbił się w nie, w hali krótko przyglądał się śniętym resztkom z porannych połowów. Wychodząc, spojrzał w stronę dawnego Domu Kultury Kolejarski. Tam teraz mieścił się sąd, wydziały wypchnięte z gmachu głównego. Pamiętał, jak Aśka chodziła do Kolejarskiego na koncerty. Zazdrościł jej wtedy.

Zajrzał do środka – tak jest, intuicja nie myliła go. Wydział rodzinny, proszę bardzo. Bo to chyba rodzinny będzie wchodził w grę – zastanawiał się – jeżeli test wypadnie pozytywnie? Zresztą wydział wykroczeń również w tym budynku miał siedzibę, a kto wie, czy nie dojdzie do znieważeń lub rękoczynów – gdy sytuacja dla zainteresowanych okaże się zbyt wielkim szokiem i gdy emocje wymkną się spod kontroli.

Odtąd czekał, niby cierpliwie, licząc na to, że Kuba potraktuje sprawę poważnie. Próbował też rzecz lekceważyć, nie pamiętać o niej. Niekiedy się udawało.

Tymczasem zaktywizowała się Aśka. Co rusz wydzwaniała, rodziców postawiła na baczność, już czekali, aż sprowadzi się, zamieszka na początek z nimi, nim sobie coś znajdzie – a tego była pewna – najważniejsze, śmiała się, to przetrwać pierwsze tygodnie. Rodzice cieszyli się na jej niespodziewany powrót, tak przynajmniej twierdzili, choć i wciąż po trosze weń niedowierzając.

– Marek – telefonowała zatem. – Marek, a ty mi czegoś nie pomożesz znaleźć?

– W porcie? – dziwił się. – Złom chcesz przeładowywać? Wózkiem widłowym jeździć?

– No, weź, nie żartuj. Znasz chyba kogoś w tym mieście?

– Asiu, co ja mogę, jestem małym żuczkiem.

– No tak – zgadzała się aż nazbyt skwapliwie. – Ale czymś się tam u was jednak handluje, prawda?

– Aśka, a ty znów przy winku siedzisz? – zmieniał temat, bo długie pauzy i zawahania w jej głosie coraz częściej go niepokoiły.

– Butelkę kończę – odpowiedziała. – Na dwa palce zostało.

– Uważaj na siebie, proszę cię. Może to i dobrze, że wrócisz?

– Oj tam, oj tam. Ty, a podobno Kubuś zakochany!

– Skąd wiesz? – przeląkł się.

- Od mamy. Ale i sama go podpytałam.
 - Powiedział ci, w kim?
 - W dziewczynie, a w kim? Nie powiedział, w jakiej. Ty ją znasz?
 - Nie.
 - To czego się przestraszyłeś?
 - Wydawało ci się, Aśka, wydawało. Słuchaj, ktoś jeszcze się do mnie dobija, muszę odebrać, w pracy jestem.
 - Jasne. Odezwę się.
 - Nie wątpię. A właściwie to kiedy masz się zamiar przeprowadzić?
 - Mam nadzieję, że już w październiku.
 - Okej, kończę, pa!
- Spojrzał na wyświetlacz.
- Kuba? Oddzwonię za pięć minut.
 - Mam – zdążył powiedzieć chłopak.
 - Masz?
 - To, co chciałeś...
 - Czekaj, oddzwonię, nie rozładuje ci się telefon, odbierzesz?
- W tej chwili musiał wyjść z biura i rzucić okiem na załadunek, który trwał od świtu – przy ciągłym warkocie powracających ciężarówek, a teraz, po zmierzchu, w ostrym świetle reflektorów.
- Masz? – oddzwonił zatem nieprędko. – To, co chciałem?
 - Szczoteczkę.
 - Rany, jakim cudem?! Czy wyście...?
 - Wuj, do grobu mnie wpędzasz, do kombinacji zmuszasz, a wreszcie o intymne szczegóły podpytujesz. Opowiem, kiedy się spotkamy.
 - W barze siedzisz? Przyjadę natychmiast.
 - Przyjedź przed pierwszą, niech się tu rozluźni.

– Nie zgubisz?

Kuba zaśmiał się.

– Słuchaj, klientów mam, nie mogę rozmawiać, wpadnij.

Zastanowił się. Na placu i nabrzeżach nic nie powinno się wydarzyć. Po raz kolejny przejrzał papiery, choć pewien był, że wszystko jest w nich jak należy.

Przed pierwszą poprosił na słowo jednego z chłopaków.

– Muszę wyskoczyć na dwa kwadransy. Poradzicie sobie?

Wyskoczył. Cichymi ulicami przemknął w okamgnieniu, jeszcze jadąc, wybrał numer siostrzeńca.

– Nie wejdiesz? – zapytał ten.

– Wyjdź ty, spieszmy się, bo ja także mam ruch w interesie.

Nie wysiadł, czekając za to, aż Kuba wgramoli się do auta.

– Pomyśli ktoś – rzekł chłopak – że dragi mi tu przywiozłeś. Ful serwis, z dostawą na miejsce.

– Skąd ją masz? – Markowi nie w głowie były żarty. O szczoteczce myślał.

– Spójrz – Kuba podsunął mu przezroczyste pudełeczko. – Elegancko zapakowane, sterylnie, jak w kryminalnych zagadkach CIA.

– Aż cztery? – zdziwił się wuj.

Kuba chrząknął.

– Potrzebna była grubsza akcja, wuju. Powiedziałem, że dorobić mogę w reklamie. Wiesz, jak to my, warszawiacy, nam zlecenia jedzą z ręki. Tylko zdjęcia potrzebuję zrobić, powiedziałem, pięknej modelki z konkretnym produktem na tle morza, molo i plaży.

– Nie żartuj!

– Mówię, jak było. Poszliśmy na tę plażę, nastroiliśmy fotek. Urocze popołudnie. Tyle że one jak zwykle we dwie były.

– Dwie? I obie fotografowałeś?

– Niestety.

Marek przyjrzał się pudełku, a w nim kolorowym szczoteczkom.

– Nie pomyliłeś się?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Słuchaj, wujo, dla mnie to także ważna sprawa. Może i ważniejsza niż dla ciebie?

Spojrzeli sobie w oczy.

– Dobrze, wierzę ci, bo muszę.

– Tylko wiesz, te szczoteczki za darmo nie były... A ja, biedny student...

– Ile?

– Coś ty, żartowałem! Wujo, nie bądź taki spięty.

Kiedy już wysiadał, Kuba zatrzymał się, obrócił.

– Zawiesz je? Czy wyślesz? Dokąd?

Marek zawahał się.

– Na Obłuze. Jeszcze nie zdecydowałem.

– Pewnie, bo co by było, gdyby się okazało, że tam akurat jakaś twoja sąsiadeczka pracuje. Albo kumpela z dawnej klasy. A ile to może potrwać?

– Od kilku do kilkunastu dni.

– Oblejemy to później, co? Na wesoło lub na smutno.

Cholera, a na placu akurat zerwała się lina dźwigu. Prasnęła o beton z wysoka i rykoszetem nieomal uderzyła jednego z chłopaków. Mogło nie być czego zbierać!

Zdenerwował się. Wypadkowi zaradzić by nie mógł, jednak nie było go na placu, kiedy być powinien.

– Chłopaki, napijemy się pojutrze dobrej whisky, niech to się wreszcie skończy – obiecał, ocierając pot z czoła. – Zawału dostanę – przestraszył się

jeszcze, mając na uwadze także i to, że w odstępie kilkudziesięciu minut umówił się na aż dwie popijawy.

Kiedy nad ranem, po zmianie, wrócił do domu, opowiedział o wszystkim Justynie. O wypadku, ale z marszu o dawnej ciąży Małej i o zamieszaniu, jakie wynikło z tego po latach.

– Pamiętam, opowiadałeś – pokiwała głową. W jej głosie wyczuł niestety nutę niepokoju, a prócz tego i cień niechęci, z jaką podejmowała temat.

– Nie sądzę, żebyś miał podstawy się martwić – uznała na koniec poważnym tonem. – Jednak test zrób – zgodziła się. – Przede wszystkim dla Kuby i dla tej dziewczynki.

Przez następne dni do sprawy nie wracali. Czekali w napięciu. Teraz już we troje – Marek, Kuba i Justyna.

ROZDZIAŁ 4

QUI PRO QUO, CZYLI KOCHAJMY SIĘ!

Zaszczyciwszy rodzinę swym powrotem, Aśka wprowadziła w jej życie niemałe zamieszanie. Tak jak zaplanowała, zamieszkała u rodziców, pokojów ci mieli dostatek. Tyle że męczyć ich mogła jej aktywność, długie godziny spędzane w łazience – i rano, i wieczorem – nerwowe kawy wypijane w kuchni, ciągle gadanie, ciągle planowanie. Także Kuba w swej kawalerce dwa piętra wyżej poczuł się mniej komfortowo.

Facet, który miał kupić mieszkanie w Warszawie, ostatecznie się wycofał, sprawy się pokomplikowały, wciąż pozostawał do spłacenia kredyt, a i ewentualne rozliczenia z Maćkiem. Znalazł się na szczęście ktoś, kto chciał wynajmować – jednak kursować musiała z tego powodu między Gdynią a stolicą, cud, że dała się przekonać, by trasę niekoniecznie pokonywać autem.

Kwestia znalezienia zatrudnienia w Trójmieście także mocno ją angażowała, wciąż snuła nowe wizje i wpadała na kolejne pomysły, pukała do drzwi, odnawiała znajomości. Krewni dziwili się, że nie szuka dla siebie miejsca w lokalnym oddziale swej ostatniej warszawskiej firmy, na co tylko wzruszała ramionami. Tak się jej bowiem niestety spieszyło, że rozstała się z szefami w niejkiej niezgodzie, zostawiając za sobą bałagan niezrealizowanych planów.

– Kiedyś uporządkowana – troskała się Anusia w rozmowach z synem – a dziś? Wcielenie chaosu! Ja jej mówię: córuś, nie chwytaj tysiąca srok za ogon, skup się na jednym, przede wszystkim nie musisz się spieszyć. Ona zaś

wieczorem potakuje, a rano znów o czymś nowym. Nie wiem, co to z tego będzie...

Wreszcie jedno z widm nabierać zaczęło kształtów.

– Robokor – mówiła. – Facet roboty przemysłowe produkuje, wedle własnego pomysłu, zakłady ma przed Chwaszczynem, piękne hale. A wiesz, że zaczynał od zera?

Marek kiwał ze zrozumieniem głową.

– Nie on jeden – komentował, przypominając sobie swego niedosłego teścia.

– Helikopter ma. Sam pilotuje. Dorobił się – gorączkowała się tymczasem Aśka. – Jemu trzeba pomóc jeszcze bardziej biznes rozkręcić, na targach bywać, czuję, że się sobie spodobamy.

– A ile on ma lat, ten prezes? – wtrącała Anusia.

– Mamo, to starszy pan! – Aśka śmiała się. – Żonaty, dzieciaty, z wnukami – dodawała, rozwiewając nadzieje matki.

A Marek właściwie siostry unikał. Trudno było z nią pogadać, wciąż przeskakiwała z tematu na temat, po każdym spotkaniu miał wrażenie, że pęka mu głowa.

Pierwszego listopada mimo wszystko wspólnie pielgrzymowali od grobu do grobu. Dbała o to Anusia: by wokół pomników Krzysztofa, Antoniego i Łucji, ale również Konstantego na Grabówku, stawać w miarę możliwości całą rodziną. Nieważne zatem, czy wiało, padało, czy nawet zacinało pierwszym mokrym śniegiem – ramię w ramię wędrowali zatłoczonymi alejami, baczyli, by nie gubiły się dziewczynki, lawirowali wśród mogił.

Okalające gdyńskie cmentarze lasy o tej porze roku prezentowały się szczególnie dumnie, dostojnie, w swych królewskich, złotych, choć i przetykanych rdzą szatach. Liście szeleściły pod nogami, w powietrzu unosił się ów szczególny zapach milionów palonych zniczy, wśród drzew niosło się echo

metalicznie zniekształcanych przez głośniki modlitw i śpiewów.

Nad grobem Konstantego, gdy Kuba z uwagą słuchał opowieści Anusi, a i Justyna cicho tłumaczyła coś dziewczynkom, Aśka zaproponowała bratu, by razem z nią wybrał się na przyjęcie wydawane przez owego bogacza od robotów i śmigłowca.

– Ja? – zdumiony obrócił głowę. – A tam po co?

– Zrozum: zostałam zaproszona z osobą towarzyszącą. Nikogo nie będę знаła, ludzi ma być sporo, zgódź się. Zresztą ja już powiedziałam, że przyjdę z bratem.

– Z bratem? Dlaczego nie z mamą? – ironizował Marek.

– Żartowniś się znalazł – obraziła się. – Poza tym to nie będzie spotkanie biznesowe, tylko impreza urodzinowa, facet sześćdziesiąt sześć lat kończy, o czymś to chyba świadczy, że mnie zaprosił, rozumiesz, niby jesteśmy dogadani, że będę dla niego pracować, ale mimo wszystko mnie zaskoczył. Nie zepsujmy tego, braciszku!

Zgrzytnął zębami.

– Kiedy to ma być?

– W przyszły piątek.

Zawahał się, zastanowił. Szukał w myślach wymówki, której Aśka nie mogłaby nie ulec.

– Prawdopodobnie będziemy mieć statek – spróbował skłamać, co jednak nie wypadło nazbyt przekonująco.

– Co ci szkodzi? – w sukurs córce, wyczuwając intencje syna, przyszła Anusia. – Pójdź, Asi będzie raźniej.

Spojrzał na żonę.

– Idź – ona również pokiwała głową. Podobnie jak ojciec. I tylko Kuba uśmiechał się tajemniczo.

W rzeczony piątek to Justyna z dziewczynkami pojechała na basen przy Tatrzańskiej, Marek zaś stawił się na Bema.

– No, elegancko! – ucieszyła się Aśka na widok jego marynarki i błyszczących półbutów, po czym na dłuższy czas zaszyła się w łazience. Po wyjściu wbiła się w szpilki i poprosiła, by zamówił auto.

– Taksówkę? – zdziwił się. – Przecież to ledwie parę kroków. Nigdy w życiu takiego odcinka nie jechałem taksówką – zrzędził. – Przejdźmy się, przy okazji pogadamy.

Rzeczywiście: do przebycia mieli trzy czy cztery przecznice, a dzień, nim zaszło słońce, był słoneczny, ciepły.

– Obcasów sobie, mam nadzieję, nie połamię – teraz to Aśka narzekała, a jednak dała się przekonać.

Na Świętojańskiej wiało, aż musieli się zgarbić, pochylić głowy, i napiąć ramiona, by stawiać czoła gwałtownym podmuchom.

Przyjęcie odbyć się miało w restauracji przy skwerze Kościuszki. Sporo się ich zresztą, restauracji, ostatnimi laty otwierało, niemal tyle, co oddziałów banków. Bo wcześniej, po epoce aptek i całodobowych monopolowych, nic, tylko banki, oddział przy oddziale, rozpanoszyły się, rozpleniły, przestronne, dobrze oświetlone, z wszystkimi tymi panienkami w mundurkach nowej epoki, w żakietach i z chusteczkami wiązanymi pod szyjami. Te panienki pachniały z daleka, ale i nudziły się widocznie. Idąc ulicą, przez przeszklone witryny często przyglądał się ich pochylonym przed ekranami głowom, pasjanse układają – zgadywał, fejsbukowe badziewie bez większego zainteresowania przeglądają, marząc, by kolejny dzień wreszcie się skończył, by mogły to swoje bankowe, finansowe uzależnienie porzucić i choćby na kilka wieczornych godzin wyjść z roli wzbudzającej zaufanie kredytowej kusicielki, zajmując się za to rodziną, czy też po prostu spędzając czas ze znajomymi, drinki pijąc i śmiejąc się z kretyńskich, sprzecznych ze sobą wytycznych z centrali.

Bo też napić się nareszcie było gdzie, a przede wszystkim zjeść. Nęciły z szyldów naleśniki, pierogi, kebaby, dania greckie, tureckie, o włoskich nie wspominając, gruzińskie, ormiańskie, hiszpańskie, amerykańskie, meksykańskie czy ukraińskie. Ile się człowiek wcześniej musiał nachodzić, by znaleźć miejsce godne zaufania, jakie to było święto zjeść obiad czy kolację na mieście. Bo drogo bywało, pretensjonalną wykwintnością odstraszało, a kiedy jakiś lokal już dawał się polubić, to prędko znikał, wymieciony srogą ręką rynku. Koło się zamykało – niedoceniane knajpy podnosiły ceny lub nadmiernie oszczędzały, więc ludzie je omijali, a te wtedy padały, więc bywalcy nie zdążali zostać bywalcami, bywanie nie wchodziło im w krew, zaś do nowych miejsc podchodzili nieufnie; ale do czasu, jak widać, bo wreszcie rynek okrzepł, wreszcie cienkie piwa wypijane li tylko przy chipsach przestały być atrakcją, biurowa klasa średnia wyrobiła się, rozsmakowała; zaś głodna, nienasycona zdawała się być wiecznie.

– Co to w ogóle za miejsce? – myśląc o kulinarnym rozkwicie Śródmieścia, krzyknął wreszcie wbrew wichrowi, bo naraz pomyślał z nadzieją, że może zje coś dobrego i że wieczoru nie trzeba będzie uznać za stracony.

– Właściwie to jeszcze żadne – pokrzykiwała, nachylając się ku bratu. – Otwierają oficjalnie za tydzień, dzisiaj to taka próba generalna.

– Otwierają? – tknęło go, przeszło niejasnym w pierwszej chwili podejrzeniem.

– Tak, z opóźnieniem, długo urządzali wnętrza. To znaczy córka prezesa urzędowała, bo to jej.

– Córka? Prezesa? – stanął, chwycił siostrę za ramię. – Ty, a jak ten twój prezes się nazywa?

– Korzeniowski – odparła.

– Chyba cię...! – wściekł się. – Korzeniowski?!

– A nie mówiłam ci?

– Oszalałaś? – zawołał. – Przecież Korzeniowski, Andrzej Korzeniowski...

Przecież jego córka to... Mała!

– Mała? Od Kubusia? – Aśka zrobiła wielkie oczy. – Nie żartuj!

– Od jakiego Kubusia, do cholery?!

Nareszcie zrozumiała.

– Ale jaja! – wybuchnęła śmiechem. – Nie skojarzyłam, zapomniałam, to dość popularne nazwisko.

– Nie idę – wbił ręce w kieszenie płaszcza i rozejrzał się, jakby szukając kierunku, w którym miałby pójść, byle nie z Aśką, przed siebie.

– Kurczę – przyglądała mu się, teraz, owszem, nieco skonsternowana. – Weź, nie żartuj! Chodź, tym bardziej może być ciekawie.

– Ciekawie? Żartujesz? Ja się z tym człowiekiem nieomal nie pobiliśmy. Zresztą: jak to sobie wyobrażasz?

– Tam będzie mnóstwo ludzi.

– O rany, Aśka, nie męcz. Nie idę.

– Chodź, proszę cię! – pociągnęła go delikatnie za łokieć, a on mimo wszystko posłusznie dał się poprowadzić.

– A Kuba nie skojarzył? – zapytał.

– Co miał skojarzyć?

– Nieważne – burknął.

Bo mógł, Kuba mógł skojarzyć – jeżeli Aśka powiedziała mu, że wybiera się do czekającej dopiero na otwarcie restauracji. A więc, że pójdą, Aśka z Markiem, prawdopodobnie do lokalu matki jego, Kuby, Małej. No i że ona, Aśka, ubiega się tym samym o pracę u dziadka swej potencjalnej synowej. Co za galimatias, jaka piękna żałoba!

A jednak szedł u boku przyspieszającej kroku Aśki. Jak baran na rzeź – uznał. I znów miał ochotę zawrócić.

– Ty im o mnie nie mówiłaś?

– O czym miałam mówić? Powiedziałam, że przyjdę z bratem, specjalistą od logistyki. Prezes się zainteresował.

– Rany, jakiej logistyki?

– Portowej.

– Aśka, ty kłamiesz, zmyślasz. Nie boisz się? Że cię przyłapią? O wszystkim tak lekko papłasz?

– Marek, zrozum, z ludźmi inaczej się nie da. Ważne, by się tobą zainteresowali.

– Wiesz, że ty taka nie byłaś?

– Jaka?

– Beztroska.

Prychnęła. Lecz prędko minął jej gniew.

– Czym mam się przejmować? Będzie, co ma być. Chodź, patrz, to już blisko – wskazała na nieodległą pierzeję dumnych kamienic.

Kiedy się zbliżyli, już prawie stanęli u celu, jeszcze raz wstrzymał pęd siostry.

– Posłuchaj, cudów nie ma, nie wierzę w zbieżność nazwisk. A to znaczy, że zaraz spotkamy Małą, moją Małą. Kuba już jakiś czas temu wspominał, że ona zamierza otworzyć knajpę. A skąd Kuba o tym wie?

– No właśnie?

– Uważaj, trzymaj się. Otóż matka jego Małej to właśnie moja Mała. Rozumiesz?

Tymczasem dostrzeżono ich. Stary, znaczy prezes, pomachał Aśce przyjaźnie z wnętrza rozświetlonego lokalu. Siwy już był, srebrną, starannie przystrzyżoną brodę dostojnie obnosił, pod nią chabrowy fular. Pomyślałby kto: starszy pan z reklamy ubezpieczenia na życie.

– Wchodzimy? – zapytała Aśka, nie mając już czasu skomentować ostatniej rewelacji brata.

– A co możemy zrobić? – syknął. Niech się dzieje, co chce.

Stara na ich widok zrobiła wielkie oczy.

– Oto pani Joanna, opowiadałem ci, myszko, o niej – przedstawił żonie prezes Aśkę.

– A to mój brat – ta dopełniła formalności.

– My się przecież znamy – stary niedoszłemu zięciowi przyglądał się z ciekawością.

– Dawne dzieje – wymamrotał Marek. – Dzień dobry – uklonił się też pani matce.

– Dobry wieczór – przełknęła ślinę.

– Córeczko, spójrz!

Mała również przyglądała im się z niedowierzaniem.

– Co za zbieg okoliczności...

– Właśnie, doskonale powiedziane – prędko podchwycił Marek.

Na szczęście już inni z zaproszonych pojawiali się w progu, od nich zaś, rodzeństwa nie z tej bajki, kelner odebrać chciał płaszcz. Prędko oddali się w jego ręce, a potem mrugając do siebie porozumiewawczo, spróbowali rozplątać się w tłumie. Aśka sięgnęła po kieliszek, Marek szukał wody.

Gości zebrało się sporo. Stołów nie dostrzegł wielu i tylko na niektórych salaterki i półmiski. Impreza miała zatem mieć charakter bufetu stojącego, tak, by nie skazywać biesiadników na wielogodzinne męczarnie przy stołach, ale by pozwolić im do woli zmieniać rozmówców. W kolejnej sali cichutko przygrywał didżej z tlenioną grzywką i w okularach z czerwonymi oprawkami.

Na wielkich fotografiach na ścianach Marek rozpoznał Castel del Monte – zamek Fryderyka II Hohenstaufa i domniemany pierwowzór biblioteki z *Imienia róży*. Obok – trulli, charakterystyczne, wieńczone stożkowymi dachami domki z Alberobello i okolic. Zdarzyło mu się pewnego razu wybrać w tę okolicę

w podróż palcem po mapie – odtąd marzył o wyjeździe do Apulii, na sam koniuszek obcasa włoskiego buta.

W sumie lokal wyglądał w zamyśle na śródziemnomorski, tymczasem na półmiskach królowały śledzie, sałatki, pikle, wędliny.

– Mało ci niespodzianek? – zapytał siostrę, odnalazłszy ją przy barze.

– Co masz na myśli?

– Zerknij, czy to aby nie Tomek? – odpowiedział pytaniem, wskazując w głąb sali.

Ojej, Tomek, nie kto inny! On także ich rozpoznał, zauważył, zawahał się.

– Uszczypnij mnie! – poprosiła.

– Chciałaś, żeby było ciekawie – szepnął, odstawiając szklanekę na blat.

Lecz nie zdążyli do siebie podejść, przywitać się wśród pełnych zdziwienia, ale i mieszania gestów, bo oto głos, ponownie witając przybyłych, zabrał gospodarz wieczoru.

Aśka ze starym:

– Piękne przyjęcie, widać, że bardzo pana w mieście cenią.

– Co zrobić, droga pani, udziela się człowiek tu i tam.

– Zastanawiałam się nad koncepcją targów w Mediolanie. Myślę, że warto pomyśleć również o Stanach.

– Konkurencja. Japończycy, Koreańczycy...

– Jeżeli pan pozwoli, spróbuję mimo wszystko wykonać analizę rynku.

Poznałam Azjatów. Mają i słabe strony.

– Poznała pani?

– Paru słów się przy okazji nauczyłam – szerokim gestem odrzuciła włosy, błysnęła uśmiechem.

Dotknął jej ramienia, nachylił się.

– Jesteśmy umówieni, prawda?

- Mam nadzieję, że nic się w tej kwestii nie zmieniło.
- Dogadamy się. Z pewnością. Czuję to. A teraz pozwoli pani...
- Oczywiście.

Marek z panią matką:

- Panie Marku, miło pana znowu widzieć.
- I pomyślałby kto, że kiedyś mówiła mu po imieniu, a on ją tytułował mamą.
- Mnie również przyjemnie. Musi być pani bardzo dumna z córki?
- Łypnęła czujnie – czy aby nie drwi?
- A panu jak się w życiu ułożyło?
- A wie pani, że świetnie?
- Bardzo się w takim razie cieszę. Co za spotkanie! Esencja koincydencji!

Gość do gościa:

- Z prezesem rozmawiałeś?
- Prałat mi tyłek zawrócił.
- Aaa... Żeby nam się tylko udało dopchać. Diabli nadali tę całą skarbówkę!

Stary z Małą:

– Tato, a więc to właśnie jest ta wspaniała pani menedżer, o której wspominałeś?

Obrócił się ku córce.

– Tak, córuś, właśnie, siostra Marka, kto by się spodziewał? Ty ją znałaś, prawda?

- Oczywiście. Co o niej sądzisz? Wpuścisz ją do firmy?
- Wrażenie robi świetne. Muszę się zastanowić.
- Nie skojarzyłeś nazwiska?
- Ona nosi, zdaje się, po mężu.

– No tak, prawda. Lubiłam ją. Zdjęcia na jej ślubie robiłam. Małe to miasto. Ciekawe, czemu wróciła?

Tomek z Markiem:

– No i zobacz, potrzeba było urodzin prezesa Korzeniowskiego, żebyśmy się spotkali.

– Prawda, po tylu latach. Nie takie małe to miasto, jak mówią.

– Dobrze go znacie?

– Gospodarza? Długo by gadać – zaśmiał się Marek. – Kiedyś nieomal zostałem jego zięciem. Dawne dzieje. A ty skąd go znasz?

– Bywa u nas w urzędzie. Ostatnio dość często.

– W urzędzie? To co porabiasz, Tomek?

– W wydziale architektury się zaczępiłem. Osiem lat temu – westchnął.

– O, to w porządku. Chyba?

– A ty?

– Pływałem, teraz nie pływam. Żona, dwie córki.

– A Aśka? – Tomek zająknął się, albo tak się tylko Markowi wydawało.

– A wiesz, że właśnie wróciła po latach z Warszawy. Rozwiodła się.

– Tak?

– No.

– Bywa. Spróbuj tej sałatki – podpowiedział urzędnik, widząc, że rozmówca nie potrafi się zdecydować. – Niezła.

Kucharz z kelnerem:

– Ale się wkurzyłem, człowieku!

– O co chodzi?

– Bigos mieszam!

– No i dobrze, mieszaj.

– Tylko że ja się nie do byle jakiej, ale do włoskiej kuchni zatrudniałem! Mieczniki mieliśmy podawać, tuńczyki, antipasti, carpaccia!

– Będą... w karcie.

– Będą! Ale dzisiaj mieszam bigos. – Aż huknął warząchwią o krawędź gara i mało mu do niego nie wpadła wielka biała czapa. – Wkurzyłem się, mówię ci, nie wiem, czy tego wszystkiego nie rzucę!

Mała z Markiem:

– Miło cię widzieć.

– I nawzajem. Piękne miejsce.

– Wiesz, tato trochę pomógł.

– Domyślam się. Znaczy nie! – poprawił się prędko, nie chcąc, by Mała zrozumiała, iż nie widzi w niej faktycznej właścicielki restauracji, a tylko córunię bogacza. – Chodzi mi o to, że sporo tu, widać, włożyliście.

– To prawda.

– Apulia.

– Kocham.

– Aż tak? Ja się wciąż wybieram, lecz wybrać nie mogę.

Aśka z Tomkiem:

– Tomek, wciąż nie mogę uwierzyć, że to ty! A wiesz, że Korbę kilka miesięcy temu spotkałam? Mówił o tobie.

– Korba? O mnie? Co mówił?

– Prawda – zachichotała. – Powiedział, że nie utrzymujecie kontaktów... Co u ciebie?

Mała z Markiem:

– Ale tego się nie spodziewałam...

– Czego?

– Że wpadniesz na taki pomysł.

– Jaki pomysł?

– Żeby zrobić ten test DNA. – Uniosła kieliszek do ust.

Zdębiał. Spocił się.

– Skąd wiesz?

– Obraziłeś mnie tym, muszę ci powiedzieć. Wściekłam się, uwierz. Bo nie od razu zrozumiałam twoje właściwe intencje.

– No, tak, tak – nie potrafił znaleźć słów, by się wytłumaczyć, wybrnąć z sytuacji. Kiedy wszystko dobrze się skończyło, kiedy spadł mu kamień z serca, miał nadzieję, że to koniec tematu, że już nie będzie musiał do niego wracać. Tymczasem, proszę, Mała wiedziała o wszystkim. Właśnie, cholera, ona.

– Ale skąd się dowiedziałaś? Powiedz!

– Kubuś się wygadał.

– Bałwan! Tobie?

– Wiele go to, widać, biedaka, kosztowało. I musiał to z siebie wyrzucić.

– Ale że tobie powiedział? Aż w takiej jesteście komitywie?

– No nie, oczywiście, że nie mnie, Zuzi. A my nie mamy między sobą tajemnic.

– Bałwan! – powtórzył.

Zaśmiała się, jak przed laty. Aż go przeszedł dreszcz.

– Dlaczego?

– Przecież mnie skompromitował – jęknął Marek.

– Chciałeś dobrze, ja to rozumiem. Ale z początku, powiem ci, myślałam: co za świnia, dorwę i zabiję! Darek też się wściekł.

– Głupio wyszło.

– Grunt, że dobrze się skończyło.

Aśka z Tomkiem:

– A więc chłopiec i dziewczynka, mówisz? Super. Mój Kubuś już studiować zaczął. Tu, na politechnice.

– A ty się przeprowadziłaś?

– Z Korzeniowskim mam pracować, więc...

– Proszę państwa! Zupa z żółwia! Proszę ustawiać się w kolejce!

– Łał, z żółwia?!

Kucharz z kelnerem:

– Dobrze i tyle. Porządna zupa, nie kapuśniak. Szefowa się uparła. A ty, co tam popijasz?

– Wina w butelkach pozostawiali.

– Jak to pozostawiali? Przecież do kieliszków miałeś rozlać.

– No i właśnie w butelkach zostało.

– Ha, ha, cwany jesteś! Dawaj, sam nie pij, to niekulturalne – kucharz zarechotał gardłowo.

– A dobra ta zupa?

– Pierwszy raz robiłem.

– Z żółwia?

– Obok żółwia, mój drogi, to nawet nie leżało! Widzę, że jeszcze sporo się musisz nauczyć.

Ksiądz. Oraz Marek ze starym:

– ...jednakowoż ideologia multi-kulti nie sprawdziła się.

Zgrzytnął zębami. Wdawać się w dyskusję czy lepiej nie?

– Nigdy się tak nie wstydzilem. – A jednak nie potrafił się powstrzymać.

– Za co, panie Marku?

I co teraz? Wyrzucić z siebie z dawna wezbraną złość? Diabli nadali klechę, który przerwał im rozmowę o zupie, a usłyszawszy, że Marek pływał, zechciał wyrazić swą opinię na temat stanu cywilizacji zachodniej.

– Tego, że jestem Polakiem, nigdy się tak nie wstydziłem. Kiedy wylał się ten jad, to gadanie o ciapatych brudasach, gwałcicielach. Owszem, nie przyjmujemy uchodźców, skoro się ich boimy. Jednak przy okazji szambo wybiło! Przecież ci ludzie uciekali przed wojną! Myśmy też uciekali, wstyd przypominać oczywistości, weźmy polskie dzieci w czasie wojny przyjmowane w Iranie, Indiach, Meksyku...

– Jednakowoż... Jednakowoż nie porównujemy przedstawicieli cywilizacji miłości z...

– Panowie wybaczą, zostawiam panów.

Odszedł. Na tyle starczyło mu zimnej krwi. Inaczej kto wie, do czego by doszło.

– Co za człowiek! Dziwoląg!

– Może wypił za dużo?

– Oto, jak działa dyktat politycznej poprawności! Za naród się wstydzi! Ofiara żydowskiej pedagogiki wstydu!

– Żydowskiej, powiada ksiądz?

Nim odpowiedział, duszpasterz zakręcił paluszkami młynka na wydatnym brzuszysku.

– Powiem panu prezesowi w zaufaniu – rozejrzył się czujnie, młody jeszcze, trzydziestokilkuletni – iż bywam judeosceptyczny.

– Ma się rozumieć.

– Chmurami nas trują. Z samolotów.

I wtedy, jakby jeszcze mało było zamieszania, w drzwiach stanęli Kuba ze swoją Małą.

– Więc nasz Kubuś to pani syn? – dziwiła się pani matka po raz kolejny tego wieczoru, patrząc to na Aśkę, to na córkę, to na wnuczkę i jej kawalera.

Cóż, inaczej być nie chciało. Tak, Kuba był synem Aśki. A co gorsza, siostrzeńcem Marka.

Ten zaś nie mógł się przy okazji nie zdumieć, że oto Kubuś jest już „ich”, to znaczy pani matki i Małej. „Prędko się wkręcił” – kiwał głową z niedowierzaniem wuj.

Aśka z Kubą:

– Wiedziałaś, ale mi nie powiedziałaś?

– Że prezes jest dziadkiem Zuzi, a ona córką pani Moniki? Okej, wiedziałem od pewnego czasu, ale nie chciałem cię spłoszyć albo źle nastawić. Ty masz z nimi swoje do załatwienia, ja swoje. Nie przejmuj się, damy radę. Oni w gruncie rzeczy nie są tacy źli.

– Jak to tacy źli?

– A, bo mnie wujo w ten sposób do nich nastawił.

Zuzia z Markiem:

– Chcąc nie chcąc, wciąż ma pan z nami do czynienia.

Przyjrzał się jej. Nigdy wcześniej ze sobą nie rozmawiali. Spoglądała czujnie, lecz z sympatią. Bystra mu się wydała, sądząc po oczach.

– Nie jest tak źle – bąknął. – Dawne dzieje – powtórzył, który to już dzisiaj raz.

– Sprytnie to pan wtedy wymyślił – z tą szczoteczką.

– Ja wymyśliłem? – zdziwił się.

– A nie?

Patrzcie go, Kubę, niewinną leliję! Świętoszek, on tylko wykonywał polecenia wuja-wariata!

– Tak jakoś... wyszło.

Gość do gościa:

– Z prezesem już nie porozmawiamy.

– Pech, tłok, za dużo ludzi. Ale przy budowie zarobić może da?

– Da, nie martw się. Zniżkę na działkę w urzędzie sobie wychodził, nowe hale będzie stawiać.

– Cholera, gdyby jeszcze nie ta skarbówka. Prezes słówko by szepnął i sprawy by było...

Aśka z Tomkiem:

– Tak że tego... Może się spotkamy i porozmawiamy w spokoju? Ciekawią mnie twoje dzieci. A czego teraz słuchasz? – niezdarnie wdrapywała się na barowy stołek. – Jeszcze jedno – wskazała przy tym na rieslinga.

– Teraz słucham? – zdziwił się Tomek.

– Muzyki. Muzyki jakiej słuchasz?

– E... – machnął ręką i zachwiał się. Podobnie jak przed momentem coraz bardziej urocza rozmówczyni. – Wszystko już było – skwitował. – Nie kupuję nowych płyt.

– Kurczę, życie nie kończy się po czterdziestce – zawołała, nieco nawet za głośno.

– Tak uważasz? – mruknął.

Kuba z Markiem:

– Kochajmy się.

Nie zrozumiał.

– *Pan Tadeusz*. Mniejsza o dawne awantury, dziś Telimena z Rejentem...

– Pijesz do kogoś?

– Skąd. Tak tylko mówię. Swoją drogą trzeciej pary nikt nie pamięta, bo nie chodzi przecież o Hrabiego z Podkomorzanką. Nieważne, grunt że Tadeuszek z Zosią.

– Tam jest jeszcze, zdaje się, mowa o wywijaniu szabelką?

– Tak, wujo, widzę, że doskonale pamiętasz. Zaś krótko przed polonezem odzywają się cymbały, ha, ha!

Pani matka z Małą:

– Ojciec zwariował. Tańczyć chce.

– Uparł się. Że ma być didżej i muzyka.

– Nie podoba mi się to wszystko.

– Co, mamó?

– Te jego interesy, coraz więcej ludzi dokoła, kręcą się, każdy patrzy, co by tu dla siebie uszczknąć. A on się daje, stary, głupi, wodzić za nos.

– Przesadzasz. Swoją drogą, ty, mamó, polubiłaś Kubusia?

– Co zrobić, miły chłopiec.

Kucharz z kelnerem:

– Nie masz, bracie, więcej tego wina?

– Tamten nie daje.

– Który?

– Barman. Butelki pozbierał, u siebie poustawiał, pilnuje.

– Taki jest?

– Eche.

– Niech go pies ogrodnika chędoży! Ty, słuchaj, ale to my tu z takim będziemy mieli ciężko. Kapuś, kapusta, nie swojego pilnuje. Rzucę tę robotę, inaczej być nie może. A oni co tam?

– Tańczyć będą.

- Tańczyć?
- Prezes zagania, muzykę rozkazuje grać głośniej.
- Szurnięci, jak słowo daję. Weźże, idź, zrób coś. Powiedz temu barmanowi, że ja go wołam.
- Niby po co?
- Musisz wiedzieć? Idź, powiedz, grunt, żeby wylazł z tych swoich okopów. A wtedy wiesz, co masz robić?
- Eche.

Syrop z Tomkiem i z Aśką.

- Wy tutaj?
 - Ty tutaj?
- Uśmiechnął się od ucha do ucha, twarz miał jak księżyc w pełni.
- Spóźniłem się, cholera. Nie wypada. A co u was?
 - U nas? – uniósł brew Tomek.
 - Pamiętacie kapelę – energicznie w powietrzu zamachał rękoma Syrop. Tak jakby mogli sobie nie przypomnieć, gdy stanął przed nimi dawny perkusista. – Patrzcie, mili państwo, oto Dżojs – mrugnął okiem w stronę Tomka. – I Dakota – dodał wielce z siebie zadowolony, wszak to on przed laty wymyślił Aśce sceniczny pseudonim. – Świetnie was widzieć. Razem.
- Tego już Aśce było za wiele.

ROZDZIAŁ 5

TANIEC DAKOTY

Z prezesem nie wyszło, nie mogło, wiadomo. Stało się.

Dopiero po jakimś czasie potrafiła się z tego śmiać – najpierw długo trudno jej było przetrwać wydarzenia owego wieczoru. Co za wstyd!

Bo kiedy Syrop wspomniał o Dakocie, coś porwało ją, poniosło.

Z początku tańczyła sama – i już wtedy zwróciła na siebie uwagę dostojnego towarzystwa, gdyż poruszała się istotnie niczym prowadzona przez duchy Indianka – lecz prędko wróciła po Tomka, wręcz ciągnąc go na parkiet. Opierał się, nieboga, bo choć sporo wypili, i to wzajemnie się jeszcze przed momentem napędzając, to jednak w chwili próby zazgrzytały mu w duszy hamulce. A i gniew się odezwał sprzed lat – z dni, gdy Aśka tak okrutnie go porzuciła. Jak więc teraz z nią tańczyć – i to jakby rzucając na szalę ułożone od tamtego czasu życie?

Wtedy Marka postanowiła wyrwać z tłumu, rusz się, pokrzykiwała, nie bądź drętwy, bawmy się! On z kolei próbował siostrę powstrzymać, a gdy się wyrwała, począł rozglądać się bezradnie za Kubą. Cholera, nigdzie chłopaka nie było, akurat teraz, gdy tak bardzo był potrzebny.

Wreszcie prezesa dojrzała, on też się jej przyglądał i nawet kiwał się rytmicznie, nóżką drobił, wyraźnie gotów był zerwać się ze smyczy własnej dostojności.

– Ani się waż! – zdążyła syknąć pani matka, jednak zbyt późno.

Zebrani oniemieli. A oni tańczyli. Aśka wijąc się i kreśląc w powietrzu

nagimi ramionami fantazyjne esy-floresy, on zaś przesuwał się po parkiecie z gracją leniwego łyżwiarza.

Marek nie wiedział, gdzie się schować. „Kuba, zrób coś” – w panice przywoływał w myślach siostrzeńca. Mała także poruszała bezgłośnie wargami – klnąc, zdaje się.

Na szczęście wtedy i Tomek dołączył do tańczących, a zaraz po nim Syrop. Oraz pani matka – udając, że tak właśnie miało być, bawmy się, proszę państwa, serdecznie zapraszamy. Próbowwała też od razu wkręcić się między męża a tę potworną kusicielkę, demona, wszetecznicę. Gdyż to, co się tu wyrabiało, przechodziło w jej oczach ludzkie pojęcie.

Zażenowany Marek wyszedł do toalety. Lecz i tam dopadły go krzyki: gwałtu, rety, olaboga! – Co jeszcze? – westchnął, spodziewając się najgorszego. I rzeczywiście: didżejowi jakby odcięto prąd, zapadła cisza, i tylko stary pólleżał na prędko podsuniętym krześle, łapczywie łapiąc powietrze i rozczapierzając palce na piersi. Mała telefonowała po ambulans.

Kiedy Kuba odprowadził Aśkę do taksówki, Marek czekał nie wiadomo na co. Z zaplecza wyłoniła się Mała. Spojrzał ku niej. Wyglądała na przejętą, ale nie przerażoną. Uspokoilo go to.

– Pojedzie do szpitala – podeszła właśnie do niego. – Mocno nas nastraszył – szepnęła. – Ale to jedynie zasłabnięcie, nie zawał – wyjaśniła.

– Trzymaj się – odparł już w płaszczu. – Trzymaj się, Mała. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

– Mała? – mocniej zabiło jej serce. Od lat już nikt w ten sposób się do niej nie zwrócił.

Długo śledziła go wzrokiem. Zaś on postanowił się przejść, ruszył więc w stronę światła skrzyżowania głównych ulic, potem w górę 10 Lutego. Wiatr zasłonił niebo chmurami, deszcz zaczął drapieźnie.

„Jak to Kuba powiedział? – próbował sobie przypomnieć. – Ach, prawda:

kochajmy się!”

ROZDZIAŁ 6

KAWY I HERBATY

No więc z prezesem nie wyszło. Trudno. Wysłała potem jeszcze niejedno curriculum vitae, trochę trwało, nim dotarło do niej, że nikt jej nie potrzebuje. Chrzanić prezesów, jest przecież kamienica. W tej co prawda również nie wszystko szło jak należy, bo odkąd z pierwszego piętra uciekło biuro księgowo, nie mogli znaleźć nikogo na jego miejsce i dochody znacząco spadły. Ale jednak – dało się żyć.

Marek. Drażnił ją tymi opowieściami o utrzymywaniu się na powierzchni i gorzkimi żalami za szczęśliwą jakoby epoką. Ostatnio uparł się z kolei, by nieustannie powtarzać: tak wiele otrzymaliśmy od historii i od losu, ważne, żeby tego nie roztrwonić. Politykę miał, zdaje się, na myśli, nowe rządy, zapowiedź radykalnej zmiany kursu, wojenki Polski z Europą w imię wstawania z kolan. Ale czy tylko? Czy aby do niej, do Aśki, nie pił – zwłaszcza gdy wspomniała, że pięterko wystarczy sprzedać, by na kilka lat odsunąć od siebie wszelkie troski?

– Jak to? – zrobił wtedy wielkie oczy. – Łucja całe życie czekała na odzyskanie dzieła dziadka Krzysztofa, a my mamy się go pozbyć? Wiele otrzymaliśmy... Byle nie roztrwonić... – znów zrzędził, zacinał się jak stara płyta.

„Od kiedy stał się takim nudziarzem?” – zastanawiała się, ona, która jedną stanowczą i niespodziewaną nawet dla siebie samej decyzją zwolniła się ze służby zarządom, uwolniła od przymusu gonitwy, od wiecznego kołatania nerwów. Bo też w imię czego? Kilku udanych slajdów w PowerPoincie, zafalszowanych wykresów, a na koniec poklepania po ramieniu: pięknie to pani nakreśliła, pani

Asiu...

A propos picia: tego na szczęście udawało się jej od czasu balu u prezesa unikać. Postanowiła wziąć się w garść. „Jestem superlaską” – powtarzała mantrę sprzed lat.

Rodzice. Od pewnego czasu kładli się spać wcześniej, dopiero po przeprowadzce się zorientowała. Dziewiąta, kończył się serial mamy, tato przysypiał przy Eurosporcie. Chcąc nie chcąc, z czasem polubiła te wieczorne, spędzane samotnie godziny. Kiedy nudził ją Internet, celebrowała wybór którejś z herbat – bo wciąż nie potrafiła bez wahania wskazać faworytki – przebierała zatem palcami wśród pudełek i puszczonek. English breakfast, zielona, jaśminowa? Rodzice dla oszczędności i czajnik elektryczny zmienili na zwykły, stawiany na gaz, zawsze czekała zatem chwilę, aż zagotuje się woda, czuwając, by gwizdkowi ledwo pozwolić zacząć jego pieśń i nie dać się jej rozejść po domu.

Maciek. Na samą myśl o nim zgrzytała zębami. W telewizji go bowiem niedawno ujrzała, mało co nie spadła z fotela. Od pewnego czasu, wiedziała, nie wiodło mu się najlepiej, rozszedł się także z drugą żoną. Teraz zaś próbował, wyglądało na to, przykleić się do nowej ekipy rządzącej. Basował w każdym razie jakiemś mydlakowi, basował, kończył kwestie wypowiedane przez tamtego, szło o obronę wartości, o poszanowanie tradycji, o rodzinę, nade wszystko o rodzinę. Ze złości aż wargę przegryzła, poczuła krew. Lecz mimo wszystko nie pobiegła po wino na róg ulicy, nie dała się złamać, zalać krótkiemu przyływowi wściekłości.

Mniejsza z nim, tchórzem, głupcem. Lecz więcej ich było, tych, co wstając z kolan, zadzierali podbródki, by z wysoka, ale i z uzurpowanym sobie błogosławieństwem, z jeszcze wyższej półki ubogacać nieszczęsne, zagubione w złym świecie kobiety darem swej wychowawczej mądrości. A jednocześnie, by im ręce wkładać do majtek, upokarzać je i strofować. Wszystko zaś – nie miała złudzeń – po to, by w zarodku dusić konkurencję w parciu do wymarzonej

władzy, by się ową władzą z kobietami nie dzielić. „Przewagę fizyczną w świecie, gdzie liczą się inne kompetencje, już właściwie stracili!” – wściekała się na widok rumianych, gładkoliczych wymoczków dukających swe wyuczone i kierowane przede wszystkim do biskupich uszu kwestie. „Co im zostało? Zabobony, przywoływanie dziadów, którzy drzewiej... – drwiła. – Zaś dla nas wciąż: kruchta, kuchnia, kołyska!”

„Lecz niedoczekanie! Nie damy się – rozparła się wygodnie na krześle, nogi w kowbojskiej pozie wykładając na drugie. – Nie damy się, nie możemy. Jesteśmy superlaskami – wysiorbała z kubka ostatnie krople. – Jesteśmy”. Tym razem z akcentem na ostatnią sylabę.

Mimo kompromitacji krótko po balu w Castel del Monte zadzwoniła do Tomka – przebijając się przez centralę i kolejne sekretariaty. Rozmawiali niedługo, wyczuła jego zakłopotanie, być może nie mógł poczuć się swobodnie w biurze pełnym współpracowniczek. A ponieważ nie przyszło mu na myśl zaproponować spotkania – zwyczajnego, upierała się, by porozmawiać: o życiu – sama wybrała się do urzędu. Na jej widok, zauważyła, i tym razem spanikował. Przyglądała mu się (tym razem trzeźwym okiem): fryzurę wciąż miał bujną. I darował sobie brodę, albo choćby bródkę, czym zdecydowanie wyróżniał się spośród innych, tak ponoć niepodatnych na dyktat mody, facetów. Tylko jakby się nieco przygarbił, jakby opadły mu ramiona.

– Znajdziesz chwilę, by wyskoczyć na kawę?

Chrząknął, rozglądając się po twarzach kolegów i koleżanek.

– Skąd. To niemożliwe. Zaskoczyłaś mnie.

– Przechodziłam – wyjaśniła.

– Rozumiem.

– A więc dzisiaj – ostatnie słowo lekko podkreśliła – nic z tego?

– Zadzwoń – zaproponował i nawet spojrzął na leżącą na blacie biurka komórkę (i dostrzegł też, że ona jego zerknięcie zarejestrowała), a jednak

prywatnego numeru nie podyktował. Cóż, na tym ich kontakt urwał się. Na kawie, do której nie doszło.

Już pod koniec marca, jednego z pierwszych ciepłych dni, spacerowała po bulwarze. Pomarszczona powierzchnia zatoki iskrzyła się, wietrzyk powiewał, przyjemnie było poczuć jego ciepły dotyk na twarzy. Rozpięła kurtkę, zdjęła czapkę. I tylko dokładniej obwiązała szalikiem szyję.

Wreszcie przysiadła w Mindze na śmiało wystawionym na świeże, wiosenne powietrze wiklinowym fotelu. Kawę zamówiła największą, z dużą ilością mleka. Żeby posiedzieć jak najdłużej i przyglądać się do woli śmigającym rowerzystom, szurającym po betonie maratończykom, a wreszcie młodzieży. Czy aby o tej porze nie wagarują? – zastanowiła się. Raczej tak, i dobrze, niech cieszą się życiem – przyklasnęła dzieciakom stanowczo.

Na towarzystwo przy sąsiednim stoliku od początku zwróciła uwagę. Facet usiadł do niej tyłem, zrazu widziała więc tylko jego plecy, opadający snop spiętych gumką, farbowanych na czarno rzadkich włosów, a przede wszystkim połyskującą w słońcu łysinę. W dresie był i w białych butach. Do dziewczyny mówił *per* kochanie, choć zdawała się młodziutka, ledwie dwudziestoletnia. Mogła być jego córką, a kto wie, czy nie wnuczką, jednak towarzyszący im trzylatek – a dziewczyna kołysała w wózku kolejne dziecko – ją nazywał mamą, jego zaś, faceta, bez zająknięcia tatą.

Aż wreszcie się obrócił i nie mogła mieć wątpliwości.

Jego imię wręcz się jej wyrwało.

Więc jeszcze raz się obejrzał, dopiero teraz przyglądając się Aśce uważnie. Wąsa zapuścił, sumiastego.

– My się znamy? – zapytał.

Masz ci los, musiała ją nagle okropna chryпка dopaść! Chwilę trwało, nim zdołała wypowiedzieć składne zdanie.

– Uczył mnie pan, profesorze. Tu, niedaleko – wybiegła wzrokiem w długą

aleję.

Ta jego młódka, również w dresie, śnieżnobiałym, z trzema ciemnymi paskami na ramionach i z listkami logo na sercu, być może zdziwiła się, że Aśka najpierw ojca jej dzieci zawołała po imieniu, teraz zaś zwracała się do niego oficjalnie, tytułując magistra profesorem.

– Ach, tak – odparł tymczasem on, bez cienia emocji, bez śladu zawahania w głosie.

Na końcu języka miała pytanie, czy aby na pewno jej sobie nie przypomina. Wydawało się to niemożliwe. Wtedy, wieki temu, w Trójce pracował zaledwie kilka miesięcy, nie mogły mu się zatem zlewać w pamięci kolejne roczniki podobnych do siebie dziewcząt. A poza tym czy uczennice aż tak często wyznawały mu miłość?

Ha, zreflektowała się, zerkając na dziewczynę. Tę ewidentnie poderwać mógł w szkole.

– Teraz w budowlance uczę – rzekł.

– Oj, Jacek! – zdenerwowała się, nie wiedzieć czemu, dziewczuszka.

– Jasne, nie przeszkadzam. Piękny mamy dzień, nieprawdaż?

Malcowi kelnerka przyniosła lody, którymi prędko się umorusał. Rodzice wzięli po piwie, z tym że on małe.

– A wiesz, że o tobie mówili, że jesteś gejem? Znaczy pedałem... wtedy.

Powiedziała to z zamkniętymi oczyma, z twarzą pieszczoną przez słońce. I ani drgnęła.

Nie doczekała się też odpowiedzi. Po chwili ciszy, gdy tylko mewa zaskrzypiała znad plaży, tamci wrócili do przerwanej rozmowy, w ramach nawracających dygresji rugając zasmarkanego dzieciaka. Mówili o zbliżającej się wycieczce, na którą on jechać miał jako wychowawca klasy, na co stanowczo próbowało się nie zgodzić to jego kochanie.

Złożony koc odłożyła na fotel, ukłoniła się kelnerce i nie oglądając się za

siebie, ruszyła w górę. Tymi schodami, przesmykiem pomiędzy akademikiem a muzeum marynarki wojennej, nie szła – policzyła dokładnie – od dwudziestu dziewięciu lat.

Wcześniej, zdecydowanie wcześniej zdarzyło się jej pomyśleć, że Tomek w jej życie wbiegł, czym poruszył klocki domina, a bez tego wszystko ułożyć by się mogło inaczej. Sporo w tym było nieprawdy, przecież i tak pojechałaby na lekkoatletyczny obóz, a tam poznałaby Jacka. Więc pewnie i zakochałaby się w nim bez pamięci, późniejszym geju, a dziś, proszę, ojcu dzieciom i mężu drobnej, wychudzonej ślicznotki o indiańskich rysach i ciemnej cerze. Nie znając Tomka, nie poznałaby za to prawdopodobnie Maćka. I chyba w tym sęk?

Próbowała przypomnieć sobie: bo przecież i jego, Maćka, musiała kochać. Miłością nie tak naiwną i pełną desperacji, jak w przypadku nauczyciela, i nie tak świeżą, czułą, wrażliwą, jak przy okazji uczucia do grajka. Tak, musiała go kochać, ojca Kuby, inaczej, choć szczerze, lecz jak?

Więc gdyby Tomek nie wbiegł w jej życie, czy byłaby szczęśliwsza?

Głupie gadanie – obruszyła się teraz. Niemądre, każdy filozof to potwierdzi.

Spojrzała na zegarek. Z mężczyzn tylko Kuba jej został, chętnie by więc do niego zapukała. Jednak i ten nałóg próbowała zwalczyć. W weekendy w knajpie wciąż pracował, wracał późno, w inne dni albo umawiał się z Zużą, albo też uczył się, jak twierdził. Pierwsze egzaminy pozdawał na dobre oceny, co z tego, skoro tuż po sesji znów na kolejne trudności narzekał, na zaliczenia wyznaczane przez wymagających wykładowców.

Poza tym w walkę o *waterfront* się zaangażował. Czyli o pirs Rybacki, tereny po dawnym Dalmorze, przedsiębiorstwie połowów dalekomorskich.

– Miałem sen, mamó – oznajmił patetycznie pewnego razu – że powstanie tam wspaniała, nowoczesna dzielnica, jak te w Hamburgu, Kopenhadze czy Rotterdamie. Trzeba o to walczyć, mamó, koniecznie.

Bo niestety, jak wyjaśniał, boczki planowano tam postawić, apartamentowce

wzorem z tanich przedmieść, a prócz tego kilka chłodnych w wyrazie, bezpłciowych biurowców.

– Mamo, tak być nie może – zapalał się, wracając z zebrań, na których w gronie podobnych sobie zapaleńców planowali manifesty i manifestacje, petycje i referenda. – Bo wiesz, kiedy już machną te swoje drogie byle co, to zaraz odgradzą je płotem. Powstanie kolejny pomnik deweloperskiej chciwości, a potem sobiepańskiej prywaty, uszlachconych pieniędzmi arystokratów. A przecież można inaczej: najpierw niech jeden wybrany w konkursie architekt zbuduje to, potem drugi tamto, niech ta dzielnica, wizytówka miasta, rośnie powoli, drobnymi kroczkami, niech stanie się dzięki temu różnorodna. I niech zostanie na swoim miejscu kilka zaadoptowanych na nowo historycznych magazynów, niech w nich otworzą się dostępne z ulicy sklepy, kluby, może muzeum, kino, niech to w każdym razie żyje! Bo inaczej, wiesz, betonowo-szklane kostki, jedna przy drugiej, takie same, bliźniacze, jak spod sztancy. No i najgorzej, jeżeli wszystko ogrodzone. Nie mam racji? – pytał.

Miał, oczywiście, że miał, czuła dumę. A on dalej przekonywał:

– Czas zadbać o przestrzeń, mamo, o dobro wspólne, nasze. Znasz choćby Zakopane, Podhale – zniszczone przez żywioł wolnorynkowego kłecenia bud i stawiania, gdzie popadnie, reklamowych tablic. Kto nam wmówił, bo przecież nie tylko o rozwrzeszczane kurorty chodzi, że wszystko wolno, gdy jest się właścicielem jednej czy drugiej działki, a krajobraz, otoczenie, nie mają istotnego znaczenia? Przyzwyczajeni do brzydoty, sami stajemy się brzydcy. Już we wczesnych latach szkolnych, mamo, powinno się uczyć rozumienia dziejów muzyki, malarstwa, architektury. A oprócz tego logiki, filozofii i historii nauki. Żebyśmy nauczyli się cenić i rozumieć wartość powolnego rozwoju, abyśmy zrozumieli ducha wspólnoty. Bez tego dziczejemy, mamo, co zresztą widać na każdym kroku.

„Skąd to wszystko wiedział? – zastanawiała się. – Kiedy zrozumiał, synuś,

mądrała?”

Gdy go słuchała, odzywały się w niej uśpione instynkty: wnet naszkicowała zatem plan tego, jak wesprzeć młodzieńczy zapal wnioskiem o dofinansowanie działań przyszłej poważnej, choć założonej przez młodych, fundacji. Powiedział, że przeczyta, że się zastanowi. Zuzka również kiwała z zainteresowaniem głową i był to miód na serce matki.

Będziemy walczyć – cieszyła się. Będziemy razem, wspólnie walczyć.

Piknęło. Esemes.

„Mamo, masz chwilę?”

Ani przez myśl jej nie przeszło, by wystukać odpowiedź i zaprosić synalka na dół. Nie, przeciwnie, sama w te pędy ruszyła po schodach.

„Fundacja – gnały również jej myśli – a więc przeczytał. Jeszcze się na coś przyda przeczolągana w korporacjach matka! Będziemy walczyć!”

Z rozmachem, nie pukając – przecież zapraszał – otworzyła drzwi, aż spojrział w jej stronę zdziwiony. Siedział przy kuchennym stole – jak przez lata zwykł był siedzieć dziadek Kot – i wpatrywał się w ekran komputera. Obok na blacie piętrzyły się książki.

– Jesteś?

– Jestem – odparła gorliwie.

– Mamo, posłuchaj, mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego.

ROZDZIAŁ 7

PETARDA!

– Że też akurat czwartego czerwca... A Zuzia na pewno nie jest w ciąży? – nie pierwszy raz w ten sam sposób pytała Justyna.

– Kuba twierdzi, że nie.

– To dlaczego tak im się spieszy ze ślubem?

Nie wiedział.

Minął niemal rok od dnia, kiedy drżąc, telefonował do laboratorium. I zaraz skakał z radości – aż dziwili się inni biegacze, podobni jemu leśni partyzanci. – Wszystko w porządku, alarm odwołany – wróciwszy do domu już spokojnie, jak gdyby nigdy nic, oznajmił Justynie. Podobnie swobodnym tonem poinformował o wyniku badań Kubę. Na wódkę się jednak nie umówili, jakby to zresztą miało wyglądać – pijaństwo z synem siostry? „Na to przyjdzie czas – uznał – gdy ja ostatecznie zdiadzieję, a chłopak dojrzy choćby do trzydziestki”.

Od tamtej pory Kuba ze zdwojoną energią udzielał się w Internecie, dowcipkował, proponował randki, śpiewał i tańczył, pajacował. Na co Zuzia przyzwalala łaskawie, a może nawet ochoczo.

Lecz był jeszcze tamten – starannie przystrzyżony prawnik narodowo-radykalny, któremu harce konkurenta nie mogły się podobać. Wreszcie, zresztą nie sam, lecz w towarzystwie innych łebków, zdybał ich: Kubę, Zuzkę oraz wciąż tę samą, nieodłączną koleżankę na podksiężycowych swawolach na orłowskiej plaży.

– Nie chcę – odparł Kuba na ponurą propozycję, by wyjaśnić wszystko po

męsku.

Tamci zarżeli pogardliwie.

– Nie chcę – spokojnie powtórzył Kuba – lecz jeśli muszę... – powoli zakasywał rękawy.

I już prawie ku sobie skoczyli, kiedy wtrąciły się dziewczyny.

Do potyczki jednak doszło – tyle że słownej.

Tradycja!

Wolność!

Powołanie!

Autonomia!

Rodzina!

Samorealizacja!

Owszem, w roli kapłanki domowego ogniska i w służbie wspólnocie!

Wspólnocie? Byle nie narodowej, wydumanej i archaicznej!

A jakiej? Eurokołchozowej?

Tolerancyjnej i otwartej!

Aż się Zuzka w końcu wnerwiła, że tak się przekrzykują, nie pytając jej o zdanie.

To ona pierwsza zainteresowała się planami miasta i budowniczych, a dotyczącymi najwspanialszych działek w mieście. Wszechpolski prawnik najpierw zdębiał, a potem się obruszył – na próbę ingerencji w najświętsze prawo własności. Na co Kuba oczywiście wszedł w temat jak w dym.

No i się jeszcze zdążyli rozejść, a potem do siebie wrócić, w kółko to samo, wzdychał Marek, ależ ten świat jest nudny. Aż wreszcie oznajmili, że chcą się pobrać: teraz, zaraz, wkrótce.

– Swoją drogą – zauważyła, czujnie przyglądając się reakcji Marka – istny ideał z tego Kubusia. Studiuje, pracuje, angażuje się. Wprost z koszmarów

zrędlivych starców, gdy nie mogą narzekać na młode pokolenie.

– Dokładnie – zgodził się, nie chcąc zauważyć lekkiej drwiny w jej głosie.

– Albo jak z bajki: chciałoby się, żeby oni wszyscy tacy byli, prawda?

– Właśnie. Żebyśmy nie stracili tego, co nam los...

– Dobra, dobra, znów to samo.

– Jak wyglądam? – mimo że podobała się sobie w lustrze, chciała się jeszcze upewnić.

– Bosko. Petarda – odparł.

– Marek, proszę cię... – jęknęła. – Co ty z tą petardą?

– Wszyscy tak mówią – wzruszył ramionami.

– No właśnie.

Lecz co miał powiedzieć, kiedy faktycznie: petarda! Długa kremowa suknia leżała jak ulał i pasowała Justynie idealnie.

– Nie będę chyba wyglądać gorzej niż ta twoja Mała.

– Skąd! – zapewnił gorliwie. – Niemożliwe.

– Ale cieszysz się, że ją zobaczysz, prawda?

– Chodźmy, taksówka czeka – odparł z uśmiechem. – I nie zmuszaj mnie, żebym zaprzeczał zbyt gorliwie – już zamykając drzwi, wyrecytował od dawna przygotowaną kwestię. – Żebyś nie uznała, kochanie, że jednak coś jest na rzeczy.



„Marzyciel” – rzeźba u wejścia do portu
autorstwa Adama Dawczaka-Dębickiego.

Copyright © 2017, Michał Piedziewicz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-413-5

Projekt okładki oraz skład: **Zuzanna Malinowska**

Redakcja: **Jolanta Stal**

Zdjęcie dziewczyny na okładce: Piotr Barącz, EAST NEWS

Wydawnictwo składa podziękowanie Jolancie Uczarczyk , autorce użytych w książce fotografii.

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com